



ERNST H.  
**GOMBRICH**

MIĘDZYNARODOWY BESTSELLER

**KRÓTKA**



**HISTORIA  
ŚWIATA**



ERNST H.  
GOMBRICH

---

KRÓTKA



HISTORIA  
ŚWIATA

Przełożyła Barbara Ostrowska



DOM WYDAWNICZY REBIS

*Dla Ilse*

*Kiedy tak tego słuchałaś, stawało się Twoje.*

*Wiedeń, w październiku 1935 roku*

*Londyn, w lutym 1998 roku*

## PRZEDMOWA

Mój dziadek, Ernst Gombrich, zwykle nie pisał dla dzieci. I wcale nie studiował historii, tylko historię sztuki. Tym bardziej go cieszyło i zdumiewało zarazem, że pierwsza książka, jaką w ogóle napisał, *Krótką historią świata*, przez tak długi czas znajdowała tak wielu przyjaciół na całym świecie.

Pisał tę książkę jako młody człowiek, i to pod sporą presją czasu. Później mawiał, że chyba jedno i drugie przyczyniło się do tego sukcesu. Ale gdyby nie zbieg rozmaitych okoliczności owego 1935 roku w Wiedniu, ta książka nie zostałaby napisana.

A oto jak doszło do jej powstania...

Dziadek po obronie pracy doktorskiej na Uniwersytecie Wiedeńskim został bez pracy i w tamtych trudnych czasach niewielkie miał widoki na szybkie znalezienie posady. Pewien zaprzyjaźniony młody wydawca zwrócił się do niego z pytaniem, czy nie miałby ochoty przejrzeć angielskiego podręcznika historii dla dzieci i może przetłumaczyć go na niemiecki. Książka została mu polecona przez wspólnego przyjaciela, który w Londynie studiował medycynę, i miała się ukazać w nowej serii, zatytułowanej „Nauka dla Dzieci”.

Dziadek niezbyt się książką zachwycił i powiedział Walterowi Neurathowi, późniejszemu założycielowi wydawnictwa Thames & Hudson w Anglii, że nie warto jej tłumaczyć. „Myślę, że sam napisałbym lepszą” – stwierdził, na co Neurath poprosił, żeby przysłał mu może jeden rozdział.

Na ostatnim etapie pracy nad doktoratem mój dziadek korespondował z córeczką przyjaciół, która chciała wiedzieć, czym jest wciąż taki zajęty. Objasnianie jej w zrozumiały sposób tematu pracy doktorskiej sprawiało mu wielką przyjemność. Poza tym, jak powiedział później, już go trochę znudziła naukowa pisanina, którą tak intensywnie uprawiał podczas studiów. Był przekonany, że większość rzeczy można inteligentnemu dziecku wytłumaczyć prostymi słowami, bez trudnych terminów fachowych. Napisał więc barwny rozdział o czasach rycerzy i posłał go Neurathowi. Wydawca był bardzo zadowolony, dodał jednak: „Jeśli książka ma się ukazać zgodnie z planem, rękopis musi być gotowy w ciągu sześciu tygodni”.

Dziadek wcale nie był pewien, czy zdąży, ale uznał wyzwanie za bardzo kuszące, obiecał więc, że spróbuje. Szybko naszkicował plan książki i wybrał fakty z historii świata, które postanowił omówić. Po prostu zadał sobie pytanie, które wydarzenia z przeszłości wywarły wpływ na życie większości ludzi i do dzisiaj najgłębiej zachowały się w pamięci. Potem zaczął pisać – każdego dnia jeden rozdział. Przedpołudniami czytał wszystko, co na dany temat znalazł w domu swoich rodziców, przy czym korzystał też z wielkiego leksykonu. Po południu szedł do biblioteki i w miarę możliwości czytał teksty z epoki, aby nadać swoim opisom większą wiarygodność. Wieczory były zarezerwowane na pisanie. Tylko niedziele wyglądały inaczej – ale nim je opiszę, muszę najpierw przedstawić moją babcie.

Ilse Heller, bo tak się wtedy nazywała, pięć lat wcześniej przyjechała z Czech do Wiednia, aby kontynuować naukę gry na fortepianie. Już wkrótce została uczennicą Leonie Gombrich – której imieniem nazwano i mnie. Ilse Heller poznała więc przyszłą teściową wcześniej niż swojego męża. Leonie nawet ich sobie przedstawiła i zachęcała mojego dziadka, by pokazał nowej uczennicy wiedeńskie muzea i inne ciekawe miejsca. W 1935 roku ich wspólne weekendowe wycieczki były już od dawna miłym zwyczajem. Rok później wzięli ślub. Którejś niedzieli, gdy podczas spaceru po Lesie Wiedeńskim zrobili sobie przerwę – „może przysiedliśmy w trawie na słonecznej polanie albo na zwałonym pniu drzewa”, wspomina moja babcia – dziadek wyciągnął plik papierów z kieszeni na piersi i zapytał: „Czy mogę ci coś przeczytać?”.

„Lepiej, że czytał na głos. Wiesz – mówi dziś moja babcia – już wtedy miał okropny charakter pisma”.

To „coś” to była oczywiście *Krótką historią świata*. Mojej babci najwyraźniej podobało się to, czego słuchała, bo dziadek czytał jej na głos jeszcze przez następne tygodnie, aż dokończył pisanie książki. Punktualnie dostarczył rękopis Walterowi Neurathowi. Czytając ten tekst głośno, można wyczuć, w jaki cudowny sposób tamto czytanie nadało książce ton, a dedykacja pozwala się domyślać, jak bardzo mój dziadek cenił sobie te godziny głośnej lektury. Wykonanie ilustracji powierzono byłemu instruktorowi jazdy konnej, po pięć szylingów od rysunku. Dziadek lubił podkreślać, że liczne konie na obrazkach są o wiele lepiej narysowane niż ludzie.

Gdy w 1936 roku książka się ukazała, spotkała się z bardzo przychylnym

przyjęciem, a recenzenci sądzą, że mój dziadek musi być doświadczonym nauczycielem. Bardzo szybko została przetłumaczona na pięć języków. Moi dziadkowie byli już wtedy w Anglii, gdzie zamieszkali na stałe. Wkrótce książka została zakazana przez narodowych socjalistów, jednak nie z powodów antysemitycznych, tylko ze względu na zbyt pacyfistyczną wymowę.

Na tym się dzieje *Krótkiej historii świata* nie skończyły. Kilka lat po wojnie dziadkowi udało się odzyskać prawa do książki, lecz świat, w którym ją kiedyś napisał, wydawał się już bardzo odległy. Przez długi czas nic się nie działo, aż w końcu, po ponad trzydziestu latach, zwróciło się do dziadka wydawnictwo DuMont. W 1985 roku ukazało się drugie wydanie niemieckie z nowym rozdziałem końcowym. I znowu mój dziadek się cieszył z sukcesu swojej książki i z licznych przekładów. Z zapałem przygotowywał kolejne wydania dla czytelników różnych narodowości i zawsze bardzo uważnie wysłuchiwał uwag tłumaczy. Ale wobec jednego przekładu miał obiekcje. Poza *Krótką historią świata* dziadek wszystkie swoje książki napisał po angielsku. Jeśliby i ta miała się kiedykolwiek ukazać w tym języku, upierał się, że sam ją przetłumaczy. Przez dziesięć lat wzbraniał się przed przekładem na angielski, chociaż niejednokrotnie go o to proszono. Jego opór brał się nie tylko z nadmiaru pracy. Dziadek uważał mianowicie, że angielska historia obraca się tylko wokół angielskich królów i królowych. Czy angielskie dzieci będą w ogóle umiały sobie poradzić z europejskim sposobem widzenia?

Dopiero wydarzenia lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku i coraz większe znaczenie Unii Europejskiej przekonały go wreszcie, że ten punkt widzenia może je rzeczywiście zainteresować.

Pod koniec swojego długiego i bogatego życia zabrał się więc do angielskiej wersji swojej pierwszej książki. Niedługo po tym, gdy zaczął ją tłumaczyć, powiedział mi z lekkim zdziwieniem: „Przeczytałem jeszcze raz moją *Krótką historię świata*, naprawdę sporo w niej jest. Wiesz, myślę, że jest dobra!”. Naturalnie dokonał drobnych korekt, dodał nowe informacje o człowieku prehistorycznym i poprosił swojego syna, a mojego ojca, specjalistę od wczesnego buddyźmu, o poprawienie rozdziału dziesiątego.

Gdy w 2001 roku mój dziadek zmarł w wieku 92 lat, angielski przekład wciąż jeszcze nie był gotowy. Niech więc ostatnie słowo należy do dziadka: „Chciałbym podkreślić – napisał przed kilku laty we wstępie do wydania tureckiego – że ta książka nigdy nie miała i nie ma zastępować podręcznika

historii, który w szkole służy zupełnie innym celom. Chciałbym, żeby moi czytelnicy usiedli wygodnie i śledzili historię, nie robiąc notatek i niekoniecznie zapamiętując nazwiska, nazwy i daty. Obiecuję, że nie będę ich odpytywał”.

Lipiec 2004 roku, Leonie Gombrich





## DAWNO, DAWNO TEMU



Wszystkie historie tak się zaczynają: „Dawno, dawno temu”. I nasza historia chce opowiadać tylko o tym, co było dawno temu. Dawno temu byłeś mały i nawet stojąc na palcach, ledwo sięgałeś do ręki swojej mamy. Pamiętasz? Jeśli chcesz, możesz opowiedzieć historię, która zaczyna się tak: Dawno temu był sobie mały chłopiec – albo mała dziewczynka – i to byłem – albo byłam – ja. Ty też byłeś – albo byłaś – niemowlęciem w pieluszkach. Tego nie pamiętasz, ale wiesz, że to prawda. Kiedyś również tato i mama byli mali. Dziadek i babcia też. Ale to było o wiele dawniej. Jednak o tym wiesz. Mówimy przecież: oni są starzy. Lecz i oni mieli dziadków i babcie, którzy też mogli powiedzieć: dawno, dawno temu. I tak dalej, coraz dalej i dalej wstecz. Za każdym „dawno, dawno temu” jest jeszcze jakieś dawniejsze. Czy zdarzyło ci się kiedyś stanąć między dwoma lustrami? Musisz koniecznie spróbować! Zobaczysz ciąg luster, jedno za drugim, coraz mniejsze i coraz mniej wyraźne, ale żadne z nich nie będzie ostatnie. Nawet gdy już nie będziesz widział żadnego, wciąż będzie w nim miejsce na jeszcze jedno lustro. A za nim są jeszcze inne i ty o tym wiesz.

Dokładnie tak samo jest z owym „dawno, dawno temu”. Nie możemy sobie wyobrazić, że gdzieś się kończy. Dziadek dziadka dziadka dziadka –



już teraz kręci ci się w głowie. Ale jeśli powiesz to jeszcze raz, powoli, z czasem będziesz mógł sobie to wyobrazić. A potem dodasz jeszcze jednego dziadka. W ten sposób szybko dojdiesz do dawnych czasów, a potem do pradawnych. Coraz dalej i dalej, tak jak było z lustrami. Ale do początków nie dojdiesz nigdy. Za każdym początkiem kryje się przecież zawsze jakieś „dawno, dawno temu”. Ależ to otchłań bez dna! Czy kręci już ci się w głowie od patrzenia w dół? Mnie też! Wrzućmy więc w tę studzienną otchłań płonący kawałek papieru. Będzie spadał powoli, coraz głębiej i głębiej. A spadając, oświetli ściany studni. Widzisz go jeszcze? Spada coraz niżej i niżej – a teraz wygląda już jak maleńka gwiazda w mrocznej głębi, coraz mniejsza i mniejsza, aż w końcu znika zupełnie.

Tak samo jest z pamięcią. Pomaga nam rzucić światło w głąb przeszłości. Najpierw naszej własnej, potem pytamy starych ludzi, potem szukamy listów ludzi, którzy już umarli. I tak rzucamy światło coraz głębiej w przeszłość. Są takie domy, w których zgromadzone zostały tylko stare kartki i papiery, niegdyś przez kogoś zapisane – te domy nazywają się *archiwami*. Znajdziesz tam listy sprzed wielu setek lat. Kiedyś byłem w takim archiwum i miałem w ręce list, w którym było napisane tylko tyle: „Kochana Mamo! Wczoraj dostaliśmy do jedzenia wspaniałe trufle, Twój Wilhelm”. Ten Wilhelm był małym włoskim księciem, który żył czterysta lat temu. A trufle to bardzo drogie jedzenie.

Ale widzimy to tylko przez chwilę. Bo nasze światło spada coraz szybciej i szybciej. Tysiąc lat, dwa tysiące lat, pięć tysięcy lat, dziesięć tysięcy lat temu. Już wtedy były dzieci, które lubiły zjeść coś dobrego. Ale nie mogły jeszcze pisać listów. Dwadzieścia tysięcy, pięćdziesiąt tysięcy lat temu – już wtedy ludzie mówili: „dawno, dawno temu”. I światło naszej pamięci staje się już bardzo malutkie. W końcu gaśnie. My jednak wiemy, że można zejść jeszcze głębiej. W prapraczasy, kiedy nie było jeszcze ludzi. Kiedy góry jeszcze nie wyglądały tak jak dzisiaj. Niektóre były wyższe. Przez cały ten długi czas rozmywał je deszcz, aż zamieniły się w pagórki. A niektórych wcale jeszcze nie było. Powoli wyrastały z morza, przez wiele milionów lat.

Lecz nim się pojawiły góry, istniały już zwierzęta. Zupełnie inne niż dzisiaj. Były ogromne i przypominały smoki. Skąd o tym wiemy? Bo głęboko w ziemi znajdujemy czasem ich kości. W Muzeum Historii Naturalnej w Wiedniu możesz zobaczyć na przykład diplodoka. Dziwna nazwa – diplodok. Ale zwierzę jeszcze dziwniejsze. Nie zmieściłoby się

w pokoju ani nawet w dwóch. Było wysokie jak najwyższe drzewa, a ogon miało długi jak pół boiska do piłki nożnej. Musiał być niezły hałas, kiedy taka ogromna jaszczurka – bo diplodok był ogromną jaszczurką – przemierzała w praczasach dżungłę.

Ale to też nie był początek. Już wtedy było coś wcześniej, wiele tysięcy milionów lat temu. Łatwo powiedzieć, ale pomyśl przez chwilę. Czy wiesz, jak długo trwa sekunda? Tyle, ile trzeba, żebyś szybko policzył: 1, 2, 3. A jak długo trwa tysiąc milionów sekund? Trzydzieści dwa lata! No to możesz się domyślić, jak długo trwa tysiąc milionów lat! Wtedy nie było jeszcze dużych zwierząt, tylko ślimaki i małże. A jeszcze wcześniej – nie było nawet roślin. Cała ziemia była „bezludem i pustkowiem”. Niczego nie było, ani drzewa, ani krzewu, ani trawy, ani kwiatu, żadnej zieleni. Tylko nagie, zupełnie nagie kamienie i morze, puste morze bez ryb, bez małży, nawet bez szlamu. A gdy posłuchasz morskich fal, to co one powiedzą? „Dawno, dawno temu...” Dawno, dawno temu Ziemia mogła być skłębioną chmurą gazu, podobną, ale nie taką samą jak te o wiele większe, które oglądamy za pomocą naszych teleskopów. Miliardy lat krążyła wokół Słońca, z początku bez skał, bez wody, bez życia. A przedtem? Przedtem Słońca też jeszcze nie było, naszego drogiego słońeczka. Tylko obce, zupełnie obce gwiazdy olbrzymy i mniejsze ciała niebieskie wirowały między chmurami gazu w nieskończonej przestrzeni kosmicznej.

„Dawno, dawno temu” – teraz i mnie się kręci w głowie, kiedy się tak pochylam i patrzę w głąb czasu. Chodź, wracajmy szybko do Słońca, do Ziemi, do pięknego morza, do roślin, do małży, do olbrzymich jaszczurek, do naszych gór, a potem do ludzi. Czy nie jest tak, jakbyśmy wrócili do domu? I żeby to „dawno, dawno temu” nie wciągnęło nas jeszcze głębiej w otchłań bez dna, od tej pory będziemy od razu pytać: „Chwileczkę! Kiedy to było?”.

A jeśli zapytamy także: „*Jak to właściwie było?*”, to będziemy pytać o historię. Nie o *jakąś* historię, lecz o historię, którą nazywamy historią świata. I właśnie nią się teraz zajmujemy.



## NAJWIĘKSI WYNALAZCY, JACY KIEDYKOLWIEK ISTNIELI



**W** Heidelbergu w Niemczech wykopano kiedyś głęboki szyb. Głęboko pod ziemią znaleziono tam kość, ludzką kość. Dolną szczękę. Ale takiej szczęki nie ma już dziś żaden człowiek. Taka jest twarda i mocna. I tak silne są osadzone w niej zęby. Człowiek, do którego ta szczęka należała, na pewno potrafił dobrze gryźć. I musiało to być dawno temu, bo inaczej szczęka nie znalazłaby się tak głęboko pod ziemią.

W innym miejscu w Niemczech, w Neandertalu, znaleziono kiedyś fragment czaszki. Ludzkiej czaszki. Niepotrzebnie się wzdrygasz, gdyż było to szalenie interesujące. Bo takich czaszek też już nie ma. Tamten człowiek właściwie nie miał czoła, tylko gruby wał nad oczodołami. Myślmy jednak tym, co mamy za czołem, a skoro ów człowiek nie miał czoła, to może mniej myślał. W każdym razie myślenie musiało mu przychodzić z większym

trudem niż nam. Istnieli więc kiedyś ludzie, którzy myśleli może mniej, a gryźli lepiej niż my dzisiaj. Tak w każdym razie uważano wtedy, kiedy znaleziono tę czaszkę, i ten pogląd pokutował jeszcze do niedawna.

„Chwileczkę! – powiesz teraz. – To wbrew umowie. *Kiedy* żyli ci ludzie, *kim* byli i *jak* to właściwie było?”

Rumienię się ze wstydu, gdyż muszę ci odpowiedzieć: tego jeszcze dokładnie nie wiemy, ale z czasem się dowiemy. Jak dorośniesz, może nam w tym pomożesz. Nie wiemy, ponieważ ci ludzie nie umieli niczego zapisać. Ponieważ pamięć tak daleko nie sięga. (Dziś już nie muszę się rumienić aż tak, bo nawet jeśli niektóre z opisanych tu rzeczy przedstawiają się teraz trochę inaczej, to przynajmniej moje przepowiednie się sprawdziły: dzisiaj rzeczywiście wiemy już więcej o tym, kiedy żyli pierwsi ludzie. Ustalili to przyrodnicy, gdy odkryli, że niektóre materiały, jak na przykład drewno i włókna roślin, a także kamienie wulkaniczne, ulegają powolnym, lecz regularnym zmianom. Dzięki temu można obliczyć, kiedy powstały lub wyrosły. Naturalnie nadal pilnie poszukiwano szczątków ludzkich i podczas prac wykopaliskowych, przede wszystkim w Afryce, a także w Azji, natrafiono na kości co najmniej tak stare jak szczątki z Heidelbergu. Niektóre nawet jeszcze starsze. To kości naszych przodków, którzy mieli niskie czoło o wydatnych łukach brwiowych i mały mózg, i może już dwa miliony lat temu zaczęli używać kamieni jako narzędzi. Jedna z czaszek, znaleziona niedawno w Afryce, liczy sobie pewnie siedem milionów lat. Neandertalczyki pojawili się wcześniej niż sto tysięcy lat temu i żyli na ziemi prawie siedemdziesiąt tysięcy lat. Muszę im oddać sprawiedliwość: mimo niskiego czoła mózg mieli niewiele mniejszy, niż ma go większość dzisiejszych ludzi. Nasi najbliżsi krewni pojawili się prawdopodobnie dopiero około trzydziestu tysięcy lat temu).

„Ależ całe to «mniej więcej» i «około» bez nazw i dokładnych dat to przecież nie jest historia!” – powiesz. I będziesz miał rację. To wszystko było przed historią. Dlatego nazywamy te czasy prehistorią. Bo bardzo niedokładnie wiemy, kiedy to było. Co nieco wiadomo nam jednak o ludziach, których nazywamy *praludźmi*. Od nich zaczyna się bowiem rzeczywista historia – a zacznie się ona w następnym rozdziale – gdyż mieli już wszystko, co mają ludzie dzisiaj: odzież i domy, i narzędzia; pługi do orania, zboże do wypieku chleba, krowy do dojenia, owce do strzyżenia, psy do polowania i jako przyjaciół. Łuk i strzały do strzelania, hełm i tarczę do

ochrony. A wszystko to musiało być kiedyś po raz pierwszy. Ktoś to przecież musiał wynaleźć! Pomyśl tylko, czy to nie fascynujące? Kiedyś jakiś pracłowiek musiał wpaść na to, że mięso dzikich zwierząt daje się łatwiej pogryźć, jeśli się je przedtem potrzyima nad ogniem i upiecze. A może wpadła na ten pomysł kobieta? I ktoś kiedyś wpadł na pomysł, jak rozpalić ogień. Pomyśl, co to oznacza: rozpalić ogień! Potrafisz to zrobić? Ale nie zapalkami, nie, przecież ich wtedy nie było! Tylko za pomocą dwóch patyczków, tak długo pocieranych jeden o drugi, aż się rozgrzeją i w końcu rozżarzą. Spróbuj sam to zrobić! Zobaczysz, jakie to trudne!

Narzędzia też ktoś wynalazł. Żadne zwierzę nie zna narzędzi. Tylko człowiek. Najstarszymi narzędziami były pewnie po prostu gałęzie albo kamienie. Wkrótce ludzie nauczyli się łupać te kamienie tak, że wyglądały jak spiczaste młotki. Wiele takich łupanych kamieni wygrzebano z ziemi. A że wszystkie narzędzia były wtedy jeszcze kamienne, nazywamy te czasy *epoką kamienia łupanego*. Domów jednak pracłowiek nie umiał jeszcze budować. To było przykre. Bo w tamtej epoce często bywało bardzo zimno. Czasem nawet o wiele zimniej niż dzisiaj. Zimy były dłuższe, a lata krótsze niż te, które znamy. Śnieg nawet w dolinach leżał przez cały rok, a wielkie lodowce docierały aż na równiny. Możemy więc powiedzieć, że czas kamienia łupanego przypadł jeszcze na epokę lodowcową. Praludzie musieli marznąć i pewnie się cieszyli, kiedy znajdowali jaskinie, w których mogli się jako tako schronić przed wiatrem i chłodem. Dlatego nazywamy ich też *jaskiniowcami*, chociaż raczej nie mieszkali w jaskiniach przez cały czas.

A wiesz, co jeszcze wynaleźli jaskiniowcy? Może zgadniesz? *Mowę*. Mam na myśli prawdziwą mowę. Zwierzęta też potrafią krzyczeć, gdy je coś boli, i wydawać ostrzegawcze dźwięki, gdy grozi im niebezpieczeństwo. Ale nie potrafią niczego nazwać słowami. To potrafią tylko ludzie. Praludzie byli pierwszymi istotami, które to umiały.

I jeszcze jedną piękną rzecz wynaleźli jaskiniowcy. Malowidła i rzeźbę. Na ścianach jaskiń do dziś możemy zobaczyć obrazy, które wrytowali lub namalowali. Nawet teraz żaden malarz nie zrobiłby tego piękniej. Widzimy zwierzęta, których dawno już nie ma – tyle czasu upłynęło bowiem od tamtej pory. Słonie z długą sierścią i zakrzywionymi kłami – to mamuty. Inne zwierzęta z epoki lodowcowej też tam są. Jak myślisz, dlaczego praludzie malowali takie zwierzęta na ścianach jaskiń? Tylko dla ozdoby? Przecież było tam całkiem ciemno? Nie wiemy z całą pewnością, ale przypuszczamy,

że próbowali uprawiać czary. Wierzyli, że jeśli namalują na ścianie wizerunki zwierząt, to te zwierzęta wkrótce się pojawią. Zwierzęta były przecież ich łupem łowieckim, bez którego umarliby z głodu. Chcieli więc wynaleźć czary i byłoby wspaniale, gdyby ludzie umieli czarować. Ale do dziś nie potrafią.

Epoka lodowcowa trwała niewyobrażalnie długo. Wiele dziesiątków tysięcy lat, i to dobrze, bo inaczej ludzie, którym myślenie przychodziło jeszcze z trudem, nie zdążyliby tego wszystkiego wynaleźć. Z czasem na Ziemi zrobiło się cieplej i latem lód cofał się w najwyższe góry, a ludzie, którzy byli już tacy jak my, nauczyli się wysiewać trawy stepowe, rozcierać ziarna i robić z nich papkę, którą można było piec w ogniu. To był chleb.

Wkrótce nauczyli się także budować namioty i oswajać zwierzęta żyjące na swobodzie. Wędrowali ze swoimi stadami, jak to dziś robią na przykład Lapończycy. A że w tamtych czasach lasy były pełne drapieżnych zwierząt, wilków i niedźwiedzi, ludzie, jak przystało na wielkich wynalazców, wpadli na wspaniały pomysł: zbudowali sobie domy na wodzie, na palach wbitych w grunt daleko od brzegu. Nazywamy te budowle *palowymi*. Narzędzia z kamienia mieli już pięknie ociosane i wygładzone. A w kamiennych toporach umieli już wywiercić twardszym kamieniem otwór na stylisko. Cóż to była za praca! Z pewnością na całą zimę. A często na koniec topór pękał w połowie i wszystko trzeba było zaczynać od nowa.

Potem wymyślili ceramikę – glinę wypalaną w piecach – i wkrótce zaczęli wyrabiać piękne, wzorzyste naczynia. Wizerunków zwierząt w tej *młodszej* epoce kamienia jednak już nie przedstawiali. W końcu, może sześć, a może cztery tysiące lat przed Chrystusem, wpadli na nowy, lepszy i wygodniejszy sposób wytwarzania narzędzi: odkryli metal. Oczywiście nie wszystkie metale od razu. Najpierw zielone kamienie, które zamieniały się w miedź, gdy wytapiali je w ogniu. Miedź pięknie lśni i można z niej robić groty strzał albo wykuwać topory, jest jednak bardzo miękka i tępi się szybciej niż twardy kamień.

Ale i z tym sobie poradzili. Przyszło im do głowy, że wystarczy domieszać inny, bardzo rzadki metal, żeby miedź stała się twardsza. Ten metal to cyna, a stop miedzi i cyny to brąz. Czasy, w których ludzie robili sobie hełmy i miecze, siekiery i garnki, a także bransolety i naszyjniki z brązu, nazywają się oczywiście *epoką brązu*.

A teraz przyjrzyj się jeszcze ludziom, którzy w łodziach wydłubanych z jednego pnia drzewa płyną do swoich wiosek na palach, odziani w futra

zwierząt. Wiozą zboże albo sól z kopalń. Piją z pięknych glinianych dzbanów, a kobiety i dziewczęta noszą ozdoby z kolorowych kamyków, nawet ze złota. Czy myślisz, że wiele się zmieniło od tamtych czasów? To już byli tacy ludzie jak my. Często niedobrzy dla siebie, często okrutni i podstępni. My też, niestety, tacy jesteśmy. I już wtedy pewnie się zdarzało, że matka poświęcała się dla dziecka. Już wtedy przyjaciele oddawali za siebie życie. Nie częściej, ale i nie rzadziej niż dzisiaj. Bo i dlaczego? W końcu upłynęło dopiero około dziesięciu do trzydziestu tysięcy lat! Nie mieliśmy dość czasu, aby się bardzo zmienić.

Ale kiedy mówimy, jemy chleb, posługujemy się jakimś narzędziem czy grzejemy przy ogniu, powinniśmy czasem wspomnieć z wdzięcznością o praludziach, największych wynalazcach, jacy kiedykolwiek istnieli.





## KRAJ NAD NILEM



Tu – tak jak ci obiecałem – zacznie się historia. Od pewnego *wtedy*. Otóż pięć tysięcy sto lat temu, w 3100 roku przed Chrystusem, jak uważamy dzisiaj, panował w Egipcie król imieniem Menes. Jeśli chciałbyś wiedzieć coś więcej o drodze do Egiptu, powinieneś właściwie spytać jaskółkę. Ona przecież każdej jesieni, gdy nastają chłody, frunie do Egiptu. Przez góry do Włoch, potem kawałek nad morzem, i już jest w Afryce, w części położonej najbliżej Europy. A tam już niedaleko jest Egipt.

W Afryce panują upały i przez wiele miesięcy nie pada deszcz. Dlatego w wielu regionach mało co rośnie. Ziemia jest pustynna. Na prawo i lewo od Egiptu też jest taka. W samym Egipcie również nieczęsto pada. Ale tam ludzie nie potrzebowali deszczu, bo przez środek Egiptu płynie Nil. Dwa razy w roku, jeśli mocno padało u jego źródeł, zalewał cały kraj. Wtedy musieli pływać łodziami między domami i palmami. A kiedy woda wsiąkła, ziemia

była doskonale nasycona i nawieziona żyznym mułem. W gorącym słońcu zboże rosło tak wspaniale jak mała gdzie. Dlatego Egipcjanie od najdawniejszych czasów modlili się do swojego Nilu, jakby był samym bogiem. Chcesz posłuchać pieśni, jaką śpiewali mu cztery tysiące lat temu?

*Chwała ci, Nilu, który wypływasz z ziemi i przybywasz,  
by dać Egiptowi pożywienie.  
Który nawadniasz pola i jesteś stworzony,  
by nakarmić wszystkie zwierzęta.  
Który poisz pustynię, położoną z dala od wody.  
Który czynisz jęczmień i stwarzasz pszenicę.  
Który napełniasz spichlerze i szeroko otwierasz wrota stodół,  
który obdarowujesz biedaka.  
Tobie gramy na harfie i tobie śpiewamy.*

Tak śpiewali dawni Egipcjanie. I mieli rację. Bo to Nil sprawił, że kraj stał się bogaty, a przez to bardzo potężny. A nad wszystkimi Egipcjanami panował król. Pierwszym królem, który władał całym krajem, był właśnie Menes. Pamiętasz, kiedy to było? Trzy tysiące sto lat przed Chrystusem. A może wiesz jeszcze, jak w Biblii nazywają się królowie Egiptu? To *faraonowie*. Taki faraon był niesłychanie potężny. Mieszkał w ogromnym kamiennym pałacu o wielkich, grubych kolumnach i wielu dziedzińcach, a co powiedział, to musiało być zrobione. Wszyscy ludzie w kraju musieli na niego pracować, jeśli tak chciał. A czasami chciał.

Jeden z faraonów, który nastąpił stosunkowo niedługo po Menesie, król Cheops, dwa i pół tysiąca lat przed Chrystusem rozkazał na przykład, by wszyscy poddani pracowali nad jego grobowcem. Miała to być budowla wielka jak góra. I rzeczywiście taka powstała. Stoi jeszcze dzisiaj. To słynna piramida Cheopsa. Może ją nieraz widziałeś na ilustracjach. Ale nie wyobrażasz sobie, jaka jest wielka. Największy kościół by się w niej zmieścił. Można na nią wejść po ogromnych kamiennych blokach jak podczas górskiej wspinaczki. A przecież te niesamowite bloki z kamienia zostały przetoczone i spiętrzone jeden na drugim przez ludzi. Maszyn jeszcze wtedy nie było. Co najwyżej rolki i lewary. Wszystko trzeba było ciągnąć

i przesuwać ręcznie. Wyobraź sobie – w afrykańskim upale! W taki sposób w miesiącach między pracami w polu może ze sto tysięcy ludzi przez trzydzieści lat harowało dla faraona. A kiedy byli zmęczeni, dozorca króla pewnie poganiał ich pejczem ze skóry hipopotama. Ciągali więc i dźwigali te ogromne ciężary, wszystko na królewski grób.

Może zapytasz, co też królowi przyszło do głowy, żeby sobie budować taki ogromny grobowiec. Ma to związek ze staroegipską religią. Egipcjanie wierzyli w wielu bogów – takich ludzi nazywamy *poganami*. Wierzyli, że niektórzy ich bogowie panowali kiedyś na ziemi jako królowie, na przykład bóg Ozyrys i jego małżonka Izyda. Wierzyli, że słońce jest osobnym bogiem – Amonem. Że w świecie podziemnym panuje bóg, który ma głowę szakala i nazywa się Anubis. Uważali, że każdy faraon jest synem boga słońce. Inaczej tak by się go przecież nie bali i nie pozwolili sobie aż tak rozkazywać. Wykuwali w kamieniu ogromne, majestatyczne przedstawienia dla swoich bogów, wysokie jak pięciopiętrowe domy, i wznosili świątynie wielkie jak całe miasta. Przed świątyniami ustawiali wysokie, spiczaste kamienie, całe wykute z jednego kawałka granitu, zwane obeliskami. Po grecku znaczy to tyle, co „rozeń”. W niektórych miastach jeszcze dzisiaj możesz zobaczyć takie obeliski, przywiezione z Egiptu.

W religii egipskiej święte były również niektóre zwierzęta, na przykład koty. Niektórych bogów wyobrażano sobie i przedstawiano pod postacią zwierząt. Potężnym bogiem dla dawnych Egipcjan był stwór o ciele lwa z głową człowieka, nazywany przez nas *Sfinksem*. Jego ogromny posąg stoi obok piramid, a jest tak wielki, że zmieściłaby się w nim cała świątynia. Już od ponad pięciu tysięcy lat wizerunek tego bóstwa strzeże grobowców faraonów, przysypywany od czasu do czasu piaskiem pustyni. Kto wie, jak długo jeszcze będzie trzymał tę straż.

Lecz najważniejsza w dziwnej religii Egipcjan była wiara, że gdy człowiek umiera, to jego dusza wprawdzie opuszcza ciało, ale nadal go do czegoś potrzebuje. Egipcjanie uważali, że dusza nie może być przecież zadowolona, jeśli po śmierci człowieka jej dawne siedlisko obraca się w proch.

W bardzo wymyślny sposób zabezpieczali więc ciała zmarłych. Nacierali je maściami i sokami roślin i owijali długimi pasmami materiału, aby nie uległy rozkładowi. Tak zakonserwowane zwłoki nazywamy *mumiami*. Do dzisiaj, po tylu tysiącach lat, mumie jeszcze się nie rozpadły. Wkładano je

najpierw do drewnianej trumny, drewnianą trumnę do kamiennej, ale tej kamiennej też nie składano w ziemi, tylko w grobowcu wykutym w skale. Kto tak jak faraon Cheops, Syn Słońca, mógł sobie na to pozwolić, ten kazał piętrzyć nad swoim grobowcem całe góry z kamieni. Wewnątrz takiej góry mumia będzie przecież bezpieczna! Ale wszystkie udręki ludzi i cała władza Cheopsa na nic się nie zdały – jego piramida jest pusta.




Odnaleziono jednak mumie innych królów i wielu starożytnych Egipcjan, zachowane w grobowcach. Te grobowce były urządzone jako mieszkania dla dusz przychodzących odwiedzić ciało. Była tam żywność, meble, ubrania i wiele przedstawień z życia zmarłego. Jego wizerunek też, aby dusza od razu znalazła drogę do właściwego grobowca, gdyby go zechciała odwiedzić.

Na ogromnych kamiennych posągach i pięknych kolorowych malowidłach jeszcze dziś możemy zobaczyć, czym zajmowali się Egipcjanie i jak kiedyś żyli. Co prawda ich rysunki właściwie nie są ani poprawne, ani zgodne z naturą. To, co w rzeczywistości znajduje się jedno za drugim, rysowali zazwyczaj jedno nad drugim. Postacie często są sztywne – tułów pokazany od frontu, a ręce i stopy bokiem, tak że wyglądają jak sprasowane. Ale starożytni Egipcjanie pokazali wszystko, na czym im zależało. Bardzo dokładnie widać każdy szczegół: jak w wielkie sieci chwytają kaczki nad Nilem, jak wiosłują i długimi ościeniami łowią ryby, jak pompują do kanałów wodę, by nawodnić pola, pędzą krowy i kozy na pastwiska, młóćą zboże i pieką chleb, robią buty i ubrania, wydmuchują szkło – bo już wtedy umieli to robić! – jak wyrabiają cegły i budują domy. Ale widzimy też dziewczynki grające w piłkę lub na flecie, mężczyzn wyruszających na wojnę i wracających do domu z pojmanymi niewolnikami i całym łupem.

W grobowcach dostojników znajdujemy sceny wyobrażające obcych posłów przybywających z darami, króla nadającego orderzy wiernym ministrom. Widzimy, jak zmarli modlą się z uniesionymi rękami przed wizerunkami bogów, widzimy ich też w domach podczas uczt, kiedy pieśniarze śpiewają, akompaniując sobie na harfie, a wesołkowie fikają koziółki.

Obok tych szeregów barwnych przedstawień widnieją najczęściej małe obrazki, na których widać sowy i mężczyzn, chorągiewki, kwiaty, namioty, żuki, naczynia, a także zygzakowate i spiralne linie ułożone blisko obok siebie i jedne pod drugimi. Co to może być? To nie są obrazki, to jest pismo. Nosi ono nazwę *hieroglifów*. To znaczy: świętych znaków. Bo Egipcjanie

byli tak dumni ze swojej nowej sztuki, sztuki pisania, że zawód pisarza cenili najwyżej ze wszystkich i pisanie uważali niemal za święte.

Chcesz wiedzieć, jak się pisze takimi świętymi znakami, czyli hieroglifami? Naprawdę niełatwo było się tego nauczyć, bo jest to pismo bardzo podobne do rebusu. Chcąc napisać imię boga Ozyrysa, którego starożytni Egipcjanie nazywali Wosiri, rysowano tron , co po egipsku czytamy „wos”, i oko , czyli „iri”. Razem dawało to „Wos-iri”. I żeby nikt nie pomyślał, że chodzi o oko tronu, najczęściej dodawano obok chorągiewkę . Jest to wyróżnik bogów. Podobnie jak krzyżyk, jaki stawiamy obok imienia i nazwiska, aby zaznaczyć, że człowiek, o którym mowa, już nie żyje.

Teraz umiesz już napisać „Ozyrys” hieroglifami! Ale wyobraź sobie, ile trudu kosztowało odcyfrowanie tego wszystkiego, gdy mniej więcej dwieście lat temu ludzie znowu się zainteresowali hieroglifami. Zdołali je odczytać tylko dlatego, że odnaleźli kamień, na którym ten sam tekst został zapisany alfabetem greckim, hieroglifami i jeszcze innym pismem egipskim. A jednak była to zagadka, nad którą wielcy uczeni przez całe życie łamali sobie głowę! Ten kamień, zwany kamieniem z Rosetty, możesz obejrzeć w Muzeum Brytyjskim w Londynie.

Dzisiaj potrafimy przeczytać już prawie wszystko. Nie tylko to, co jest napisane na murach, ale i to, co jest zapisane w księgach. A znaki w księgach są o wiele mniej wyraźne. Starożytni Egipcjanie rzeczywiście mieli już książki. Nie z papieru, lecz z pewnego gatunku trzciny znad Nilu, zwanej po grecku *papyros*. Stąd pochodzi nasze słowo „papier”.

Pisali na długich wstęgach, które potem zwijali w rolkę. Zachowało się mnóstwo takich ksiąg w formie zwojów. Wiele się z nich dziś dowiadujemy i coraz lepiej zdajemy sobie sprawę, jak mądrymi ludźmi byli starożytni Egipcjanie. Chcesz usłyszeć sentencję, którą jeden z nich zapisał przed pięcioma tysiącami lat? Musisz się jednak trochę skupić i dobrze rzecz przemyśleć: „Mądre słowa są rzadsze niż szlachetny zielony kamień, a mimo to można je usłyszeć od biednych służek, które obracają młyńskie kamienie”.

Ponieważ Egipcjanie byli tak mądrzy i tak potężni, ich królestwo istniało długo. Dłużej niż jakiegokolwiek inne królestwo do tej pory. Prawie trzy tysiące lat. Z taką samą pieczołowitością, z jaką chronili zwłoki przed rozkładem, przez tysiące lat przestrzegali dawnych zwyczajów. Ich kapłani bardzo

pilnowali, by synowie nie robili niczego, czego nie robili ojcowie. Wszystko, co dawne, było dla nich święte.

Tylko dwa razy w ciągu owego długiego czasu ludzie zbuntowali się przeciwko tej surowej monotonii. Raz byli to poddani, którzy około 2100 roku przed Chrystusem sami spróbowali wszystko zmienić. Powstali przeciwko faraonowi, zabili jego dozorców i wywlekli mumie z grobowców. „Ci, którzy dawniej nie mieli nawet sandałów, teraz posiadają skarby, a ci, którzy dawniej mieli piękne szaty, dziś chodzą w łachmanach” – opowiada stary zwój papirusowy. „Kraj się obraca niczym garncarskie koło”. Ale nie trwało to zbyt długo, wkrótce wszystko było po staremu. Może nawet jeszcze surowiej niż przedtem.

Za drugim razem to jeden z faraonów próbował sam wszystko zmienić. Dziwny był to człowiek, ów faraon Echnaton, który żył około 1370 roku przed Chrystusem. Religia egipska ze swoimi wieloma bogami i tajemniczymi zwyczajami wydawała mu się niewiarygodna. „Jest tylko jeden bóg – pouczał poddanych – i jest nim słońce, którego promienie wszystko stwarzają i wszystko utrzymują przy życiu. Tylko do niego wolno się wam modlić”.

Dawne świątynie zostały zamknięte, a król Echnaton wraz z małżonką przeniósł się do innego pałacu. A że w ogóle był przeciwnikiem wszystkiego, co dawne, i zwolennikiem nowych, pięknych idei, również malowidła w swoim pałacu polecił malować zupełnie inaczej. Nie tak surowo, sztywno i uroczyście jak dawniej, tylko w sposób całkiem naturalny, niewymuszony. Ludziom jednak wcale się te nowe porządki nie podobały. Chcieli widzieć wszystko tak, jak widzieli przez tysiące lat. Po śmierci Echnatona bardzo szybko wrócili do dawnych obyczajów i do dawnej sztuki i już do końca istnienia królestwa egipskiego wszystko zostało po staremu. Tak więc prawie przez trzy i pół tysiąca lat grzebano ludzi w postaci mumii jak za czasów króla Menesa, pisano hieroglifami, modlono się do tych samych bogów. Również koty ubóstwiano jako święte zwierzęta. I jeśli o mnie chodzi, to uważam, że przynajmniej pod *tym* względem dawni Egipcjanie mieli rację.



## NIEDZIELA, PONIEDZIAŁEK...



Tydzień ma siedem dni. Ich nazwy to... przecież je znasz! Ale pewnie nie wiesz, od kiedy dni nie biegną jeden za drugim jak w czasach praludzi – bez nazw i bez kolejności. Ani kto je zebrał w tydzień i nadał każdemu z nich nazwę. Nie stało się to w Egipcie. Stało się to w innym kraju. Tam również było gorąco. I zamiast jednej rzeki, Nilu, były nawet dwie: Eufkrat i Tygrys. Dlatego niekiedy nazywamy ten kraj Dwurzeczem. A że ten ważny kraj leży *między* dwiema rzekami, nazywamy go też Międzyrzeczem albo, używając greckiego słowa: Mezopotamią. Mezopotamia nie leży w Afryce, tylko w Azji, ale bliżej nas – w Azji Południowo-Zachodniej. Obie rzeki, Eufkrat i Tygrys, uchodzą do Zatoki Perskiej.

Wyobraź sobie teraz wielką, wielką równinę, przez którą płyną obie te rzeki. Jest upalnie i bagniście, czasami woda zalewa kraj. Tu i ówdzie widać



dziś na tej równinie wielkie wzgórza, ale nie są to wzgórza prawdziwe: gdy archeolodzy zaczynają tam kopać, najpierw natrafiają na mnóstwo cegieł i gruzu. Powoli wyłaniają się wysokie, mocne mury. Bo te wzgórza to miasta, które obróciły się w ruinę, wielkie miasta o długich, prostych ulicach, z wysokimi domami, pałacami i świątyniami. Nie były zbudowane z kamienia, tak jak miasta w Egipcie, lecz z cegieł, więc z biegiem czasu rozsypały się w słońcu i zamieniły w wielkie rumowiska.

Takim rumowiskiem w pustynnej okolicy jest dziś Babilon, niegdyś największe miasto świata, z nieprawdopodobnym mrowiem ludzi, którzy zjeżdżali tu ze wszystkich stron z towarami na wymianę. Takim samym rumowiskiem na skraju gór w kierunku północnym jest drugie wielkie miasto tego kraju: Niniwa. Babilon był stolicą Babilończyków. To łatwo zapamiętać. W Niniwie natomiast mieli swoją stolicę Asyryjczycy.

Zwykle nie tylko jeden król władał całym tym krajem, tak jak faraon Egiptem. I nie przetrwało to królestwo aż tak długo i w niezmiennych granicach. Żył w nim kilka ludów ze swoimi królami i raz ten, raz inny sprawował władzę. Najważniejsi byli Sumerowie, Babilończycy i Asyryjczycy. Jeszcze do niedawna uważaliśmy Egipcjan za najstarszy lud, który miał wszystko, co nazywamy kulturą: miasta i rzemieślników, książąt i królów, świątynie i kapłanów, urzędników i artystów, pismo i technikę.

Od kilku lat wiemy, że pod wieloma względami Egipcjan wyprzedzili Sumerowie. Prace wykopaliskowe na rumowiskach sterczących na płaskiej równinie w pobliżu Zatoki Perskiej wykazały, że tamtejsi mieszkańcy już przed 3100 rokiem przed Chrystusem wpadli na pomysł, że z gliny można formować cegły i budować z nich domy i świątynie. Pod jedną z największych hałd gruzu odnaleziono ruiny miasta Ur, o którym czytamy w Biblii, że mieszkali tam przodkowie Abrahama. Odkryto liczne groby, pochodzące zapewne mniej więcej z tego samego okresu co piramida Cheopsa w Egipcie. Ale jego piramida jest pusta, tu natomiast zachowały się wspaniałe i zdumiewające przedmioty. Przepiękne złote ozdoby dla kobiet i złote naczynia ofiarne. Złote hełmy i sztylety dekorowane złotem i szlachetnymi kamieniami. I wspaniałe harfy, ozdobione głowami byków, a także – wyobraź sobie – wykonana w cudownej intarsji tablica do gry, przypominająca szachownicę.

W rumowiskach znaleziono również pieczęcie cylindryczne i gliniane tabliczki z inskrypcjami. Ale nie są to hieroglify, tylko inne pismo, które

chyba jeszcze trudniej było odczytać – właśnie dlatego, że nie składa się z obrazków, lecz z pojedynczych, spiczastych kresek, wyglądających jak trójkąty lub kliny. Nazywamy je *pismem klinowym*. Mieszkańcy Mezopotamii nie znali ksiąg z papirusu. Wszystkie znaki rysowali w miękkiej glinie, którą potem wypalali w piecach, tak że powstawały twarde ceglane tabliczki. Zachowało się bardzo dużo takich tabliczek z dawnych czasów. Z długimi, przepięknymi legendami i baśniami, opowiadającymi o bohaterze Gilgameszu i jego walce z potworami. I wiele inskrypcji, w których królowie zdają relację ze swoich czynów i chwalą się, jakie to świątynie wzniesli dla wieczności i jak wiele ludów podbili.

Niektóre z odnalezionych tabliczek pochodzą z bardzo odległych czasów i zawierają zapiski kupców, umowy, poświadczenia, listy towarów i tym podobne. Stąd wiemy, że już starożytni Sumerowie, tak jak później Babilończycy i Asyryjczycy, byli wielkim ludem kupieckim, który świetnie umiał liczyć i dobrze potrafił odróżniać prawo od bezprawia.

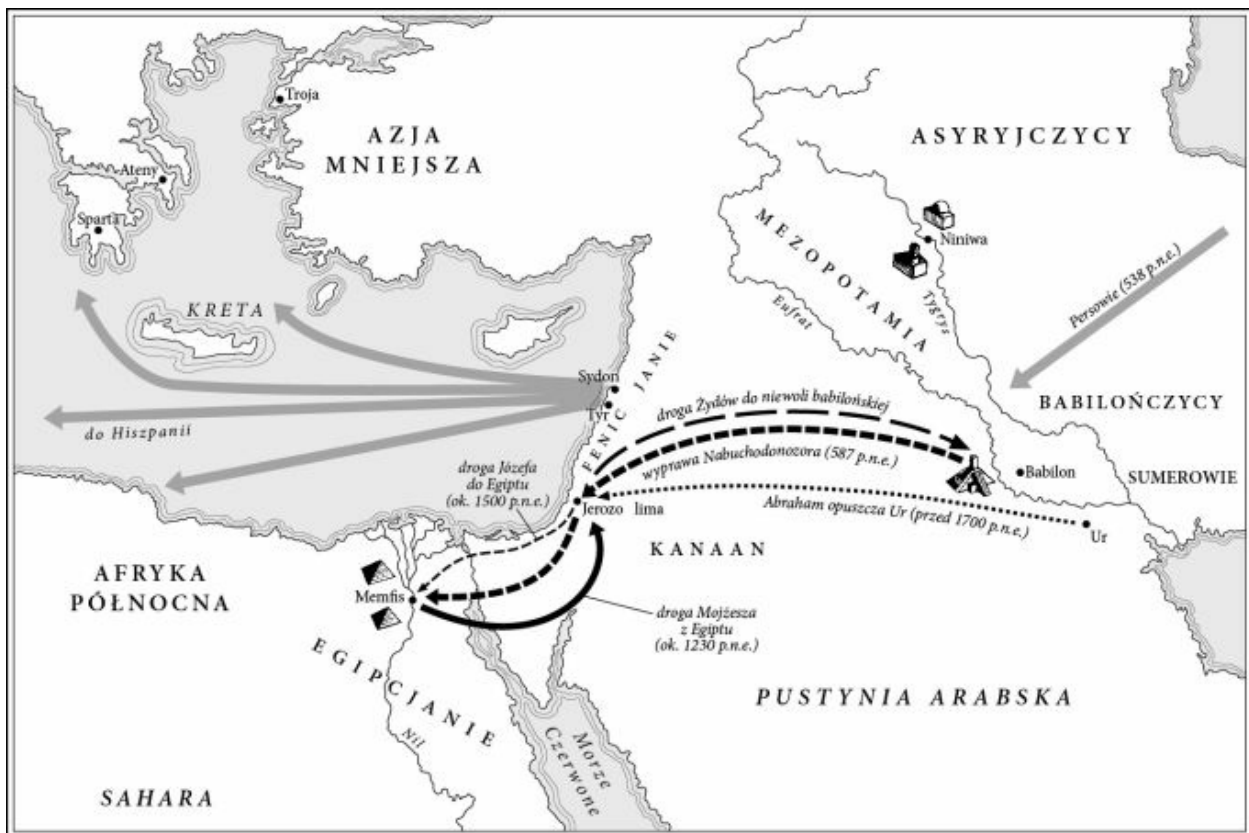
Z czasów jednego z pierwszych królów babilońskich, którzy władali całym krajem, pochodzi wykuta w kamieniu wielka inskrypcja. Jest to najstarszy kodeks świata, zbiór praw Hammurabiego. Imię tego króla brzmi jak z bajki, ale jego prawa są bardzo rzeczowe, surowe i sprawiedliwe. Zapamiętaj więc, kiedy żył Hammurabi – około 1700 roku przed Chrystusem, czyli trzy tysiące siedemset lat temu.

Surowi i pracowici byli Babilończycy, Asyryjczycy też. Tak kolorowych obrazów jak Egipcjanie jednak nie malowali. Na ich posągach i przedstawieniach widzimy najczęściej tylko króla podczas polowania, króla, przed którym klęczą spętani jeńcy, oglądamy rydwany wojenne, pędzące przed sobą obce ludy, oraz wojowników atakujących twierdze. Królowie wzrok mają mroczny, brody długie, czarne, kędzierzawe, włosy też długie, fryzowane. Takich ich czasem widzimy, gdy składają ofiary bogom, bogu słońca Baalowi i bogini księżyca Isztar, znanej też jako Astarte.

Bóstwami, do których się modlili Babilończycy i Asyryjczycy, były słońce, księżyc i gwiazdy. Przez całe lata i wieki w jasne, ciepłe noce obserwowali bieg gwiazd. A że byli ludźmi bystrymi i mądrymi, zauważyli, że gwiazdy krążą regularnie. Szybko się zorientowali, że niektóre mają najwyraźniej stałe miejsce na sklepieniu nieba i każdej nocy właśnie tam się pojawiają. Konstelacjom na gwiazdzistym niebie nadali nazwy – podobnie jak my dzisiaj mówimy o Wielkiej Niedźwiedzicy. Ale jeszcze bardziej

interesowały ich gwiazdy, które się poruszają po sklepieniu niebieskim i raz się znajdują w pobliżu Wielkiej Niedźwiedzicy, a kiedy indziej na przykład blisko Wagi. W tamtych czasach ludzie wierzyli, że Ziemia jest płaskim krążkiem, a gwiazdziste niebo czymś w rodzaju wydrążonej kuli, która niczym czara wysklepia się nad Ziemią i raz na dzień obraca dookoła. Szczególnie musiało ich więc dziwić, że nie wszystkie gwiazdy na tej czarze stoją w miejscu, że niektóre, by tak rzec, są na niej luźno osadzone i mogą krążyć wkoło.

Dziś wiemy, że są to gwiazdy, które razem z Ziemią poruszają się wokół Słońca. Nazywamy je *planetami*. Ale starożytni Babilończycy i Asyryjczycy nie mogli tego wiedzieć, sądzili więc, że kryją się za tym jakieś tajemnicze czary. Nadali tym gwiazdom nazwy i zawsze dokładnie ich wypatrywali. Wierzyli bowiem, że gwiazdy są potężnymi istotami i że ich położenie na niebie ma wpływ na los człowieka. Z gwiazd chcieli więc przepowiadać przyszłość. Ta wiara nazywa się wróżeniem z gwiazd, a z greki – astrologią.



Właśnie w tej części świata, między Mezopotamią a Egiptem, zaczęła się historia powszechna – od krwawych bitew i od śmiałych rejsów fenickich statków handlowych. Czytając następne rozdziały, możesz sobie zaglądać do tej mapki.

Starożytni wierzyli, że niektóre planety przynoszą szczęście, a inne nieszczęście. Mars oznaczał wojnę, Wenus – miłość. Bogu każdej z planet poświęcono jeden dzień. A że razem ze Słońcem i z Księżycem było ich akurat siedem, stąd więc wziął się nasz tydzień. Pięć znanych wówczas planet to Mars, Merkury, Jowisz, Wenus i Saturn. W niemieckich nazwach dni tygodnia nie rozpoznasz już tych planet, ale w wielu innych językach dziś używanych – jeszcze tak. Przyjrzyj się francuskim dniom tygodnia: *mar-di* (od Marsa), *merc-redi* (od Merkurego), *jeu-di* (od Jowisza), *ven-dredi* (od Wenus). Przy sobocie popatrz na angielski. W tym języku dzień Saturna nazywa się *satur-day*. W niemieckim jest to trochę bardziej skomplikowane, ponieważ grecko-rzymskie imiona bogów zastąpiono tu w miarę możliwości ich staroniemieckimi odpowiednikami. Na przykład *Dienstag*, czyli wtorek (*mar[s]-di*), pochodzi może od *Zius-Tag*, gdyż Ziu był staroniemieckim bogiem wojny; podobnie rzecz się ma z czwartkiem – *Donnerstag* (*jeu-di*), nazwanym od imienia staroniemieckiego boga Donara, czczonego mniej więcej tak jak Jowisz. Czy uwierzyłybyś, że nasze dni tygodnia mają taką zacną i osobliwą historię, liczącą wiele tysięcy lat?

Aby być bliżej swoich gwiazd i lepiej je widzieć w mglistym kraju, Babilończycy, a wcześniej Sumerowie wznosili dziwne budowle. Wysokie, szerokie wieże, z rozmachem pnące się kilkoma tarasami. Z potężnymi przyporami i wysokimi schodami. Dopiero na samym szczycie znajdowała się świątynia poświęcona Księżycowi lub planetom. Ludzie przybywali z daleka po to, by kapłan przepowiedział im z gwiazd ich los, i przynosili cenne ofiary. Jeszcze dzisiaj na równinach Iraku wznoszą się ponad rumowiskami pozostałości tych schodkowych wież i odnajdujemy inskrypcje, w których królowie opowiadają, jak te wieże budowali albo naprawiali. Musisz pamiętać, że pierwsi królowie żyli w tej okolicy może trzy tysiące, a ostatni mniej więcej pięćset pięćdziesiąt lat przed Chrystusem.

Ostatnim, bardzo potężnym królem babilońskim był Nabuchodonozor. Żył około 600 roku przed Chrystusem. Sławę przyniosły mu wyprawy wojenne. Walczył z Egiptem i wiele ludów sprowadził do Babilonu jako niewolników. Ale w rzeczywistości nie te wyprawy były jego największym dokonaniem, lecz wielkie kanały i zbiorniki wodne, które kazał zbudować, aby użyźnić ziemię. Dopiero gdy kanały zostały zasypane, a zbiorniki wodne zamulone, kraj stał się pustynną, bagnistą równiną, na której gdzieś wznoszą się góry rumowisk.

I kiedy się cieszymy, że tydzień się kończy i że znowu nadchodzi niedziela, pomyślmy czasem o tych hałdach gruzu w gorącej, bagnistej krainie i o surowych królach z długimi czarnymi brodami. Bo teraz już wiemy, jak się to wszystko ze sobą wiąże.



## O JEDYNYM BOGU



Między Egiptem a Mezopotamią leży kraina głębokich dolin i rozległych pastwisk. Przez wiele tysięcy ludzi pasterskie strzegły tam swoich stad, uprawiały winorośl i zboże, a wieczorami śpiewały pieśni – jak to ludzie na wsi. Ale właśnie dlatego, że kraj ten leżał między Egiptem a Babilonią, raz podbijali go i rządzili nim Egipcjanie, raz Babilończycy, a jego mieszkańcy raz tu, raz tam musieli iść do niewoli. Oni też mieli miasta i warownie, lecz nie byli dość silni, by stawić opór potężnym wojskom swoich sąsiadów.

„To smutne – powiesz – ale to jeszcze nie historia. Takich małych ludów musiało być przecież bez liku”. Masz rację. Ale ten miał coś szczególnego; dzięki temu nie tylko przeszedł do historii, lecz także, choć taki mały i bezsilny, sam tworzył historię, to znaczy – wpłynął na dzieje i koleje całej późniejszej historii. Tym czymś szczególnym była jego religia.

Wszystkie inne ludy modliły się do wielu bogów. Pamiętasz, co mówiliśmy o Izydzie i Ozyrysie, o Baalu i Astarte? A ci pasterze modlili się tylko do jednego boga. Do *swojego* Boga, który, jak wierzyli, właśnie ich szczególnie strzegł i prowadził. Opiewając wieczorami przy ognisku swoje czyny i boje, opiewali zarazem *jego* czyny i boje. Śpiewali, że *ich* Bóg jest silniejszy, lepszy i wyższy nad wszystkich bogów pogańskich. A nawet – jak z biegiem czasu głosiły ich pieśni – jest w ogóle jedynym Bogiem. Tym Bogiem, tym, który stworzył niebo i ziemię, słońce i księżyc, wodę i glebę, rośliny i zwierzęta, a także człowieka. Tym, który w gniewie potrafi grzmieć straszliwie, ale który przecież nie opuszcza swojego ludu, gdy go Egipcjanie ciemiężą, a Babilończycy wloką do niewoli. Ich wiarą i dumą było to, że są *jego* ludem, a on jest *ich* Bogiem.

Może już odgadłeś, co to za dziwny, bezsilny lud pasterski. Byli nim Żydzi. Pieśni, które śpiewali o swoich czynach, będących czynami ich Boga – to biblijny Stary Testament.

Jeśli kiedyś w skupieniu przeczytasz Biblię, znajdziesz w niej tyle i tak żywo opowiedzianych opowieści jak nigdzie indziej. Co nieco z historii biblijnej może już teraz potrafisz sobie łatwiej wyobrazić. Znasz historię Abrahama. Pamiętasz jeszcze, skąd przybył? Jest o tym mowa w Księdze Rodzaju, w rozdziale 11: z Ur w Chaldei. Ur – to przecież rumowisko nad Zatoką Perską, gdzie w ostatnich latach podczas prac wykopaliskowych wydobyto tyle starych przedmiotów: harfy i tablice do gier, broń i ozdoby. Pochodzą one z bardzo wczesnej epoki, sprzed czasów Abrahama, żył on bowiem prawdopodobnie w tym samym okresie co Hammurabi, wielki prawodawca. Było to – na pewno pamiętasz! – około 1700 roku przed Chrystusem. Niektóre z surowych i sprawiedliwych praw Hammurabiego odnajdujemy także w Biblii.

Ale to nie wszystko, co Biblia opowiada o starożytnej Babilonii. Pamiętasz historię wieży Babel, mówiącą o mieszkańcach wielkiego miasta, którzy wznoszą wieżę do nieba, bo chcą być tak wysoko jak Bóg? A wtedy Bóg zsyła na ludzi karę, sprawia, że wszyscy mówią innymi językami, tak że nie mogą się już ze sobą porozumieć. Babel to Babilon. Teraz łatwiej ci wyobrazić sobie tę historię. Wiesz przecież, że Babilończycy naprawdę budowali niesamowite wieże, „szczytem sięgające nieba” – aby być bliżej słońca, księżyca i gwiazd.

Historia Noego i potopu też dzieje się w Mezopotamii. Niejedna



z wykopanych tam glinianych tabliczek z pismem klinowym opisuje tę historię w bardzo podobny sposób, jak opowiada ją Biblia.

Jednym z potomków Abrahama z Ur (tak czytamy w Biblii) był Józef, syn Jakuba, ten sam, którego bracia sprzedali do Egiptu, gdzie później został doradcą i ministrem faraona. Wiesz, jak ta historia potoczyła się dalej – głód spadł na cały kraj i bracia Józefa przybyli do bogatego kraju Egipcjan, by kupić zboże. Piramidy stały tam wtedy już od ponad tysiąca lat, a Józef i jego bracia pewnie tak samo się zdumiali na ich widok, jak my zdumiewamy się dzisiaj.

Synowie Jakuba i ich dzieci przenieśli się potem do Egiptu i wkrótce musieli tak ciężko pracować dla faraona, jak Egipcjanie w czasach budowy piramid. W Księdze Wyjścia, w rozdziale 1, czytamy: „Egipcjanie bezwzględnie zmuszali synów Izraela do ciężkich prac i uprzykrzali im życie uciążliwą pracą przy glinie i cegle...”<sup>1</sup>. W końcu Mojżesz wyprowadził Izraelitów z Egiptu na pustynię. Było to prawdopodobnie około 1250 roku przed Chrystusem. Próbowali odzyskać Ziemię Obiecaną, kraj, w którym od czasów Abrahama mieszkali ich przodkowie. Po długich, krwawych i okrutnych walkach w końcu im się udało. Mieli teraz własne małe królestwo i stolicę: Jerozolimę. Pierwszym królem w państwie został Saul, który walczył z sąsiednim ludem Filistynów i poległ w tej walce. O następnych królach, Dawidzie i Salomonie, Biblia opowiada wiele pięknych historii. Mądry i sprawiedliwy król Salomon rządził tuż po 1000 roku przed Chrystusem, czyli mniej więcej siedemset lat po królu Hammurabim i dwa tysiące sto lat po królu Menesie. Zbudował pierwszą świątynię, która była tak wspaniała i wielka jak świątynie egipskie i babilońskie. Bo też nie żydowscy budowniczowie ją wznosili, tylko obcy ludzie z sąsiednich krajów. Pewna różnica jednak istniała: w pogańskich świątyniach stały wizerunki boga Anubisa z głową szakala albo wizerunki Baala, którym składano nawet ofiary z ludzi. Natomiast w żydowskiej świątyni, w jej Miejscu Najświętszym, nie było żadnego wizerunku. Bogu, który objawił się Żydom jako pierwszemu ludowi w historii, temu wielkiemu, jednemu Bogu nie wolno było czynić żadnej rzeźby ani żadnego obrazu. Dlatego znajdowały się tam tylko kamienne tablice z Dziesięciorgiem Przykazań. To one były wizerunkiem Boga.

Po śmierci Salomona nie wiodło się już Żydom zbyt dobrze. Ich królestwo

rozpadło się na królestwo Izraela i królestwo Judy. Doszło do wielu bitew i w końcu jedna połowa, królestwo Izraela, została w 722 roku zdobyta przez Asyryjczyków i zniszczona.

Rzecz dziwna, ale te liczne nieszczęścia sprawiły, że lud żydowski, ta niewielka resztką, jaka jeszcze pozostała, dopiero teraz stał się naprawdę pobożny. Powstali mężowie z ludu, nie kapłani, lecz prości ludzie, którzy poczuli, że muszą do tego ludu przemówić, bo przez nich przemawia Bóg. Wciąż powtarzali w swoich mowach: „Sami jesteście winni całego nieszczęścia. Bóg każe was za wasze grzechy”. Od proroków wypowiadających te słowa naród żydowski słyszał raz po raz, że całe cierpienie jest tylko karą i próbą i że kiedyś przyjdzie wielkie wybawienie, Mesjasz, wyzwoliciel, który przywróci ludowi dawną siłę i obdarzy go nieskończonym szczęściem.

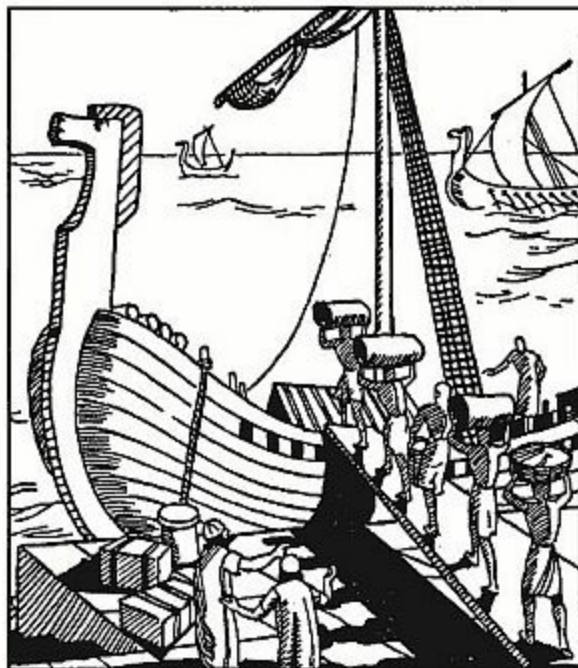
Lecz cierpieniem i nieszczęściami nie było końca. Przypominasz sobie potężnego babilońskiego wodza i władcę Nabuchodonozora? Otóż podczas wyprawy wojennej na Egipt podbił on Ziemię Obiecaną, zburzył w 587 roku przed Chrystusem Jerozolimę, oślepił króla Sedecjasza i uprowadził Żydów do niewoli w Babilonie.

I zostali tam prawie pięćdziesiąt lat, do czasu zniszczenia królestwa babilońskiego przez perskich sąsiadów w 538 roku przed Chrystusem. Gdy wrócili w rodzinne strony, byli już inni. Inni niż wszystkie ludy dookoła. Sami się od nich odsuwali, uważali ich bowiem za bałwochwalców, którzy nie rozpoznali prawdziwego Boga. Właśnie wtedy Biblia została spisana w takiej postaci, w jakiej przetrwała do dzisiaj, dwa i pół tysiąca lat. Lecz i Żydzi wydawali się innym ludom coraz bardziej niesamowici i śmieszni, bo ciągle mówili o jedynym Bogu, którego nikt nie mógł zobaczyć, i ściśle przestrzegali najsurowszych i najbardziej uciążliwych praw i obyczajów tylko dlatego, że tak im jakoby nakazał ów niewidzialny Bóg. I nawet jeśli Żydzi może pierwsi odsunęli się od innych, to potem inni coraz bardziej odsuwali się od Żydów, od tej maleńkiej resztki ludu, który nazywał siebie „wybranym” i który dniami i nocami siedział nad swoimi świętymi tekstami i pieśniami, i zastanawiał się, dlaczego jedyny Bóg tak każe cierpieć swojemu ludowi.

1. Ten i następne cytaty za Biblią Tysiąclecia, wyd. 3 poprawione, Wydawnictwo Pallottinum, Poznań–Warszawa 1980. [\[wróć\]](#)



## T.Y. U.M.I.E.S.Z. C.Z.Y.T.A.Ć.



Jak to robisz? „Przecież to umie każde dziecko z pierwszej klasy! – odpowiesz. – Składam litery!” Co to znaczy? „No, widzę, że to jest T, a to Y, i razem znaczy to TY! Za pomocą 26 znaków można wszystko napisać”. Wszystko? Tak, wszystko! We wszystkich językach? Właściwie tak!

Czy to nie wspaniale? Za pomocą 26 bardzo prostych znaków, złożonych z paru kresek, można napisać wszystko. Słowa mądre i głupie. Święte i złe. We wszystkich językach i w każdym znaczeniu. Z hieroglifami dawnych Egipcjan nie było tak łatwo. Z pismem klinowym też nie. Zawsze było tam o wiele więcej znaków i nie oznaczały one liter, tylko co najmniej całe sylaby. Ale żeby każdy znak oznaczał tylko jeden dźwięk i żeby z 26 dźwięków dało się złożyć wszystkie możliwe słowa – to było coś zupełnie nowego i niesłychanego. Wymyślili to ludzie, którzy musieli dużo pisać. Nie

tylko święte teksty i pieśni, lecz mnóstwo listów, umów i poświadczeń.

Ci, którzy to wynaleźli, byli kupcami. Kupcami, którzy pływali po morzach i ze wszystkich stron świata we wszystkie strony świata wozili i ślali towary na handel i wymianę. Mieszkali niedaleko Żydów. W miastach o wiele większych i potężniejszych niż Jerozolima – w Tyrze i Sydonie, portowych miastach, w których panował zgiełk i ruch prawie taki jak w Babilonie. Ich język i religia też były blisko spokrewnione z językiem i religią ludów mezopotamskich. Tyle że Fenicjanie (bo tak się nazywał lud Tyru i Sydonu) byli mniej wojowniczy. Woleli dokonywać swoich podbojów w inny sposób. Żeglowali przez morza do obcych brzegów i zakładali tam faktorie, czyli placówki handlowe. Z dzikimi miejscowymi ludami prowadzili handel wymienny: narzędzia, naczynia i kolorowe materiały za futra i kamienie szlachetne. Fenicjanie słynęli z talentów rzemieślniczych, przy budowie świątyni Salomona w Jerozolimie też przecież pomagali. Ale najśłynniejszym i najbardziej poszukiwanym towarem, jaki wozili w daleki świat, były barwione materiały, zwłaszcza w kolorze purpury. Niektórzy Fenicjanie zostawali w faktoriach na stałe i budowali miasta na obcych brzegach. Fenicjan wszędzie chętnie przyjmowano, w Afryce, w Hiszpanii, w południowej Italii, bo przywozili piękne rzeczy.

A sami nie czuli już, że są tak daleko od ojczyzny. Mogli przecież pisać listy do przyjaciół w Tyrze czy Sydonie. Listy pisane cudownie prostym pismem, które właśnie oni wymyślili – i którym piszemy do dzisiaj. Naprawdę! Jeśli widzisz tu jakieś B, to różni się ono bardzo niewiele od tego B, jakie dawni Fenicjanie przed trzema tysiącami lat pisali z obcych krajów do domu, do rojnych, pracowitych miast portowych swojej ojczyzny. Teraz, kiedy o tym wiesz, na pewno już o Fenicjanach nie zapomnisz.



## BOHATEROWIE I ICH OREŹ



*Posłuchaj tych słów: stukają do taktu, jedno za drugim.*

*Czytając tekst na głos, na pewno usłyszysz ten stukot.*

*Jak pociąg w tunelu, co go zapomnieć nie sposób.*

*Tak – to heksametr, heksametrem ten wiersz nazywamy!*

*To takt, w jakim starożytni greccy pieśniarze*

*Ongiś herosów cierpienia, walki opiewali,*

*Ich czyny w czasach minionych dokonane,*

*Jak męstwa na lądzie i morzu dowodzili,*

*Siłą własną i z pomocą bogów przebiegłych*

*Zdobywali miasta, olbrzymów zwyciężali.*

*Znasz dzieje wojny trojańskiej, co wybuchła,*

*Gdy złote jabłko Parys dał Afrodycie,  
Z bogiń na Olimpie najpiękniejszej.  
Jak mu pomogła porwać Helenę, żonę Menelaja,  
Króla greckiego, prowodyra kłótni.  
Jak greckie wojsko, armia bohaterów,  
Ruszyło na Troję, by odbić porwaną.  
Znasz ty Achilla, Agamemnona, Odysa,  
Ajaksa, co po Greków stronie z synami Priama,  
Hektorem i Parysem, walcząc lat dziesięć,  
Troję oblegali, aż padła, spalona?  
Pamiętasz, jak Odys, sprytny i wymowny,  
Po morzu się błąkał i przygód licznych  
Z nimfami i potworami zaznawał,  
Aż wreszcie sam na obcym okręcie  
Wrócił do domu, do swej wiernej żony?  
– O tym greccy pieśniarze do dźwięków liry śpiewali  
Na ucztach i świętach wielmożów; w nagrodę  
Pewnie tłustej pieczeni kawał im dawano.  
Pieśni te potem spisane zostały i mówili,  
Że tylko jeden pieśniarz, Homer, je ułożył,  
Pieśni do dziś czytane – i tobie radość sprawią;  
Tak żywe i barwne, tak pełne siły i mądrości  
Dziś jeszcze są i będą aż do końca świata.*

**A**le – powiesz – to są historie, a nie historia. Chcę wiedzieć, kiedy i jak to było. Tak samo myślał pewien niemiecki kupiec przed stu laty. Wciąż na nowo czytał Homera i niczego nie pragnął bardziej, niż zobaczyć te piękne okolice, które Homer opisuje, i chociaż raz trzymać w dłoni wspaniałą oręż, jakim ci bohaterowie walczyli. I to mu się udało. Okazało się, że to wszystko naprawdę kiedyś było. Naturalnie nie chodzi o poszczególnych bohaterów, opiewanych w pieśniach. Ani o baśniowych olbrzymów i czarodziejki. Lecz

sytuacje, które opisuje Homer, naczynia do napojów i broń, budowle i statki, książęta będący jednocześnie pasterzami i bohaterowie, którzy byli też korsarzami – to wszystko nie jest wymysłem. Kiedy Schliemann – bo tak nazywał się ów niemiecki kupiec – o tym mówił, wszyscy go wyśmiewali. Nie dał się jednak zbić z tropu. Oszczędzał przez całe życie, żeby pojechać do Grecji. A kiedy zebrał dość pieniędzy, wynajął robotników i rozpoczął prace wykopaliskowe we wszystkich miastach wymienionych przez Homera. W Mykenach odkrył pałace i grobowce królów, zbroje i tarcze – wszystko takie, jak w Homerowych pieśniach. Troję też odnalazł i odkopał. Okazało się, że rzeczywiście kiedyś zniszczył ją pożar. Ale w grobowcach i pałacach nie zachowały się żadne inskrypcje i przez długi czas nie wiadano, kiedy właściwie to wszystko było. Aż wreszcie przypadkiem natrafiono w Mykenach na pierścień, który z Myken nie pochodził. Widniało na nim zapisane hieroglifami imię egipskiego króla, który żył około 1400 roku przed Chrystusem. Był poprzednikiem Echnatona, wielkiego odnowiciela.

Zatem żył w tym czasie w Grecji i na wielu sąsiednich wyspach oraz pobliskich wybrzeżach wojowniczy lud, posiadający wiele bogactw. Nie miał jednolitego państwa, lecz małe miasta-twierdze z pałacami, w których mieszkali królowie. Byli to chyba głównie żeglarze, tak jak Fenicjanie, tylko że mniej zajmowali się handlem, a bardziej prowadzeniem wojen. Często się ze sobą kłócili, ale czasem się sprzymierzali, aby wspólnie łupić inne wybrzeża. Zdobywali w ten sposób złoto i skarby, rozwijali w sobie też odwagę. Bo korsarstwo wymaga wiele odwagi i przebiegłości. Pewnie dlatego parali się tym zajęciem miastowi panowie; inni ludzie byli prostymi chłopami i pasterzami.

Owym arystokratom, inaczej niż Egipcjanom czy Babilończykom i Asyryjczykom, niezbyt jednak zależało na tym, by wszystko zostało po staremu. Podczas swoich licznych grabieżczych wypraw i wojen z obcymi ludami poznali wiele nowych rzeczy i polubili zmiany. Dlatego od tamtej pory historia w tej części świata toczyła się o wiele szybciej niż gdzie indziej. Tutejsi ludzie nie byli już bowiem przekonani, że najlepiej jest tak, jak jest. Wszystko wciąż się zmieniało i jeśli ktoś w Grecji czy w innym miejscu w Europie znajdzie dziś kawałek glinianej skorupy, może powiedzieć: „Musi pochodzić z takiego czy takiego okresu, bo sto lat później taki garnek byłby już całkiem niemodny i nikt by go nie zechciał”.

Dzisiaj sądzimy, że królowie greckich miast, które odkopał Schliemann,

sami na pomysł tych wszystkich pięknych rzeczy nie wpadli. Piękne naczynia i sztylety dekorowane scenkami myśliwskimi, złote tarcze i hełmy, ozdoby, a także kolorowe malowidła na ścianach – tego wszystkiego nie wymyślono w Grecji ani w Troi, lecz na pewnej wyspie, wcale nieodległej. Wyspa ta nazywa się Kreta. Już w czasach króla Hammurabiego – kiedy to było? – istniały na Krecie wspaniałe królewskie pałace z niezliczonymi pomieszczeniami, schodami prowadzącymi w górę i w dół, z salami i pokojami, z kolumnami, dziedzińcami, korytarzami i piwnicami. Cały labirynt.

Przypominasz sobie może legendę o złym Minotaurze, pół człowieka, pół byku, który siedział w swoim labiryncie, a Grecy musieli mu posyłać ofiary z ludzi? Wiesz, gdzie to było? Właśnie na Krecie. A więc i w tej legendzie może tkwić ziarnko prawdy. Może królowie Krety rzeczywiście władali kiedyś greckimi miastami, a Grecy musieli płacić im trybut, czyli daninę. Dziwny musiał to być lud, ci mieszkańcy Krety, ale wiemy o nich jeszcze bardzo mało. Obrazy, które namalowali w wielkich pałacach, też wyglądają całkiem inaczej niż te, jakie w tym samym czasie powstawały w Egipcie czy Babilonii. Jak pamiętasz, malowidła Egipcjan są piękne, ale raczej surowe i sztywne, takie jak ich kapłani. Całkiem inaczej jest na Krecie. Tam niczego nie przedstawiano tak chętnie, jak zwierzęta i ludzi w szybkim ruchu. Nic nie było dla Kreteńczyków za trudne do namalowania: psy myśliwskie, które ścigają dzikie świny, ludzie, którzy przeskakują przez byki. Zatem to od Kreteńczyków uczyli się królowie w greckich miastach. Prawdopodobnie nauczyli się od nich również pisma. Pismo greckie nie było takie łatwe jak to wynalezione przez Fenicjan i chyba też nie używano go do pisania listów, lecz do sporządzania rejestrów. Dopiero niedawno udało się naukowcom rozszyfrować te spisy.

Cała ta świetność trwała jednak niewiele dłużej niż do 1200 roku przed Chrystusem. Wtedy to – jeszcze przed panowaniem króla Salomona – przybyły z północy nowe ludy. Nie ma pewności, czy były spokrewnione z tymi, które wcześniej żyły w Grecji i zbudowały Mykeny. Ale to prawdopodobne. Tak czy inaczej, wypędziły królów i same zajęły ich miejsce. Kreta została zniszczona już wcześniej. Przybysze zachowali jednak pamięć jej świetności, choć osiedlili się w nowych miastach i założyli własne świątynie. Z biegiem stuleci historia ich własnych podbojów i walk stopiła się w jedno z dawnymi historiami królów mykeńskich.



Tym nowym ludem byli Grecy, a legendy i pieśni, które rozbrzmiewały na dworach ich wielmożów, to były właśnie pieśni homeryckie, od których zaczęliśmy ten rozdział. Może warto zapamiętać, że powstały już około 800 roku przed Chrystusem.

Gdy Grecy przywędrowali do Grecji, nie byli jeszcze Grekami. Czy nie brzmi to dziwnie? Ale to prawda. Chcę powiedzieć, że gdy ludy z północy ciągnęły do swoich późniejszych siedzib, nie były jeszcze jednolitym ludem. Mówiły różnymi dialektami i słuchały rozkazów różnych wodzów. Były to pojedyncze *plemiona*, nieróżniące się wiele od Siuksów czy Mohikanów z książek o Indianach. Te plemiona – Dorowie, Jonowie, Eolowie i inni – były niemal równie dzielne i wojownicze jak Indianie, ale pod pewnymi względami bardzo się od nich różniły. Indianie bowiem już znali żelazo, natomiast ludzie w Mykenach i na Krecie używali tylko broni z brązu, zupełnie jak w pieśniach Homera. Przyszły te plemiona razem z kobietami i dziećmi. Najpierw pojawili się Dorowie i dotarli najdalej na południe, do przypominającego kształtem liść klonu południowego cypla Grecji: do Peloponezu. Podbili jego mieszkańców i zmusili ich do pracy w polu. Sami zamieszkali w mieście, które nazywało się Sparta.

Jonowie, którzy przyszedli po nich, nie znaleźli dla siebie dość miejsca w Grecji. Niektórzy osiedlili się powyżej klonowego liścia, na północ od jego łądygi. Tam leży Półwysep Attycki. Zamieszkali blisko morza i uprawiali winorośl, zboże i drzewka oliwne. Założyli też miasto poświęcone bogini Atenie, tej samej, która zawsze tak pomagała żeglarzowi Odyseuszowi z pieśni. To miasto to Ateny.

Ateńczycy byli wielkimi żeglarzami, tak jak wszyscy Jonowie, z czasem zajęli więc także sąsiednie wysepki – od tej pory nazywają się one Wyspami Jońskimi. Potem wyprawili się jeszcze dalej i po przeciwnej stronie Grecji, na pociętym zatokami, żyznym wybrzeżu Azji Mniejszej, również założyli miasta. Fenicjanie, gdy tylko się o tych miastach dowiadywali, od razu tam płynęli, aby z nimi handlować. Grecy sprzedawali im pewnie oliwę i zboże, ale też srebro i inne metale występujące w tym rejonie. Szybko nauczyli się jednak od Fenicjan tyle, że wkrótce sami mogli żeglować jeszcze dalej i na odległych brzegach zakładać miasta, które nazywali *koloniami*. Od Fenicjan przejęli też wtedy wspaniałą sztukę pisania literami. Przekonasz się, że Grecy umieli się także tą sztuką posługiwać.



## NIERÓWNA WALKA

Między rokiem 550 a 500 przed Chrystusem wydarzyło się na świecie coś dziwnego. Właściwie też nie rozumiem, jak to się stało, ale właśnie to jest interesujące. Otóż w wysokich górach Azji, na północ od Mezopotamii, przez długi czas mieszkał dziki lud. Lud ten miał piękną religię: czcił światło i słońce i uważał, że toczy ono ciągłą walkę z ciemnością, z siłami zła.

Tym górskim ludem byli Persowie. Przez stulecia znajdowali się pod władzą Asyryjczyków, a potem Babilończyków. Ale kiedyś przebrała się miara. Wybitny, dzielny i mądry władca o imieniu Cyrus nie chciał się dłużej godzić na tę zależność swojego ludu. Wyruszył ze swoimi jeźdźcami na równinę Babilonu. Babilończycy śmiali się, patrząc z ogromnych murów na garstkę wojowników, która chciała zdobyć ich miasto. A jednak Persom pod dowództwem Cyrusa podstępem i dzielnością udało się tego dokonać. Cyrus został władcą wielkiego królestwa i dał wolność wszystkim ludom, które Babilończycy trzymali w niewoli. Również Żydzi wrócili wówczas do Jerozolimy. Pamiętasz, było to w 538 roku przed Chrystusem. Lecz Cyrusowi jego wielkie imperium nie wystarczało, ruszył więc dalej, na Egipt. Zmarł po drodze, ale jego syn Kambyzes rzeczywiście zdobył Egipt i zdetronizował faraona. Był to koniec królestwa Egiptu, które istniało niemal trzy tysiące lat. Niewielki lud Persów stał się panem prawie całego znanego wówczas świata. Ale tylko prawie. Bo nie wchłonął jeszcze Grecji, na którą teraz miała przyjść kolej.

Było to po śmierci Kambyzesa, za czasów perskiego króla Dariusza, wielkiego władcy, który całym ogromnym mocarstwem perskim, sięgającym od Egiptu po granice Indii, zarządzał tak, że wszędzie mogło się dziać tylko to, czego on sobie życzył. Zbudował drogi, żeby jego rozkazy mogły być niezwłocznie rozsyłane do wszystkich części królestwa, a najwyższych urzędników, zwanych *satrapami*, kazał śledzić swoim detektywom, „usom

i oczom króla”. Dariusz powiększył swoje królestwo tak, że sięgało Azji Mniejszej, na której brzegach leżały jońskie miasta.

Ale Grecy wcale nie mieli w zwyczaju należeć do wielkiego królestwa i słuchać władcy, który gdzieś tam ze środka Azji wydaje surowe rozkazy. Mieszkańcy greckich kolonii byli przeważnie bogatymi kupcami, przyzwyczajonymi do tego, że sprawy swoich miast załatwiają wspólnie i samodzielnie. Nie chcieli ani być rządzeni, ani płacić danin perskiemu królowi. Zbuntowali się i wyrzucili perskich urzędników.

Pomoc i okręty otrzymali z macierzystego kraju od Greków, którzy swego czasu założyli te kolonie, przede wszystkim z Aten. Coś takiego jeszcze się wielkiemu królowi Persji, Królowi Królów, bo taki nosił tytuł, nie przydarzyło – żeby niewielki lud odważył się sprzeciwić *jemu*, władcy świata. Z jońskimi miastami w Azji Mniejszej szybko sobie poradził. Ale to mu nie wystarczyło, najbardziej rozgniewany był bowiem na Ateńczyków, którzy ośmielili się wtrącić w jego sprawy. Uzbroidł wielką flotę, która miała zniszczyć Ateny i zdobyć Grecję. Ale rozpętał się sztorm, flota wpadła na skały i zatoneła. Dariusz naturalnie rozwścieczył się jeszcze bardziej. Powiadano, że polecił jednemu z niewolników, by podczas każdego posiłku wołał: „Pamiętaj, panie, o Ateńczykach”. Tak wielki był gniew Dariusza.

Potem wysłał swojego zięcia z nową potężną flotą do Aten. Zdobyła ona po drodze wiele wysp i zniszczyła wiele miast. W końcu wylądowała blisko Aten, pod miejscowością o nazwie Maraton. Tam cała wielka armia perska zeszła na ląd i ruszyła na Ateny. Podobno miała 70 tysięcy żołnierzy, więcej niż Ateny mieszkańców. Wojsko ateńskie liczyło tylko jedną siódmą tej armii, czyli około 10 tysięcy ludzi. Ich los był właściwie przesądzony. Ale nie do końca. Ateńczycy mieli bowiem wodza o imieniu Miltiades. Ów odważny, sprytny strateg długo żył wśród Persów i dobrze znał ich sposób walki. Poza tym wszyscy Ateńczycy wiedzieli, co jest stawką w tej walce: ich wolność, ich życie, życie ich kobiet i dzieci. Stanęli więc w szyku pod Maratonem i zaatakowali niczego niespodziewających się Persów. I zwyciężyli. Wielu Persów zginęło. Ci, którzy ocalili, wsiedli na okręty i odpłynęli.

Kto inny po *podobnym* zwycięstwie nad przeważającymi siłami pewnie by się cieszył tak, że nie myślałby o niczym innym. Miltiades był jednak nie tylko odważny, lecz i sprytny. Widział, że perskie okręty naprawdę wcale nie odpłynęły, ale skierowały się w stronę Aten, gdzie nie było teraz żołnierzy,

łatwo więc mogłyby wziąć miasto z zaskoczenia. Na szczęście droga morska była dłuższa niż droga lądowa z Maratonu. Długi cypel, który okręty musiały opłynąć, można było przejść pieszo. Tak też zrobił Miltiades. Wyprawił posłańca, który miał pobiec jak najszybciej, by ostrzec Ateńczyków. Był to ów słynny bieg maratoński. Posłaniec pobiegł co sił, a gdy tylko wypełnił zadanie, padł martwy z wyczerpania.

Również Miltiades w ogromnym pośpiechu ruszył z całym wojskiem tą samą drogą. I dobrze zrobił, bo ledwie stanęli w porcie ateńskim, na horyzoncie ukazała się perska flota. Persowie byli zaskoczeni, gdy ich ujrzeli. Nie chcieli jeszcze raz mieć do czynienia z tym dzielnym wojskiem. Odpłynęli do domu. Uratowane zostały nie tylko Ateny, lecz cała Grecja. Było to w 490 roku przed Chrystusem.

Możemy sobie wyobrazić, jak pienił się z wściekłości wielki król Dariusz na wieść o klęsce pod Maratonem. Niewiele mógł jednak przedsięwziąć przeciwko Grecji, gdyż w tym samym czasie w Egipcie wybuchło powstanie i tam musiał skierować swoje wojsko. Niedługo później zmarł, wzięcie odwetu na Grecji pozostawiając swojemu następcy, Kserksesowi.

Kserksesowi, człowiekowi twardemu i żądnemu władzy, nie trzeba było powtarzać dwa razy. Z ludów podlegających władzy perskiej – z Egipcjan i Babilończyków, Persów i mieszkańców Azji Mniejszej – zaczął tworzyć armię. Wszyscy przybywali w strojach narodowych i z własną bronią – łukami i strzałami, tarczami i mieczami, dzidami, wozami bojowymi i procami. Stanowili niesamowitą, kolorową zbieraninę, podobno liczącą ponad milion ludzi, i trudno było przewidzieć, jak zareagują Grecy na ich widok. Tym razem Kserkses wyruszył razem z wojskiem. Gdy w cieśninie, nad którą leży dziś Stambuł, perscy żołnierze przechodzili przez most pontonowy, zerwał się sztorm i most nie wytrzymał. Rozwścieczony Kserkses kazał spuścić morzu baty. Morze chyba jednak niewiele sobie z tego robiło.



Część potężnej armii znowu popłynęła statkami na Grecję, a część ruszyła lądem. Na północy Grecji wojsko spartańskie wraz ze sprzymierzonymi chciało powstrzymać Persów w przesmyku termopilskim. Persowie zażądali, by Spartanie złożyli broń. „Przyjdźcie po nią sami” – brzmiała odpowiedź. „Mamy tyle strzał – grozili Persowie – że przesłonią słońce”. „Tym lepiej – odparli Spartanie – będziemy walczyć w cieniu”. Ale pewien zdradziecki Grek pokazał Persom ścieżkę przez góry, tak że ominęli i okrążyli wojsko spartańskie. Wszystkich 300 Spartan i 700 sprzymierzonych poległo w walce, ale żaden nie uciekł – takie było ich prawo. Później wystawiono im tam kamień nagrobny ze słynną inskrypcją:

*Przechodniu, powiedz Sparcie, tu leżą jej syny  
prawom jej posłuszni do ostatniej godziny.*

Tymczasem Ateny po wielkim zwycięstwie pod Maratonem nie zasypiały gruszek w popiele. Zwłaszcza nowy wódz o imieniu Temistokles, człowiek wyjątkowo przebiegły i dalekowzroczny, wciąż powtarzał swoim współobywatelom, że taki cud jak pod Maratonem zdarza się tylko raz i że Ateny muszą mieć flotę, jeśli chcą stawić trwałą opór Persom. I Ateńczycy zbudowali flotę.

Temistokles rozkazał, by wszyscy mieszkańcy Aten opuścili miasto – nie mogło ich zatem być wielu – i udali się na pobliską wysepkę Salaminę. Tam stanęła w szyku flota ateńska. Perskie wojska lądowe zastały Ateny opuszczone, więc puściły je z dymem i zniszczyły. Ale Ateńczykom na wyspie, patrzącym z daleka, jak płonie ich miasto, nic nie mogły zrobić. Teraz jednak dopłynęła perska flota i groziła okrążeniem Salaminy.

Sprzymierzeńcy Ateńczyków zaczęli się bać. Chcieli zabrać swoje okręty i pozostawić Ateńczyków własnemu losowi. Wówczas Temistokles dowiódł wielkiego sprytu i odwagi. Gdy żadne słowa nie pomagały i sprzymierzeńcy byli zdecydowani odpłynąć następnego dnia, po cichu wyprawił nocą posłańca do Kserksesa, aby mu o tym doniósł. „Atakuj szybko – zameldował posłaniec – bo inaczej sprzymierzeńcy Ateńczyków ci ujdą”. Kserkses rzeczywiście dał się nabrać. Rankiem zaatakował potężnymi okrętami

o czterech rzędach wiosł. I przegrał. Grecy mieli wprawdzie mniejsze okręty, ale bardziej zwrotne. Na wodach pełnych wysp było to korzystniejsze. No i przecież znowu desperacko bili się o swoją wolność, z całą ufnością, jaką mogło im dać zwycięstwo wywalczone dziesięć lat wcześniej pod Maratonem. Kserkses ze wzgórza musiał patrzeć, jak szybkie, małe okręty wiosłowe Greków taranują i zatapiają jego zwaliste galery. Przybity, wydał rozkaz odwrotu. Tak to Ateńczycy po raz drugi pokonali armię imperium perskiego, i to jeszcze większą niż za pierwszym razem. Było to w roku 480 przed Chrystusem.

Wkrótce również perskie wojska lądowe zostały pobite przez sprzymierzone wojska greckie pod Platejami. Od tamtej pory Persowie już się nie odważyli zaatakować Grecji. A to wiele znaczyło. Nie, żeby Persowie byli gorszymi czy głępszymi ludźmi od Greków. Na pewno nie byli. Ale, jak już mówiłem, z Grekami rzecz się miała zupełnie inaczej. Podczas gdy ogromne wschodnie królestwa zawsze się trzymały zastanych obyczajów i nauk, tak że często w nich kostniały, to w Grecji, a zwłaszcza w Atenach, było na odwrót. Niemal co roku Grecy wpadali na jakiś nowy pomysł. Żadna instytucja długo się tam nie utrzymała. Ani żaden wódz. Doświadczyli tego wielcy bohaterowie wojen perskich, Miltiades i Temistokles. Najpierw śpiewano na ich cześć hymny pochwalne, czczono ich i stawiano im pomniki – a potem ich oskarżano, szkalowano i w końcu wypędzono. Z pewnością nie była to dobra cecha Ateńczyków, ale należała do ich charakteru. Zawsze chcieć czegoś nowego, zawsze próbować, nigdy nie być zadowolonym, nigdy sytym i spokojnym! Przez sto lat, jakie upłynęły od wojen perskich, w umysłach ludzi w małych Atenach działo się więcej niż w ciągu tysiąca lat w wielkich imperiach na Wschodzie. Tym, co wymyślili, namalowali, napisali i wypróbowali, tym, o co się spierali i o czym rozmawiali wtedy młodzi na rynku i starzy na zgromadzeniach ludowych – tym właściwie żyjemy jeszcze dzisiaj. Bardzo dziwne, że tak jest, ale tak jest rzeczywiście. A czym byśmy żyli, gdyby Persowie w 490 roku pod Maratonem czy w 480 roku pod Salaminą zwyciężyli – tego nie wiem.



## DWA MAŁE MIASTA W MAŁYM KRAJU



Jak już mówiłem, Grecja w porównaniu z imperium perskim była niedużym półwyspem, miała kilka małych miast pilnie zajmujących się handlem, wysokie, nagie góry i kamieniste pola, które mogły wyżywić niewielu ludzi. A w dodatku ludność, jak pamiętasz, należała do różnych plemion, z których najliczniejsi byli Dorowie na południu, a Jonowie i Eolowie na północy. Nie bardzo się te plemiona różniły językiem i wyglądem, tyle że mówiły kilkoma dialektami, ale bez trudu mogły się porozumieć, jeśli chciały. Niestety często nie chciały. Jak to nieraz bywa, akurat te tak blisko spokrewnione i sąsiadujące plemiona nie potrafiły żyć z sobą w zgodzie. Drwiły z siebie nawzajem, a w gruncie rzeczy jedno zazdrościło drugiemu. Grecja nie miała przecież wspólnego króla ani wspólnej administracji, każde miasto było państwem dla siebie.

Coś jednak Greków łączyło: wspólne wierzenia i wspólny sport. O dziwo,



nie były to właściwie dwie różne rzeczy, lecz jedna, gdyż sport i religia ściśle się ze sobą wiązały. Na przykład ku czci Zeusa, ojca bogów, co cztery lata urządzano w jego sanktuarium wielkie zawody. To miejsce nazywa się Olimpia. Były tam wielkie świątynie i stadion, tam też przyjeżdżali wszyscy Grecy: Dorowie i Jonowie, Spartanie i Ateńczycy, by dowieść swoich sił w bieganiu, rzucie dyskiem i oszczepem, w zapasach, w wyścigach rydwanów. Zwycięstwo w tych zawodach uchodziło za największy zaszczyt, jaki mógł spotkać człowieka w życiu. Nagrodą była zwykła gałązka drzewka oliwnego, lecz jakże fetowano zwycięzców! Najwięksi poeci we wspaniałych pieśniach opiewali ich walki, najwięksi rzeźbiarze wykuwali dla Olimpii ich posągi – posągi, które pokazywały zwycięzców, jak powożą rydwanem lub rzucają dyskiem albo jak przed walką namaszczają ciało oliwą. Takie rzeźby widzimy jeszcze dzisiaj w muzeach na całym świecie.

Ponieważ na igrzyska olimpijskie zjeżdżali co cztery lata wszyscy Grecy, były one wygodnym sposobem wspólnego obliczania lat w całym kraju. Stopniowo weszło to w zwyczaj: jak my mówimy dzisiaj „po Chrystusie”, tak Grecy mówili „w tym a tym roku tej a tej olimpiady” [olimpiada oznaczała początkowo okres, zwykle czteroletni, między dwoma igrzyskami, dopiero później stała się potoczną nazwą samych igrzysk – przyp. tłum.]. Pierwsze igrzyska odbyły się w 776 roku przed Chrystusem. A kiedy dziesiąte? Pamiętaj, że przypadały raz na cztery lata!

Ale nie tylko igrzyska olimpijskie łączyły wszystkich Greków. Istniała też druga świętość, mianowicie świątynia boga słońca Apollina w Delfach. Było to coś bardzo dziwnego. W Delfach znajdowała się w ziemi rozpadlina, z której wydobywały się wylizy, co na terenach wulkanicznych często się zdarza. Wdychając te opary, człowiek robił się dosłownie zawiany, czyli tak odurzony, że wypowiadał tylko słowa bez związku, jak ktoś pijany albo w gorączce.

I właśnie te na pozór bezsensowne wypowiedzi wydawały się Grekom nader tajemnicze. Uważali, że to sam bóg przemawia ustami człowieka. Nad rozpadliną sadzano na trójnogu kapłankę – nazywano ją Pytią, a ze słów, które w odurzeniu bełkotała, inni kapłani układali odpowiedzi. Tak przepowiadano przyszłość. To właśnie była wyrocznia delficka, do której Grecy w trudnych sytuacjach życiowych pielgrzymowali ze wszystkich stron, by spytać boga Apollina o radę. A odpowiedź często nie była zbyt łatwa do zrozumienia. Można ją było rozmaicie interpretować. To dlatego jeszcze dziś

nazywamy niejasne, tajemnicze odpowiedzi *pytyjskimi*.

Spośród miast greckich przyjrzymy się teraz dwóm najważniejszym: Sparcie i Atenom. O Spartanach już słyszeliśmy. Wiemy, że byli Dorami, że przywędrowali około 1100 roku przed Chrystusem, podbili mieszkańców kraju i zmusili ich do pracy na roli. Ale tych niewolników było więcej niż panów, Spartan. Spartanie musieli więc ciągle uważać, żeby ich tamci nie przepędzili. Nie mogli myśleć o niczym innym, jak tylko o tym, że muszą być silni i waleczni, aby utrzymać w ryzach niewolników i okoliczne ludy, jeszcze wolne.

I naprawdę nie myśleli o niczym innym. Zadbał już o to ich ustawodawca Likurg. Jeśli Spartanom urodziło się dziecko wyraźnie słabe, które w przyszłości byłoby niezdatne do służby wojennej, od razu je zabijano. Jeśli zaś było silne, to musiało stać się jeszcze silniejsze, ćwiczyć od rana do wieczora, nauczyć się znosić ból, głód i chłód, a przy tym dostawało marne jedzenie i nie miało prawa do żadnych przyjemności. Czasami bito chłopców bez powodu, tylko po to, żeby się przyzwyczaili do bólu. Takie surowe wychowanie jeszcze dziś nazywamy spartańskim. Wiesz, że dawało ono rezultaty. Pod Termopilami w 480 roku przed Chrystusem wszyscy Spartanie rzeczywiście dali się Persom wyciąć w pień, bo tak im nakazywało ich prawo. Tak umieć umierać to nie byle co. Ale umieć żyć jest może jeszcze trudniej. A o to chodziło Ateńczykom. Nie o życie dobre i przyjemne, lecz o takie, które ma sens. Takie, po którym coś pozostaje, kiedy człowiek umiera. Z którego będą coś mieć także ci, którzy przyjdą po nas. Zobaczysz, jak się im to udało.

Właściwie Spartanie tacy wojowniczy i dzielni stali się ze strachu. Ze strachu przed własnymi parobkami. Ateny miały znacznie mniej powodów do obaw. Tam wszystko było inaczej. Nie istniała taka potrzeba. Kiedyś w Atenach też rządziła arystokracja, tak jak w Sparcie. I istniały surowe prawa, które ustanowił Ateńczyk Drakon. Były takie surowe i twarde, że jeszcze dziś mówimy o drakońskich karach. Ale ludność ateńska, która pływała swoimi statkami po całym świecie i niejedno widziała i słyszała, nie pozwoliła się długo tak traktować.

Pewien arystokrata sam był tak mądry, że spróbował zaprowadzić w całym państewku nowy ustrój. Nazywał się Solon, a system polityczny, który wprowadził w Atenach w 594 roku przed Chrystusem, czyli w czasach Nabuchodonozora, nazywamy ustrojem Solona. O tym, co będzie, miał

zawsze decydować lud, obywatele miasta. Mieli się gromadzić na rynku ateńskim i głosować. Większość miała podejmować decyzje i wybierać radę doświadczonych mężów, którzy te decyzje potrafiliby wcielać w życie. Taki ustrój nazywa się *władzą ludu*, z greki: *demokracją*. Co prawda nie każdy, kto mieszkał w Atenach, należał do obywateli mających prawo głosu. Były różnice, w zależności od majątku danej osoby. Wielu mieszkańców Aten nie miało więc udziału we władzy. Ale każdy mógł do tego dojść. Dlatego każdy interesował się sprawami miasta. Miasto po grecku nazywa się *polis*, a sprawą miasta była polityka.

Na pewien czas zagarnęli jednak władzę pojedynczy arystokraci, którzy zaskarbili sobie sympatię ludu. Nazywano takich samowładców *tyranami*. Wkrótce lud ich przepędził i od tej pory jeszcze bardziej uważał, żeby naprawdę rządził sam. Opowiadałem już, jakimi niespokojnymi duchami byli Ateńczycy. I tylko ze strachu, że po raz drugi stracą wolność, wyrzucali i przeganiali z miasta wszystkich polityków, którzy mogli zyskać zbyt wielu zwolenników i stać się samowładcami. To był ów wolny ateński lud, który pokonał Persów, ten sam, który potem taką niewdzięcznością odpłacił Miltiadesowi i Temistoklesowi.

Ale jednego z nich tak nie potraktował. Polityka o imieniu Perykles. Perykles tak umiał przemawiać na zgromadzeniach ludowych, że Ateńczycy wciąż wierzyli, że to oni decydują, gdy w rzeczywistości to Perykles dawno już rzecz postanowił. Nie, żeby sprawował jakiś nowego rodzaju urząd albo miał szczególną władzę, ale wyłącznie dlatego, że był najsprytniejszy. Piął się coraz wyżej i wyżej i od 444 roku przed Chrystusem – jest to liczba tak piękna, jak czas, który określa – właściwie sam kierował państwem. Najważniejsze było dla niego to, żeby Ateny pozostały potęgą na morzu, co zdołał osiągnąć dzięki soюзom z innymi jońskimi miastami, które płaciły Atenom również za ochronę, jaką im zapewniał potężny gród. W ten sposób Ateńczycy stali się bogaci i mogli zacząć wykorzystywać swoje talenty także do wielkich spraw.

Teraz się niecierpliwisz i powiadasz: a cóż takiego wspaniałego potrafili ci Ateńczycy? A ja muszę odpowiedzieć – właściwie wszystko, lecz dwie rzeczy interesowały ich szczególnie: prawda i piękno.

Na swoich zgromadzeniach ludowych Ateńczycy nauczyli się mówić publicznie o wszystkich sprawach, zajmować stanowisko, argumentować i kontrargumentować. Była to dobra szkoła myślenia. Niedługo zaczęli

poszukiwać argumentów i kontrargumentów nie tylko w odniesieniu do zwykłych spraw, jak na przykład, czy podniesienie podatków jest konieczne, lecz zajęli się całą naturą. Po części wyprzedzili ich w tym względzie Jonowie w koloniach. To oni zadawali sobie pytanie, z czego właściwie składa się świat, co jest przyczyną wszystkich doznań i zdarzeń.

Takie rozważania nazywamy *filozofią*. Lecz ludzie w Atenach nie tylko na te tematy rozmyślali czy filozofowali. Chcieli też wiedzieć, co jest dobre, a co złe, co jest słuszne, a co niesłuszne. Zastanawiali się, po co człowiek właściwie żyje na świecie i co stanowi istotę wszechrzeczy. Oczywiście nie każdy miał taki sam pogląd na wszystkie te skomplikowane sprawy, wiele było opinii i kierunków, które ścierały się ze sobą jak na zgromadzeniu ludowym. I od tamtej pory to myślenie i to polemizowanie, zwane filozofią, już nie ustało.

Ale Ateńczycy nie przechadzali się po swoich kolumnowych portykach i stadionach jedynie po to, by rozmawiać o tym, co jest istotne w świecie, po czym to poznać i co jest w życiu ważne. Oni ujrzeli świat na nowo nie tylko w myślach, lecz także oczami. Było tak, jakby nikt przedtem spraw świata nie widział – tak po nowemu, tak prosto i pięknie przedstawiali je greccy artyści. O posągach zwycięzców igrzysk olimpijskich już mówiliśmy. Piękni ludzie wyrzeźbieni bez cienia pozy, jakby to była najbardziej oczywista rzecz na świecie. A najpiękniejsze jest właśnie to, co najbardziej oczywiste.

Równie piękne i ludzkie kształty nadawali wizerunkom bogów. Najslawniejszym rzeźbiarzem bogów był Fidiasz. Nie tworzył takich tajemniczych i nadnaturalnych rzeźb jak niesamowite posągi świątynne w Egipcie. Wprawdzie niektóre z jego rzeźb świątynnych też są duże, wystawne i bogate, z kości słoniowej i złota, ale tchną tak prostym pięknem, tyle mają w sobie szlachetnego i naturalnego wdzięku, który nigdy nie staje się mdły ani wymuskany, że do wyobrażonych w ten sposób bogów człowiek musiał mieć zaufanie. Podobne do posągów były również malowidła i budowle Ateńczyków. Ale z malowideł, którymi zdobili swoje portyki i miejsca zgromadzeń, żadne się nie zachowało. Znamy tylko scenki malowane na wazach i urnach, tak piękne, że możemy sobie wyobrazić, co utraciliśmy.

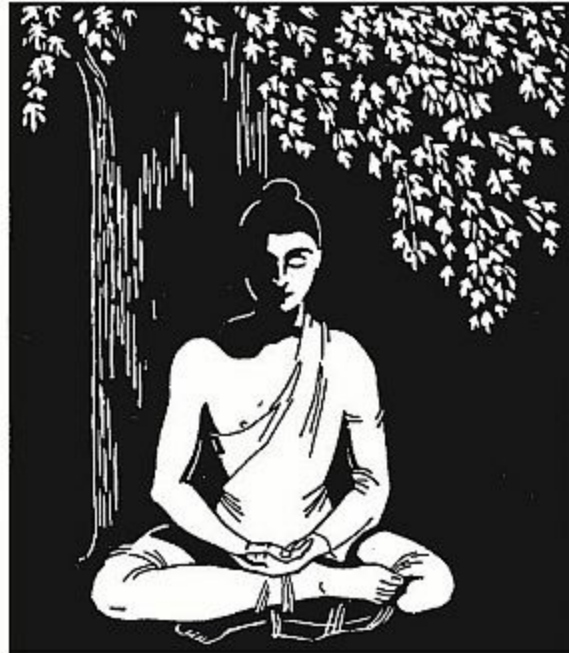
Te świątynie wciąż istnieją. Stoją też w samych Atenach. Przede wszystkim stoi jeszcze warowny gród ateński, Akropol, na którym w czasach Peryklesa zbudowano nowe świątynie z marmuru, gdyż te wcześniejsze

spalili Persowie, kiedy Ateńczycy skryli się na Salaminie. Akropol jest nawet dziś najpiękniejszą budowlą, jaką znamy. Nie ma w nim zupełnie niczego, co byłoby jakoś szczególnie wielkie czy szczególnie wystawne. Jest po prostu piękne. Każdy szczegół odznacza się taką klarownością i prostotą, że odnosimy wrażenie, iż inaczej w ogóle być nie może. Wszystkie te formy, jakich użyli Grecy na Akropolu, są od tamtej pory wciąż stosowane w budownictwie – greckie kolumny, których istnieją rozmaite rodzaje i które możesz zobaczyć niemal we wszystkich domach w mieście, jeśli tylko uważnie popatrzysz. Ale tak piękne są tylko w Atenach na Akropolu, gdzie nie służą za dekorację i ozdobę, lecz spełniają funkcję, do której zostały wynalezione i pomyślane: by jako pięknie ukształtowane podpory dźwigać dach.

Jedno i drugie, mądrość myśli i piękno formy, Ateńczycy połączyli w trzeciej ze sztuk, w poezji. I w tej dziedzinie też coś wynaleźli: teatr. Tak jak sport, również ich teatr pierwotnie łączył się z religią – z uroczystościami ku czci boga Dionizosa, nazywanego także Bachusem. Przedstawienia pokazywane w jego święta trwały najczęściej cały dzień. Aktorzy grali pod gołym niebem, trzymając przed twarzą ogromną maskę, i nosili wysokie koturny, aby z daleka lepiej ich było widać. Sztuki, które wtedy grywano, częściowo się zachowały. Są wśród nich utwory tchnące wspaniałą, uroczystą powagą. To *tragedie*. Ale grano też sztuki zabawne, wyśmiewające poszczególnych Ateńczyków. Bardzo zjadliwe, dowcipne i błyskotliwe. Te sztuki to *komedie*. Mógłbym ci jeszcze długo opowiadać o ateńskich dziejopisach i lekarzach, pieśniarzach, myślicielach i artystach. Ale lepiej będzie, jeśli kiedyś sam się zapoznasz z ich dziełami. Zobaczysz, że nie przesadziłem.



## OŚWIECONY I JEGO KRAJ



Udajemy się na drugi koniec świata. Do Indii, a potem do Chin. Zobaczymy, co się działo w tych ogromnych krajach mniej więcej w czasach wojen perskich. Indie też od dawna miały taką kulturę jak Mezopotamia. Mniej więcej wtedy, gdy Sumerowie byli potęgą w mieście Ur, a więc około 2500 roku przed Chrystusem, istniało w dolinie wielkiej rzeki Indusu ogromne miasto z wodociągami i kanałami, ze świątyniami, domami i sklepami. Nazywało się Mohendžo Daro i nim w 1920 roku zostało odkryte, nikt by nie pomyślał, że coś takiego jest tam możliwe. Ale gdy je odkopano, natrafiono na równie dziwne rzeczy jak w rumowisku starożytnego Ur. Jacy ludzie tam wtedy mieszkali, jeszcze nie wiemy. Wiadomo tylko tyle, że później napłynęły ludy, które do dziś zamieszkują Indie i Pakistan. Mówiły językiem pokrewnym językowi Persów i Greków, ale też językowi Rzymian i Germanów. Ojciec to w staroindyjskim *pitar*, po grecku i po łacinie *pater*.

A że Indusi i Germanie to najbardziej odległe od siebie ludy mówiące takim językiem, wszystkie te języki nazywamy indogermańskimi, a właściwie indoeuropejskimi. Ale czy tylko języki są do siebie podobne, czy może niektóre z tych ludów są dalekimi krewnymi – tego dokładnie nie wiemy. W każdym razie Indusi mówiący jednym z języków indoeuropejskich w podobny sposób znaleźli się w Indiach jak Dorowie w Grecji. I w taki sam sposób musieli też ciemnić miejscową ludność. Z czasem potomkowie najeźdźców podbili większość kontynentu. Ale od tubylców trzymali się z daleka. Tak się ten podział utrwalił, że stał się ustrojem społecznym, który istnieje do dzisiaj. Nazywa się ten ustrój *systemem kastowym*. Poszczególne zawody były w nim ściśle od siebie oddzielone. Tylko część ludzi trudniła się wojowaniem, lecz ci, którzy byli wojownikami, musieli już być nimi zawsze. Także ich synowie mogli zostać tylko wojownikami. Była to kasta wojowników. Istniały też inne kasty, tak samo ściśle zamknięte. Na przykład rzemieślnicy i chłopci. Kto należał do takiej kasty, ten nigdy się z niej nie wydostał. Chłop nigdy nie mógł zostać rzemieślnikiem i odwrotnie; jego syn też nie. I nie mógł się ożenić z dziewczyną z innej kasty, a nawet z kimś z innej kasty siedzieć przy jednym stole czy jechać tym samym wozem. W niektórych regionach Indii jest tak do dzisiaj.

Najwyższą kastą byli kapłani, bramini. Stali jeszcze wyżej w hierarchii niż wojownicy, musieli dbać o właściwy przebieg ofiary, o świątynie i (podobnie jak kapłani w Egipcie) o wiedzę. Musieli się uczyć na pamięć świętych modlitw i pieśni, dzięki czemu przetrwały one bez żadnej zmiany ponad tysiąc lat, do czasu aż zostały spisane. Kast było więc cztery, lecz i one dzieliły się jeszcze na liczne podkasty, które również się od siebie izolowały.

Istniała też niewielka część społeczeństwa, która w ogóle nie miała prawa należeć do żadnej kasty. Byli to pariasi. Posługiwano się nimi tylko do najbrudniejszych i najmniej przyjemnych prac. Nikomu, nawet z niższych kast, nie wolno było z nimi obcować. Powiadano, że samo ich dotknięcie kala. Dlatego nazywano ich *niedotykalnymi*. Pariasi musieli uważać, żeby nawet ich cień nie padł na kogoś innego. Bo już sam cień uchodził za plamiący. Tak okrutni potrafią być ludzie.

A przecież mieszkańcy Indii skądinąd wcale nie należeli do ludów okrutnych. Przeciwnie. Religią większości z nich był hinduizm, którego wyznawców nazywamy hindusami. Ich kapłani byli ludźmi bardzo poważnymi, głębokimi, często szukali samotności w lasach, by móc

spokojnie pomyśleć o najtrudniejszych sprawach. Rozmyślali o swoich licznych dzikich bogach i o Brahmie, o Dostojnym, najwyższym bogu. Czuli, jak cała przyroda, bogowie i ludzie, zwierzęta i rośliny, żyją tchnieniem tej najwyższej istoty, jak ta jedyna, najwyższa istota we wszystkim jednakowo działa: w świetle słońca i w kiełkowaniu pól, w rośnięciu i w umieraniu. Bóg jest wszędzie na świecie, tak jak ziarenko soli wrzucone do wody jest w niej wszędzie i sprawia, że każda jej kropla jest słona. Wszystkie te różnice, jakie widzimy w naturze, wszelkie krążenie i zmiany, są właściwie tylko powierzchowne. Jedna i ta sama dusza raz może stać się człowiekiem, a po jego śmierci – na przykład tygrysem czy okularnikiem, chyba że tak się oczyści, że będzie się mogła wreszcie zjednoczyć z boską istotą. Bo najistotniejsze pozostaje zawsze to, co w tym wszystkim działa: tchnienie najwyższego boga, Brahmy. Aby dobrze to wpoić swoim uczniom, hinduscy kapłani posługiwali się piękną formułą, nad którą możesz się zastanowić, a brzmi ona po prostu tak: „To jesteś ty”. Znaczy to tyle, że wszystko, co widzisz, zwierzęta i rośliny oraz twoi bliźni, to jest to samo, czym i ty jesteś: tchnieniem oddechu boga.

Aby naprawdę poczuć tę wielką jednię, hinduscy kapłani wymyślili sobie dziwny sposób. Siadali gdzieś w gęstym lesie i tylko o niej myśleli – godzinami, dniami, tygodniami, miesiącami, latami. Zawsze siedzieli na ziemi sztywno i w milczeniu, ze skrzyżowanymi nogami i ze spuszczoneym wzrokiem. Starali się jak najmniej oddychać i jak najmniej jeść. A niektórzy nawet zadawali sobie specjalne cierpienia, aby uczynić pokutę i osiągnąć dojrzałość, która pozwoli im poczuć w sobie tchnienie boga.

Takich świętych mężów, pokutników i pustelników, było w Indiach przed trzema tysiącami lat bardzo wielu i są jeszcze dzisiaj. Ale jeden był inny niż tych wielu. Był to królewski syn Gautama, który żył około 500 roku przed Chrystusem.

Powiadają, że ów Gautama, którego później nazwano Buddą, czyli „oświeconym”, wyrastał pośród całego zbytku i całego bogactwa Wschodu. Miał podobno trzy pałace, jeden na lato, jeden na zimę i jeden na miesiące pory deszczowej, w którym rozbrzmiewała zawsze najpiękniejsza muzyka. Ojciec Gautamy nie chciał, by syn kiedykolwiek opuszczał pałac, pragnął go bowiem trzymać z daleka od wszystkiego, co smutne. Dlatego nikt cierpiący nie miał prawa pokazać się w jego pobliżu. A jednak pewnego razu Gautama wyjechał z pałacu i zobaczył starego, zgarbionego człowieka. Zapytał



towarzyszącego mu woźnicę, cóż to takiego. Woźnica musiał mu wyjaśnić. Gautama w zamyśleniu wrócił do pałacu. Innym razem zobaczył chorego człowieka. O chorobie też nikt mu nigdy nie mówił. Gautama zamyślił się jeszcze głębiej i wrócił do domu, do swojej małżonki i małego synka. Za trzecim razem zobaczył martwego człowieka. I już nie chciał wrócić do pałacu, a kiedy w końcu ujrzał pustelnika, postanowił sam pójść na pustkowie i pomyśleć nad cierpieniem tej ziemi, które mu się objawiło w postaci starości, choroby i śmierci.

„I opuściłem dom – mówił w jednym ze swoich kazań – jeszcze będąc w kwiecie wieku, o ciemnych, lśniących włosach, korzystając ze szczęśliwej młodości, w początkach wieku męskiego, wbrew życzeniu moich płaczących i biadających rodziców, ogoliwszy głowę i brodę, odziany w płową szatę, i stałem się bezdomny”.

Przez sześć lat wiódł życie pustelnika i pokutnika. Rozmyślał głębiej niż wszyscy inni. Umartwiał się bardziej niż ktokolwiek przedtem. Prawie wcale już nie oddychał, kiedy tak siedział, i znosił najstraszliwszy ból. Jadł tak mało, że omdlewał ze słabości. Ale nie zdołał przez te lata odnaleźć wewnętrznego spokoju. Bo myślał nie tylko o tym, czym jest świat i czy wszystko w gruncie rzeczy jest jednym i tym samym. Myślał o całym nieszczęściu na świecie. O wszystkich bólach i cierpieniach ludzi. O starości, chorobie i śmierci. A na to pokuta nie pomagała.

Powoli zaczął znowu przyjmować pożywienie, zbierać siły i oddychać, tak jak wszyscy ludzie. Inni pustelnicy, którzy go dotychczas podziwiali, patrzyli na niego z pogardą. Ale nie dał się zwieść z obranej drogi. I pewnej nocy, kiedy na ładnej leśnej polanie siedział pod drzewem figowym, przyszło na niego olśnienie. W jednej chwili zrozumiał, czego szukał przez wszystkie te lata. Jakby nagle ujrzał wewnętrzne światło. Był więc teraz „oświeconym”, Buddą. I poszedł głosić swoje wielkie odkrycie wszystkim ludziom. Szybko znalazł podobnie myślących, przekonanych, że odkrył drogę do wyzwolenia ludzkości od całego cierpienia. Ludzie, którzy czcili Buddę, założyli coś, co nazwalibyśmy zakonem mnichów lub mniszek. Zakon ten istnieje do dzisiaj w wielu krajach Azji. Jego zwolenników poznasz po żółtych szatach i skromnym sposobie życia.

Teraz pewnie chcesz się dowiedzieć, jakiego to olśnienia doznał Gautama pod drzewem Bodhi, czyli drzewem oświecenia, jako wyzwolenie od wszelkich zwątpień. Jeśli mam ci to jakoś wytłumaczyć, musisz trochę o tym

pomyśleć. W końcu Gautama myślał tylko o tym całe sześć lat. Tym wielkim olśnieniem, wielkim wyzwoleniem od cierpienia była myśl: jeśli chcemy się ratować przed cierpieniem, musimy zacząć od siebie. Całe cierpienie bierze się z pragnień. Jest to mniej więcej tak: jeśli jesteś smutny, bo wciąż nie masz ładnej książki czy zabawki, o której marzysz, możesz zrobić dwie rzeczy – albo możesz się starać mimo wszystko ją dostać, albo możesz przestać jej pragnąć. Jeśli jedno z dwojga ci się uda, przestaniesz być smutny. Budda nauczał tak: gdybyśmy przestali pragnąć wszystkich pięknych i przyjemnych rzeczy, gdybyśmy tak ciągle nie łaknęli szczęścia, dobrego samopoczucia, uznania, czułości, nie bylibyśmy tak często smutni, kiedy nam ich nie dostaje. A kto niczego już by nie pragnął, ten już nigdy nie byłby smutny. Trzeba tylko unicestwić pragnienie, wtedy również cierpienie zostanie unicestwione.

„Ale przecież na pragnienia nie można nic poradzić” – powiesz. Budda był innego zdania. Nauczał, że dzięki wieloletniej pracy nad sobą człowiek może dojść do tego, że nie będzie pragnął niczego poza tym, czego chce pragnąć. Że będzie panem swoich pragnień, tak jak poganiasz słoni jest panem słoni. I że jest to największe dobro, jakie można osiągnąć na ziemi: niczego więcej nie pragnąć. To jest ta „wewnętrzna cisza”, o której mówi Budda, owa wielka, spokojna szczęśliwość człowieka, który niczego na ziemi nie pożąda. Który jest jednakowo dobry dla wszystkich ludzi i od nikogo niczego nie wymaga. Ten, kto stał się panem swoich pragnień – nauczał Budda – nie wróci na świat, gdy umrze. Bo dusze odradzają się – tak przecież wierzyli hindusi – właściwie tylko dlatego, że są przywiązane do życia. Kto nie jest przywiązany do życia, ten po śmierci nie będzie już zabiegał o powrót do „kręgu narodzin”. Odejdzie w nicość. W nicość bez pragnień i bez cierpień, którą buddyści nazywają *nirwaną*.

Takie więc było olśnienie Buddy pod drzewem figowym – wiedza, jak można uwolnić się od marzeń, nie spełniając ich, jak można się pozbyć pragnienia, nie gasząc go. Jak możesz sobie wyobrazić, droga do tego celu nie jest łatwa. Budda nazwał ją „drogą pośrednią”, bo do prawdziwego wyzwolenia wiedzie między bezużyteczną ascezą a bezmyślnym używaniem życia. A składają się na nią: słuszny pogląd, słuszne postanowienie, słuszna mowa, słuszne postępowanie, słuszny żywot, słuszne dążenie, słuszne czuwanie, słuszne skupienie, czyli medytacja.

To było najważniejsze w kazaniu Gautamy, które wywarło na ludziach tak

głębokie wrażenie, że wielu poszło za nim i czciło go jak boga. Dziś jest na świecie prawie tyle samo buddystów, co chrześcijan. Zwłaszcza na Półwyspie Indochińskim, na Cejlonie (który teraz nazywa się Sri Lanka), w Tybecie, Chinach i Japonii. Ale tylko nieliczni są w stanie żyć zgodnie z nauką Buddy i osiągać wewnętrzną ciszę.



## WIELKI NAUCZYCIEL WIELKIEGO NARODU






Gdy chodziłem do szkoły podstawowej, Chiny były dla nas krajem „na końcu świata”. Co najwyżej znaliśmy jakieś obrazki z filiżanek czy waz i wyobrażaliśmy sobie, że w Chinach żyją sztywne ludziki z długimi warkoczami i że są tam kunsztowne ogrody z wygiętymi mostkami i wieżyczki obwieszane dzwoneczkami.

Taka baśniowa kraina oczywiście nigdy nie istniała, ale to prawda, że Chińczycy prawie przez trzysta lat, do 1912 roku, musieli nosić warkocze i że w naszych krajach stali się znani najpierw dzięki delikatnym przedmiotom z porcelany i kości słoniowej, wytwarzanym przez zręcznych chińskich mistrzów. W tym czasie Chinami rządili już od ponad tysiąca lat z pałacu w stolicy owi słynni „chińscy cesarze”, którzy mówili o sobie, że są Synami Nieba, podobnie jak egipski faraon tytułował się Synem Słońca.

W czasach, o których chcę mówić, czyli przed 2500 laty, jeszcze tego wszystkiego nie było, ale już wtedy Chiny były prastarym, ogromnym państwem, tak starym i tak ogromnym, że zaczynało się rozpadać. Miało ono wiele milionów pracowitych chłopów, uprawiających ryż i inne gatunki zbóż, a także wielkie miasta, po których dumnie kroczyli ludzie w kolorowych jedwabnych szatach.

Rządził tymi wszystkimi ludźmi król, a niżej od niego stali książęta, którzy nad poszczególnymi prowincjami tego niesamowitego kraju, większego od Egiptu i większego od Asyrii i Babilonii razem wziętych, sprawowali władzę lenną. Wkrótce książęta stali się tak potężni, że król nie mógł już im rozkazywać, chociaż był królem Chin. Ciągłe się ze sobą kłócili i wielcy połykali małych. Wreszcie w 221 roku przed Chrystusem został już tylko jeden: Qin Shi Huangdi, pierwszy cesarz całych Chin. Nazwał siebie Synem Nieba. Jego państwo było tak wielkie, że Chińczycy w różnych krańcach kraju mówili zupełnie innymi językami, toteż z całą pewnością zupełnie by się rozpadło, gdyby jego mieszkańcy nie mieli czegoś wspólnego. Tym czymś było ich pismo.

Powiesz – co po wspólnym piśmie, jeśli języki są tak różne, że nikt nie może zrozumieć tego, co jest napisane? Ale z pismem chińskim sprawa wygląda inaczej. To pismo można przeczytać, nawet jeśli się nie zna ani słowa po chińsku. Czary? Nie, bynajmniej, to nawet nie jest zbyt zawiłe. Bo Chińczycy nie piszą słów, tylko rzeczy. Jeśli chcesz napisać „słońce”, rysujesz taki obrazek . I czy nazwiesz go „słońce”, „soleil” czy „dźo”, jak w chińskim dialekcie mandaryńskim, każdy, kto zna ten znak, zawsze go zrozumie. Teraz chcesz napisać „drzewo”. I znów kilkoma kreskami rysujesz po prostu drzewo, mianowicie , co w języku mandaryńskim czyta się „mu”, ale wcale nie trzeba tego wiedzieć, żeby widzieć, że jest to drzewo. Tak, powiesz, jeśli chodzi o rzeczy, to mogę to sobie wyobrazić – po prostu się je rysuje. Ale co zrobić, jeżeli ktoś chce napisać „biały” – czy maluje wtedy białą farbą? Albo jeśli chce napisać „wschód”? Przecież wschodu nie można narysować. Otóż wszystko jest tu całkiem logiczne. Pisziesz „biały”, po prostu rysując coś białego. Na przykład promień słońca. Kreskę, która wychodzi od słońca, , co znaczy „bei”, „biały”, „blanc” itd. A wschód? Wschód jest tam, gdzie za drzewami wschodzi słońce. Rysuję więc obrazek

słońca za obrazkiem drzewa: 東.

Praktyczne, czyż nie? No tak. Ale każdy medal ma dwie strony! Pomyśl tylko, ile jest wyrazów i rzeczy na świecie! Dla każdej rzeczy trzeba się tam nauczyć osobnego znaku. Już teraz jest 40 tysięcy znaków, a w wypadku niektórych sprawa staje się dość trudna i skomplikowana. Chwalimy więc sobie naszych Fenicjan i 26 znaków, prawda? Ale Chińczycy piszą tak już od wielu tysięcy lat i w dużej części Azji może te znaki odczytywać nawet ktoś, kto nie zna słowa po chińsku. W ten sposób myśli i zasady wielkich ludzi w Chinach mogły się szybko upowszechnić i zapadać w pamięć.

Bo w tym samym czasie, kiedy Budda w Indiach chciał wyzwolić ludzi od cierpienia (pamiętasz, było to około 500 roku przed Chrystusem), żył w Chinach wielki człowiek, który chciał swoją nauką ludzi uszczęśliwić. A tak się różnił od Buddy, jak tylko to możliwe. Nie był królewskim synem, lecz pochodził z prostej rodziny. Nie został pustelnikiem, lecz urzędnikiem i nauczycielem. I zależało mu nie tyle na tym, żeby pojedynczy człowiek niczego już nie pragnął i mniej cierpiał, ile na tym, by ludzie żyli w zgodzie, rodzice w zgodzie z dziećmi, a władcy w zgodzie z poddanymi. To był jego cel: nauka o dobrym współżyciu. I cel ten osiągnął. Dzięki jego nauce wielki naród Chińczyków przez tysiące lat żył bardziej zgodnie i w większym spokoju niż inni ludzie na świecie. Teraz cię pewnie zainteresuje nauka Konfucjusza – po chińsku: Kong Fuzi. Nietrudno ją zrozumieć. Nawet nietrudno jej przestrzegać. Dlatego odniosła taki sukces.

Droga, jaką zaproponował Konfucjusz do tego celu, jest prosta. Może nie od razu ci się spodoba, ale jest w niej więcej mądrości, niżby się zdawało na pierwszy rzut oka. Nauczał on bowiem, że sprawy powierzchowne są w życiu ważniejsze, niż sądzimy: kłaniać się starszym, puszczać przodem w drzwiach, stać, gdy rozmawia się z przełożonym, i wiele podobnych rzeczy, co do których w Chinach było więcej reguł niż u nas. To nie przypadek, że wszystkie te reguły są takie, jakie są – uważał. One coś przecież znaczą albo kiedyś coś znaczyły. Zwykle coś ładnego. Dlatego Konfucjusz powiedział: „Wierzę w starożytność i kocham ją”. To znaczy, że wierzył w dobry, głęboki sens wszystkich tysiącletnich obyczajów i wciąż napominał swoich rodaków, by ściśle ich przestrzegali. Wtedy wszystko przychodzi nam łatwiej – uważał. Robi się jakby samo, nie wymaga namysłu. Dochowując tych form, człowiek z pewnością nie *staje* się dobry, ale łatwiej

takim *pozostaje*.

Konfucjusz bowiem był bardzo dobrego zdania o ludziach. Mówił, że wszyscy ludzie rodzą się dobrzy, przyzwoici. I że w głębi duszy wszyscy są dobrzy i przyzwoici – każdy człowiek, który widzi dziecko bawiące się nad wodą, będzie się bał, żeby do niej nie wpadło, powiada. Troska o bliźniego, współczucie, kiedy źle mu się dzieje, to wszystko jest nam przyrodzone. Nie musimy więc nic robić, tylko pilnować, byśmy tego nie utracili. I po to, jak uważał, jest rodzina. Kto zawsze jest dobry dla swoich rodziców, kto ich słucha i się o nich troszczy – a to jest nam przecież wrodzone – ten będzie taki również dla innych ludzi, będzie też zawsze przestrzegał praw państwa, tak jak był przyzwyczajony słuchać swego ojca. Dlatego rodzinę, miłość między rodzeństwem, szacunek dla rodziców Konfucjusz uważa za najważniejsze w całym życiu. Nazywa rodzinę „korzeniem człowieczeństwa”.

Ale to nie znaczy, że tylko poddany ma być wierny panu, a na odwrót już nie. Przeciwnie, Konfucjusz i jego uczniowie często bywali u niepokornych książąt i zwykle bez ogródek mówili im, co myślą. Bo książę musi być pierwszy w przestrzeganiu wszystkich form, w miłości ojcowskiej, w dbałości i sprawiedliwości. Jeśli nie jest i pozwala poddanym cierpieć, to dobrze mu tak, jeśli lud zrzuca go z tronu – tak nauczali Konfucjusz i jego uczniowie. Ponieważ pierwszym obowiązkiem księcia jest być wzorem dla wszystkich mieszkańców państwa.

Pomyślisz może, że Konfucjusz nauczał tylko rzeczy oczywistych. Ale właśnie to było jego zamiarem. Chciał przecież czegoś, co wszyscy rozumieją niemal sami z siebie i uważają za słuszne. Wtedy współzycie będzie znacznie łatwiejsze. Powiedziałem już, że to mu się udało. Tylko dzięki jego nauce wielkie państwo o wielu prowincjach jednak się w końcu nie rozpadło.

Nie powinienes jednak myśleć, że w Chinach nie było też innych ludzi, bardziej pokroju Buddy, którym chodziło nie o współzycie i ukłony, lecz o wielkie tajemnice świata. Mniej więcej w tym samym czasie co Konfucjusz żył w Chinach taki mędrzec. Nazywał się Laozi. Powiadają, że był urzędnikiem, ale że nie podobał mu się cały ten ludzki zgiełk. Porzucił więc urząd i powędrował w odludne góry na granicy Chin, by zostać pustelnikiem.

Prosty celnik na wiejskiej drodze przy granicy podobno go poprosił, by spisał mu swoje myśli, nim się usunie od ludzi. I Laozi tak zrobił. Ale czy

celnik je zrozumiał, nie wiem, bo są bardzo tajemnicze i zawiłe. Ich sens jest mniej więcej taki: całym światem, wiatrem i pogodą, roślinami i zwierzętami, zmianą między dniem a nocą, krążeniem gwiazd rządzi jedno wielkie powszechne prawo. Nazwał to prawo dao (możesz też spotkać się z zapisem tao), a to znaczy tyle, co „droga”. Tylko człowiek przez swój brak spokoju, swoją ruchliwość, swoje rozliczne myśli i plany, nawet przez swoje ofiary i modlitwy niejako nie dopuszcza tego prawa do siebie, nie pozwala mu zadziałać, przeszkadza mu.

Zatem jedyne, co należy robić, uważa Laozi, to nie robić nic. Być w środku całkiem cicho. Nie rozglądać się i nie nasłuchiwać dokoła, niczego nie chcieć i nie mieć żadnego zdania. W tym, kto dojdzie do tego, że będzie jak drzewo czy kwiat, bez żadnych zamiarów i woli, zacznie działać to wielkie powszechne prawo – dao, które wprawia w ruch niebo i sprowadza wiosnę. Ta nauka, jak widzisz, jest trudna do pojęcia, a jeszcze trudniejsza do przestrzegania. Może Laozi w samotności dalekich gór doszedł do tego, że działał przez niedziałanie, jak mówi. Ale w sumie to dobrze, że nie Laozi, tylko Konfucjusz został wielkim nauczycielem swojego narodu. A ty jak myślisz?





## NAJWIĘKSZA PRZYGODA



Dobre czasy w Grecji trwały krótko. I się skończyły. Bo Grecy potrafili wszystko, ale usiedzieć spokojnie – tego nie umieli. Zwłaszcza między Atenami a Spartą zgoda nigdy nie panowała długo. Już od 431 roku przed Chrystusem oba miasta toczyły z sobą zawziętą wojnę, która miała się ciągnąć jeszcze przez wiele lat. Nazwano ją wojną peloponeską. Spartanie wyprawiali się pod Ateny, straszliwie pustosząc kraj. Wycięli wszystkie gaje oliwne. To było nieszczęście, bo nowo posadzona oliwka potrzebuje bardzo dużo czasu, nim wyda owoce. Z kolei Ateńczycy wysłali ekspedycję morską przeciwko sprzymierzonym ze Spartą Syrakuzom na Sycylii. Wiele się przez te długie lata wydarzyło. W Atenach wybuchła groźna zaraza, której ofiarą padł Perykles. Ostatecznie Ateny wojnę przegrały, a mury miasta zostały zrównane z ziemią. Ale w końcu, jak to na wojnie, cały kraj był już zmęczony walką. Zwycięzcy też. A miało przyjść jeszcze coś gorszego,

ponieważ pewne niewielkie plemię, sprowokowane przez kapłanów delfickich, zajęło i splądrowało świątynię Apollina. Zapanował chaos.

Wmieszał się w to wszystko obcy lud. Może niezupełnie obcy. Bo ci, którzy mieszkali w górach na północ od Grecji i nazywali się Macedończykami, byli spokrewnieni z Grekami. Ów dziki, zaprawiony w bojach lud miał bardzo sprytnego króla, Filipa. Filip Macedoński świetnie mówił po grecku i bardzo dobrze znał greckie obyczaje i grecką kulturę. Jego ambicją było zostać królem całej Grecji. Walka o greckie sanktuarium w Delfach, która obchodziła przecież wszystkich ludzi wierzących w greckich bogów, dała mu okazję do interwencji. Był wprawdzie w Atenach polityk i słynny mówca, który przejrzał zamiary króla Macedonii i na zgromadzeniach ludowych nieraz przed nim przestrzegał. Nazywał się Demostenes, a jego mowy przeciwko Filipowi to *filipiki*. Lecz Grecja była zbyt skłócona, by się skutecznie bronić.

Pod Cheroneą król Filip i mała Macedonia pokonali Greków – tych samych Greków, którzy niewiele ponad sto lat wcześniej potrafili stawić czoło potężnemu wojsku perskiemu. Skończyła się grecka wolność. Kres tej wolności, z której Grecy na koniec zrobili tak marny użytek, przyszedł w 338 roku przed Chrystusem. Ale król Filip wcale nie zamierzał Grecji ujarzmić ani złupić. Miał całkiem inne plany: chciał z Greków i Macedończyków utworzyć wielką armię i wyruszyć na podbój Persji.

W tamtym okresie nie wydawało się to już tak niemożliwe, jak w czasach wojen perskich. Późniejsi perscy królowie wcale nie byli ani tak dzielni jak Dariusz I, ani tak potężni jak Kserkses. Od dawna nie sprawowali osobistej kontroli nad całym krajem, zadowoleni, że satrapowie przysyłają im z prowincji pieniądze, jak najwięcej pieniędzy. Budowali za nie wspaniałe pałace i utrzymywali bogaty dwór, na którym jadało się ze złotych naczyń i było obsługiwany przez rzesze niewolników i niewolnic w pięknych szatach. Królowie lubili dobrze zjeść, a jeszcze bardziej – dobrze wypić. Satrapowie postępowali podobnie. Takie państwo nie może być trudne do zdobycia, pomyślał król Filip. Ale nim ukończył przygotowania do wyprawy wojennej, został zamordowany.

Jego syn, który odziedziczył po nim całą Grecję i ojczystą Macedonię, miał wtedy niespełna 20 lat. Nosił imię Aleksander. Wszyscy Grecy myśleli, że teraz łatwo odzyskają wolność, bo z takim młodzikiem, jak sądzili, dadzą sobie radę. Aleksander nie był jednak zwyczajnym chłopcem. Żałował nawet,

że nie dane mu było wcześniej wstąpić na tron. Podobno jako dziecko płakał, ilekroć jego ojciec, król Filip, podbijał jakieś miasto w Grecji. „Ojciec nie zostawi mi nic do zdobycia, gdy zostanę królem”. No, ale teraz zostawił mu wszystko. Jedno z greckich miast, które chciało odzyskać niepodległość, zostało dla przykładu zniszczone, a jego mieszkańcy sprzedani w niewolę. Po czym Aleksander zwołał do Koryntu wszystkich greckich wodzów, by omówić z nimi wyprawę na Persję.

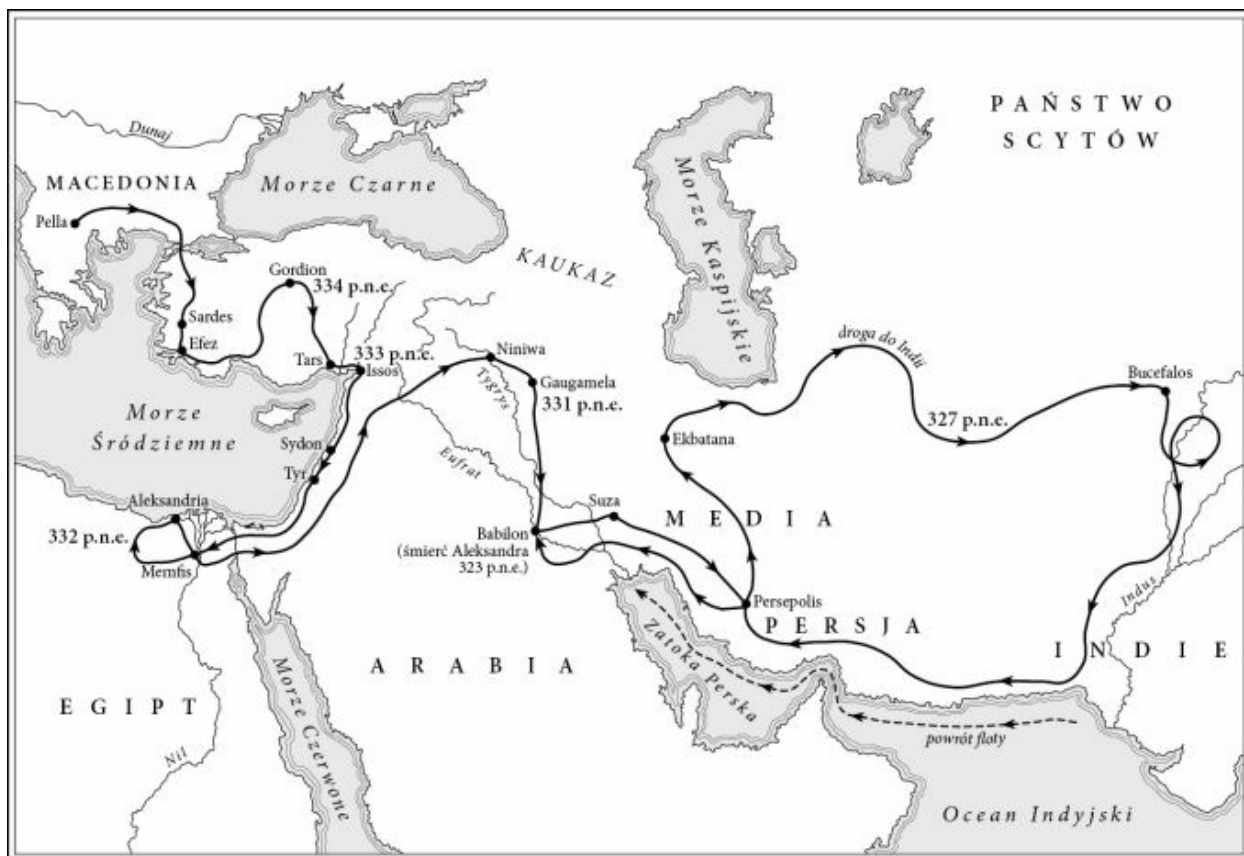
Trzeba ci wiedzieć, że młody król Aleksander był nie tylko odważnym, ambitnym wojownikiem, lecz także bardzo pięknym młodzieńcem o długich, kręconych włosach, a w dodatku wiedział wszystko, co wówczas w ogóle można było wiedzieć. Miał bowiem najsłynniejszego na świecie greckiego filozofa Arystotelesa. Co to znaczy, możesz sobie mniej więcej wyobrazić, jeśli ci powiem, że Arystoteles był nauczycielem nie tylko Aleksandra, lecz właściwie całej ludzkości przez następne dwa tysiące lat. Kiedy ludzie nie mogli się pogodzić w jakiejś kwestii, sięgali do pism Arystotelesa. Był dla nich arbitrem. Co napisał, musiało być prawdą. Rzeczywiście zebrał całą wiedzę, jaką można było mieć za jego czasów. Pisał o naukach przyrodniczych, o gwiazdach, zwierzętach i roślinach, pisał o historii i o współżyciu ludzi w państwie (polityka), o właściwym myśleniu, które po grecku nazywa się logiką, i o właściwym postępowaniu, które po grecku nazywa się etyką; pisał o poezji i o tym, co w niej jest pięknego, i wreszcie zapisał swoje myśli o bogu, który nieporuszony i niewidzialny unosi się nad gwiazdzistym niebem.

Tego wszystkiego uczył się Aleksander, a na pewno był dobrym uczniem. Najchętniej czytał stare pieśni bohaterskie Homera, podobno nawet kładł je w nocy pod poduszkę. A nie był wcale jakimś mołem książkowym, lecz znakomitym sportowcem. Zwłaszcza w jeździe konnej nie miał sobie równych. Kiedyś jego ojciec zamierzał kupić wyjątkowo pięknego, dzikiego konia, lecz nikt go nie potrafił okiełznać. Koń miał na imię Bucefał. Nikomu nie pozwalał się dosiąść i wszystkich zrzucał. Aleksander zauważył powód: koń bał się swojego cienia. Obrócił więc rumaka głową do słońca, żeby nie widział własnego cienia na ziemi, pogłaskał go, po czym wskoczył mu na grzbiet i jeździł wkoło przy aplauzie całego dworu. Bucefał został jego ukochanym koniem.

Gdy Aleksander pojawił się przed greckimi wodzami w Koryncie, wszyscy byli nim zachwyceni i prawili mu same uprzejmości. Tylko jeden

człowiek nie. Zabawny dziwak, filozof o imieniu Diogenes. Głosił poglądy niepodobne do poglądów Buddy. Uważał, że to, co człowiek posiada i czego potrzebuje, tylko mu przeszkadza w myśleniu i w odczuwaniu prostych przyjemności. Oddał więc wszystko i wszedł prawie nagi do beczki na rynku w Koryncie. I w niej zamieszkał, wolny i niezależny jak bezpański pies. Odwiedził go Aleksander, bo też chciał poznać dziwaka. Stał w pysznej zbroi, z powiewającym pióropuszem u hełmu i powiedział: „Podobasz mi się, powiedz, jakie masz życzenie, a ja je spełnię”. Diogenes, który akurat przyjemnie wygrzewał się w słońcu, odrzekł: „Tak, królu, mam życzenie”. „Jakie?” „Przesuń się, proszę, bo zasłaniasz mi słońce”. Na Aleksandrze wywarło to takie wrażenie, że podobno powiedział: „Gdybym nie był Aleksandrem, chciałbym być Diogenesem”.

Takim królem wojsko greckie było wkrótce równie zachwycone jak macedońskie. Chciało dla niego walczyć. Dlatego Aleksander pełen ufności wyruszał na Persję. Wszystko, co posiadał, rozdał przyjaciołom. Zapytali go przestraszeni: „A co tobie zostanie?”. „Nadzieja”, odparł podobno. I nadzieja go nie zawiodła. Najpierw poprowadził wojsko do Azji Mniejszej. Tam wyszły mu naprzeciw pierwsze oddziały perskie. Liczniejsze wprawdzie niż jego własne, ale będące właściwie tylko bezładną zbieraniną, bez prawdziwego wodza. Persowie zostali od razu zmuszeni do ucieczki, gdyż wojsko Aleksandra biło się bardzo odważnie, a najodważniej walczył sam Aleksander, który zawsze był tam, gdzie działo się najwięcej.



*Kieruj się zawsze strzałką, a będziesz towarzyszyć Aleksandrowi w triumfalnym pochodzie przez pół świata.*

W podbitej Azji Mniejszej rozegrała się słynna historia węzła gordyjskiego. Było to tak: w mieście Gordion znajdował się w świątyni wóz, którego dyszel i jarzmo zostały połączone za pomocą wymyślnego węzła. Przepowiednia mówiła, że kto go rozwiąże, ten zdobędzie władzę nad światem. Aleksander nie mocował się długo z węzłem, najwyraźniej jeszcze bardziej upartym niż supeł na sznurówce, gdy się nam akurat spieszy. Zrobił coś, na co moja mama nigdy by mi nie pozwoliła: wyjął miecz i po prostu przeciął węzeł. Tym samym dał do zrozumienia: „Z mieczem w dłoni zdobędę świat i tak spełnią się słowa wyroczni”. Co też uczynił.

Dalszą historię tego podboju łatwiej ci będzie prześledzić na mapie. Bo Aleksander nie od razu wkroczył do Persji. Ruszył najpierw na Fenicję i Egipt, aby nie mieć tych perskich prowincji za plecami, zanim zostaną podbite. Persowie próbowali go zatrzymać pod miastem o nazwie Issos. Pokonał ich i zdobył wspaniałe namioty oraz skarbiec króla perskiego. Pojmał też małżonkę i siostrę króla, lecz potraktował je bardzo uprzejmie

i przyzwolicie. Było to w roku 333 – taką datę nietrudno zapamiętać.

Z Fenicją nie poszło tak łatwo. Przez siedem miesięcy musiał oblegać miasto Tyr. Ale potem je zniszczył ze szczególnym okrucieństwem. Z Egiptem sprawa była prostsza. Egipcjanie, zadowoleni, że mogą się pozbyć Persów, sami mu się jako ich wrogowi poddali. On jednak chciał zostać prawdziwym władcą Egipcjan, takim, do jakich byli oni przyzwyczajeni. Udał się więc przez pustynię do świątyni boga słońca i kazał kapłanom ogłosić, że jest Synem Słońca, a więc prawdziwym faraonem. Zanim opuścił Egipt, założył nad brzegiem morza miasto, które od swego imienia nazwał Aleksandrią. Istnieje ono jeszcze dzisiaj, a przez długi czas było jednym z najpotężniejszych i najbogatszych miast na świecie.

Dopiero teraz wyruszył na Persję. Król perski tymczasem zgromadził ogromną armię i w pobliżu dawnej Niniwy, pod miejscowością o nazwie Gaugamela, czekał na Aleksandra. Przedtem wysłał do niego posłańca z propozycją, że w zamian za pokój odda mu połowę królestwa i swoją córkę za żonę. Przyjaciel Aleksandra, Parmenion, powiedział wtedy: „Gdybym był Aleksandrem, tobym się zgodził”. Aleksander odpowiedział: „Zgodziłbym się i ja, gdybym był Parmenionem”. Wolał panować nad całym światem niż nad połową. I rzeczywiście pokonał ostatnią, największą armię perską. Król Persów uciekł w góry, gdzie został zamordowany.

Aleksander ukarał morderców. Teraz on był królem całej Persji. Do jego królestwa należały Grecja, Egipt, Fenicja z Palestyną, Babilonia, Assyria, Azja Mniejsza i Persja. Chciał to wszystko na nowo uporządkować. Jego rozkazy sięgały teraz rzeczywiście od Nilu po dzisiejszą Syberię.

Tobie i mnie prawdopodobnie by to wystarczyło. Ale na pewno nie Aleksandrowi. On chciał zawładnąć nowymi, nieodkrytymi jeszcze krajami. Pragnął poznać tajemnicze, dalekie ludy, o których czasem opowiadali kupcy przyjeżdżający do Persji z rzadkimi wschodnimi towarami. Niczym bóg Dionizos w jednej z greckich legend chciał dotrzeć w triumfalnym pochodzie aż do Indusów ogorzałych od słońca i odebrać od nich hołd. Nie zabawił więc długo w perskiej stolicy, lecz w 327 roku wyruszył z wojskiem do Indii, pośród niezliczonych niebezpieczeństw przepływając się przez przełęcz obcych, niezbadanych gór w dolinę Indusu. Ale Indusi nie podporządkowali mu się dobrowolnie. Zwłaszcza pokutnicy i pustelnicy nawoływali do oporu przeciw zdobywcy z dalekiego Zachodu. Aleksander musiał więc z osobna oblegać i zdobywać każde miasto, dzielnie bronione przez Indusów z kasty

wojowników.

On sam popisał się przy tym całą swoją odwagą. Nad jednym z dopływów Indusu czekał na niego indyjski król Poros z potężną armią słońi bojowych i piechoty. Stał na przeciwległym brzegu, więc Aleksander ze swoimi żołnierzami musiał pod ostrzałem nieprzyjacielskich wojsk przepłynąć przez rzekę. Fakt, że tego dokonał, należy do jego największych wyczynów. Ale jeszcze dziwniejsze jest to, że w wilgotnym skwarze Indii rzeczywiście pokonał tę armię. Spętanego Porosa przyprowadzono przed jego oblicze: „Czego chcesz ode mnie?” – zapytał podobno Aleksander. „Żebyś mnie potraktował jak króla”. „Nic więcej?” „Nic – padła odpowiedź. – Wszystko zostało powiedziane”. Zrobiło to takie wrażenie na Aleksandrze, że zwrócił Porosowi królestwo.

On sam chciał iść jeszcze dalej na wschód, do jeszcze bardziej obcych, jeszcze bardziej tajemniczych ludów w dolinie rzeki Ganges. Jego żołnierze mieli jednak dość. Nie chcieli iść wciąż dalej i dalej na koniec świata, chcieli do domu. Aleksander prosił, groził, że pójdzie sam, obrażony nie wychodził ze swojego namiotu przez trzy dni. W końcu żołnierze okazali się silniejsi i musiał zawrócić. Ale jedno na nich wymógł: że nie będą wracać tą samą drogą, którą przyszli. Tak byłoby wprawdzie najprościej, bo przez tereny już zdobyte. Lecz Aleksander chciał jeszcze coś nowego zobaczyć, jeszcze coś zdobyć. Pomaszerował więc wzdłuż Indusu ku morzu. Część wojska odesłał okrętami do domu. Sam jednak pośród nowych, straszliwych udręk poszedł dalej przez smętną, kamienistą pustynię. Znosił wszystkie wyrzeczenia, jakie musiało znieść jego wojsko, i nie pozwalał sobie ani na więcej wody, ani na dłuższy odpoczynek niż innym. Walczył w pierwszym szeregu i rzeczywiście cudem uniknął wówczas śmierci.

Pewnego razu oblegali twierdzę. Przystawili drabiny i wspinali się na mury. Aleksander jako pierwszy. Gdy był już na górze, drabina załamała się pod ciężarem żołnierzy i znalazł się sam jeden na obwałowaniu. Wołali, żeby natychmiast skoczył z powrotem, ale on zeskoczył na stronę miasta, stanął plecami do muru i zasłaniał się tarczą przed przeważającymi siłami wroga. Był już trafiony strzałą, gdy w końcu inni przedostali się przez mur i pospieszyli mu na ratunek. Musiało być to bardzo ekscytujące.

Wreszcie dotarli do perskiej stolicy. Leżała w zgliszczach, bo Aleksander puścił ją z dymem, kiedy ją zdobył. Dwór miał więc w Babilonie. Mógł przecież wybierać. Ten, który był dla Egipcjan Synem Słońca, a dla Persów

Królem Królów, który miał wojska w Indiach i w Atenach, zapragnął teraz pokazać się tak, jak na prawdziwego władcę świata przystało.

Może nie robił tego z dumy, ale dlatego, że jako uczeń Arystotelesa bardzo dobrze znał się na ludziach i wiedział, że władza wywiera stosowne wrażenie tylko w połączeniu z przepychem i dostojeństwem. Wprowadził więc wszystkie uroczyste ceremonie, jakie od tysiącleci były w zwyczaju na dworach władców Babilonu i Persji. Ludzie musieli padać przed nim na twarz i zwracać się do niego tak, jakby naprawdę był bogiem. Wzorem orientalnych królów poślubił też kilka kobiet, w tym córkę perskiego króla Dariusza, aby stać się jego rzeczywistym następcą. Nie chciał przecież pozostać obcym zdobywcą, pragnął połączyć mądrość i bogactwo Wschodu z jasnością myślenia i żywością swoich Greków i stworzyć coś zupełnie nowego i wspaniałego.

Grekom to się jednak nie podobało. Po pierwsze, jako zdobywcy chcieli pozostać jedynymi panami. Po drugie, jako ludzie wolni i do wolności przyzwyczajeni nie chcieli przed nikim padać na ziemię. Greccy przyjaciele i żołnierze Aleksandra stawali się coraz bardziej krnąbrni i musiał ich odsyłać do domu. Swojego wielkiego dzieła – zespolenia obu ludów – wciąż jeszcze nie dokonał, chociaż 10 tysiącom macedońskich i greckich żołnierzy, którzy ożenili się z Persyjkami, dał bogaty posag i wyprawił wielkie wesele.

Miał wielkie plany. Takich miast jak Aleksandria chciał założyć jeszcze wiele. Chciał budować drogi i swoimi wyprawami wojennymi wbrew woli Greków na dobre zmienić świat. Pomyśl tylko, co by było, gdyby już wtedy istniały stałe połączenia pocztowe od Indii do Aten! Ale pośród takich planów Aleksander umarł, w letnim pałacu Nabuchodonozora. W wieku, w którym większość ludzi dopiero staje się ludźmi. Mając niespełna 33 lata, w 323 roku przed Chrystusem.

Na pytanie, kto ma zostać jego następcą, odpowiedział w gorączce: „Najgodniejszy”. Ale takiego nie było. Wszyscy ci wodzowie i książęta w jego otoczeniu byli ambitnymi, rozrzutnymi ludźmi bez sumienia. Tak długo się kłócili o światowe imperium, aż się rozpadło. Rodzina jednego z wodzów objęła władzę w Egipcie – to byli Ptolemeusze, drugiego w Mezopotamii – Seleucydzi, a trzeciego w Azji Mniejszej – Attalidzi. Indie całkiem przepadły.

I nawet jeśli światowe imperium rozpadło się na kawałki, plan Aleksandra jednak powoli się spełniał. Grecka sztuka i grecki duch dotarły do Persji



i jeszcze dalej, do Indii i nawet do Chin. A Grecy dowiedzieli się, że na Atenach i Sparcie świat się nie kończy. Że mają przed sobą ważniejsze zadania niż wieczny spór między Dorami i Jonami. I właśnie od tego czasu, gdy całkiem utracili tę swoją odrobinę władzy politycznej, zaczęli sprawować największą władzę duchową, jaka kiedykolwiek istniała, władzę, którą nazywamy *greckim wykształceniem*. Wiesz, jakie ta władza miała twierdze? To biblioteki. Na przykład w Aleksandrii istniała taka grecka biblioteka, która w krótkim czasie zgromadziła 700 tysięcy zwojów. Tych 700 tysięcy zwojów to byli greccy żołnierze, którzy teraz podbijali świat. I to światowe imperium istnieje do dzisiaj.



## O NOWYCH WOJOWNIKACH I NOWYCH WALKACH



Aleksander wyprawiał się tylko na wschód – chociaż słowo „tylko” niezupełnie jest tu na miejscu! To, co leżało na zachód od Grecji, wcale go nie kusilo. Tych parę fenickich i greckich kolonii i kilka gęsto zalesionych półwyspów, zamieszkałych przez ludy rolnicze – twarde, ubogie i bitne. Jednym z tych półwyspów była Italia (tym mianem posługujemy się, mówiąc o dawnych dziejach późniejszych Włoch), a jednym z owych rolniczych ludów – Rzymianie. Państwo, które później miało zostać cesarstwem rzymskim, w czasach Aleksandra Wielkiego obejmowało zaledwie niewielki skrawek ziemi w sercu Italii, a Rzym był małym miastem z ulicami pełnymi zaułków, otoczonym mocnymi murami. Mieszkańców miał wszakże dumnych. Rzymianie dużo i chętnie opowiadali o swojej wielkiej historii i wierzyli, że czeka ich wielka przyszłość. Z upodobaniem wywodzili swoje dzieje od starożytnych Trojan. Lubili opowiadać o Eneaszu, który uciekł z Troi do Italii. Potomkami Eneasza byli bliźniacy Romulus i Remus, spółdzeni przez boga wojny Marsa, a wykarmieni mlekiem i wychowani w lesie przez prawdziwą wilczycę. I to Romulus założył Rzym, jak głosi legenda. Podaje nawet datę: w 753 roku przed Chrystusem. Od tej daty

Rzymianie liczyli czas, tak jak Grecy według olimpiad. Mówili: tego a tego roku od założenia miasta; według tej rachuby rzymski rok 100 na przykład odpowiadał naszemu rokowi 653 przed Chrystusem.

Z pryncypów swojego małego miasta Rzymianie opowiadali jeszcze wiele pięknych historii – o królach łaskawych i o niedobrych, o walkach z sąsiednimi miastami, chciałoby się wręcz powiedzieć: wioskami. Siódmy i ostatni król rzymski, Tarkwiniusz Pyszny, został podobno zamordowany przez pewnego arystokratę, Brutusa. Później rządzący arystokraci, zwani *patrycjuszami*, którzy byli kimś w rodzaju ojców miasta. Nie myśl jednak, że istnieli w tamtych czasach prawdziwi mieszczanie, byli to raczej zamożni chłopcy, którzy posiadali rozległe pastwiska i pola. Tylko oni mieli prawo wybierać miejskich urzędników, od kiedy nie było już królów.

Najwyżsi urzędnicy w Rzymie nazywali się *konsulami*. Zawsze urzędowali we dwóch i tylko przez rok. Potem musieli złożyć urząd. Poza patrycjuszami byli naturalnie jeszcze inni mieszkańcy. Nie mieli jednak słynnych przodków ani tytułów, nie należeli więc do arystokracji. Nazywano ich *plebejuszami*. Stanowili niemal odrębną kastę, podobnie jak w państwie indyjskim. Plebejusz nie miał prawa poślubić patrycjuszki. A tym bardziej zostać konsulem. Nie mógł nawet głosować podczas zgromadzenia ludowego na podmiejskim Polu Marsowym. A że tych plebejuszów było dużo, a do tego byli ludźmi równie nieustępliwymi i o takiej samej żelaznej woli jak patrycjusze, nie pozwalali tak sobą rządzić jak łagodni Indusi. Nieraz grozili, że opuszczą miasto, jeśli nie będą lepiej traktowani i nie otrzymają udziałów w zdobywanych polach i pastwiskach, które patrycjusze do tej pory zatrzymywali dla siebie. Po wiekach nieugiętych zmagani plebejusz wywalczyli sobie w końcu dokładnie takie same prawa, jakie w państwie rzymskim mieli patrycjusze. Z dwóch konsulów jeden musiał być patrycjuszem, a drugi plebejuszem. Tak było sprawiedliwie. Koniec tej długiej i żmudnej walki przypadł mniej więcej na czasy Aleksandra Wielkiego.

Teraz możesz już sobie jako tako wyobrazić, jakimi ludźmi byli Rzymianie. Nie potrafili myśleć tak szybko jak Ateńczycy ani nie byli takimi wynalazcami. I nie znajdowali takiego upodobania w pięknych rzeczach, w budowlach, posągach i pieśniach; rozważań nad światem i życiem również nie uważali za zbyt ważne. Ale jeśli już coś postanowili, to zrobili. Nawet jeśli miało to trwać dwieście lat. Bo byli prawdziwymi, z dawien dawna

zasiedziałymi rolnikami, a nie ruchliwymi żeglarzami jak Ateńczycy. Ich własność, ich stada i ich ziemie – o to się troszczyli. Nie za wiele jeździli po świecie, nie zakładali też kolonii. Kochali ojczystą ziemię i swoje miasto. Chcieli, żeby to miasto było potężne, dla *niego* robili wszystko. Za nie walczyli i za nie umierali. Poza ziemią rodzinną jeszcze jedno było dla nich ważne: ich *prawo*. Nie prawo słusznej sprawiedliwości, wobec którego wszyscy są równi, lecz prawo stanowione. Skodyfikowane. Ich ustawy zostały wyrzeźbione na dwunastu spiżowych tablicach i wystawione na rynku. Wszystko, co było tam napisane w skąpych i poważnych słowach, obowiązywało. Bez wyjątku. I bez litości czy łaski. Bo były to prawa ich starożytnej ojczyzny. I już choćby dlatego musiały być dobrymi prawami.

Istnieje wiele pięknych starych historii opowiadających o tej miłości Rzymian do swojej ojczyzny i o ich wierności prawu. Historii o ojcach, którzy bez zmruczenia oka skazywali własnych synów na śmierć, bo tak nakazywało prawo, historii o ludziach, którzy podczas bitwy czy w niewoli bez wahania poświęcali się dla rodaków. Te historie nie muszą być do końca prawdziwe, ale świadczą o tym, na co Rzymianie w ocenie człowieka przede wszystkim zwracali uwagę: na jego twardość i surowość wobec siebie i wobec innych wtedy, gdy chodziło o prawo i ojczyznę. Żadne nieszczęście nie mogło tych Rzymian złamać. Nie poddali się nawet wtedy, gdy w 390 roku przed Chrystusem ich miasto zostało zdobyte i spalone przez Galów, najeźdźców z północy. Odbudowali je, umocnili od nowa i stopniowo podporządkowali sobie małe sąsiednie miasta.

W czasach po Aleksandrze Wielkim małe wojny z małymi miastami już im nie wystarczały. Zaczęli poważnie podbijać cały półwysep. Ale nie jednym wielkim pochodem triumfalnym, jak zrobił to Aleksander. Tylko powolutku. Kawałek po kawałku, miasto po mieście, kraj po kraju. Z całym uporem i nieustępliwością, która była ich naczelną cechą. Zwykle odbywało się to tak: Rzym stał się potężnym miastem, więc inne miasta Italii zawierały z nim przymierza. Rzymianie chętnie na takie sojusze przystawali. Ale gdy się zdarzało, że sprzymierzeńcy byli innego zdania niż oni i nie chcieli ich słuchać, wybuchała wojna. Najczęściej zwyciężały rzymskie kompanie, zwane *legionami*. Pewnego razu jedno z miast w południowej Italii wezwało na pomoc przeciwko Rzymianom władcę i wodza greckiego Pyrrusa. Nadciągnął on ze słoniami bojowymi, czego się Grecy nauczyli od Indusów. I pokonał rzymskie legiony. Ale tylu jego ludzi poległo, że podobno

powiedział: „Jeszcze jedno takie zwycięstwo, a będziemy straceni”. Stąd do dziś mówimy o pyrrusowym zwycięstwie, jeśli zostało okupione zbyt wieloma ofiarami.

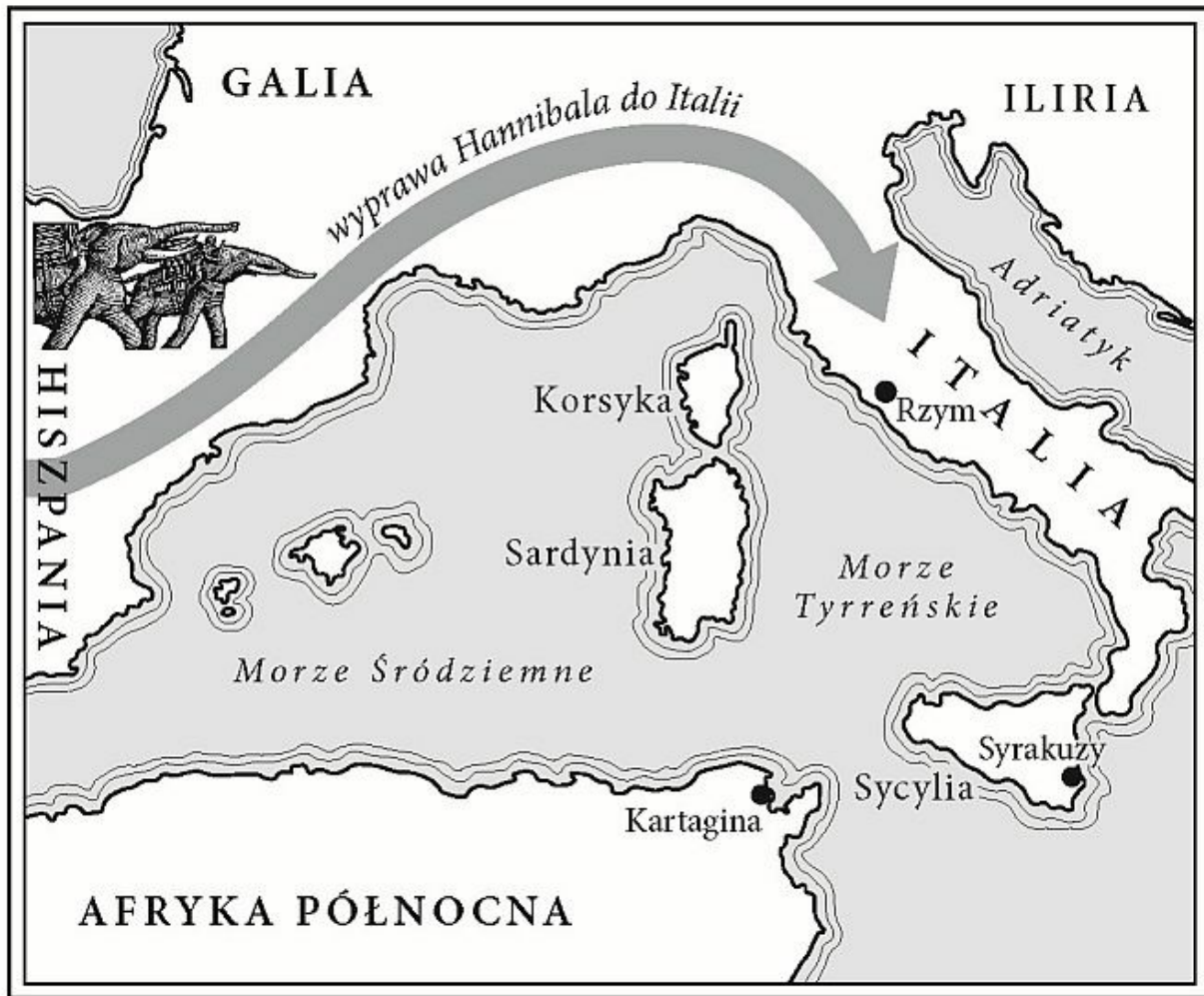
Pyrrus rzeczywiście szybko opuścił Italię i Rzymianie zostali panami całej południowej części kraju. Ale i tego było im mało. Chcieli podbić Sycylię, wyjątkowo urodzajną wyspę, gdzie zboże rosło wspaniale. Były tam także bogate kolonie greckie. Ale Sycylia w tych czasach nie należała już do Greków, tylko do Fenicjan.

Jak pamiętasz, Fenicjanie jeszcze przed Grekami wszędzie zakładali faktorie i miasta, przede wszystkim w Hiszpanii i Afryce Północnej. Takim północnoafrykańskim fenickim miastem była Kartagina, położona dokładnie naprzeciwko Sycylii. Najbogatsza i najpotężniejsza w całym regionie. Zamieszkiwali ją Fenicjanie, w Rzymie zwani Punijczykami. Pływali daleko na swoich statkach, wożąc morzem towary, skąd tylko i dokąd tylko się dało. A że na Sycylię mieli blisko, przywozili sobie stamtąd zboże.

Kartagińczycy stali się zatem pierwszymi wielkimi przeciwnikami Rzymian. I to bardzo groźnymi. Zwykle nie walczyli sami, inaczej niż Rzymianie, ale mieli dość pieniędzy, by zapłacić obcym żołnierzom, żeby walczyli za nich. W wojnie, która wybuchła teraz na Sycylii, początkowo zwyciężali, przede wszystkim dlatego, że Rzymianie nie mieli okrętów ani nie nawykli do tego, by pływać po morzu i na morzu walczyć. Na budowie okrętów też się wcale nie znali. Lecz kiedyś kartagiński okręt osiadł na mieliźnie u wybrzeży Italii. Posłużyli się nim jako wzorcem i w ciągu dwóch miesięcy zbudowali w ogromnym pośpiechu wiele takich okrętów. Wydali na nie wszystkie pieniądze i z tą nową flotą pokonali Kartagińczyków, którzy teraz musieli im oddać Sycylię. Było to w 241 roku przed Chrystusem.

Ale walka między obydwojmi miastami dopiero się zaczęła. Kartagińczycy pomyśleli sobie: skoro odebrali nam Sycylię, to podbijemy Hiszpanię. Tam nie było Rzymian, tylko dzikie plemiona. Rzymianie jednak i na to nie chcieli pozwolić. Lecz Kartagińczycy mieli w Hiszpanii wodza, którego syn Hannibal był kimś zupełnie wyjątkowym. Dorastał wśród żołnierzy i znał wojnę jak mało kto. Głód i chłód, upał i pragnienie, maszerowanie całymi dniami i nocami – do tego wszystkiego nawykł od dawna. Był dzielny, umiał rozkazywać, był sprytny, jeśli chciał wroga przechytrzyć, a niesłuchanie twardy, jeśli chciał go wziąć pod but. Żaden karierowicz, tylko człowiek, który na wojnie rozważał wszystko jak dobry

szachista.



Między Kartaginą a Rzymem wybuchła walka o Sycylię, co skłoniło Hannibala do przeprawy przez Alpy.

Ponadto był dobrym Kartagińczykiem. Nienawidził Rzymian, którzy chcieli rozkazywać jego miastu. A teraz, kiedy Rzymianie zaczęli się jeszcze wtrącać w Hiszpanii, miara się przebrała. Na czele ogromnej armii opuścił Hiszpanię, zabierając z sobą słonie bojowe. Była to straszliwa broń. Przemaszerował z nimi przez całą Francję (wtedy zwaną Galią), przez góry i rzeki, a w końcu przez Alpy, by dotrzeć do Italii. Prawdopodobnie przeprawił się przez przełęcz, która dziś nazywa się Mont-Cenis. Sam kiedyś tamtędy szedłem. Teraz biegnie tam szeroka, bardzo kręta droga. Ale jak ludzie w tamtych czasach przedostawali się przez dzikie, bezdrożne góry na

drugą stronę, trudno pojąć. Są tam niedostępne doliny, strome urwiska i śliskie zbocza porośnięte trawą. Nie chciałbym przeprowiać się tamtędy ze słoniem, a tym bardziej z trzydziestoma siedmioma. W dodatku był już wrzesień i w górach leżał śnieg. Hannibal jednak utorował drogę sobie i swojemu wojsku i wkroczył do Italii. Rzymianie stawili mu czoło. W krwawej bitwie pokonał ich wojska. Gdy druga armia rzymska napadła w nocy na jego obozowisko, Hannibal uratował się podstępem. Stadu wołów przywiązał do rogów płonące pochodnie i spędził zwierzęta po zboczu góry, na której stał obóz. W ciemności Rzymianie myśleli, że to żołnierze Hannibala idą z pochodniami, i ruszyli za nimi. Kiedy ich dopędzili, zobaczyli, że to woły. Ależ musieli mieć miny!

Rzymianie mieli bardzo mądrego wodza o imieniu Kwintus Fabiusz Maksymus, który unikał konfrontacji z Hannibalem. Uważał, że Hannibal w obcym kraju na pewno straci kiedyś cierpliwość i popełni jakieś głupstwo. Ale Rzymianie nie chcieli czekać. Szydzili z Kwintusa Fabiusza, nadali mu przydomek Kunktator, co znaczy „opieszawy”, „zwlekający”. I zaatakowali Hannibala. Pod miejscowością o nazwie Kanny. I zostali straszliwie rozgromieni. Poległo 40 tysięcy Rzymian. W tej bitwie w 216 roku przed Chrystusem Rzymianie ponieśli najsromotniejszą klęskę. Mimo to Hannibal nie ruszył wtedy na Rzym. Był ostrożny. Chciał zaczekać na posiłki z ojczyzny i to go zgubiło. Bo Kartagińczycy nie przysłali nowych oddziałów. A jego własne z wolna dziczały, plądrując i grabiąc italskie miasta. Rzymianie odczuwali przed nim taki lęk, że już go nigdy więcej bezpośrednio nie atakowali. Powołali wszakże wszystkich mężczyzn do służby wojennej. Wszystkich. Nawet bardzo młodych chłopców i niewolników. Każdy mężczyzna w Italii stał się żołnierzem, a nie byli to tylko najemnicy, jak w armii Hannibala. To byli Rzymianie. Wiesz, co to znaczy. Walczyli z Kartagińczykami na Sycylii i w Hiszpanii, a kiedy nie mieli za przeciwnika Hannibala, zawsze zwyciężali.

W końcu Hannibal po czternastu latach musiał wrócić z Italii do Afryki, bo był potrzebny rodakom na miejscu. Rzymianie pod dowództwem Scypiona ruszyli bowiem w kierunku Kartaginy. I tę bitwę Hannibal przegrał. W 202 roku przed Chrystusem Rzymianie pokonali Kartaginę. Kartagińczycy musieli spalić całą swoją flotę i zapłacić ogromne odszkodowania wojenne. Hannibal musiał uciekać, a potem zażył truciznę, by nie dostać się do rzymskiej niewoli. Rzym po tym zwycięstwie stał się tak potężny, że podbił

również Grecję, która znajdowała się jeszcze pod władzą Macedończyków, ale była jak zwykle skłócona i rozdarta. Z Koryntu Rzymianie zabrali najpiękniejsze dzieła sztuki i spalili miasto.

Rzym rozszerzył swoje granice także na północ, na kraj Galów, którzy go dwieście lat wcześniej zniszczyli. Rzymianie zdobyli tereny dzisiejszych północnych Włoch. Niektórym jednak to wciąż było za mało. Nie mogli znieść, że Kartagina w ogóle jeszcze istnieje. Zwłaszcza o jednym patrycjuszu, Katonie, słynnym z nieugiętości, choć skądinąd prawym i zacnym, opowiada się, że podczas narad w rzymskim senacie powtarzał przy każdej okazji, a także bez okazji: „Poza tym uważam, że Kartaginę należy zniszczyć”. W końcu Rzymianie to zrobili. Pod jakimś pretekstem zaatakowali Kartaginę. Mieszkańcy bronili się rozpaczliwie. Gdy Rzymianie zajęli miasto, jeszcze przez sześć dni musieli walczyć na ulicach o każdy dom. Ale potem wszyscy Punijczycy byli albo martwi, albo wzięci do niewoli. Domy zostały zburzone, a miejsce, na którym kiedyś stała Kartagina, zrównane z ziemią, zaorane i posypane solą, żeby już nigdy nic tam nie wyrosło. Było to w 146 roku przed Chrystusem. Miasto Hannibala przestało istnieć. Najpotężniejszym miastem ówczesnego świata został Rzym.





## WRÓG HISTORII



Jeśli historia dotychczas cię nudziła, to teraz się ucieszysz.

W tym samym czasie, kiedy Hannibal walczył w Italii (po 220 roku przed Chrystusem), żył w Chinach cesarz, który tak bardzo nie lubił historii, że w 213 roku przed Chrystusem kazał spalić wszystkie historyczne księgi, stare dokumenty, wszystkie śpiewniki oraz wszystkie pisma Konfucjusza i Laozi, w ogóle cały ten niepraktyczny chłam. Dozwolone miały być tylko księgi poświęcone rolnictwu i w ogóle pożytecznym rzeczom. Kto posiadałby jakąś inną, miał zostać uśmiercony.

Nazywał się ów cesarz Qin Shi i był jednym z największych bohaterów wojennych wszech czasów. Nie urodził się w rodzinie cesarskiej, lecz jako syn jednego z książąt, o których już opowiadałem. Prowincja, którą władał, nim się ogłosił Pierwszym Cesarzem, nazywała się Qin, tak jak jego rodzina. Prawdopodobnie stąd wywodzi się nazwa całych Chin. Istnieje naprawdę

dość powodów, żeby nazywać Chiny imieniem księcia Qin, bo nie tylko drogą podbojów zjednoczył państwo i stał się władcą całych Chin, lecz także wszystko urządził na nowo. Obalił pozostałych książąt i przeprowadził nowy podział administracyjny ogromnego kraju. Właśnie po to, by rzeczywiście zacząć wszystko od nowa, chciał całkowicie wymazać pamięć dawnych czasów. Chiny miały być *jego* dziełem. Stworzył sieć dróg w całym kraju i rozpoczął wspaniałą rzecz: budowę Wielkiego Muru Chińskiego. Dziś jest to potężny, długi na tysiące kilometrów wał graniczny z blankami i wieżami, ciągnący się przez równiny i doliny, strome góry i pagórki. Qin Shi Huangdi wzniósł go po to, by chronić Chiny i miliony ich pracowitych, pokojowo nastawionych mieszczan i chłopów przed dzikimi ludami ze stepów, wojowniczymi hordami jeźdźców z rozległych równin Azji. Wielki Mur miał powstrzymać te hordy, które raz po raz napadały na Chiny, żeby plądrować, grabić i mordować. Stał przez kilka tysięcy lat i choć oczywiście nieraz musiał być naprawiany, stoi jeszcze dzisiaj.

Sam Qin Shi Huangdi nie panował długo. Wkrótce inna dynastia zasiadła na tronie Synów Nieba. Dynastia Han. Tego, co cesarz Qin Shi zrobił dobrze, nie miała zamiaru zmieniać. Chiny pozostały państwem zwartym, jednolitym. Ale Hanowie nie byli wrogami historii. Przeciwnie. Pamiętali, co Chiny zawdzięczały naukom Konfucjusza. Zaczęto więc wszędzie szukać starych pism i okazało się, że wielu ludzi miało w swoim czasie dość odwagi, by ich nie spalić. Zbierano je i szanowano teraz w dwójnasób. I tylko ten, kto dobrze znał wszystkie te pisma, mógł zostać w Chinach urzędnikiem.

Chiny są właściwie jedynym krajem na świecie, w którym przez wiele stuleci nie rządziła ani szlachta, ani wojsko, ani kapłani, lecz uczeni. Czy ktoś był wysokiego, czy niskiego rodu, nie miało znaczenia. Kto dobrze zdał egzamin, zostawał urzędnikiem. Kto najtrudniejsze egzaminy zdał najlepiej, ten otrzymywał najwyższy urząd. A egzaminy nie były łatwe. Trzeba było umieć pisać wieloma tysiącami znaków. Jak wiesz, w Chinach nie jest to proste. I trzeba było znać na pamięć jak najwięcej starych ksiąg i zawsze bezbłędnie recytować nauki i zasady Konfucjusza oraz innych dawnych mędrców.

Spalenie książek przez Qin Shi Huangdi nic więc nie dało, a jeśli zdążyłeś się ucieszyć, to ucieszyłeś się na próżno. Ni stąd, ni zowąd zabronić historii – pożytek pewnie z tego żaden. Właśnie ten, kto chce zrobić coś nowego, powinien bardzo dobrze znać to, co było kiedyś.



## WŁADCY ZACHODNIEGO ŚWIATA



Rzymianom nigdy nie przyszło do głowy coś takiego, jak Aleksandrowi Wielkiemu. Oni nie chcieli ze zdobytych krajów tworzyć jednego wielkiego państwa, w którym wszyscy ludzie podlegaliby temu samemu prawu. Nie, kraje podbijane przez rzymskie legiony – a imperium powiększało się coraz szybciej – wszystkie te kraje stały się rzymskimi prowincjami. To znaczy, że w miastach stacjonowali tam teraz rzymscy żołnierze, a władzę administracyjną sprawowali rzymscy urzędnicy. Bardzo się wynosili nad tubylców, nawet jeśli tymi tubylcami byli Fenicjanie, Żydzi czy Grecy, a więc ludy o bardzo starej kulturze. W oczach Rzymian istnieli oni na świecie tylko po to, żeby płacić. Mieli uiszczać horrendalne podatki i jak najczęściej słać do Rzymu zboże. Jeśli to robili, zostawiano ich we względnym spokoju. Mogli zachować swoją religię i mówić we własnym języku. Rzymianie przynieśli im nawet sporo dobrego. Przede wszystkim

zbudowali drogi. Wiele wspaniałych, brukowanych dróg, prowadzących z Rzymu przez równinę i najbardziej odległe górskie przełęcze. Nie ze względu na mieszkańców dalekich okolic je budowali, lecz po to, żeby szybko wysyłać wiadomości i żołnierzy do wszystkich części imperium. I w ogóle znali się na praktycznych budowlach.

Świetnie umieli kłaść zwłaszcza wodociągi; z dalekich gór doprowadzali czystą wodę do miast, gdzie zakładali liczne studnie i łaźnie, aby rzymscy urzędnicy również na obczyźnie mieli to, do czego przywykli w domu.

Obywatel Rzymu zawsze był jednak kimś zupełnie innym niż tubylec. Podlegał prawu rzymskiemu. Gdziekolwiek się znalazł w wielkim cesarstwie rzymskim, mógł się zwrócić do rzymskich urzędników. „Jestem obywatelem rzymskim!” – to zdanie brzmiało jak zaklęcie. Nagle wszyscy stawiali się grzeczni i uprzejmi wobec każdego, kto je wypowiadał, choćby wcześniej nie zwracali na niego uwagi.

Lecz prawdziwymi panami świata byli w tamtych czasach rzymscy żołnierze. To oni trzymali w korbach to ogromne państwo, ujarzmiali krnąbrnych tubylców i okrutnie karali tych, którzy stawiali opór. Dzielni, bitni i ambitni, w każdym dziesięcioleciu zdobywali jakiś nowy kraj na północy, południu czy wschodzie. Gdy tak wkraczali marszowym krokiem, w pancerzach ze skóry, wzmocnionych metalowymi płytami, z tarczami i oszczepami, z procami i mieczami, z katapultami do wyrzucania strzał i balistami miotającymi kamienie, wyćwiczeni i zaprawieni w bojach, nikt nie miał złudzeń, że obrona jest beznadziejna. Ich ulubionym rzemiosłem była walka. A kiedy odnosili kolejne zwycięstwo, wracali do Rzymu, ze swoim wodzem na czele, ze wszystkimi jeńcami i łupami. Przy wtórze trąb i pośród wiwatujących tłumów przechodzili przez bramy i łuki triumfalne pokryte malowidłami, które jak plakaty obwieszczały ich zwycięstwa. Wódz w purpurowej todze haftowanej w gwiazdy stał na rydwaniu, z wieńcem laurowym na głowie, w świętej szacie ze świątynnym wizerunkiem ojca bogów, Jowisza. Jako drugi Jowisz jechał stromą drogą do świątyni na wzgórzu kapitolńskim. I gdy on na górze składał bogu ofiarę dziękczynną, na dole zabijano dowódców pokonanych nieprzyjaciół.

Wódza, który często w taki sposób triumfował nad wrogami, zapewniał bogate łupy, a weteranów obdarowywał kawałkiem ziemi, żołnierze kochali jak ojca. Dla niego gotowi byli zrobić wszystko. Nie tylko w kraju nieprzyjaciela, lecz także w ojczyźnie. Uważali, że ten, kto tak wspaniale się

spisał jako bohater wojenny, na pewno potrafi zrobić porządek również w domu. A to się często okazywało konieczne, bo w Rzymie nie zawsze wszystko było jak należy. W tym ogromnym już mieście istniała cała armia biedaków, którzy nie mieli z czego żyć. A jeśli się zdarzyło, że prowincje nie przysłały zboża, w Rzymie panował głód.

Kiedyś, około 130 roku przed Chrystusem (a więc szesnaście lat po zniszczeniu Kartaginy), dwaj bracia ujęli się za tą masą biednych, wygłodzonych ludzi i chcieli osiedlić ich za morzem, w Afryce, jako rolników. Byli to bracia Grakhowie. Ale w toku walk politycznych obaj zostali zabici.

Podobnie jak żołnierze, również te masy ludzkie zawsze były gotowe zrobić wszystko dla każdego, kto tylko im zapewnił chleb i igrzyska. Bo Rzymianie zawsze lubili igrzyska. Co prawda nie takie jak greckie, podczas których dostojni obywatele sami brali udział w zawodach i śpiewali pieśni ku czci ojca bogów. Rzymianie uważaliby, że to śmieszne. Bo kto poważny i dostojny śpiewa pieśni albo zdejmuje udrapowaną świąteczną togę, by w obecności innych ludzi rzucać oszczepem? Za nich załatwiali to jeńcy. Na oczach tysięcy i dziesiątków tysięcy ludzi musieli fechtować, walczyć ze sobą lub z dzikimi zwierzętami i przedstawiać całe bitwy. Były to widowiska śmiertelnie poważne i krwawe. Lecz Rzymian właśnie to podniecało, lubili się przyglądać nie tylko walkom wyszkolonych gladiatorów, lecz także ludziom skazanym na karę śmierci, pożeranym lub tratowanym przez dzikie zwierzęta, lwy i niedźwiedzie, a także tygrysy i słonie.

Kogo stać było na zapewnianie ludowi dostatecznie wielu takich kosztownych rozrywek oraz darmowego zboża, ten był lubiany w mieście i mógł sobie pozwolić na wszystko. Jak możesz się domyślić, wielu podejmowało takie próby. Czasami jeden miał po swojej stronie wojsko i rzymską arystokrację, drugi natomiast masy ludu miejskiego i zubożałych chłopów. Toczyli więc długie walki o władzę i raz ten, raz tamten był górą. Takimi wrogami stali się Mariusz i Sulla. Mariusz walczył w Afryce, a potem ze swoim wojskiem uwolnił Rzym od straszliwego niebezpieczeństwa – wojowniczych barbarzyńskich ludów z północy, które w 113 roku przed Chrystusem wtargnęły do Italii (jak w swoim czasie Dorowie do Grecji, a siedemset lat później Galowie do Rzymu). Byli to Cymbrowie i Teutonowie, spokrewnieni z dzisiejszymi Niemcami. Walczyli tak dzielnie, że nawet rzymskie legiony przed nimi pierzchały. Dopiero Mariusz ze

swoimi żołnierzami powstrzymał najeźdźców i rozgromił ich ze szczętem.

Stał się największym ulubieńcem Rzymu. Sulla tymczasem dalej walczył w Afryce i również został triumfatem. Teraz ci dwaj wypowiedzieli sobie wojnę. Mariusz kazał uśmiercić wszystkich przyjaciół Sulli. A Sulla sporządził długie listy Rzymian, którzy trzymali stronę Mariusza, i też kazał ich wymordować. Skonfiskowane majątki wspaniałomyślnie podarował państwu. Sulla razem ze swoimi żołnierzami rządził Rzymem do 79 roku przed Chrystusem.

Przez te lata straszliwych zawieruch Rzymianie bardzo się zmienili. Nie byli już rolnikami. Niektórzy bogaci ludzie wykupili mniejsze dobra chłopskie i na swoich wielkich włościach kazali pracować niewolnikom. W ogóle Rzymianie się przyzwyczaili, że niewolnicy robią wszystko. Nie tylko robotnicy w kopalniach i kamieniołomach, lecz nawet domowi nauczyciele dzieci arystokratów byli najczęściej niewolnikami, jeńcami wojennymi albo potomkami jeńców. Handlowano nimi jak towarem. Kupowano ich i sprzedawano jak woły czy owce. Ten, kto kupił niewolnika, był jego panem. Mógł z nim zrobić, co chciał, nawet go zabić. Niewolnicy nie mieli żadnych praw. Niektórzy panowie sprzedawali ich organizatorom igrzysk, aby walczyli z dzikimi zwierzętami. Nazywano tych niewolników *gladiatorami*. Pewnego razu gladiatorzy się zbuntowali. Wezwał ich do walki gladiator o imieniu Spartakus, który porwał za sobą rzesze niewolników z majątków ziemskich. Walczyli z ogromną desperacją i Rzymianie z największym trudem zdołali ich pokonać. Naturalnie zemścili się okrutnie. Było to w 71 roku przed Chrystusem.

W tym czasie miłość rzymskiego ludu zaskarbili już sobie nowi wodzowie. Zwłaszcza jeden z nich: Gajusz Juliusz Cezar. On też potrafił pożyczać niewyobrażalne sumy, aby urządzać dla ludu wspaniałe igrzyska i rozdawać zboże. Ale potrafił nie tylko to. Był naprawdę wielkim wodzem. Jednym z największych, jacy kiedykolwiek istnieli. Kiedyś wyruszył na kolejną wojnę. Już po kilku dniach dotarł do Rzymu jego list, który zawierał tylko trzy łacińskie słowa: *veni, vidi, vici*. To znaczy: przybyłem, zobaczyłem, zwyciężyłem. Taki był pędki.

Zdobył dla Rzymu Francję, która wtedy nazywała się *Galią*. Nie była to łatwa sprawa, bo żyły tam ludy niezwykle dzielne, wojownicze i niestrachliwe. Cezar walczył w Galii przez siedem lat. Od 58 do 51 roku przed Chrystusem. Ze Szwajcarami, którzy wtedy nazywali się *Helwetami*,

z Galami i Germanami. Dwa razy przeprowadził się przez Ren na ziemie dzisiejszych Niemiec i dwa razy przez morze do Anglii, zwanej przez Rzymian *Brytanią*. Zrobił to po to, żeby ościenne ludy nauczyć respektu dla Rzymian. Chociaż Galowie przez całe lata bronili się rozpaczliwie, zadawał im klęskę za klęską i wszędzie zostawiał swoich żołnierzy. Od tamtej pory Galia była prowincją rzymską. Ludność wkrótce przywykła do łaciny. Podobnie jak w Hiszpanii. Język Francuzów i język Hiszpanów pochodzą więc od Rzymian, po łacinie: *Romani*, dlatego nazywamy je językami *romańskimi*.

Po podboju Galii Cezar wrócił z wojskiem do Italii. Był teraz najpotężniejszym człowiekiem na świecie. Innych wodzów, swoich wcześniejszych sprzymierzeńców, zwalczał i w końcu pokonał. Związał się też z piękną egipską królową Kleopatrą i wcielił Egipt do imperium rzymskiego. Potem zabrał się do porządków. Do tego naprawdę miał talent. Bo porządek miał też w głowie. Wyobraź sobie, że potrafił dyktować dwa listy naraz i nic mu się nie plątało!

Zrobił gruntowny porządek nie tylko z całym państwem, lecz także z czasem. Co to znaczy? Wprowadził nowy kalendarz. Prawie taki, jaki mamy dzisiaj. Z dwunastoma miesiącami i latami przestępnymi. Od nazwiska Gajusza Juliusza Cezara [bo Juliusz to nazwisko, nie imię – przyp. tłum.] nosi on nazwę kalendarza juliańskiego. A że Juliusz Cezar był wielkim człowiekiem, jeden miesiąc w kalendarzu nazwano na jego cześć *Iulius*. Rzymska nazwa lipca pochodzi więc od nazwiska tego szczupłego, łysego mężczyzny, który lubił nosić na głowie złoty wieniec laurowy i w którego słabym, chorowitym ciele kryły się tak silna wola i tak jasny umysł.

Jak już powiedziałem, Cezar był wtedy najpotężniejszym człowiekiem na świecie. Mógł zostać królem rzymskiego imperium. I zostałby nim. Ale Rzymianie byli zazdrośni. Nawet jego najlepszy przyjaciel, Brutus. Nie chcieli, żeby nimi rządził. Obawiali się, że ich sobie podporządkuje, postanowili go więc zamordować. Pewnego dnia w senacie, rzymskiej radzie państwa, otoczyli go nagle kołem i zaczęli zadawać mu ciosy sztyletami. Cezar się bronił. Ale gdy ujrzał Brutusa, podobno powiedział: „I ty, Brutusie, synu mój?”. I nie stawiając już oporu, pozwolił się zabić. Było to w 44 roku przed Chrystusem.

Jak po lipcu (*Iulius*) przychodzi sierpień (*Augustus*), tak spadkobiercą Juliusza Cezara został jego adoptowany syn, Cezar Oktawian August. Długo

musiał walczyć z różnymi wodzami na lądzie i morzu, nim w 31 roku przed Chrystusem rzeczywiście zdołał przejąć władzę nad całym imperium. Został pierwszym cesarzem rzymskim. Wiesz, od czego pochodzi słowo „cesarz”? Właśnie od przydomka Gajusza Juliusza: Cezar.



*Straż na wszystkich granicach rozległego cesarstwa rzymskiego pełnili legionieści. Między Renem a Dunajem zbudowano też wał obronny.*

Ponieważ jeden miesiąc w kalendarzu nazwano imieniem Juliusza Cezara, nazwano też jeden na cześć Augusta. Naprawdę na to zasłużył. Nie był tak wybitnym człowiekiem jak Cezar, ale bardzo sprawiedliwym i rozważnym. Umiał panować nad sobą, miał więc prawo panować nad innymi. Powiadają, że nigdy nie wydał żadnego rozkazu ani niczego nie postanowił w gniewie. Gdy coś go rozgniewało, po cichu przepowiadał sobie alfabet. Trochę czasu mijało, a on odzyskiwał jasność myślenia. Taki był Oktawian August: człowiek o jasnym umyśle, dobrze i sprawiedliwie zarządzający rozległym państwem. Był nie tylko wojownikiem i nie tylko walki gladiatorów go obchodziły. Żył skromnie i umiał docenić piękno rzeźb i poezji. A ponieważ



Rzymianie nie potrafili tworzyć tak pięknych rzeźb ani pisać tak pięknych wierszy jak niegdyś Grecy, kazał zrobić kopie najlepszych greckich dzieł sztuki i ustawić je w swoich pałacach i ogrodach. Rzymscy poeci w jego czasach (a mówimy tylko o najsłynniejszych poetach) też się starali uprawiać poezję jak najbardziej zbliżoną do tej pisanej przez Greków. Grecy byli dla nich wzorem. To, co greckie, już wtedy uważano za najpiękniejsze. Dlatego w Rzymie oznaką wytworności było mówienie po grecku, czytanie dawnych greckich poetów i zbieranie greckich dzieł sztuki. Bardzo szczęśliwie to dla nas. Bo gdyby nie Rzymianie, może dziś nic byśmy już o tym wszystkim nie wiedzieli.



## DOBRA NOWINA



Oktawian August panował od 31 roku przed Chrystusem do 14 roku po Chrystusie. Jak widzisz, Jezus Chrystus urodził się za jego czasów. W Palestynie, która była wtedy prowincją rzymską. Jak żył i czego nauczał Jezus Chrystus, dowiesz się z Biblii. Co jest najistotniejsze w jego nauce, już wiesz – że nie ma znaczenia, czy ktoś jest bogaty, czy biedny, wysoko czy nisko urodzony, czy jest panem, czy niewolnikiem, wielkim myślicielem czy dzieckiem. Że wszyscy ludzie są dziećmi Bożymi. I że miłość tego Ojca jest nieskończona. Że żaden człowiek nie jest przed nim bezgrzeszny, ale że Bóg ma dla grzesznika zmiłowanie. Że nie sprawiedliwość jest najważniejsza, lecz łaska.

Wiesz, co to jest łaska: wielka, obdarowująca i przebacząca miłość Boga. I że powinniśmy być dla bliźnich tacy, jakim chcielibyśmy, żeby Bóg Ojciec był dla nas. Dlatego Jezus nauczał: „Miłujcie waszych nieprzyjaciół;

dobrze czyńcie tym, którzy was nienawidzą; błogosławcie tych, którzy was przeklinają, i módlcie się za tych, którzy was oczerniają. Jeśli cię kto uderzy w [jeden] policzek, nadstaw mu i drugi! Jeśli bierze ci płaszcz, nie broń mu i szaty!”.

Wiesz, że Jezus bardzo krótko wędrował po kraju, głosząc kazania, nauczając, uzdrawiając chorych i pocieszając ubogich. Wiesz też, o co go oskarżono – że chce zostać królem Żydów. Dlatego jako buntowniczy Żyd został przez rzymskiego urzędnika Poncjusza Piłata skazany na śmierć przez ukrzyżowanie. Na tę okrutną karę skazywano tylko niewolników, rozbójników i członków ludów podbitych. Uważano ją też za najstraszliwszą hańbę. Ale Chrystus nauczał, że największy ból na świecie ma swój sens, że ubodzy, płaczący, prześladowani i cierpiący są błogosławieni w swoim nieszczęściu. I dla pierwszych chrześcijan właśnie cierpiący, umęczony Syn Boży stał się symbolem nauki, którą sam głosił. Dziś trudno nam sobie wyobrazić, co to znaczy. Krzyż był bowiem gorszy od szubienicy. I ta hańbiąca szubienica stała się znakiem nowej nauki. Wyobraź sobie, co rzymski urzędnik czy żołnierz, rzymski nauczyciel o greckim wykształceniu, dumny ze swojej mądrości, swojej retoryki i znajomości filozofów, musiał sobie myśleć, gdy słuchał jednego z owych wielkich kaznodziejów, na przykład apostoła Pawła w Atenach czy w Rzymie, głoszących naukę Chrystusową. O czym apostoł wtedy mówił, możemy jeszcze dziś przeczytać w jego Pierwszym Liście do Koryntian, rozdział 13:

„Gdybym mówił językami ludzi i aniołów, a miłości bym nie miał, stałbym się jak miedź brzęcząca albo cymbał brzęmiący. Gdybym też miał dar prorokowania i znał wszystkie tajemnice, i posiadał wszelką wiedzę, i wszelką [możliwą] wiarę, tak iżbym góry przenosił, a miłości bym nie miał, byłbym niczym. I gdybym rozdał na jałmużnę całą majątność moją, a ciało wystawił na spalenie, lecz miłości bym nie miał, nic bym nie zyskał. Miłość cierpliwa jest, łaskawa jest. Miłość nie zazdrości, nie szuka poklasku, nie unosi się pychą; nie dopuszcza się bezwstydu, nie szuka swego, nie unosi się gniewem, nie pamięta złego; nie cieszy się z niesprawiedliwości, lecz współweseli się z prawdą. Wszystko znosi, wszystkiemu wierzy, we wszystkim pokłada nadzieję, wszystko przetrzyma. Miłość nigdy nie ustaje [...]”.

Na te słowa Pawła rzymscy patrycjusze, dla których najważniejsze było prawo, pewnie tylko potrząsali głową. Ale ludzie biedni i udręczeni pierwsi

poczułi, że coś całkiem nowego przyszło na świat: dobra nowina, wielka zapowiedź Bożej łaski, będącej czymś więcej niż prawo. Dobra nowina czy też pomyślna wiadomość to po grecku *euangelion*, czyli ewangelia. Dobra nowina o łasce Boga Ojca, który jest jeden jedyny i niewidzialny, jak to pierwsi nauczali Żydzi, wśród których Chrystus żył i głosił kazania – ta dobra nowina rozeszła się wkrótce po całym rzymskim imperium.

I wtedy rzymscy urzędnicy się zaniepokoiłi. Jak wiesz, na ogół nie wtrącali się w sprawy religii. To jednak było coś nowego. Chrześcijanie, którzy wierzyli w jedynego Boga, nie chcieli palić kadzidła przed wizerunkami cesarzy. A taki zwyczaj istniał, odkąd w Rzymie panowali cesarze. Kazali oddawać sobie cześć jako bogom, tak jak władcy egipscy i chińscy, babilońscy i perscy. W całym kraju stały ich posągi i dobry obywatel co i raz musiał ofiarowywać parę ziaren kadzidła cesarskim wizerunkom. Chrześcijanie tego nie robili. Więc postanowiono ich zmusić.

Mniej więcej trzydzieści lat po śmierci krzyżowej Chrystusa (czyli około sześćdziesięciu lat po jego narodzinach) władał imperium rzymskim okrutny cesarz Neron. Jeszcze dziś mówimy o nim ze zgrozą jak o najpotworniejszym łajdaku. Najbardziej odrażające jest w nim właściwie to, że nie był nikiem wielkim, całkowicie bezwzględny i złym do szpiku kości, lecz po prostu zniewieściałym, próżnym, podejrzliwym, leniwym człowiekiem, który pisał wiersze i śpiewał pieśni, jadał czy wręcz pożerał najbardziej wyszukane potrawy i nie miał cienia przyzwoitości ani charakteru. Na jego obwisłej, nawet niebrzydkiej twarzy malował się wokół ust zadowolony, syty, okrutny grymas. Neron kazał zamordować własną matkę, własną żonę i swojego nauczyciela, i jeszcze wielu innych krewnych i przyjaciół. Ciągłe się bał, że kiedyś i jego ktoś może zamordować. Bo tchórzem też był. W tym czasie wybuchł w Rzymie wielki pożar, który przez wiele dni i nocy trawił dzielnicę za dzielnicą, okręg za okręgiem i pozbawił setki tysięcy ludzi dachu nad głową, gdyż Rzym był już wtedy ogromnym, ponadmilionowym miastem. A cóż robił w tym czasie Neron? Stał na balkonie swojego wspaniałego pałacu i przygrywając sobie na lirze, śpiewał własną pieśń o spaleniu Troi. Uważał, że jest bardzo odpowiednia na tę chwilę. A wtedy lud, który dotychczas wcale aż tak go nie nienawdził, bo Neron urządził dla niego piękne igrzyska, a okrutny był tylko wobec najbliższych przyjaciół i znajomych – teraz ten lud wpadł we wściekłość. Ludzie zaczęli mówić, że Neron sam podpalił Rzym. Czy tak było naprawdę, nie wiemy. W każdym

razie Neron zdawał sobie sprawę, że można go i o to posądzić. Szukał więc kozła ofiarnego. I znalazł – chrześcijan. Chrześcijanie często mawiali, że ten świat musi zginąć, aby mógł powstać świat lepszy, czystszy. Ty wiesz, co mieli na myśli. Ale ludzie zwykle słuchają nieuważnie, więc wkrótce rozeszło się po Rzymie, że chrześcijanie chcą końca świata i że nienawidzą ludzi. Czy nie dziwny to zarzut?

Neron aresztował i okrutnie wymordował wszystkich chrześcijan, jakich udało mu się dopaść. Ginęli nie tylko w amfiteatrze, rzucając dzikim zwierzętom na pożarcie, lecz także w prywatnych ogrodach Nerona, służąc za żywe pochodnie podczas wielkiej uczyt wieczornej. Chrześcijanie z niesłychaną odwagą znosili wszystkie męczarnie. Byli dumni, że są świadkami mocy nowej wiary. Świadek to po grecku to samo, co męczennik – *martyś*. Później oddawano tym męczennikom cześć jako pierwszym świętym, a chrześcijanie pielgrzymowali do ich grobów, by się tam modlić. Ponieważ nie mogli się gromadzić za dnia i w miejscach publicznych, zbierali się potajemnie w katakumbach. Są to podziemne cmentarze, położone za miastem i z dala od drogi, gdzie w korytarzach i komorach grobowych były namalowane na ścianach bardzo proste obrazki przedstawiające sceny z historii biblijnej, które miały przypominać chrześcijanom o potędze Boga i życiu wiecznym: Daniel w lwiej jamie, trzech młodzianków w piecu ognistym lub Mojżesz wydobywający wodę ze skały.

Tam, w tych podziemnych korytarzach, chrześcijanie spotykali się w nocy, rozmawiali o nauce Chrystusa, spożywali wspólnie Wieczерę Pańską i dodawali sobie nawzajem otuchy, gdy groziły nowe prześladowania. Mimo wszystkich tych prześladowań w ciągu następnego stulecia w całym cesarstwie przybywało ludzi, którzy uwierzyli w dobrą nowinę i byli gotowi wycierpieć dla niej to, co wycierpieł Chrystus.

Nie tylko chrześcijanie doświadczyli wtedy całej surowości państwa rzymskiego. Żydom też nie działało się lepiej. Kilka lat po Neronie wybuchło w Jerozolimie powstanie przeciwko Rzymianom. Żydzi chcieli być wreszcie wolni. Z niesamowitą zaciekłością i męstwem walczyli z legionami, które każde żydowskie miasto musiały długo oblegać i szturmować, zanim je zdobyły. Tytus, syn ówczesnego cesarza rzymskiego Wespazjana, przez dwa lata trzymał Jerozolimę w oblężeniu, morząc ludność głodem. Zbiegów Rzymianie krzyżowali pod murami. W końcu wtargnęli do miasta. Było to

w 70 roku po Chrystusie. Podobno Tytus chciał oszczędzić świątynię jedyne go Boga, ale żołnierze ją podpalili i złupili. Święte sprzęty pokazywano podczas pochodu triumfalnego w Rzymie i jeszcze dzisiaj można je zobaczyć na płaskorzeźbach zdobiących łuk triumfalny, który Tytus kazał tam dla siebie wznieść. Jerozolima została zniszczona, a Żydzi wypędzeni. Już wcześniej wielu z nich osiedliło się w innych miastach jako kupcy. Teraz stali się narodem bezdomnym, spotykali się w synagogach Aleksandrii, Rzymu i innych obcych miast, wyśmiewani i lżeni przez wszystkich, bo żyjąc wśród pogan, wciąż trzymali się swoich dawnych obyczajów, czytali Biblię i czekali na Mesjasza, który miał ich wybawić.



## JAK SIĘ ŻYŁO W CESARSTWIE I U JEGO GRANIC



Kto nie był chrześcijaninem, Żydem ani bliskim krewnym cesarza, ten mógł w cesarstwie rzymskim wieść życie bardzo spokojne i przyjemne. Mógł jeździć wspaniałymi rzymskimi drogami od Hiszpanii po Eufkrat, od Dunaju po Nil. Rzymska poczta państwowa kursowała regularnie do poszczególnych stacji granicznych, dostarczając i odbierając wiadomości. W dużych miastach, takich jak Aleksandria czy Rzym, było wszystko, co potrzebne do wygodnego życia. Ale nawet w Rzymie istniały dzielnice wysokich, wielopiętrowych, byle jak zbudowanych domów czynszowych, w których mieszkała biedota. Natomiast prywatne rzymskie domy i wille były urządzone najpiękniejszymi dziełami sztuki greckiej i kosztownymi meblami i miały urocze ogródki z fontannami dla ochłody. Zimą stosowano swego rodzaju centralne ogrzewanie, doprowadzając gorące powietrze pod podłogę wspartą na ceglanych słupkach. Każdy bogaty Rzymianin miał kilka wiejskich domów, najczęściej nad morzem, wielu niewolników do posług i piękne biblioteki, w których można było znaleźć wszystkich dobrych autorów greckich i rzymskich. Wille bogaczy miały też własne place do gier i piwnice pełne najprzedniejszego wina. Gdy Rzymianin nudził się w domu,

szedł na rynek, do sądu albo do łaźni. Te łaźnie, zwane *termami*, były ogromnymi zespołami budynków, zasilanymi w wodę dostarczaną akweduktem z odległych gór, urządzone z wielkim przepychem, z pomieszczeniami do ciepłych i do zimnych kąpiel, z salami do kąpiel parowych i do ćwiczeń gimnastycznych. Ruiny takich gigantycznych łaźni stoją do dziś. Pomyślałbyś, że to bajeczne królewskie pałace, tyle mają niesamowitych sklepień, kolumn z barwnego marmuru i basenów z cennych kamieni.

Jeszcze większe i jeszcze bardziej imponujące były amfiteatry. Wielki amfiteatr w Rzymie, zwany Koloseum, mógł pomieścić około 50 tysięcy widzów. Nawet na dużym stadionie w nowoczesnej metropolii zmieści się niewiele więcej ludzi. Odbywały się w nich głównie walki gladiatorów i polowania na dzikie zwierzęta. Jak wiesz, również chrześcijanie umierali w takich amfiteatrach. Widownia wokół areny wznosiła się stromo niczym wielki, owalny lejek. Niezły musiał panować tam harmider, kiedy się zeszło 50 tysięcy ludzi! Na podwyższonym miejscu w pierwszym rzędzie na dole, tak zwanym podium, pod wspianym baldachimem, mającym osłaniać od słońca, zasiadał cesarz. Gdy rzucił chustkę na arenę, walka mogła się rozpocząć. Wchodzili gladiatorzy, stawali przed podium i wołali: „Witaj, cesarze, idący na śmierć pozdrawiają cię!”.

Nie myśl jednak, że cesarze nie mieli nic innego do zrobienia, jak tylko wysiadywać w amfiteatrze, i że wszyscy byli takimi hulakami i okrutnikami jak Neron. Przeciwnie. Poświęcali dużo uwagi utrzymaniu pokoju w cesarstwie. Bo wszędzie za dalekimi granicami żyły barbarzyńskie, wojownicze ludy, które chętnie najechałyby i złupiły bogate prowincje. Na północy, za Dunajem i Renem, żyli Germanie, przysparzający Rzymianom szczególnie dużo kłopotów. Już Cezar musiał z nimi walczyć, gdy podbijał Galię. Wysocy i silni, samym wyglądem napędzali Rzymianom strachu. Ich kraj, czyli dzisiejsze Niemcy, był jeszcze porośnięty gęstymi lasami i pełen mrocznych bagien, pośród których rzymskie legiony się gubiły. Ale przede wszystkim sami Germanie nie zwykli mieszkać w pięknych willach z centralnym ogrzewaniem. Byli ludem rolniczym, tak jak kiedyś Rzymianie. Mieszkali w rozrzuconych daleko od siebie, skleconych z drewna zagrodach.

Rzymianie z wielkich miast, którzy w swoich łacińskich traktatach pisali o Germanach, lubili opowiadać o wielkiej prostocie ich życia i surowości obyczajów, o ich ochocie do walki i ich wierności wobec wodza plemienia.



Wszystko to rzymscy pisarze chętnie opisywali, aby zwrócić swoim krajanom uwagę na różnicę między prostym, niezepsutym, naturalnym trybem życia w leśnej swobodzie a przerafinowanymi, zniewieściałymi nawykami Rzymian.

Germanie byli rzeczywiście niebezpiecznymi wojownikami. Poczuli to Rzymianie na własnej skórze już za Augusta. Wodzem germańskiego plemienia Cherusków był wówczas niejaki Arminiusz, inaczej Herman. Wychował się w Rzymie i dobrze znał rzymskie zwyczaje wojenne. W Lesie Teutoburskim zaatakował i całkowicie rozgromił wojsko rzymskie. Od tamtej pory Rzymianie nie odważali się zapuszczać tak głęboko na ich tereny. Tym większą wagę przykładali do obrony swoich granic przed Germanami. Już w I wieku po Chrystusie zbudowali tak zwany limes, czyli umocnienia na granicy państwa (podobnie jak to zrobił cesarz Qin Shi), ciągnące się od Renu do Dunaju, a złożone z wałów ziemnych, palisad, rowów i wież strażniczych, aby chronić cesarstwo przed wędrującymi germańskimi plemionami. Bo najbardziej denerwowało Rzymian to, że Germanie nie siedzieli spokojnie w swoich zagrodach i nie uprawiali ziemi, tylko raz po raz wpadali na pomysł, żeby zmieniać rewiry łowieckie i pola. Że łądowali żony i dzieci na wozy zaprzęgnięte w woły i wyruszali na poszukiwanie innej okolicy do zamieszkania.

Rzymianie musieli więc wciąż wysyłać wojska na granicę, żeby strzegły cesarstwa. Nad Renem i Dunajem stali żołnierze ze wszystkich stron świata. Niedaleko Wiednia, który wówczas zwał się Windobona, miały swój obóz oddziały egipskie i zbudowały nad Dunajem świątynię egipskiej bogini Izydy. Jej imię przetrwało w nazwie miasta Ybbs, które dziś znajduje się w tym miejscu. Żołnierze strzegący granic oddawali cześć najrozmaitszym egzotycznym bogom. Perskiemu bogu słońca Mitrze, a wkrótce także jednemu niewidzialnemu Bogu chrześcijan. Życie w warowniach granicznych nie różniło się zbyt od tego w Rzymie. Także w dzisiejszych Kolonii, Trewirze, Augsburgu, Ratyzbonie, Salzburgu, Wiedniu, Arles we Francji czy Bath w Anglii były teatry i łaźnie, wille dla urzędników i koszary dla żołnierzy. Starsi żołnierze chętnie kupowali sobie kawałek ziemi w okolicy, żenili się z miejscowymi kobietami i osiedlali w pobliżu obozu. Ludność prowincji rzymskich przywykła więc powoli do rzymskiego sposobu życia. Ale ludy po drugiej stronie Dunaju i Renu stawały się coraz bardziej niespokojne. Niebawem cesarze zaczęli spędzać więcej czasu

w obozach nad granicą niż w swoich pałacach w Rzymie. A byli wśród nich także wspaniali ludzie, jak cesarz Trajan, który żył sto lat po Chrystusie. O jego sprawiedliwości i łagodności jeszcze długo opowiadano sobie różne historie.

Wojska Trajana przekroczyły Dunaj, aby również ziemię za rzeką, czyli dzisiejsze Węgry i Rumunię, zamienić w prowincję rzymską i w ten sposób lepiej chronić cesarstwo. Wtedy ta okolica nosiła nazwę Dacja, a jej mieszkańcy zaczęli mówić po łacinie. Ale Trajan prowadził nie tylko wyprawy wojenne. Upiększył też Rzym wspaniałymi placami. W tym celu trzeba było zniwelować całe wzgórza, a na powstałym w ten sposób forum pewien grecki budowniczy wznosił świątynie i hale targowe, sale sądowe, kolumnady i pomniki. Ich ruiny można w Rzymie zobaczyć jeszcze dziś.

Następcy Trajana także się troszczyli o swoje cesarstwo i bronili jego granic. Zwłaszcza cesarz Marek Aureliusz, panujący w latach 161–180 po Chrystusie, często przebywał w obozach nad Dunajem, w Karnuntum i Windobonie. A przy tym Marek Aureliusz wcale nie lubił wojny. Ten łagodny, spokojny człowiek, który najchętniej czytał i pisał, był filozofem. Zachował się jego dziennik, pisany głównie podczas wypraw wojennych. Jest w nim mowa niemal wyłącznie o samoopanowaniu i cierpliwości, o znoszeniu cierpienia i bólu i o cichym bohaterstwie myśliciela. Buddzie by się te myśli podobały.

Marek Aureliusz nie mógł jednak pójść sobie do lasu, aby w spokoju porozmyślać. Musiał pod Windoboną walczyć z plemionami germańskimi, które właśnie wtedy zrobiły się szczególnie ruchliwe. Podobno Rzymianie przywieźli ze sobą lwy, żeby je wypuścić na wrogów za Dunajem. Ale Germanie nigdy przedtem nie widzieli lwów, więc się ich nie bali. Po prostu zatłukli „wielkie psy”. Podczas tej kampanii Marek Aureliusz zmarł w Windobonie. Było to w 180 roku po Chrystusie.

Następni cesarze jeszcze więcej czasu spędzali u granic niż w Rzymie. Byli prawdziwymi żołnierzami, przez wojsko na cesarzy wybieranymi i czasem też przez wojsko obalnymi, a niekiedy nawet zabijanymi. Wielu z nich wcale nie było Rzymianami, ale cudzoziemcami. Bo legiony w tamtych czasach składały się już tylko w minimalnej części z Rzymian. Italskich rolników, którzy kiedyś jako żołnierze podbijali świat, prawie już nie było. Z chłopskich gospodarstw powstały przecież wielkie latyfundia bogaczy, na których pracowali cudzoziemscy niewolnicy. Wojsko też

składało się z obcych. O Egipcjanach nad Dunajem już mówiliśmy. Szczególnie liczni w armii rzymskiej byli jednak Germanie, bardzo dobrzy wojownicy, jak wiesz. I teraz ci obcy żołnierze na wschodzie i na zachodzie gigantycznego cesarstwa, na granicy germańskiej i perskiej, w Hiszpanii, w Brytanii, w północnej Afryce, w Egipcie, Azji Mniejszej i Dacji obwoływali swoich ulubionych dowódców cesarzami, a ci walczyli ze sobą o władzę i jeden kazał mordować drugiego, podobnie jak za czasów Mariusza i Sulli. Okropne zamieszanie i straszliwa bieda panowały po 200 roku po Chrystusie. Cesarstwo rzymskie składało się już niemal wyłącznie z niewolników i cudzoziemskich żołnierzy, którzy się wzajemnie nie rozumieli. Chłopi w prowincjach nie byli już w stanie płacić podatków i buntowali się przeciwko właścicielom ziemskim. W tych czasach potwornej nędzy, kiedy w dodatku epidemie i rozbójnicy pustoszyli kraj, wielu ludzi znajdowało pociechę w naukach dobrej nowiny, Ewangelii. Coraz więcej ludzi wolnych i niewolnych przechodziło na chrześcijaństwo i odmawiało składania ofiar cesarzowi.

Kiedy nędza cesarstwa rzymskiego była największa, władzę nad imperium wywalczył sobie syn bardzo ubogich rodziców. Był to cesarz Dioklecjan, który w 284 roku po Chrystusie objął rządy. Próbował całe rozpadające się państwo zbudować na nowo. Ponieważ wszędzie panował głód, Dioklecjan wprowadził maksymalne ceny na żywność. Zrozumiał też, że cesarstwem nie można rządzić z jednego miejsca. Wyzaczył cztery miasta w kraju na nowe stolice i osadził w nich czterech współrządców. Aby przywrócić cesarstwu poważanie i respekt, wprowadził sztywny ceremoniał dworski i wspaniałe, bogato haftowane szaty dla dworu i urzędników. Naturalnie szczególnie surowo wymagał składania ofiar bogom i wizerunkom cesarskim, dlatego też z wyjątkową bezwzględnością prześladował chrześcijan w całym kraju. Były to już ostatnie i najokrutniejsze prześladowania. Po ponad dwudziestu latach rządów Dioklecjan abdykował i jako zmęczony, chory człowiek zamieszkał w pałacu w Dalmacji. Tam zdążył się jeszcze przekonać, jak bezsensowna była jego walka z chrześcijaństwem.

Jego następcą na tronie, cesarz Konstantyn, zaprzestał bowiem tej walki. Powiadają, że przed bitwą z Maksencjuszem, jednym z byłych współrządców Dioklecjana, ujrzał we śnie krzyż i usłyszał słowa: „Pod tym znakiem zwyciężysz”. I gdy zwyciężył, przyznał chrześcijanom w 313 roku swobodę wyznania. Sam jednak jeszcze długo pozostał poganinem i przyjął chrzest

dopiero na krótko przed śmiercią. Konstantyn nie rządził już z Rzymu. W tamtych czasach cesarstwo było najbardziej zagrożone od wschodu, przez Persów, którzy znowu stali się potęgą. Obrął więc na swoją siedzibę dawną grecką kolonię Bizancjum nad Morzem Czarnym i nazwał ją swoim imieniem – Konstantynopol. Jest to dzisiejszy Sztambuł.

Niewiele później, bo od 395 roku po Chrystusie, w cesarstwie rzymskim były już nie tylko dwie stolice, lecz także dwa państwa. Cesarstwo zachodniorzymskie, w którym mówiło się po łacinie i które obejmowało Italię, Galię, Brytanię, Hiszpanię i Afrykę Północną, oraz cesarstwo wschodniorzymskie, w którym mówiło się po grecku i które się składało z Egiptu, Palestyny, Azji Mniejszej, Grecji i Macedonii. Od 380 roku w obydwu częściach imperium religią państwową było chrześcijaństwo. To znaczy, że biskupi i arcybiskupi byli wysokimi dostojnikami i mieli duży wpływ także na sprawy państwowe. Chrześcijanie już się nie gromadzili w katakumbach, tylko we wspaniałych kościołach z ozdobnymi kolumnami, a krzyż, znak odkupienia przez cierpienie, legiony nosiły teraz na swoich sztandarach jako znak wojenny.



## BURZA



Czy widziałeś kiedyś w upalny letni dzień nadciągającą burzę? Zwłaszcza w górach wygląda to wspaniale. Najpierw w ogóle nic nie widzisz, tylko czujesz po własnym zmęczeniu, że coś wisi w powietrzu. Potem słyszysz grzmoty. Raz z tej, raz z innej strony. Ale z której dokładnie, tego nie wiesz. Potem nagle góry wydają ci się niesamowicie blisko. Powietrze ani drgnie, a jednak powstają skłębione chmury. Za ścianą mgły prawie nie widać gór. Mimo że wiatru nie czujesz, chmury nadciągają ze wszystkich stron. Grzmi coraz częściej. Wszystko wygląda groźnie i upiornie. A ty czekasz i czekasz. I nagle burza się zrywa. Z początku odczuwasz niemal ulgę. Burza schodzi w dolinę. Ze wszystkich stron toczą się błyskawice i grzmoty. Deszcz zacina grubymi, ciężkimi kroplami. Burza uwieźła w ciasnej kotlinie. Grzmoty odbijają się echem od skalnych ścian. Wiatr wieje raz z tej, raz z innej strony.

Gdy wszystko mija i w końcu nadchodzi jasna, cicha, rozgwieżdżona noc, chyba nie potrafiłbyś powiedzieć, gdzie się te burzowe chmury zebrały i która błyskawica zapowiedziała który grzmot.

Bardzo podobnie działo się w czasach, o których teraz zamierzam opowiedzieć. Zerwała się wtedy burza, która rozbiła rzymskie imperium. Wiemy, jakie grzmoty ją poprzedzały: wędrówki Germanów nad granicą, najazd Cymbrów i Teutonów, wojny, które Cezar, August, Trajan, Marek Aureliusz i inni musieli prowadzić, aby germańskie plemiona nie wtargnęły do państwa rzymskiego.

A teraz ta burza nadeszła. Zaczęła się bardzo daleko, niemal pod murem, który zbudował cesarz Qin Shi, wróg historii. Od kiedy hordy jeźdźców z azjatyckich stepów nie mogły już plądrować w Chinach, ruszyły po łupy na Zachód. Byli to Hunowie. Takich ludów Zachód jeszcze nie widział. Niewielkich wzrostem, żółtoskórych ludzi o skośnych oczach i z okropnymi bliznami na twarzy. Wyglądali jak centaury, bo prawie nigdy nie schodzili ze swoich małych, rącznych koni, często nawet spali, siedząc na koniach, naradzali się, siedząc na koniach, jedli, siedząc na koniach, a surowe mięso, którym się pożywiali, wozili pod siodłami, żeby skruszało. Atakowali w szalonym galopie, wyjąc straszliwie i wypuszczając całe chmury strzał na wrogów, po czym zawracali i pędzili przed siebie tak, jakby zamierzali uciekać. Gdy tamci ruszali za nimi w pogoń, Hunowie odwracali się w siodle i siedząc tyłem na koniu, strzelali do ścigających. Byli zręczniejsi, chytrzejsi i bardziej krwiożerczy niż wszystkie inne ludy znane na Zachodzie. Uciekali przed nimi nawet dzielni Germanie.

Jedno z germańskich plemion, Wizygoci, chciało się schronić przed nimi w bezpiecznym cesarstwie rzymskim. I zostali przyjęci. Lecz niedługo spadła na kraj klęska głodu i doszło do walk z gośćmi. Wizygoci napadli i splądrowali Ateny, wyprawili się pod Konstantynopol, a wreszcie zebrał się cały lud i pod wodzą króla Alaryka w 410 roku po Chrystusie wyruszył do Italii i zdobył Rzym. Po śmierci Alaryka Wizygoci poszli na północ, najpierw do Galii, a stamtąd do Hiszpanii, gdzie już pozostali. Do obrony przed ich wojskiem Rzymianie musieli ściągać żołnierzy z nadgranicznych warowni w Galii i Brytanii, znad Renu i znad Dunaju. Teraz wdzierały się tamtędy do cesarstwa liczne plemiona germańskie, od wieków czekające na tę chwilę.

Były to po części ludy o takich nazwach, jakie jeszcze dziś znajdziesz na mapie Niemiec: Szwabowie, Frankowie, Alemanowie. Swoimi skrzypiącymi

wozami zaprzęzonymi w woły, z kobietami i dziećmi, z całym dobytkiem przekraczali Ren, walcząc i zwyciężając. A jeśli przegrywali, to szły za nimi wciąż nowe ludy, które w końcu zwyciężały. Nawet tysiące zabitych nie miały znaczenia, bo po nich nadciągały dziesiątki tysięcy. Nazywa się ten okres *wędrówką ludów*. To burza, która rozchwiała i powaliła cesarstwo rzymskie. Plemiona germańskie nie zatrzymały się bowiem w Galii i Hiszpanii. Wandalowie przeszli Italię i dotarli przez Sycylię do Afryki. A tam, w dawnej Kartaginie, założyli korsarskie państwo i pływali na swoich okrętach do nadbrzeżnych miast, które zdobywali i puszczali z dymem. Rzym też straszliwie złupili. Jeszcze dzisiaj używamy słowa „wandalizm”, chociaż Wandalowie właściwie wcale nie byli gorsi od innych.

No, ale teraz przyszli sami Hunowie. A ci byli gorsi. Mieli też nowego króla, Attyłę. Doszedł do władzy w 444 roku po Chrystusie. Pamiętasz jeszcze, kto doszedł do władzy w 444 roku *przed* Chrystusem? Perykles w Atenach. To były najpiękniejsze czasy. Lecz Attyła różnił się pod każdym względem od Peryklesa. Powiadano, że trawa nie rosła tam, gdzie stąpał jego koń. Bo hordy Attyli paliły i pustoszyły wszystko. Ale chociaż Hunowie tyle zagrabili złota i srebra, i kosztowności, chociaż ich wielmoże obwieszali się ozdobami, Attyła pozostał prostym człowiekiem, jadał tylko z drewnianych misek i mieszkał w zwykłym namiocie. Złoto i srebro go nie cieszyły. Cieszyła go tylko władza. Podobno nigdy się nie śmiał. Był władcą straszliwym. Podbił pół świata. Wszystkie ludy, których nie wymordował, musiały iść na wojnę razem z nim. Niesamowite wrażenie wywierała ta jego armia. W dużej mierze złożona z Germanów. Przede wszystkim Ostrogotów (Wizygoci osiedli już w Hiszpanii). Ze swojego obozu w Panonii, czyli na dzisiejszych Węgrzech, Attyła pchnął posła do cesarza zachodniorzymskiego z przesłaniem: „Mój i twój pan Attyła każe ci powiedzieć, że masz mu dać połowę swojego cesarstwa i swoją córkę za żonę”. A kiedy cesarz odmówił, Attyła ze swoją ogromną armią najechał cesarstwo, żeby ukarać cesarza i wziąć sobie to, czego mu odmówiono. W Galii w 451 roku po Chrystusie doszło do wielkiej bitwy na Polach Katalaunijskich. Wszystkie wojska cesarstwa rzymskiego, w tym także germańskie, zebrały się, by wspólnie walczyć z dzikimi hordami Attyli. Bitwa właściwie nie przyniosła rozstrzygnięcia, bo Attyła rok później ruszył w stronę Rzymu. Na wszystkich padł blady strach. Hunowie podchodzili coraz bliżej. Siłą militarną nic się nie dało zrobić.

A wtedy wyszedł im naprzeciw chrześcijański biskup Rzymu z księżmi i chorągwiami kościelnymi. Był to papież Leon, którego nazywamy Wielkim. Wszyscy myśleli, że Hunowie po prostu wytną ich w pień. Lecz Attyła rzeczywiście dał się nakłonić do odwrotu. Opuścił Italię i Rzym tym razem ocalał. Niewiele później, w 453 roku po Chrystusie, Attyła zmarł, w dniu swojego ślubu z germańską księżniczką.

Gdyby nie papież, cesarstwo zachodniorzymskie byłoby stracone. Bo cesarze nie mieli już wtedy żadnej władzy. Rządziło właściwie jeszcze tylko wojsko. A to wojsko składało się niemal wyłącznie z Germanów. W końcu germańscy żołnierze doszli do wniosku, że cesarz jest niepotrzebny, i postanowili go obalić. Ostatni cesarz rzymski nazywał się dziwnie: Romulus Augustulus. Zauważ, że pierwszy król rzymski, założyciel Rzymu, nazywał się Romulus, a pierwszy cesarz rzymski – August. Ostatni, Romulus Augustulus, został zdetronizowany w 476 roku po Chrystusie.

Germański wódz Odoaker w służbie Rzymu ogłosił się królem Italii. Był to koniec łacińskiego cesarstwa zachodniorzymskiego, którego upadek przyjmujemy także za koniec całego długiego okresu dziejów liczonego od prapoczątków i zwanego *starożytnością*. Od 476 roku zaczyna się nowy okres, nazywany średniowieczem, gdyż oddziela starożytność od czasów nowożytnych. Ale wtedy wcale nie zauważono, że zaczęła się nowa epoka. Wszystko toczyło się dalej, tak samo pogmatwane. Ostrogoci, niegdyś podbici przez Hunów i walczący w ich szeregach, osiedli w cesarstwie wschodniorzymskim. Ale cesarz Zenon chciał się ich pozbyć, postanowił więc ich namówić, by przenieśli się do cesarstwa zachodniorzymskiego, czyli przepędzili króla Odoakra i podbili Italię. I rzeczywiście w 493 roku po Chrystusie Ostrogoci pod wodzą swojego wielkiego króla Teodoryka przeszli przez Alpy do Italii. Nawykli do walki, szybko zdobyli biedny, złupiony kraj. By uczcić pokój, Teodoryk zaprosił króla Odoakra wraz z synem na ucztę, podczas której kazał ich obu zasztyletować.

Zawsze się dziwiłem, że Teodoryk mógł zrobić coś tak paskudnego, bo władcą był skądinąd naprawdę wielkim, wybitnym i wykształconym. Dbął, żeby Goci żyli w zgodzie z ludnością rzymską, i każdemu ze swoich wojowników przydzielił tylko kawałek pola do uprawy. Na stolicę obrał sobie Rawennę, portowe miasto w północnej Italii.

Zbudował tam wspaniałe kościoły z cudownymi, kolorowymi mozaikami. Ale cesarze wschodniorzymscy inaczej sobie to wszystko wyobrażali. Nie



sądzi, że Ostrogoci stworzą w Italii potężne i kwitnące państwo, które w końcu mogłoby zagrozić władcom w Konstantynopolu.

A w Konstantynopolu rządził od 527 roku potężny, rozkochany w zbytku cesarz Justynian. Miał ambicję, żeby rozciągnąć swoją władzę na całe dawne cesarstwo rzymskie. Na swoim dworze roztaczał cały przepych Wschodu; on i jego żona Teodora, niegdyś tancerka cyrkowa, nosili jedwabne, ciężkie szaty wyszywane szlachetnymi kamieniami, złote łańcuchy i sznury pereł, tak że było słycać tylko szelest i pobrząkiwanie.

W Konstantynopolu wznosił ogromny kościół z kopułą, nazwany Hagia Sophia, i w ogóle chciał przywrócić minioną wielkość dawnego Rzymu. Przede wszystkim kazał zebrać liczne prawa starożytnych Rzymian, ze wszystkimi uwagami, jakie poczynili do nich znamienici uczeni i prawoznawcy. Jest to wielki zbiór prawa rzymskiego, zwany Kodeksem Justyniana, a po łacinie *Corpus iuris civilis*. Jeszcze dzisiaj wszyscy, którzy chcą zostać sędziami lub adwokatami, muszą go czytać, bo stanowi podstawę wielu praw.

Po śmierci Teodoryka Justynian próbował wypędzić Gotów z Italii i podbić kraj. Przez kilkadziesiąt lat bronili się niesłychanie bohaterko na obcej ziemi. Nie było to łatwe, bo i ludność rzymską mieli przeciwko sobie, a zamęt zwiększało jeszcze to, że Goci, chociaż też chrześcijanie, nie wierzyli w dokładnie takie same nauki jak Rzymianie i jak poddani Justyniana. Nie wierzyli bowiem w Trójcę Świętą. Dlatego też byli zwalczani i uciskani jako niewierzący. Prawie wszyscy Goci zginęli w końcu w tych walkach. Reszta, zaledwie około 1000 ludzi, po ostatniej bitwie otrzymała pozwolenie na opuszczenie kraju i przepadła gdzieś na północy. Taki był koniec wielkiego ludu Ostrogotów. Teraz Justynian władał także Rawenną, gdzie wznosił piękne kościoły, w których możemy oglądać dostojne wizerunki jego i jego żony.

Władcy wschodniorzymscy niedługo jednak rządzili w Italii. W 568 roku po Chrystusie przywędrowały z północy nowe germańskie ludy – Longobardowie. Podbili kraj i do dziś jeden region we Włoszech nosi nazwę od nich pochodzącą: Lombardia. Były to ostatnie ciężkie grzmoty przetaczającej się burzy. A potem z wolna nadeszła jasna, rozgwieżdżona noc średniowiecza.



## NADEJŚCIE ROZGWIEŹDZONEJ NOCY



Prawdopodobnie się zgodzisz, że wędrówka ludów była czymś w rodzaju burzy z piorunami, ale żeby średniowiecze miało być czymś w rodzaju jasnej, rozgwieżdżonej nocy – to pewnie wyda ci się dziwne. A jednak tak było. Może już słyszałeś o „mrokach średniowiecza”. Należy przez to rozumieć, że w tamtych czasach, po upadku cesarstwa rzymskiego, niewielu ludzi umiało czytać i pisać, że nie wiedzieli, co się dzieje na świecie, że lubili sobie opowiadać różne cuda i bajki i że w ogóle byli bardzo zabobonni. Że domy mieli małe i ciemne, drogi i ulice zbudowane przez Rzymian były poniszczone, a rzymskie miasta i obozy zamieniły się w ruiny porośnięte trawą. Że zapomniano o dobrym rzymskim prawie, a piękne greckie posągi leżały potłuczone. To wszystko prawda. I nie ma się czemu dziwić, działo się to przecież po straszliwym okresie wojen i wędrówki ludów.

A jednak średniowiecze nie było jak ciemna noc, tylko jak noc rozgwieżdżona. Bo ponad tym mrokiem i ponad całą wielką niepewnością, kiedy ludzie jak dzieci w ciemnościach bali się czarowników i wiedźm, diabła i złych duchów – ponad tym wszystkim jaśniało jednak rozgwieżdżone niebo nowej wiary i wskazywało im drogę. Jak niełatwo jest zgubić się w lesie, jeśli widać gwiazdy, Wielką Niedźwiedzicę czy Gwiazdę Polarną,

tak i ludzie w tamtych czasach nie mogli już tak całkiem pobłądzić, choćby nie wiem jak często potykali się po omacku. Jednego byli pewni: że wszyscy ludzie mają duszę, którą obdarzył ich Bóg, że przed Bogiem wszyscy są równi, żebrak czy król, i że dlatego nie może być niewolników, których traktuje się jak rzecz. Że ten jedyny, niewidzialny Bóg, który stworzył świat i łaską swoją zbawia ludzi, chce od nas, byśmy byli dobrzy. Nie to, żeby istnieli wówczas tylko dobrzy ludzie. W Italii, tak jak i na ziemiach germańskich, nie brakowało okrutnych, dzikich, nieokrzesanych wojowników o twardym sercu, podstępnych, żądnych krwi, bezwzględnych. Ale teraz, gdy postępowali w ten sposób, nie mieli już tak spokojnego sumienia jak w czasach rzymskich. Wiedzieli, że są źli. Bali się kary boskiej.

Wielu ludzi zapragnęło żyć w całkowitej zgodzie z wolą Boga. Nie chcieli tkwić dłużej w zgiełku miast, gdzie człowiek tak często jest narażony na popełnienie czegoś niesłusznego. Całkiem jak hinduscy pustelnicy szli na pustynię, aby się modlić i odprawiać pokutę. Nazywano ich *mnichami*. Z początku tacy mnisi istnieli na Wschodzie, w Egipcie i Palestynie. Dla wielu z nich najważniejsza była pokuta. Nauczyli się tego po części od Indusów, o których słyszałeś, że się szczególnie umartwiali. Niektórzy mnisi wchodzili na wysoki słup w samym środku miasta i siedząc niemal w bezruchu, spędzali życie na myśleniu o grzeszności ludzi. Tę odrobinę jedzenia, jakiej potrzebowali, wciągali w koszyku na górę. I tak siedzieli, patrząc z wysokości na ludzką krzątaninę, w nadziei, że zbliżą się do Boga. Nazywano tych ascetów *słupnikami*.

Ale na Zachodzie, w Italii, żył pewien święty, mnich, który zupełnie tak samo jak Budda nie odnajdywał spokoju w samotnym życiu pokutnika. Nazywał się on Benedykt, czyli Błogosławiony. Uważał, że sama pokuta nie czyni zadość nauce Chrystusowej. Bo trzeba nie tylko stać się dobrym, ale też czynić dobro. A żeby czynić dobro, nie można siedzieć na słupie, tylko trzeba pracować. Taką też miał dewizę: módl się i pracuj. Razem z innymi, podobnie myślącymi mnichami założył stowarzyszenie, które chciało żyć zgodnie z tą regułą. Nazywamy takie stowarzyszenia *zakonami*. Jego zakon nazywany jest od jego imienia zakonem benedyktynów. Miejsca, w których mieszkali tacy mnisi, nazwano *klasztorami*. Ten, kto chciał wstąpić do zakonu, by zostać w nim do końca życia, musiał ślubować trzy rzeczy: 1 – że sam nie będzie chciał posiadać niczego, 2 – że się nie ożeni, 3 – że przełożonemu klasztoru, czyli opatowi, będzie zawsze i bezwarunkowo

posłuszny.

A kiedy już otrzymał święcenia zakonne, musiał w klasztorze nie tylko się modlić, chociaż mnisi traktowali modlitwę oczywiście bardzo poważnie i kilka razy dziennie chodzili na mszę. Ale przecież chcieli też czynić dobro. A do tego trzeba było coś umieć i coś wiedzieć. Tak się więc stało, że tylko benedyktyni zgłębiali w tamtych czasach wszystkie myśli i odkrycia starożytnych. Gdzie tylko mogli, zbierali stare zwoje ksiąg, aby je studiować. I przepisywali je, aby je rozpowszechnić. Całymi latami malowali wyraźne, krągłe litery w grubych tomach z pergaminu, a przepisywali nie tylko Biblię i żywoty świętych, lecz także dawne łacińskie i greckie wiersze. Nie znalibyśmy ani jednego z nich, gdyby mnisi nie zadali sobie tyle trudu. Przede wszystkim jednak wciąż na nowo przepisywali stare książki o przyrodzie i rolnictwie, kopiując je jak najwierniej. Bo poza Biblią najważniejsze było dla nich, by dobrze uprawiać ziemię, aby mieć zboże i chleb nie tylko dla siebie, ale i dla biednych. W dziczonych okolicach nie było już zajazdów. Kto odważał się wyruszyć w podróż, ten musiał nocować w klasztorach. Tam był bezpieczny. Panowały tam cisza, nastrój pracy i kontemplacji. Mnisi w klasztorach nauczali też okoliczne dzieci; uczyli je czytać i pisać, uczyli je łaciny i rozumienia Biblii. W tamtych czasach taki klasztor był więc w całej okolicy jedynym miejscem edukacji i cywilizacji, miejscem, gdzie pamięć wszystkich myśli Greków i Rzymian nie umarła.

Takie klasztory istniały nie tylko w Italii. Przeciwnie, mnichom szczególnie zależało na tym, by budować klasztory w dzikich i dalekich krajach, aby głosić tam Ewangelię, nauczać lud i karczować nieprzebyte lasy. Wiele klasztorów powstało zwłaszcza w Irlandii i Anglii. Oba te kraje były wyspami, więc burza wędrówki ludów w zasadzie je ominęła. Żyły tam też germańskie plemiona Anglów i Sasów, które bardzo wcześnie przyjęły chrześcijaństwo.

Teraz mnisi z Irlandii i Anglii wyruszyli do państw Galów i Germanów, głosząc kazania i nauczając. Bo wcale nie wszyscy Germanie byli już chrześcijanami. Najpotężniejszy germański władca został nim jednak przynajmniej z nazwy. Był to Chlodwig z rodu Merowingów. Królował plemieniu Franków i dzięki swojej dzielności i przebiegłości, a także morderstwom i oszustwom podporządkował sobie niebawem połowę dzisiejszych Niemiec i dużą część dzisiejszej Francji. To od Chlodwigowych Franków nazywa się Francją.

Ów Chlodwig wraz ze swym ludem przyjął w roku 496 chrześcijaństwo, prawdopodobnie w przekonaniu, że Bóg chrześcijan to potężny demon, który mu pomoże odnosić zwycięstwa. Bo pobożny to ten Chlodwig nie był. W państwie Germanów mnisi mieli więc jeszcze wiele do zrobienia. I wiele zrobili. Zakładali klasztory i uczyli Franków uprawiać drzewa owocowe i winorośl, pokazywali dzikim wojownikom, że są na świecie jeszcze inne rzeczy niż krzepa i odwaga w walce. Nieraz zostawali doradcami chrześcijańskich królów frankijskich na dworze Merowingów. A że najlepiej ze wszystkich umieli czytać i pisać, spisywali więc prawa i załatwiali dla króla całą papierkową robotę. Bo rządzenie polegało także na papierkowej robocie. To mnisi układali więc listy do innych królów, pośredniczyli w kontaktach z papieżem w Rzymie i w swoich prostych, niepozornych habitach byli właściwymi panami całego jeszcze bardzo bezładnego państwa Franków.

Inni mnisi z Irlandii i Anglii zapuszczali się nawet w dzikie rejony i gęste lasy dzisiejszych północnych Niemiec i Holandii, gdzie ludność nie była chrześcijańska nawet z nazwy. Tam było niebezpiecznie głosić Ewangelię, bo tamtejsi chłopci i wojownicy mocno trzymali się wiary swoich ojców. Modlili się do Wotana, boga miotającego pioruny, któremu oddawali cześć nie w świątyniach, lecz pod gołym niebem, często pod starymi drzewami, które uważali za święte. Pod jedno takie drzewo przyszedł kiedyś chrześcijański mnich Bonifacy, by głosić kazanie o swojej wierze. Chciał pokazać Germanom z północy, że Wotan to tylko postać z bajki, wziął więc siekiere, aby własnymi rękami ściąć święte drzewo. Wszyscy, którzy stali dookoła, spodziewali się, że zaraz razi go grom z nieba. Ale drzewo się zważyło i nic się nie wydarzyło. Wielu przyjęło potem chrzest z rąk Bonifacego, bo utraciło dawną wiarę w moc Wotana i pozostałych bogów, lecz inni byli na niego źli i w 754 roku go zabili.

Czas pogaństwa w Niemczech jednak już mijał. Niedługo prawie wszyscy chodzili do prostych drewnianych kościołów budowanych przy klasztorach i po nabożeństwie pytali mnichów o radę, jak leczyć chore bydło i jak chronić drzewa owocowe przed gąsienicami. Przychodzili do mnichów również krajowi wielmoże. I to akurat ci najbardziej dzicy i gwałtowni spośród nich szczególnie chętnie obdarowywali klasztory wielkimi połaciami ziemi, myśląc, że w ten sposób przejedną Boga. Klasztory się bogaciły, ale sami mnisi pozostawali ubodzy, nadal mieszkali w skromnych, ciasnych

celach, modlili się i pracowali – tak jak nakazał święty Benedykt.



## NIE MA BOGA OPRÓCZ BOGA, A MAHOMET JEST JEGO PROROKIEM



Czy potrafisz wyobrazić sobie pustynię? Prawdziwą, gorącą, piaszczystą pustynię, przez którą ciągną karawany wielbłądów obładowanych rzadkimi towarami? Wszędzie piasek. Tylko gdzieniegdzie widać w oddali kilka strzelistych palm. Tam trzeba jechać, to oaza, a w niej studnia z odrobiną zamulonej wody. A potem znowu w drogę. Wreszcie większa oaza, z całym miastem białych, klockowatych domów, w których mieszkają ubrani na biało ludzie o brązowej skórze, czarnych włosach i lśniących, ciemnych oczach.

Ci ludzie, to po nich widać, nawykli do walki. Pędzą na wspaniałych, szybkich koniach przez pustynię, łupią karawany, walczą ze sobą, oaza przeciw oazie, miasto przeciw miastu, plemię przeciw plemieniu. W Arabii jeszcze dziś tak to wygląda. I przed tysiącami lat też pewnie nie wyglądało inaczej. A jednak w tym dziwnym pustynnym kraju, zamieszkanym przez garstkę wojowniczych ludzi, wydarzyła się może najdziwniejsza z historii, jakie mam do opowiedzenia.

Było to tak: W czasach, gdy mnisi w Germanii udzielali rad prostym chłopom, a królowie z rodu Merowingów rządili Frankami, czyli około 600 roku po Chrystusie, nikt nawet nie wspominał o Arabach. Jeździli oni na

swoich rumakach po pustyni, mieszkali w namiotach i wojowali ze sobą. Mieli prostą religię, nad którą niewiele się zastanawiali. Tak jak starożytni Babilończycy, modlili się do gwiazd, a przede wszystkim do pewnego kamienia, o którym myśleli, że spadł z nieba. Kamień ten spoczywał w świątyni zwanej Al-Kaba, w mieście-oazie o nazwie Mekka, i Arabowie często pielgrzymowali przez pustynię, by się do niego modlić.

Żył w tamtych czasach w Mekce człowiek imieniem Mahomet, syn Abd Allaha. Jego ojciec był szlachetnie urodzony, ale niebogaty, a rodzina należała do tych, które miały strzec Al-Kaby. Umarł bardzo młodo, pozostawiając Mahometowi tylko pięć wielbłądów. Nie było to dużo. Mahomet nie mógł więc spędzać czasu w obozie pod namiotem na pustyni, jak inne dzieci szlachetnie urodzonych, tylko musiał się nająć za pasterza do bogatych ludzi. Później poszedł na służbę do zamożnej kobiety, o wiele starszej od niego, i jako poganiacz wielbłądów odbywał dalekie podróże z kupieckimi karawanami. W końcu poślubił swoją chlebodawczynię i wiedli szczęśliwe życie w małżeństwie. Mieli sześcioro dzieci. Zaadoptował też swojego młodego kuzyna, Alego.

Mahomet, silny, pełen temperamentu mężczyzna o czarnych włosach i brodzie, z dużym orlim nosem i o ciężkim, kołyszącym chodzie, cieszył się w Mekce wielkim poważaniem. Nazywano go „sprawiedliwym”. Wcześniej zainteresował się sprawami wiary i chętnie rozmawiał nie tylko z Arabami przybywającymi z pielgrzymką do Al-Kaby w Mekce, lecz także z chrześcijanami z niedalekiej Abisynii i z żydami, których było bardzo wielu w arabskich miastach-oazach. W opowiadaniach żydów i chrześcijan szczególne wrażenie zrobiło na nim to, o czym mówili jedni i drudzy: nauka o jedynym, niewidzialnym, wszechmocnym Bogu.

Ale lubił też wieczorami przy studni słuchać opowieści o Abrahamie i Józefie, o Chrystusie i Marii. Pewnego dnia podczas podróży miał nagle wizję. Czy wiesz, co to jest wizja? To sen na jawie. Mahometowi wydawało się, że archanioł Gabriel stanął przed nim i że słyszy on jego głos, który nań krzyczy: „Czytaj!” – zawołał archanioł. „Nie umiem!” – wyjąkał Mahomet. „Czytaj!” – zawołał archanioł dwa razy i w imię Boga, jego Pana, kazał mu się modlić. Wstrząśnięty tą wizją do głębi Mahomet wrócił do domu. Nie rozumiał, co się z nim dzieje.

Trzy lata chodził pogrążony w myślach, zastanawiając się nad swoim przeżyciem. W końcu, po trzech latach, miał nową wizję. Znow ujrzał przed



sobą archanioła Gabriela w świetlistym niebiańskim kręgu. Rozdygotany, nie panując nad sobą, pobiegł do domu i wzburzony położył się na sofie. Żona nakryła go płaszczem. Kiedy tak leżał, znowu usłyszał głos: „Powstań i ostrzegaj! – rozkazał głos. – I twego Pana wysławiaj!”. Mahomet uznał, że to przesłanie od Boga i że ma ostrzegać ludzi przed piekłem i głosić wielkość jedyne, niewidzialnego Boga. Od tej chwili poczuł się prorokiem, ustami, przez które Bóg mówi ludziom, jaka jest jego wola. Mahomet głosił w Mekce naukę o jedynym, wszechmocnym Bogu, najwyższym sędzi, który jego, Mahometa, wybrał na swego posłańca. Ale większość ludzi śmiała się z niego. Tylko jego żona i kilku członków rodziny oraz przyjaciół uwierzyli w to posłannictwo.

Kapłani świątyni w Mekce, szlachetnie urodzeni, mający jej strzec, oczywiście widzieli w Mahomecie nie tylko szaleńca, lecz niebezpiecznego wroga. W końcu zabronili wszystkim w Mekce utrzymywać stosunki z rodziną Mahometa i handlować z jego zwolennikami. Wywiesili ten zakaz w Al-Kabie. Był to straszny cios, gdyż przez całe lata rodzina i przyjaciele Proroka musieli cierpieć głód i biedę. Lecz Mahomet poznał w Mekce kilku pielgrzymów przybyłych z daleka, z miasta-oazy już od dawna zwaśnionego z Mekką. Żyło w tym mieście wielu żydów, toteż tamtejsi Arabowie znali naukę o jedynym Bogu. Im kazanie Mahometa się spodobało.

To, że Mahomet wygłasza kazania wśród wrogich plemion i coraz bardziej się z nimi zaprzyjaźnia, rozgniewało szlachetnie urodzonych mieszkańców Mekki, strażników Al-Kaby. Postanowili zabić go jako zdrajcę. Mahomet wyprawił wszystkich swoich zwolenników z Mekki do owego zaprzyjaźnionego miasta na pustyni, a sam, kiedy wynajęci mordercy rzeczywiście wtargnęli do jego domu, uciekł przez tylne okno i też tam się schronił. Było to 16 lipca 622 roku. Ucieczka Mahometa nazywa się po arabsku *hidżra* i jego zwolennicy od jej daty liczyli czas, tak jak Grecy według olimpiad, a Rzymianie od założenia Rzymu czy chrześcijanie od narodzin Chrystusa.

W mieście, nazwanym później na cześć Mahometa Medyną, czyli „miastem Proroka”, powitano go uroczyście. Wszyscy wybiegli mu naprzeciw, każdy chciał go gościć u siebie. Aby nikogo nie urazić, Mahomet powiedział, że zamieszka tam, dokąd jego wielbłąd sam pójdzie. I tak zrobił. Teraz w Medynie nauczał swoich zwolenników, a ci go chętnie słuchali. Opowiadał im, jak to Bóg objawił się Żydom w Abrahamie i Mojżeszu, jak

ustami Chrystusa nauczał ludzi i jak teraz wybrał jego, Mahometa, na swojego proroka.

Uczył ich, żeby bali się tylko Boga, który po arabsku nazywa się Allah, a poza tym niczego i nikogo. Nie ma sensu bać się ani cieszyć, bo Bóg już z góry wyznaczył nam nasz los i zapisał w wielkiej księdze. Co ma być, to i tak będzie, godzina śmierci jest nam przeznaczona od początku. Musimy się poddać woli Bożej. Poddanie się to *islam* i tak właśnie nazwał Mahomet swoją naukę. Tłumaczył, że jego zwolennicy muszą za tę naukę walczyć i zwyciężać i że nie jest grzechem zabicie niewiernego, który nie chce go uznać za proroka. Że dzielny wojownik, który polegnie w walce za tę wiarę, za Allaha i za Proroka, pójdzie od razu do raju, natomiast niewierny albo tchórzliwy – do piekła. Szczególnie pięknie Mahomet opisywał zwolennikom raj w swoich kazaniach, wizjach i objawieniach, które razem zebrane noszą nazwę *Koranu*.

[...]

*na łóżach ozdobnie wyszywanych,  
Wyciągnięci, podparci na łokciach,  
zwrócenii do siebie twarzami.  
Pośród nich krążą młodzieńcy nieśmiertelni  
z czaszami, dzbanami i kielichami,  
napęłnionymi napojem z płynącego źródła,  
od którego nie cierpią na ból głowy  
ani nie doznają upojenia,  
z owocami, dowolnie wybieranymi,  
i z mięsem ptaków, jakiego zapragną.  
Będą tam hurysy o wielkich oczach,  
podobne do perły ukrytej*

[...]

*A towarzysze prawicy*

[...]

*będą wśród drzew lotosu bez cierni  
i akacji obwieszonych owocami,*

*i wydłużającego się cienia,  
i wody płynącej,  
i owoców obfitych  
[...]  
Blisko nad nimi będą ich cienie  
i pochylą się do nich nisko grona owoców.  
I będą krążyć pośród nich  
naczynia ze srebra  
[...]  
Będą odziani w szaty zielone  
z atłasu i brokatu;  
będą strojni w bransolety ze srebra <sup>1</sup>.*

Możesz sobie wyobrazić, że dla biednego ludu na gorącej pustyni taki raj był obietnicą, za którą warto było walczyć i umierać.

Wyprawili się więc medycy na Mekkę, aby pomścić swego Proroka i ograbić karawany. Raz zwyciężali i zdobywali wspaniałe łupy, potem znowu wszystko tracili. A mekkańczycy ruszyli na Medynę, lecz po dziesięciu dniach musieli odstąpić od oblężenia. Wtedy Mahomet wraz z 1500 zbrojnych udał się z pielgrzymką do Mekki. Jako potężny Prorok – takiego owego biednego, wyśmiewanego Mahometa Mekka jeszcze nie widziała. Wielu przeszło na jego stronę. Wkrótce Mahomet ze swoim wojskiem zdobył całą Mekkę, mieszkańców jednak oszczędził, tylko posążki bożków wyrzucił ze świątyni. Stał się potężnym człowiekiem, ze wszystkich stron przybywały do niego z hołdem poselstwa z obozowisk na pustyni i oaz. Krótco przed śmiercią wygłosił jeszcze kazanie do 40 tysięcy pielgrzymów, po raz ostatni przypominając im dobitnie zasady wiary: że nie ma boga oprócz Boga, że on, Mahomet, jest jego Prorokiem i że niewiernych trzeba zwalczać. Upomniął ich też, by pięć razy dziennie się modlili, z twarzą zwróconą ku Mekce, by nie pili wina i byli dzielni. Niedługo potem zmarł w 632 roku.

W Koranie czytamy: „Zwalczajcie ich [niewiernych], aż nie będzie już buntu”. A w innym miejscu: „Zabijajcie bałwochwalców, tam gdzie ich

znajdziecie; chwytajcie ich, oblegajcie i przygotowujcie dla nich wszelkie zasadzki! Ale jeśli oni się nawrócą [...] to dajcie im wolną drogę”.

Arabowie przestrzegali tych słów Proroka i gdy na ich pustyni wszyscy już zostali nawróceni albo zabici, wyruszyli pod wodzą następców Mahometa, „kalifów” Abu Bakra i Omara, na ościenne kraje. A te były jak porażone tak fanatyczną żarliwością religijną. W sześć lat po śmierci Mahometa zastępy arabskich wojowników podbiły w krwawych walkach Palestynę i Persję, zgarniając niebywałe łupy. Inne oddziały ruszyły na Egipt, wciąż jeszcze należący do cesarstwa wschodniorzymskiego, ale już wtedy wyczerpany i zubożały, podbiły go więc w ciągu czterech następnych lat. Także wielka Aleksandria wpadła w ich ręce. Podobno kalif Omar, zapytany, co zrobić ze wspaniałą biblioteką, w której przechowywano 700 tysięcy ksiąg greckich poetów, pisarzy i filozofów, odpowiedział: „Jeśli zawierają tę samą treść co Koran, są zbyt cenne, a jeżeli inną, są szkodliwe”. Czy to prawda, nie wiemy, ale na pewno zawsze istnieli ludzie tak albo podobnie myślący; w taki oto sposób pośród wszystkich tych walk i zamieszek najważniejszy i najcenniejszy zbiór ksiąg straciliśmy na zawsze.

Imperium arabskie gwałtownie się rozrastało. Było to tak, jakby Mahomet w Mekce rzucił na mapę iskrę, od której poszedł pożar we wszystkie strony. Od Persji aż w głąb Indii, od Egiptu przez całą północną Afrykę. A przy tym Arabowie wcale nie byli między sobą zgodni. Po śmierci Omara wybrali kilku kalifów, czyli następców, i toczyli ze sobą okrutne i krwawe walki. Około 670 roku wojska arabskie usiłowały zdobyć także Konstantynopol, dawną stolicę cesarstwa wschodniorzymskiego, lecz jego mieszkańcy przez siedem lat bronili się rozpaczliwie i bohatersko, aż w końcu oblegający musieli się wycofać. Za to Arabowie z Afryki zdobyli Sycylię. Mało tego. Przeprawili się też do Hiszpanii, gdzie, jak może pamiętasz, od czasów wędrówki ludów panowali Wizygoci. W bitwie, która trwała całe siedem dni, zwyciężył wódz Tarik i Hiszpania znalazła się pod władzą muzułmanów.

Potem wyruszyli do królestwa Franków, władców merowińskich, ale tam, na południu dzisiejszej Francji, stawili im opór chrześcijańscy chłopówojownicy. Frankami dowodził Karol zwany Młotem, bo tak dzielnie potrafił uderzać. I w 732 roku, dokładnie sto lat po śmierci Proroka, rzeczywiście pokonał Arabów. Gdyby Karol Młot przegrał wtedy bitwę pod Tours i Poitiers, Arabowie na pewno podbiliby całe dzisiejsze Francję i Niemcy i zniszczyli klasztory. A my może wszyscy bylibyśmy dzisiaj muzułmanami,

tak jak Irańczycy i wielu Indusów, Arabowie w Mezopotamii i Palestynie, Egipcjanie i północni Afrykanie.

Arabowie nie wszędzie pozostali takimi dzikimi wojownikami z pustyni, jakimi byli w czasach Mahometa. Przeciwnie. Gdy tylko ostygł nieco zapach wojenny, we wszystkich zdobytych krajach zaczęli się uczyć od podbitych i nawróconych ludów. Dzięki Persom poznali cały przepych Wschodu, nauczyli się odczuwać radość z pięknych dywanów i materii, z wystawnych budowli, wspaniałych ogrodów i drogocennych sprzętów o pięknych wzorach.

Muzułmanów obowiązywał zakaz przedstawiania ludzi i zwierząt, wydany po to, by zatrzeć wszelką pamięć bałwochwalstwa, zdobili więc teraz swoje pałace i meczety wspaniałymi, kolorowymi, kunsztownie splecionymi liniami, które od Arabów wzięły nazwę *arabesek*. Jeszcze więcej niż od Persów nauczyli się Arabowie od Greków w podbitych miastach cesarstwa wschodniorzymskiego. Wkrótce przestali palić książki, a zaczęli je zbierać i czytać. Chętnie czytali zwłaszcza pisma słynnego nauczyciela Aleksandra Wielkiego, Arystotelesa, i przetłumaczyli je na arabski. Od Arystotelesa nauczyli się zajmować wszystkimi sprawami natury i szukać przyczyn wszechrzeczy. I robili to chętnie i z zapałem. Wiele nazw nauk, jakie słyszysz w szkole, pochodzi z języka arabskiego, na przykład „chemia” czy „algebra”. Książka, którą trzymasz w ręce, jest z papieru. I to też zawdzięczamy Arabom, którzy nauczyli się tej sztuki od chińskich jeńców wojennych.

Za dwie rzeczy jestem Arabom jednak szczególnie wdzięczny. Pierwsza to cudowne baśnie, jakie opowiadali i zapisywali – przeczytasz je w *Księdze tysiąca i jednej nocy*. A ta druga jest niemal jeszcze bardziej bajeczna niż same baśnie, choć pewnie nie od razu tak pomyślisz. Dlaczego mówimy „dwanaście”, a nie „jeden-dwa” czy „jeden i dwa”, co dawałoby „trzy”? Bo ta jedynka, powiesz, to nie jest jedynka, tylko dziesiątka. Czy wiesz, jak Rzymianie pisali 12? „XII”. A 112? „CXII”. A 1112? „MCXII”. Wyobraź sobie, gdyby takie cyfry trzeba było mnożyć i dodawać! A za pomocą naszych arabskich cyfr to całkiem łatwe. Nie tylko dlatego, że są ładne i nietrudne do zapisania, lecz także dlatego, że jest w tym zapisie coś nowego: otóż wartość cyfry zależy od jej pozycji. Cyfra stojąca z lewej strony obok dwóch innych to setka. A samo sto zapisuje się jako jedynkę z dwoma zerami.

Czy potrafiłbyś wymyślić coś tak praktycznego? Ja na pewno nie. Ten wynalazek i nawet słowo „cyfra” zawdzięczamy Arabom, a oni sami wpadli na ten pomysł dzięki Indusom. I właśnie ten wynalazek uważam za jeszcze bardziej bajeczny niż wspaniałe baśnie. I skoro to dobrze, że Karol Młot w 732 roku po Chrystusie pokonał Arabów, to nie jest też źle, że Arabowie utworzyli wielkie imperium, że podczas swoich podbojów nie pogardzili taką zdobyczą, jak myśli, formy i wynalazki pochodzące od Persów i Greków, Indusów, a nawet Chińczyków.

1. Te i inne cytaty z Koranu za przekładem Józefa Bielawskiego, PIW, Warszawa 1986. [\[wróć\]](#)



## ZDOBYWCA, KTÓRY POTRAFI RZĄDZIĆ



Czytając tę historię, możesz pomyśleć, że bardzo łatwo jest podbijać świat lub tworzyć wielkie państwa, bo w historii raz po raz coś takiego się zdarza. Rzeczywiście w dawnych czasach nie było to aż takie trudne. Dlaczego?

Zauważ, że nie było wtedy jeszcze ani gazet, ani poczty i że większość ludzi w ogóle nie za bardzo wiedziała, co się dzieje w miejscach oddalonych od nich o kilka dni podróży. Żyli sobie w swoich dolinach i lasach, uprawiali ziemię, a ich znajomość świata kończyła się na sąsiednich plemionach. A z nimi łączyły ich najczęściej wrogie stosunki i prawo krwawej zemsty. Wyrządzali sobie nawzajem wiele złego, przepędzali bydło z pastwisk, a nawet podpalali zagrody. Nic, tylko grabież, odwet i walka.

O tym, że poza własnym, ciasnym kręgiem jest coś jeszcze, wiedzieli jedynie ze słyszenia. Gdy więc w ich dolinie czy lasach pojawiało się kilkutyśne wojsko, niewiele mogli zrobić. Sąsiedzi tylko się cieszyli, że żołnierze zabijają ich wrogów, i nie myśleli, że sami mogą być następni. A ci, którzy nie zostali zabici, ale musieli za to iść razem z tym wojskiem na innych sąsiadów, odczuwali nawet wdzięczność. W ten sposób takie wojsko się powiększało i pojedynczym plemionom, choćby najdzielniejszym, zwycięstwa przychodziły z coraz większym trudem. Tak bywało w czasach

podbojów arabskich i podobnie było za słynnego króla Franków, o którym teraz opowiem – Karola Wielkiego.

Nawet jeśli dokonywanie podbojów nie sprawiało wtedy aż takich trudności, jakie sprawiałyby dzisiaj, rządzenie było o wiele trudniejsze. Wymagało przecież wyprawiania posłańców do wszystkich odległych okolic, wymagało godzenia i jednania zwaśnionych ludów i plemion, aby zrozumiały, że jest coś ważniejszego od plemiennej wrogości i krwawej zemsty. Kto chciał być dobrym władcą, ten musiał pomagać chłopom pędzącym lichy żywot, musiał dbać, żeby ludzie czegoś się nauczyli i żeby to wszystko, co inni kiedyś pomyśleli i zapisali, nie zostało zaprzepaszczone. Dobry władca w tamtych czasach musiał naprawdę być głową wielkiej rodziny ludów i o wszystkim decydować sam.

Karol Wielki rzeczywiście był taki. W końcu dlatego nazywamy go Wielkim. Należał do potomków wodza Merowingów, Karola Młota, tego samego, który nie pozwolił Arabom wtargnąć do państwa Franków. Owi długowłosi i długobrodzi Merowingowie nie byli jakąś zacną rodziną królewską. Jedyne, co potrafili, to siedzieć na tronie i odklepywać mowy, wbijane im do głowy przez ministrów. Nie podróżowali konno, tylko na wozach zaprzężonych w woły, zupełnie jak chłopci; tak właśnie przyjeżdżali na zgromadzenia ludowe. Lecz w rzeczywistości rządziła inna, pracowita rodzina, z której pochodził Karol Młot. A także ojciec Karola Wielkiego, Pepin. Ów Pepin nie chciał być jedynie ministrem, którego przemówienia wygłasza kto inny, chciał mieć nie tylko władzę, ale i tytuł królewski. Zrzucił więc z tronu króla merowińskiego i został władcą królestwa Franków, które wtedy obejmowało mniej więcej połowę dzisiejszych Niemiec i wschodnią część dzisiejszej Francji.

Nie wyobrażaj sobie jednak, że było to jakieś spójne królestwo, prawdziwe państwo z urzędnikami i może nawet z policją; imperium rzymskiego też nie przypominało. Nie istniał wtedy jeszcze naród niemiecki, tak jak nie istniał za czasów Rzymian. Tylko pojedyncze plemiona, które mówiły różnymi dialektami, miały różne obyczaje i po części tak samo się nawzajem nie znosiły, jak swego czasu Dorowie i Jonowie w Grecji.

Owo państwo składało się z plemiennych księstw, na których czele stali wodzowie, czyli naczelnicy plemion. Takich plemiennych księstw było kilka: księstwo Bawarów, Szwabów, Alemanów itd. Ale najpotężniejszym plemieniem byli właśnie Frankowie. W razie wojny inne plemiona musiały



im świadczyć pomoc wojskową, czyli walczyć po ich stronie. Ta nadrzędna władza w wypadku wojny stanowiła właściwie główną siłę Franków w czasach Pepina. I tę wojskową władzę wykorzystał też jego syn, Karol Wielki, gdy w 768 roku został królem.

Zdobył całą dzisiejszą Francję. Potem przeszedł przez Alpy do Italii, gdzie, jak pamiętasz, pod koniec wędrówki ludów przybyli Longobardowie. Przepędził króla Longobardów i władzę w kraju przekazał papieżowi w Rzymie, za którego obrońcę uważał się przez całe życie. Potem wyruszył do Hiszpanii i walczył z Arabami, szybko jednak powrócił.

Kiedy już powiększył swoje królestwo na południe i zachód, przyszła kolej na wschód. W tym czasie na tereny dzisiejszej Austrii znowu wtargnęły hordy azjatyckich jeźdźców, Awarów. Ale nie miały już tak potężnego władcy jak Attyła. Swoje obozy otaczały tak zwanymi ringami, wielkimi, trudnymi do zdobycia wałami. Przez osiem lat Karol Wielki ze swoim wojskiem walczył z Awarami i pokonał ich tak doszczętnie, że nic po nich nie zostało. Tylko że przed awarskimi najeźdźcami, zupełnie tak samo jak wcześniej przed Hunami, uciekały też inne ludy, które teraz pozostały na tych obszarach. Byli to Słowianie. Oni także tworzyli coś w rodzaju państwa, lecz jeszcze mniej spójnego i bardziej barbarzyńskiego niż Frankowie. Karol wyruszył też na Słowian i zmusił ich po części do świadczenia pomocy w razie wojny, a po części do rocznych danin. Podczas wszystkich tych wypraw wojennych nigdy jednak nie zapominał o tym, co było dla niego najważniejsze: aby wszystkie niemieckie księstwa plemienne podporządkować swojej władzy i połączyć wszystkie plemiona niemieckie rzeczywiście w *jeden* lud <sup>1</sup>.

Tylko że cała wschodnia połowa dzisiejszych Niemiec wcale jeszcze nie należała do państwa Franków. Żyli tam Sasi, tak dzicy i wojowniczy jak plemiona germańskie za czasów rzymskich. Nadal byli poganami i nie chcieli słyszeć o chrześcijaństwie. A Karol czuł się głową wszystkich chrześcijan. Myślał bardzo podobnie jak muzułmanie. Uważał, że można ludzi zmusić do wiary. Przez wiele lat walczył więc z Widukindem, wodzem Sasów. Sasi się poddawali, a potem podstępnie atakowali od tyłu; Karol zawracał i pustoszył ich kraj. Ledwo odjechał, oni znowu się buntowali. Posłusznie ciągnęli z Karolem Wielkim na wojnę, a potem nagle robili w tył zwrot i napadali na jego oddziały. W końcu Karol odprawił nad nimi okrutny sąd i kazał zgładzić

ponad 4500 Sasów. Po czym inni przyjęli chrzest, lecz długo to trwało, nim pokochali religię miłości.

Karol Wielki był teraz rzeczywiście potężny. I jak już powiedziałem, nie tylko umiał dokonywać podbojów, lecz także rządzić i dbać o swój lud. Szczególnie ważne były dla niego szkoły, sam też się uczył przez całe życie. Po łacinie mówił równie dobrze jak po niemiecku i rozumiał grekę. W ogóle mówił chętnie i dużo, wysokim, czystym głosem. Interesował się naukami i sztuką starożytną, a mnisi z Anglii i Italii uczyli go retoryki i astrologii. Powiadają jednak, że pisanie przychodziło mu z trudem, bo rękę miał nawykłą raczej do robienia mieczem niż do kreślenia piórem pięknych, krągłych liter jedną po drugiej. Bardzo lubił jeździć na polowania i pływać. Ubierał się na ogół bardzo zwyczajnie. Nosił lnianą koszulę, na niej kaftan lamowany kolorowym jedwabiem, długie spodnie i skórznie, czyli buty z cholewami, zimą barki i piersi osłaniał futrem, a na to narzucał niebieski płaszcz. Zawsze miał przypasany miecz ze złotą albo srebrną rękojeścią. Tylko na uroczystości wkładał szatę przetykaną złotem, buty wysadzone szlachetnymi kamieniami, takąż koronę ze złota, a płaszcz ozdabiał wielką złotą zapinką. Wyobraź sobie tego potężnego, wysokiego mężczyznę, jak w takim stroju przyjmuje posłów w swoim ulubionym pałacu w Akwizgranie! A przyjeżdżali ze wszystkich stron: z jego państwa na terenach dzisiejszych Francji, Włoch i Niemiec, z krajów Słowian i z Austrii.

Zewsząd kazał sobie przywozić dokładne sprawozdania i to on postanawiał, co ma być w całym kraju. Mianował sędziów i kazał spisywać prawa, decydował też o tym, kto ma zostać biskupem, ustalał nawet ceny na żywność. Ale najważniejsza była dla niego jedność Niemców. Nie chciał sprawować władzy tylko nad paroma księstwami plemiennymi, chciał z nich zrobić zwarte państwo. Jeśli któremuś z książąt to się nie podobało, jak na przykład Bawarowi Tassilonowi, zrzucił go z tronu. Zauważ, że właśnie w tamtych czasach po raz pierwszy pojawiło się wspólne niemieckie słowo na określenie języka wszystkich plemion germańskich, że po raz pierwszy mówiono nie tylko o języku frankijskim, bawarskim, alemańskim czy saskim, lecz o *thiudisk*, czyli niemieckim.

Ponieważ Karol Wielki interesował się wszystkim, co niemieckie, kazał też spisać stare pieśni bohaterskie, powstałe najprawdopodobniej w latach walk podczas wędrówki ludów. Mówiły one o Teodoryku, nazwanym później Dytrykiem z Berna, o Attyli, królu Hunów, o Zygrydzie, który zabił smoka,

a potem został podstępnie zamordowany przez Hagena. Ale pieśni z tamtych czasów zaginęły prawie ze szczętem, znamy te sagi tylko z zapisów niemal o czterysta lat późniejszych.

Karol Wielki czuł się jednak nie tylko królem niemieckim i panem królestwa Franków. Czuł się patronem wszystkich chrześcijan. Za takiego uważał go także papież w Rzymie, nieraz przezeń broniony przed Longobardami w Italii. Gdy Karol w dniu Bożego Narodzenia 800 roku modlił się w największym rzymskim kościele, w kościele św. Piotra, papież nagle podszedł do niego i włożył mu na głowę koronę. A potem razem ze wszystkimi zgromadzonymi padł przed nim na kolana i złożył hołd Karolowi jako nowemu cesarzowi rzymskiemu, powołanemu przez Boga, by strzegł pokoju w państwie. Podobno Karol był bardzo przestraszony, może się nie domyślał papieskich zamiarów. No, ale teraz nosił koronę, teraz był pierwszym niemieckim cesarzem Świętego Cesarstwa Rzymskiego, jak je później nazwano.

Państwo Karola miało wskrzesić potęgę i wielkość dawnego cesarstwa rzymskiego, tylko że teraz zamiast pogańskich Rzymian władcami mieli być chrześcijańscy Germanie. To oni mieli zostać przywódcami świata chrześcijańskiego, taki był plan i cel Karola Wielkiego i przez długi czas także cesarzy niemieckich. Lecz tylko pod władzą Karola udało się ten cel niemal osiągnąć. Poselstwa z całego świata przybywały na jego dwór, aby złożyć mu hołd. Nie tylko potężny cesarz wschodniorzymski w Konstantynopolu chciał żyć z nim w przyjaźni; nawet władca Arabów w dalekiej Mezopotamii, wielki baśniowy książę Harun ar-Raszid, który w Bagdadzie niedaleko starożytnej Niniwy miał cudowny pałac, przysłał mu w darze najcenniejsze skarby, kosztowne szaty, egzotyczne przyprawy oraz słońca. A także zegar wodny o tak kunsztownej i bogatej konstrukcji, jakiej w państwie Franków jeszcze nie widziano. Ze względu na potężnego cesarza Harun ar-Raszid pozwolił nawet na to, by chrześcijanie mogli nienagabywani i bez przeszkód pielgrzymować do grobu Chrystusa w Jerozolimie. Jerozolima, jak pamiętasz, znajdowała się pod władzą Arabów.

Wszystko to było zasługą mądrości, siły woli i rozwagi nowego cesarza. Okazało się to wyraźnie po jego śmierci w 814 roku. Wtedy wszystko w smutny sposób szybko przeminęło. Państwo po krótkim czasie zostało podzielone między trzech wnuków Karola i niebawem się rozpadło na trzy państwa, które w przyszłości zostaną Niemcami, Francją i Włochami.

W regionach, które kiedyś należały do cesarstwa rzymskiego, ludność nadal mówiła językami romańskimi, a więc po francusku i po włosku. Te trzy kraje już nigdy się nie zjednoczyły. Niemieckie księstwa plemienne też się podniosły i odzyskały samodzielność. Słowianie oderwali się od razu po śmierci Karola i pod władzą swojego pierwszego wielkiego króla Świętopełka sami utworzyli potężne państwo na Morawach. Szkoły, które Karol założył w Niemczech, podupadły, a niebawem sztukę czytania i pisania znali już tylko mnisi w kilku rozproszonych klasztorach. Plemiona germańskie na północy, Duńczycy i Normanowie, których nazywano wikingami, jako barbarzyńscy i nieustraszeni piraci łupili miasta na wybrzeżu. Byli prawie nie do pokonania. Założyli państwa na wschodzie, wśród Słowian w dzisiejszej Rosji, i na zachodzie, na wybrzeżu dzisiejszej Francji. Jeszcze dziś ten region Francji nosi po Normanach nazwę Normandii.

Święte Cesarstwo Rzymskie Narodu Niemieckiego, wielkie dzieło Karola Wielkiego, w następnym stuleciu nie istniało już nawet z nazwy.

1. Pamiętajmy, że mówiąc o tamtych czasach, używamy określeń „Niemcy”, „niemiecki”, „Francja”, „francuski”, „włoski” itp. tylko w uproszczeniu, by nie gmatwać tej nader skomplikowanej opowieści. Liczymy na to, że nasi czytelnicy w przyszłości dalej będą się zagłębiać w dzieje Europy i wtedy poznają wszystkie ich niuanse (przyp. red.). [\[wróć\]](#)



## WALKA O WŁADZĘ NAD ŚWIATEM CHRZEŚCIJAŃSKIM



Historia świata nie jest, niestety, piękną poezją. Nie dba o urozmaicenia. Wciąż się powtarzają zwłaszcza rzeczy nieprzyjemne. Za ledwie sto lat po śmierci Karola Wielkiego, w czasach bardzo smutnych dla kraju, znowu nadciągnęły hordy jeźdźców ze Wschodu, tak jak kiedyś Hunowie, a po nich Awarowie. Właściwie nie jest to aż takie dziwne. Droga z azjatyckich stepów do Europy była bowiem wygodniejsza, więc i bardziej nęcąca niż wyprawa po łupy do Chin, które chronił Wielki Mur cesarza Qin Shi i które w ogóle były wówczas potężnym, uporządkowanym państwem, z wielkimi, kwitnącymi miastami, a życie na dworze cesarskim i w domach wysokich, uczonych urzędników odznaczało się ogromną kulturą i wyrefinowaniem.

W tym samym czasie, kiedy w Niemczech spisywano dawne pieśni wojenne, aby je za chwilę znowu spalić jako zbyt pogańskie, kiedy w Europie mnisi nieśmiało próbowali opowiedzieć historię biblijną w niemieckich rymach i łacińskich wersach (a więc przed 800 rokiem i później), w Chinach żyli może najwięksi poeci, jacy kiedykolwiek istnieli. Eleganckimi pociągnięciami pędzelka pisali tuszem na jedwabiu bardzo krótkie, proste wiersze, mimo całej swojej prostoty wyrażające jednak tak

wiele, że kto je raz przeczytał, ten nigdy ich nie zapomni. Cesarstwo chińskie było dobrze zarządzane i dobrze strzeżone. Dlatego hordy jeźdźców wołały raz po raz najeżdzać Europę. Tym razem byli to Madziarzy. A że żaden papież Leon ani żaden cesarz Karol Wielki nie stawili im czoła, bardzo szybko podbili dzisiejsze Węgry i Austrię, po czym wtargnęli do Niemiec, aby rabować i mordować.

Niemieccy książęta plemienni musieli więc radzi nieradzi wybrać sobie przywódcę. W 919 roku obrali jednego z książąt saskich, Henryka, na wspólnego króla, który w końcu wyparł Madziarów i trzymał ich z daleka od Niemiec. Jego następca, król Otton nazywany Wielkim, nie rozgromił ich wprawdzie tak doszczętnie jak Karol Wielki Awarów, ale po miazdzącej klęsce, jaką im zadał w 955 roku, zmusił ich do osiedlenia na obszarze dzisiejszych Węgier. Tam też ich potomkowie, Węgrzy, żyją do dzisiaj.

Odebranej Madziarom ziemi Otton nie zatrzymał po prostu dla siebie jako król. Nadał ją w użytkowanie jednemu z książąt. Tak było wówczas w zwyczaju. Syn Ottona Wielkiego, Otton II, w taki sam sposób w 976 roku nadał część dzisiejszej Dolnej Austrii, mianowicie region Wachau, jednemu z niemieckich wielmożów, Leopoldowi z rodu Babenbergów. Taki wielmoża budował sobie na ziemi użyczonej przez króla zamek i rządził tam niby książę. Na ogół nie był jakimś zwyczajnym urzędnikiem królewskim. Był kimś więcej, był panem na swoich włościach, dopóki król mu ich nie odebrał.

Chłopi, którzy tam mieszkali, najczęściej nie byli już wolnymi ludźmi, tak jak dawniej chłopi germańscy. Przynależeli do ziemi, nadanej przez króla w lenno albo będącej własnością możnego pana gruntowego. Jak owce i kozy, które się tam pasły, jak jelenie, niedźwiedzie i dziki, które żyły w lasach, jak rzeki i lasy, pastwiska, łąki i pola, tak i chłopi przynależeli do ziemi, którą uprawiali. Dlatego nazywano ich *poddanymi*. Tak naprawdę nie byli obywatelami państwa, nie mieli prawa iść, dokąd chcieli, ani decydować o tym, czy będą uprawiać ziemię czy nie. Nie byli wolni.

„Byli więc niewolnikami, tak jak w starożytności?” – zapytasz. Właściwie też nie. Jak wiesz, od czasów chrześcijaństwa skończyło się niewolnictwo w naszych krajach. Niewolni chłopi nie byli niewolnikami, bo przecież przynależeli do ziemi, a ziemia należała do króla, nawet jeśli użyczał jej wielmożom. Wielmoża czy książę nie mógł ich więc sprzedawać ani zabijać, jak to kiedyś mógł robić pan ze swoimi niewolnikami. Poza tym mógł jednak żądać od nich wszystkiego, czego zechciał. Musieli dla niego uprawiać pola

i dla niego pracować, jeśli kazał, musieli regularnie posyłać mu zboże i mięso na zamek, żeby miał co jeść, bo przecież wielmoża sam nie pracował w polu. Co najwyżej chodził na polowania, jeśli sprawiało mu to przyjemność. Ziemia, którą król nadał mu w użytkowanie, była właściwie jego ziemią, bo także jego syn ją po nim dziedziczył, jeśli nie dopuścił się żadnej przewiny wobec króla. A jedyną powinnością księcia wobec króla w zamian za nadaną ziemię, zwaną *lennem*, było to, że razem ze swoimi panami gruntowymi i chłopami musiał z nim iść na wojnę, jeśli jakaś wybuchła. Tyle że wojny wybuchały często.

Całe Niemcy składały się w tamtych czasach z takich *lenn* nadawanych wielmożom. Król zatrzymywał dla siebie tylko nieliczne włości. Tak samo było we Francji i w Anglii. We Francji w 987 roku królem został potężny książę Hugo Kapet; Anglię opanował w 1016 roku duński żeglarz Kanut, który potem objął również tron Danii, a także Norwegii oraz części Szwecji i pozwolił możliwym książętom rządzić na swoich *lennach*.

Dzięki zwycięstwom nad Madziarami znowu bardzo się umocniła władza królów niemieckich. Sam Otton Wielki, pogromca Madziarów, narzucił zwierzchność *lenną* także książętom Słowian, Czechów i Polan. To znaczy, że odtąd uważali oni swoje ziemie za jedynie nadane im przez króla niemieckiego i stawiali się z pomocą zbrojną, jeśli tego zażądał.

Już jako tak potężny władca Otton Wielki ruszył do Italii, gdzie wybuchły wśród Longobardów straszliwe zamieszki i dzikie walki. Również te ziemie uznał za swoje niemieckie *lenno* i nadał je jednemu z książąt longobardzkich. Papież, wdzięczny Ottonowi, że swoją potęgą nieco poskromił longobardzkich wielmożów, koronował go w 962 roku na cesarza rzymskiego – tak jak w 800 roku został koronowany Karol Wielki.

Niemieccy królowie znowu stali się rzymskimi cesarzami i tym samym patronami chrześcijańskiego świata. Do nich należała ziemia uprawiana przez chłopów od Włoch po Morze Północne i od Renu aż hen za Łabę, gdzie Słowianie mieli za panów niemieckich wielmożów. Ale nie tylko książętom cesarz nadawał ziemie w *lenno*. Często nadawał je także księżom, biskupom i arcybiskupom. Byli więc już nie tylko urzędnikami Kościoła, lecz tak jak wielmoże władali rozległymi obszarami i na czele swoich chłopskich poddanych szli na wojnę.

Z początku papieżowi bardzo to dogadzało. Lubił pozostawać w dobrych stosunkach z niemieckimi cesarzami, którzy go chronili i bronili i wszyscy

bez wyjątku byli bardzo pobożni.

Wkrótce jednak sprawy przybrały inny obrót. Papież nie chciał pozwolić, żeby cesarz decydował, kto z księży ma zostać biskupem Moguncji czy Trewiru, Kolonii czy Pasawy. Mówił: „Są to urzędy duchowne i to ja, najwyższy duchowny, mam prawo je rozdzielać”. Tyle że nie były to tylko duchowne urzędy. Arcybiskup Kolonii był duszpasterzem, a jednocześnie księciem i panem całej okolicy. A o tym, kto ma zostać księciem i panem na jego ziemi, chciał przecież decydować cesarz. Jeśli dobrze się zastanowisz, dojdiesz do wniosku, że w rzeczywistości obaj ze swojego punktu widzenia mieli zupełną rację, tak cesarz, jak i papież. To z nadawania księżom ziemi w lenno wziął się cały kłopot, gdyż najwyższym panem wszystkich księży jest papież, a najwyższym panem wszystkich ziem – cesarz. Musiało to doprowadzić do konfliktu i niebawem taki konflikt wybuchł. Nazywamy go *sporem o inwestyturę*.

W Rzymie w 1073 roku papieżem został wyjątkowo pobożny, żarliwy mnich, który przez całe życie zabiegał o czystość i władzę Kościoła. Nazywał się Hildebrand, a jako papież przyjął imię Grzegorza VII.

W tym czasie królem w Niemczech był Henryk IV. A trzeba ci wiedzieć, że papież czuł się nie tylko najwyższym kapłanem, lecz także powołanym przez Boga władcą wszystkich chrześcijan na ziemi. I dokładnie tak samo cesarz niemiecki, następca dawnych cesarzy rzymskich i Karola Wielkiego, czuł się patronem i najwyższym przywódcą całego chrześcijańskiego świata. Henryk IV wprawdzie nie był wtedy jeszcze cesarzem, ale uważał, że jako król niemiecki ma prawo do koronacji. Który z nich dwóch miał ustąpić?

Gdy zaczęli ze sobą walczyć, na świecie zapanowało niesłychane poruszenie. Wielu było za królem Henrykiem IV, wielu za papieżem Grzegorzem VII. Do dzisiaj znamy 155 pism polemicznych, napisanych wówczas przez zwolenników i przeciwników króla. Tak bardzo wszyscy byli zaangażowani w tę walkę. Niektóre pisma przedstawiają króla Henryka jako złego, gwałtownego człowieka, inne z kolei papieża jako człowieka o twardym sercu i żądnego władzy.

Myślę, że nie będziemy wierzyć ani jednemu, ani drugiemu. Będziemy pamiętać, że obaj ze swojego punktu widzenia mieli rację i dlatego nie jest dla nas takie ważne, czy król Henryk rzeczywiście nie był uprzejmy wobec swojej żony (jak twierdzili przeciwnicy króla) i czy papież rzeczywiście nie całkiem formalnie został papieżem (jak twierdzili przeciwnicy papieża). Nie



możemy przecież odbyć podróży w przeszłość, by zobaczyć, jak to naprawdę wyglądało i czy któreś z tych pism nie oczerniło papieża albo cesarza. Prawdopodobnie zostali oczernieni obaj, bo ludzie, jeśli walczą, są prawie zawsze niesprawiedliwi. A teraz chcę ci pokazać, jak trudno jest dojść prawdy po ponad dziewięciuset latach.

Król Henryk nie miał bowiem łatwo. Wielmoże, którym nadał ziemie w lenno (czyli niemieccy książęta), byli przeciwko niemu. Nie chcieli, żeby król stał się zbyt potężny. Bo wtedy im również mógłby rozkazywać. Zaczął papież Grzegorz, wykluczając króla Henryka z Kościoła, to znaczy: zabraniając wszystkim księżom odprawiać dla niego msze. Nazywa się to *ekskomuniką*. Wtedy książęta oświadczyli, że nie chcą króla wyklętego przez Kościół i wybiorą sobie innego. Henryk musiał więc przede wszystkim postarać się o to, żeby papież zdjął z niego tę straszliwą klątwę. To było najważniejsze, bo gdyby mu się nie udało, pożegnałby się z koroną. Pojechał więc sam, bez wojska, do Italii, by rozmawiać z papieżem i prosić o zdjęcie ekskomuniki.

Była zima, a niemieccy książęta, którym pojednanie króla Henryka z papieżem nie było przecież na rękę, obsadzili wszystkie drogi i dróżki. Henryk wraz z małżonką musiał więc wybrać długą, okrężną drogę i mimo lodowatego zimna przeszedł przez Mont-Cenis, prawdopodobnie przez tę samą przełęcz, przez którą niegdyś wkroczył do Italii Hannibal.

Papież akurat jechał do Niemiec na rozmowy z wrogami króla. Gdy usłyszał, że Henryk nadchodzi, schronił się w Canossie, w warownym zamku w północnej Italii. Myślał, że Henryk idzie z wojskiem. Ale gdy zobaczył, że przyszedł sam, by prosić o zdjęcie klątwy, zdumiał się i ucieszył. Niektórzy powiadają, że król pojawił się w szacie pokutnej, w zgrzebnym habicie, że papież kazał mu trzy dni czekać na dziedzińcu pod zamkiem, stojącemu boso na śniegu, w siarczysty mróz, zanim się zlitował i zdjął klątwę. Niektórzy ówczesni opisują, jak to król skamlał przed papieżem o łaskę, która mu w końcu z litości została okazana.

Jeszcze dzisiaj mówimy o kimś, kto musi się ukorzyć i prosić przeciwnika o łaskę, że „idzie do Canossy”. A teraz się dowiesz, jak tę samą historię opowiada jeden z przyjaciół króla. Brzmi ona tak: „Gdy Henryk zrozumiał, jak złe jest jego położenie, po cichu obmyślił bardzo sprytny plan. Nagle i niespodziewanie wyjechał papieżowi naprzeciw. W ten sposób odniósł dwie wielkie korzyści naraz: klątwa została zdjęta, a przez to, że zjawił się

osobiście, nie dopuścił do spotkania papieża ze swoimi wrogami, co byłoby dla niego niebezpieczne”.

Tak oto przyjaciele papieża uważali Canossę za niebywały sukces papieża, a zwolennicy króla za wielką wygraną swojego pana.

Widzisz teraz, jak trzeba uważać, wydając osąd o dwóch potęgach, które wiodą ze sobą spór. Ale Canossa nie zakończyła tego sporu; nie zakończyła go nawet śmierć króla Henryka, który rzeczywiście został cesarzem, ani śmierć papieża Grzegorza. Wprawdzie Henryk zdołał jeszcze doprowadzić do detronizacji Grzegorza, lecz wola tego wielkiego papieża powoli jednak wzięła górę. Biskupów wybierał Kościół, a cesarzowi wolno było tylko powiedzieć, czy zgadza się z wyborem. Papież, nie cesarz, został panem świata chrześcijańskiego.

Pamiętasz, że nordyccy żeglarze, Normanowie, zdobyli kawałek ziemi na wybrzeżu państwa Franków, który jeszcze dzisiaj nazywa się po nich Normandią. Wkrótce przyzwyczaili się mówić po francusku, tak jak ich sąsiedzi. Ale ochoty do śmiałych rejsów po morzu, do wędrowania i zdobywania nie stracili. Niektórzy popłynęli aż na Sycylię i walczyli tam z Arabami, a potem zdobyli też południową Italię i stamtąd – pod przywództwem swojego wielkiego wodza Roberta Guiscarda – bronili papieża Grzegorza VII przed atakami Henryka IV. Inni przedostali się przez wąską odnogę morską między Francją a Anglią i pod wodzą swojego króla Wilhelma, nazywanego od tej pory Wilhelmem Zdobywcą, pokonali angielskiego króla (jednego z rodzimych następców duńskiego króla Kanuta). Było to w roku 1066 – niemal każdy Anglik zna tę datę, bo wtedy po raz ostatni obcemu wojsku udało się postawić stopę na angielskiej ziemi.

Wilhelm kazał swoim urzędnikom sporządzić dokładny spis wszystkich wsi i wszystkich posiadłości ziemskich i wiele z nich oddał w lenno swoim współwojownikom. Tak to wielmożami w Anglii zostali Normanowie; a że owi Normanowie z Normandii mówili po francusku, do dziś język angielski stanowi mieszaninę dawnych słów germańskich i romańskich.



## RYCERSCY RYCERZE



O rycerzach w dawnych czasach na pewno już słyzałeś. Moze też czytałeś książki, w których tyle się mówi o zbrojach i giermkach, o hełmach z pióropusami i o szlachetnych rumakach, kolorowych herbach i warownych zamkach, o pojedynkach i turniejach rycerskich, o damach wręczających nagrody, o awanturicznych eskapadach i opuszczonych kasztelankach, o wędrownych śpiewakach i o konnych wyprawach do Ziemi Świętej. A najpiękniejsze jest to, że wszystko to kiedyś naprawdę było. Cały ten romantyczny splendor nie jest wymysłem. Kiedyś świat był malowniczy i pełen przygód, a ludzie z radością brali udział w wielkich, dziwnych zabawach rycerstwa, które często bywały bardzo poważne.

Ale kiedy żyli ci rycerze i jak to wtedy właściwie było?

Słowo „rycerz” pochodzi od niemieckiego *Ritter*, a *Ritter* od *Reiter*, czyli „jeździec”, i od jeźdźców zaczęło się rycerstwo. Kogo było stać na pięknego

konia bojowego, ten był rycerzem. Kogo nie było stać i musiał na wojnę iść pieszo, ten rycerzem nie był. Wielmoże, którym król nadał ziemie w lenno, byli więc rycerzami. Owsa dla koni musieli im dostarczać poddani chłopci. Ale i urzędnicy wielmożów, ich rządcy, którym panowie nadali w lenno kawałek własnego lenna, też byli dość zamożni, żeby pozwolić sobie na konia, choć poza tym bardzo możni nie byli. Kiedy król wzywał ich pana na wojnę, musieli mu towarzyszyć na swoich koniach. Zatem i oni należeli do rycerzy. Tylko chłopci, ubodzy słudzy i piesi wojowie nie byli rycerzami.

A zaczęło się to wszystko już w czasach cesarza Henryka IV, czyli po 1000 roku, i nie zmieniło przez następne stulecia. Nie tylko w Niemczech, lecz przede wszystkim we Francji.

Owi jeźdźcy nie byli jeszcze takimi rycerzami, o jakich myślimy. Dopiero z czasem książęta i wielmoże zaczęli budować sobie wielkie, mocne, dumne zamki, jakie jeszcze dziś możemy zobaczyć w górzystych okolicach. Zamki, na których byli panami. Niechby kto się ośmielił przyjść i zakłócić im spokój! Wznosili te zamki nierzadko na stromych, urwistych skałach, dostępnych tylko od jednej strony i właśnie po tej stronie prowadziła w górę wąska końska ścieżka.

Zanim ktoś stanął u zamkowej bramy, zwykle musiał minąć szeroki rów, czasami wypełniony wodą. Przez tę fosę prowadził most zwodzony. W każdej chwili można go było podciągnąć na łańcuchach, odcinając dostęp do zamku, a wtedy nikt nie mógł się dostać do środka. Bo między fosą a zamkiem ciągnął się gruby, mocny mur z prześwitami, przez które załoga raziła nieprzyjaciół strzałami, i z otworami, przez które lała na nich wrzącą smołę. Mur miał zwieńczenie w postaci zębatego blanków, za którymi można było stać i obserwować wrogów. Za owym grubym murem często był jeszcze drugi, a nawet trzeci, i dopiero wtedy wchodziło się na dziedziniec zamkowy, a stamtąd do pomieszczeń mieszkalnych rycerzy. Sala, w której palił się ogień w kominku, była przeznaczona dla kobiet, nie tak zahartowanych jak mężczyźni.

A wygodnie się w takim zamku nie żyło. Kuchnia była czarnym, zakopconym pomieszczeniem, gdzie mięso pieczono na rożnie nad wielkim otwartym paleniskiem, w którym trzaskał ogień od palących się drzew. Oprócz pomieszczeń dla służby i dla rycerzy były jeszcze dwa: kaplica, w której kapłan odprawiał nabożeństwa, i donżon. Donżon, inaczej stołp albo słup, to potężna wieża, najczęściej zbudowana wewnątrz zamku, w której

zazwyczaj przechowywano zapasy żywności i do której wycofywali się rycerze, jeśli wrogowie rzeczywiście zdołali pokonać wszystkie przeszkody – i górę, i fosę, i most zwodzony, i wrzącą smołę, i potrójny pierścień murów. A wtedy stawali pod tą potężną wieżą, w której rycerze nierzadko mogli się bronić tak długo, aż nadeszła pomoc.

O czymś jeszcze powinniśmy pamiętać! O lochu. Było to głębokie, ciasne, mroczne, zimne podziemne pomieszczenie, do którego rycerz wrzucał pojmanych wrogów i w którym ginęli marnie, chyba że dostał za nich sowity okup.

Może już widziałeś taki zamek. A kiedy znowu jakiś zobaczysz, to nie myśl tylko o rycerzach w kolczugach, którzy tam niegdyś chadzali, lecz popatrz przez chwilę na mury i wieże i pomyśl o ludziach, którzy je wznosili. Te wieże na spiczastych skałach, mury między przepaściami. Wszystko to musieli zbudować poddani chłopci, niewolnicy, pańszczyźnianicy, bo i tak ich nazywano. Musieli tłuc i dźwigać kamienie, musieli je wciągać na górę i układać jeden na drugim, a kiedy nie mieli już siły, pewnie musiały pomagać im żony i dzieci. Bo rycerz mógł kazać im wszystko. W każdym razie lepiej było być rycerzem niż chłopcem pańszczyźnianym.

Synowie chłopów pańszczyźnianych też zostawali chłopami pańszczyźnianymi, a synowie rycerzy – rycerzami. Niezbyt się to różniło od zwyczajów kastowych w dawnych Indiach.

Syna rycerskiego już w wieku siedmiu lat wyprawiano na zamek innego rycerza, żeby tam nauczył się życia. Tacy chłopcy, zwani *paziami*, musieli usługiwać damom, nosić za nimi tren, a może też im czytać, bo kobiety często nie umiały ani czytać, ani pisać. A paziowie czasami tak. W wieku czternastu lat paziowie zostawali *giermkami*. Nie musieli już siedzieć w zamku przy ogniu, wolno im było jechać konno razem z innymi, na polowanie albo na wojnę. Giermek nosił rycerzowi tarczę i włócznię, a podczas walki podawał mu drugą, jeśli pierwsza się połamała, i musiał być swemu panu bezwzględnie posłuszny i wierny. Jeśli jako giermek był odważny i oddany, to w wieku dwudziestu jeden lat jego samego pasowano na rycerza. Była to bardzo uroczysta ceremonia. Giermek musiał najpierw długo pościć i modlić się w zamkowej kaplicy. Przyjmował też od księdza komunię. Potem musiał przyklęknąć między dwoma świadkami, w pełnej zbroi, ale bez hełmu, miecza i tarczy, a pan, który go pasował, uderzał go płazem miecza w każde ramię i w kark. Wypowiadał przy tym takie słowa:

*W imię Boga, świętego Michała i świętego Jerzego  
pasuję cię na rycerza  
i nadaję ci prawo wymierzania sprawiedliwości.  
Znieś to uderzenie i żadnego więcej.*

Potem giermek mógł wstać. Nie był już giermkim, tylko rycerzem, który teraz sam mógł pasować innych, który nosił na tarczy swój herb – lwa, panterę czy kwiat, i zwykle obierał też sobie jakąś piękną dewizę życiową. Uroczyście wręczano mu miecz i hełm, zakładano pozłacane ostrogi, podawano tarczę i tak odjeżdżał, z kolorowym pióropuszem przy hełmie, wielką kopią, w szkarłatnym płaszczu na kolczudze, z giermkim u boku, by okazać się godnym rycerskiego stanu.

Po tej wielkiej uroczystości możesz się domyślić, że rycerz był kimś więcej niż po prostu konnym wojownikiem. Był niemal członkiem zakonu, podobnie jak mnich. Bo dobry rycerz to nie tylko dzielny rycerz. I tak jak mnich służył Bogu modlitwami i dobrymi uczynkami, tak rycerz miał służyć Bogu swoją siłą. Chronić słabych i bezbronnych, kobiety, ubogich, wdowy i dzieci. Miecz wyciągać tylko w słusznej sprawie i każdym swoim czynem służyć Bogu. Swojemu panu lennemu winien był bezwzględne posłuszeństwo. Dla niego musiał odważyć się na wszystko. Nie mógł być brutalny, ale tchórzliwy też nie. Podczas bitwy nigdy nie atakował we dwóch pojedynczego wroga, zawsze walczył jeden na jednego. Pokonanych nieprzyjaciół nie upokarzał. Jeszcze dzisiaj mówimy o kimś, kto trzyma się tych zasad, że jest „rycerski”, postępuje bowiem zgodnie z ideałami rycerzy.

Zakochany rycerz szedł do boju i szukał wielkich przygód, by damie swego serca przysporzyć sławy. Nie zbliżał się do niej inaczej, jak tylko z czcią, i robił wszystko, co mu rozkazała. To też należy do rycerskości. I jeśli dla ciebie dzisiaj to zupełnie naturalne, że w drzwiach damę przepuszczasz przodem i że to ty się schylasz, gdy jej coś upadło, to przetrwała w tobie resztką dawnego rycerskiego myślenia, że prawdziwy mężczyzna musi chronić słabszych i szanować kobiety.

W czasach pokoju rycerz okazywał odwagę i zręczność w zawodach rycerskich zwanych *turniejami*. Zjeżdżali na te zawody rycerze z wielu stron, żeby stanąć w szranki. W pełnej zbroi nacierali na siebie stępienymi kopiami

i jeden drugiego usiłował zrzucić z konia. Zwycięzcy wręczała nagrodę – zazwyczaj wianek z kwiatów – małżonka pana na zamku. Aby podobać się damom, rycerz musiał nie tylko dokonywać czynów orężnych. Musiał się odznaczać umiarem i szlachetnością w postępowaniu, nie wolno mu było przeklinać, co wojownicy skądinąd chętnie robili, musiał się znać na sztuce nie tylko wojennej, lecz także umieć grać w szachy czy układać wiersze.

I rzeczywiście rycerze często bywali wielkimi poetami, śpiewającymi hymny na cześć swoich ukochanych, ich urody i cnoty. Chętnie śpiewano i słuchano również o czynach rycerzy z zamierzchłych czasów. Były to długie rymowane historie, opowiadające o Parsifalu i o rycerskich strażnikach Graala – świętej czary z Ostatniej Wieczery Chrystusa, o królu Arturze i o Lohengrinie, a także o nieszczęśliwie zakochanym Tristanie i nawet o Aleksandrze Wielkim, i o wojnie trojańskiej.

Rybałci wędrowali po kraju, od zamku do zamku, i wciąż jeszcze śpiewali dawne pieśni o Zygfydzie, który zabił smoka, i o Dytryku z Berna, czyli ostrogockim królu Teodoryku. Znamy je dopiero z tamtych czasów, w postaci, w jakiej śpiewano je wtedy w Austrii nad Dunajem, bo przecież pieśni, które kazał spisać Karol Wielki, przepadły. I kiedy przeczytasz *Pieśń o Nibelungach* (taki tytuł ma pieśń o Zygfydzie), zauważysz, że dawni germańscy chłopci-wojownicy zamienili się w prawdziwych rycerzy i że nawet straszliwy władca Hunów Attyła, który jako król Etzel obchodził w Wiedniu uroczyste wesele z wdową po Zygfydzie, Krymhildą, został w niej przedstawiony jako człowiek rycerski i szlachetny.

Jak wiesz, rycerze uważali, że ich głównym zadaniem jest walczyć za Boga i chrześcijaństwo. I nadarzyła się wspaniała okazja. Otóż grób Chrystusa w Jerozolimie, tak jak i cała Palestyna, znajdował się w rękach Arabów, czyli niewiernych. I gdy wielki kaznodzieja we Francji przypomniał o tym chrześcijańskim rycerzom, a papież, po zwycięstwie nad niemieckimi królami potężny władca całego chrześcijańskiego świata, poprosił ich o pomoc w wyzwaniu grobu, tysiące i dziesiątki tysięcy z zachwytem wykrzyknęły: „Bóg tak chce, Bóg tak chce!”.

Pod przewodnictwem francuskiego księcia Gotfryda z Bouillon wyruszyli w 1096 roku wzdłuż Dunaju do Konstantynopola i przez Azję Mniejszą do Palestyny. Na ramieniu rycerze i ich towarzysze nosili przyszyty czerwony krzyż z sukna. Nazwano ich *krzyżowcami*. Przecież chcieli wyzwolić kraj, w którym niegdyś stał krzyż Chrystusa. I gdy po latach wyrzeczeń i walk

stanęli wreszcie pod Jerozolimą, byli tak wzruszeni widokiem świętego miasta, o którym tyle wiedzieli z Biblii, że podobno z płaczem całowali ziemię. A potem rozpoczęli oblężenie Jerozolimy, dzielnie bronionej przez wojska arabskie, i w końcu ją zdobyli.

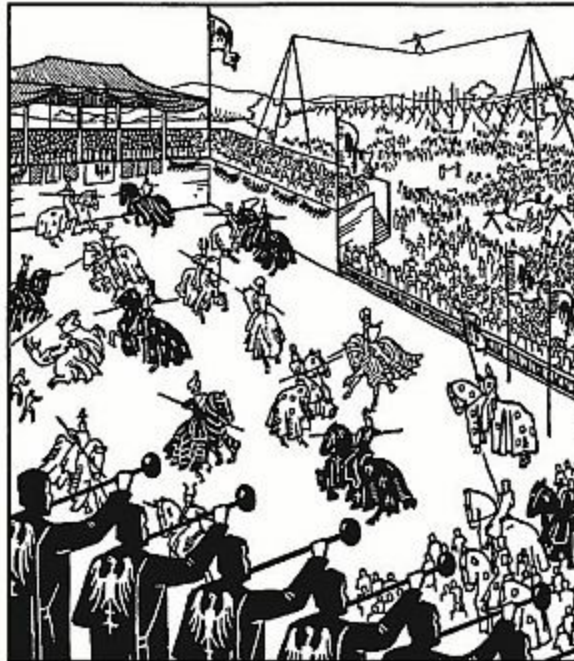
W samej Jerozolimie nie popisali się jednak ani jako rycerze, ani jako chrześcijanie. Wycięli w pień wszystkich muzułmanów i dopuszczali się odrażających okrucieństw. A potem w pokucie szli bosy, śpiewając psalmy, do Świętego Grobu. Krzyżowcy założyli chrześcijańskie Królestwo Jerozolimskie, którego władcą (z tytułem Obrońcy Świętego Grobu) został Gotfryd z Bouillon. Ale to słabe państewko, położone daleko od Europy i otoczone państwami muzułmańskimi, raz po raz nękali arabscy wojownicy, toteż kaznodzieje we Francji i w Niemczech raz po raz wzywali rycerzy do nowych krucjat. Nie wszystkie kończyły się sukcesem.

Wyprawy krzyżowe przyniosły jednak pewną korzyść, na której samym rycerzom najmniej zależało: daleko na Wschodzie chrześcijanie zapoznali się z kulturą Arabów, z ich budowlami, ich zmysłem piękna i z ich uczonością. I nie minęło nawet sto lat od pierwszej krucjaty, a pisma Arystotelesa, nauczyciela Aleksandra Wielkiego, były już przełożone z arabskiego na łacinę i pilnie studiowane i czytane w Italii, Francji i w Niemczech. Wielu zastanawiało się głęboko, jak pogodzić naukę Arystotelesa z naukami Kościoła, i pisało grube łacińskie książki na ten temat, pełne najtrudniejszych myśli. Wszystko to, czego Arabowie nauczyli się i dowiedzieli podczas swoich wypraw zdobywczych po świecie, krzyżowcy przynieśli teraz do Francji i Niemiec. W wielu sprawach dopiero przykład rzekomych wrogów zamienił dzikich konnych wojowników w prawdziwych, rycerskich rycerzy.





## CESARZE W CZASACH RYCERZY



W tych bajecznie kolorowych, awanturniczych czasach władzę sprawował w Niemczech rycerski ród, zwany od swojej siedziby rodem Hohenstaufów. Pochodził z tego rodu cesarz Fryderyk I, który miał piękną rudoblond brodę i dlatego nazywano go Fryderykiem Rudobrodym. Włosi mówili o nim Barbarossa. Ale to też znaczy: Rudobrody. Może się dziwisz, że tak często nazywa się go włoskim przydomkiem Barbarossa, skoro cesarzem był przecież niemieckim. Ale bardzo często przyjeżdżał do Italii i tam też dokonał swoich najślawniejszych czynów. Tym, co go do Italii ciągnęło, był jednak nie tylko papież i to, że mógł on nadawać niemieckim królom koronę cesarzy rzymskich. Barbarossa chciał naprawdę władać całym krajem, bo potrzebował pieniędzy. „Czy nie mógł dostać tych pieniędzy w Niemczech?” – zapytasz. W zasadzie nie mógł. Bo pieniędzy w Niemczech jeszcze prawie nie było.

Czy zastanawiałeś się kiedyś, do czego właściwie potrzebne są pieniądze? „Oczywiście do życia!” – odpowiesz. Ale nie będzie to dobra odpowiedź, bo czy odgryzłeś kiedyś kawałek monety? Życ można tylko chlebem i innym pożywieniem, a kto sam uprawia zboże na chleb, ten nie potrzebuje pieniędzy, tak jak nie potrzebował ich Robinson Crusoe. Oczywiście nie potrzebuje pieniędzy również ten, któremu inni muszą dawać chleb za darmo. A tak właśnie było w Niemczech. Poddani chłopcy uprawiali pola i jedną dziesiątą swoich zbiorów oddawali rycerzom oraz klasztorom, do których należała ziemia.

Skąd chłopcy brali pługi, kaftany, uprząż? Najczęściej wymieniając coś za coś. Jeśli chłop miał wołu, a wolał mieć sześć owiec, bo potrzebował wełny na kaftan, to wymieniał się z sąsiadem. A jeśli tego wołu zaszlachtował i w długie zimowe wieczory przerobił oba rogi na piękne naczynia do picia, to jeden z tych rogów mógł wymienić na len z pola sąsiada, aby żona miała z czego utkać sobie płaszcz. Nazywa się to *handlem wymiennym*. Dzięki temu w Niemczech łatwo można się było obywać w tamtych czasach bez pieniędzy, gdyż ludność składała się głównie z chłopów i panów gruntowych. Wszystkie klasztory też posiadały dużo ziemi, otrzymanej w darze albo w spadku od pobożnych ludzi.

Poza wielkimi lasami i małymi polami, paroma wsiami, zamkami i klasztorami nie było wówczas w całym wielkim państwie niemieckim prawie nic. Czyli prawie żadnych miast. A tylko w miastach potrzebne są pieniądze. Szewc, handlarz sukniem, pisarz nie mogą przecież zaspokoić głodu i pragnienia skórą, sukniem czy atramentem. Potrzebują chleba. Ty też nie możesz pójść do szewca i dać mu za buty chleb, żeby miał co jeść! I skąd miałbyś wziąć chleb, jeśli nie jesteś rolnikiem? Od piekarza! Ale co dasz za to piekarzowi? Może mógłbyś mu pomagać. A jeśli cię nie potrzebuje? Albo jeśli już pomagasz handlarce owocami? Byłoby to, jak sam widzisz, niewyobrażalnie skomplikowane, gdyby ludzie w miastach chcieli żyć z handlu wymiennego.

Dlatego ludzie postanowili jako środka wymiany używać czegoś, co każdy chce mieć i przyjmować i co łatwo można dzielić i nosić przy sobie. I co się nie zepsuje, kiedy będzie leżało. Najlepiej nadaje się do tego celu metal, a więc złoto i srebro. Dawniej wszystkie pieniądze były z metalu i ludzie naprawdę bogaci zawsze nosili u paska mieszki ze sztukami złota. Teraz możesz dać szewcowi pieniądze za buty, a on kupi sobie za to chleb

u piekarza, ten z kolei zapłaci nimi chłopu za mąkę, a chłop może kupić sobie za swoje pieniądze nowy pług. Z ogrodu sąsiada nie dostałby go w drodze wymiany.

W Niemczech w czasach rycerzy prawie nie było miast, a więc i pieniędzy nikt nie potrzebował. Lecz w Italii pieniądze znano już od czasów rzymskich. Tam zawsze istniały duże miasta, a w nich żyło wielu handlarzy, którzy sporo pieniędzy nosili u paska, a jeszcze więcej trzymali w masywnych, wielkich skrzyniach.

Niektóre miasta leżały nad morzem, jak na przykład Wenecja, położona właściwie na morzu, na małych wyspach, na których mieszkańcy w swoim czasie schronili się przed Hunami. Były też inne wielkie miasta portowe, przede wszystkim Genua i Piza, a mieszczanie (bo tak się nazywali mieszkańcy miast) pływali na swoich statkach w dalekie strony i przywozili ze Wschodu piękne materiały, rzadkie przyprawy i drogocenną broń. Z placów portowych sprzedawane towary jechały dalej, w głąb kraju, do takich miast jak Florencja czy Weronia albo Mediolan, gdzie z materiałów szło się może suknie albo chorągwie i namioty. A stamtąd sprzedawano je dalej, do Francji, której stolica, Paryż, już wtedy liczyła prawie 100 tysięcy mieszkańców, albo do Anglii, albo do Niemiec. Do Niemiec jednak bardzo niewiele, bo miały za mało pieniędzy, żeby płacić za takie rzeczy.

Mieszkańcy miast stawali się coraz bogatsi i nie musieli słuchać niczyich rozkazów, gdyż nie byli chłopami i nie przynależeli do żadnej ziemi. Z drugiej strony nikt też im ziemi w lenno nie nadał, nie byli więc prawdziwymi panami. Rządzili się sami (całkiem podobnie jak w starożytności), sami odprawiali sądy i wkrótce stali się w swoich miastach tak wolni i niezależni jak mnisi czy rycerze. Dlatego też nazywano mieszczan *trzecim stanem*, bo chłopci przecież wcale się nie liczyli.

Wróćmy teraz do cesarza Fryderyka Barbarossy, który potrzebował pieniędzy. Jako cesarz rzymski narodu niemieckiego chciał naprawdę rządzić także w Italii i ściągać daniny i podatki również od tamtejszych mieszczan. A oni tego nie chcieli. Chcieli pozostać tak wolni, jak do tej pory. Barbarossa wyruszył więc z wojskiem przez Alpy do Italii i zwołał tam w 1158 roku słynnych nauczycieli prawa, aby uroczyście i publicznie oświadczyli, że święty cesarz rzymski jako następca rzymskich cesarzy ma wszystkie prawa, jakie mieli tamci tysiąc lat wcześniej. Italskie miasta nic sobie jednak z tego nie robiły. Nie chciały w ogóle płacić. A wtedy cesarz ruszył na nie ze swoim

wojskiem, przede wszystkim na Mediolan, główną siedzibę buntowników. Był tak rozgoryczony, że podobno przysiągł, iż włoży koronę dopiero wtedy, gdy zdobędzie to miasto. I słowa dotrzymał. Gdy Mediolan padł i został całkowicie zniszczony, cesarz wydał ucztę, na której on i jego małżonka zjawili się w koronach na głowie.

Choćby Barbarossa nie wiem jakich czynów zbrojnych dokonał, ledwo ruszył w drogę powrotną do ojczyzny, a już znowu zaczynało się coś dziać. Mediolańczycy odbudowywali miasto i nie chcieli słyszeć o jakimś niemieckim władcy. Tak to Barbarossa aż sześć razy wyprawiał się do Italii, lecz przysporzyło mu to więcej sławy wojennej niż sukcesu.

Uchodził za wzór rycerza. Był silny. Nie tylko fizycznie. Szczodry też był i umiał wydawać ucztę. Dziś już przecież nawet nie wiemy, jak wygląda prawdziwa uczta. W tamtych czasach życie codzienne było uboższe i bardziej monotonne niż dziś, ale uczta była czymś nieopisanie wystawnym i barwnym – naprawdę bajecznym. Fryderyk Barbarossa z okazji ceremonii pasowania swoich synów na rycerzy wydał w 1184 roku w Moguncji ucztę, na której gościł 40 tysięcy rycerstwa wraz ze wszystkimi drużynnikami i knechtami. Mieszkali w kolorowych namiotach, a w największym namiocie z jedwabiu, pośrodku obozu, mieszkał cesarz ze swoimi synami. Wszędzie płonęły ogniska, nad którymi piekły się na roznach całe woły, dziki i niezliczone ptactwo, byli tam ludzie w najrozmaitszych strojach ze wszystkich części świata, kuglarze i linoskoczkowie, ale też wędrowni śpiewacy, którzy podczas posiłku zabawiali gości najpiękniejszymi legendami Zachodu. Musiało to być wspaniałe. Sam cesarz popisywał się siłą w turnieju ze swoimi synami, a wszyscy panowie cesarstwa się temu przyglądali. Wiele dni trwała ta uczta i jeszcze długo opiewano ją w pieśniach.

Jako prawdziwy rycerz Fryderyk Barbarossa poszedł w końcu na wyprawę krzyżową. Była to trzecia krucjata, w 1189 roku. Uczestniczyli w niej także król Anglii Ryszard Lwie Serce i król Francji Filip. Obaj płynęli morzem, tylko Barbarossa wyruszył lądem, lecz utonął podczas przeprawy przez rzekę w Azji Mniejszej.

Jeszcze osobliwszym, znakomitszym i godnym większego podziwu władcą był jego wnuk, też Fryderyk. Fryderyk II z rodu Hohenstaufów. Wychowywał się na Sycylii. Kiedy był jeszcze dzieckiem i nie mógł sam rządzić, między możnymi rodami w Niemczech wybuchły spory o władzę. Jedni wybrali na króla niejakiego Filipa, krewnego Barbarossy, a drudzy

niejakiego Ottona z rodu Welfów. I ludzie, którzy się nie znosili, znów mieli okazję wziąć się za łby. Jeśli ktoś był za Filipem, to jego sąsiad na pewno właśnie z tego powodu był za Ottonem, i ten niepiękny zwyczaj zwalczających się stronnictw, które w Italii nazwano *gibelinami i gwelfami*, bo tam przeniosła się walka między niemieckimi rodami Hohenstaufów i Welfów, trwał jeszcze długo. Nawet gdy już od dawna nie było ani Filipa, ani Ottona.

Tymczasem na Sycylii Fryderyk wyrastał na wielkiego człowieka. Wielkiego pod każdym względem. Nie tylko z postury, ale i z ducha. Jego opiekunem był jeden z najwybitniejszych ludzi, jacy kiedykolwiek istnieli – papież Innocenty III. Tego, czego chciał i do czego zmierzał Grzegorz VII, wielki przeciwnik niemieckiego króla Henryka IV, dokonał Innocenty. Stał się naprawdę głową całego chrześcijańskiego świata. Niezwykle inteligentny i wykształcony, podporządkował sobie wszystkich, nie tylko duchownych, ale i książąt całej Europy. Jego władza sięgała aż do Anglii, a gdy król angielski Jan raz go nie posłuchał, papież go ekskomunikował i zabronił księżom odprawiać w Anglii nabożeństwa. A angielscy możni tak się rozgniewali na swojego króla, że odebrali mu niemal całą władzę. W 1215 roku musiał uroczyście przyrzec, że nigdy niczego nie zrobi wbrew ich woli. Tym przyrzeczeniem była Wielka Karta Swobód (po łacinie Magna Charta Libertatum), którą angielski król wręczył hrabiom i rycerzom, nadając im na zawsze mnóstwo praw, jakie obywatele brytyjscy rzeczywiście mają do dzisiaj. Lecz Anglia musiała od tej pory płacić papieżowi Innocentemu III podatki i trybut. Tak wielką miał władzę.

Młody Fryderyk II z rodu Hohenstaufów był również niezwykle inteligentny, a w dodatku ujmujący. Aby zostać królem niemieckim, wyruszył konno niemal bez żadnej eskorty na ryzykowną wyprawę z Sycylii przez Italię i szwajcarskie góry do Konstancji. Jego przeciwnik, Otton z rodu Welfów, wyjechał mu z wojskiem naprzeciw. Wyglądało na to, że Fryderyk nie ma żadnych szans. Ale mieszczanie Konstancji i wszyscy ludzie, którzy go widzieli i poznali, tak byli nim zachwyceni, że wzięli jego stronę i pośpiesznie zamknęli bramy miasta, a Otton, który przybył dokładnie godzinę później niż Fryderyk, musiał odejść z kwitkiem.

Fryderyk, który umiał pozyskać sobie wszystkich niemieckich książąt, nagle stał się potężnym władcą. Panem wszystkich lenników w Niemczech i we Włoszech. Znowu musiało dojść do walki między dwiema potęgami, jak

za papieża Grzegorza VII i króla Henryka IV. Ale Fryderyk nie był Henrykiem IV. Nie poszedł do Canossy, nie chciał się ukorzyć przed papieżem, bo święcie wierzył, że jest powołany do sprawowania władzy nad światem – tak samo myślał o sobie papież Innocenty III. Fryderyk wiedział jednak wszystko, co wiedział Innocenty, bo przecież Innocenty był jego opiekunem. Wiedział wszystko, co wiedzieli Niemcy, bo byli jego rodziną, i wreszcie wiedział też wszystko, co wiedzieli Arabowie na Sycylii, bo tam się wychował. Później też mieszkał głównie na Sycylii. A tam mógł się nauczyć więcej niż gdziekolwiek indziej na świecie.

Na Sycylii rządziły już wszystkie ludy: Fenicjanie, Grecy, Kartagińczycy, Rzymianie, Arabowie, Normanowie, Włosi i Niemcy. Wkrótce doszli jeszcze Francuzi. Pewnie wyglądało tam jak w wieży Babel, ale z jedną różnicą: w wieży Babel ludzie nie rozumieli w końcu niczego, a Fryderyk w końcu rozumiał prawie wszystko. Nie tylko wszystkie języki, gdyż znał też wiele dziedzin nauki, umiał pisać wiersze i wspaniale polował. Napisał nawet książkę o sokołach myśliwskich, bo w tamtych czasach polowano właśnie z sokołami.

Przede wszystkim znał wszystkie religie. I tylko jednego nie mógł zrozumieć: dlaczego ludzie wciąż ze sobą walczą. Bardzo lubił rozmawiać z muzułmańskimi uczonymi, a przecież był pobożnym chrześcijaninem. Mimo to papież, gdy się o tym dowiedział, gniewał się na niego jeszcze bardziej. Zwłaszcza ten, który nastąpił po Innocentym i nazywał się Grzegorz IX. Był równie potężny, ale chyba nie całkiem tak mądry jak jego poprzednik. Koniecznie chciał, żeby Fryderyk odbył krucjatę. I Fryderyk w końcu krucjatę odbył. Lecz to, za co inni ponosili straszliwe ofiary, on osiągnął bez walki: mianowicie, że chrześcijanie mogli bez przeszkód pielgrzymować do Grobu Świętego i że cała ziemia wokół Jerozolimy stała się ich własnością. A jak tego dokonał? Usiadł razem z tamtejszym sułtanem i zawarł traktat.

Obaj byli radzi, że udało się sprawę załatwić tak dobrze i bez walki, ale biskup Jerozolimy nie był zadowolony, bo nikt go o nic nie pytał. Oskarżał więc cesarza przed papieżem, że za dobrze żyje z Arabami, tak że w końcu papież uznał, że cesarz rzeczywiście został muzułmaninem, wobec czego obłożył go ekskomuniką. Ale cesarz Fryderyk II wcale się tym nie przejął, był bowiem przekonany, że więcej uczynił dla chrześcijan niż wszyscy inni, i sam włożył sobie na głowę koronę Jerozolimy, gdy nie znalazł się żaden

duchowny gotów to zrobić wbrew woli papieża.

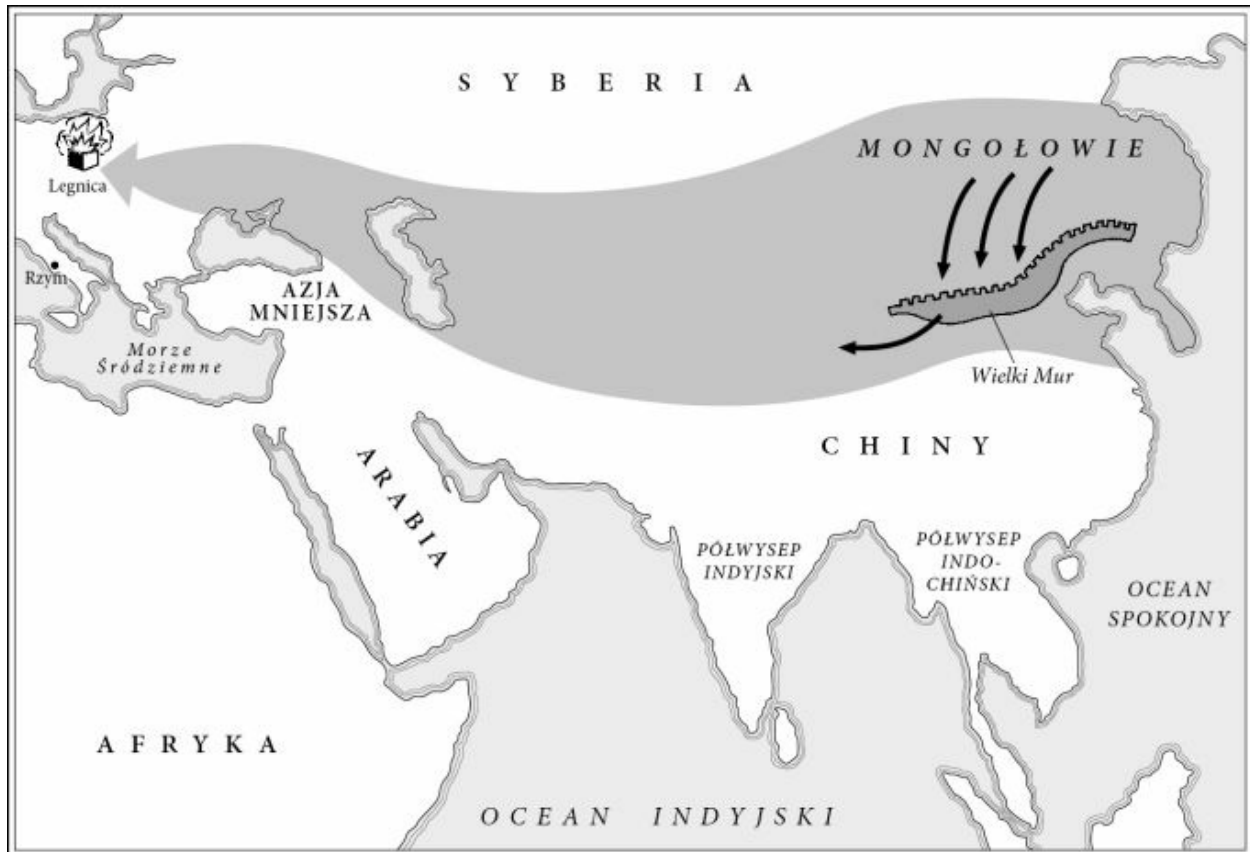
Potem pożeglował do domu, ze wszystkimi prezentami, jakimi go obdarował sułtan: lampartami myśliwskimi, wielbłędami, rzadkimi kamieniami i najrozmaitszymi osobliwościami. Zgromadził to wszystko na Sycylii, zatrudnił też wielkich artystów, żeby dla niego pracowali, i cieszył się pięknymi przedmiotami, kiedy się zmęczył rządzeniem. A rządził naprawdę. Nadawanie ziem w lenno wcale mu nie odpowiadało. Mianował więc urzędników. Nie dostawali ziemi, tylko co miesiąc pieniądze. Pamiętaj, że działo się to w Italii, gdzie pieniędzy nie brakowało. I był bardzo sprawiedliwy, ale też bardzo surowy.

Tak się różnił od wszystkich ludzi w tamtych czasach, że nikt dokładnie nie wiedział, czego on właściwie chce. Nawet papież nie wiedział. A w dalekich Niemczech nie bardzo zaprzątano sobie głowę dziwnym cesarzem, który miewał dziwaczne pomysły. A że ludzie go nie rozumieli, niełatwo mu było żyć. W końcu nawet własny syn stał się mu wrogiem i podzegał Niemców przeciw niemu, a jego ulubiony doradca przeszedł na stronę papieża i Fryderyk został zupełnie sam. Większości mądrych rzeczy, które chciał wprowadzić na świecie, nie mógł już zrealizować; powoli stawał się coraz nieszczęśliwszy, ale też bardzo zły. I w 1250 roku umarł.

Jego syn Manfred zginął młodo, walcząc o władzę, a wnuk Konradyn został pojmany przez wrogów i w wieku szesnastu lat ścięty w Neapolu. Taki był smutny koniec władców z wielkiego rycerskiego rodu Hohenstaufów.

Kiedy Fryderyk jeszcze rządził na Sycylii i toczył boje z papieżem, na świat spadło straszliwe nieszczęście, na które obaj nic nie mogli poradzić, bo nie potrafili się porozumieć. Znowu nadciągnęły hordy jeźdźców z Azji. Tym razem te najpotężniejsze. Nawet mur cesarza Qin Shi ich nie zatrzymał. Najpierw pod wodzą Czyngis-chana zdobyły Chiny i okrutnie je splądrowały. Potem zrobiły to samo z Persją. Następnie wyruszyły drogą Hunów, Awarów i Madziarów do Europy. Strasznie poczynali sobie na Węgrzech, przeraźliwie także w Polsce. W końcu w 1241 roku stanęły u granicy Niemiec, pod Legnicą, którą zdobyły i puścili z dymem. Dokądkolwiek przyszli, zabijali wszystkich. Nikt nie znał ratunku. Mieli już największe państwo, jakie kiedykolwiek istniało na świecie. Wyobraź sobie: od Pekinu do Legnicy! A ich wojsko to już nie były dzikie hordy, lecz dobrze wyszkolona armia z bardzo przebiegłymi dowódcami. Świat chrześcijański był bezsilny! Pokonali wielką armię rycerzy. A gdy niebezpieczeństwo wydawało się

największe, gdzieś na Syberii umarł ich władca i mongolscy wojownicy zawrócili. Lecz kraje, przez które przeszli, zamienili w pustynię.



Tak ogromne było państwo wojowniczych Mongołów, którzy po zniszczeniu Legnicy zagrozili całej Europie.

W Niemczech po śmierci ostatniego Hohenstaufa zapanował jeszcze większy zamęt niż dotychczas. Każdy chciał kogo innego na króla, wobec czego nikt nim nie został. A że nie było żadnego króla ani cesarza i w ogóle nikogo, kto by rządził, kraj pogrążył się w zupełnym chaosie. Kto był akurat silniejszy, ten po prostu zabierał wszystko temu, kto był słabszy. Nazwano to *prawem silniejszego* albo *prawem pięści*, bo ludzie rzucali się na siebie z pięściami. Ale sam widzisz, że prawo pięści w ogóle nie było prawem, tylko po prostu bezprawiem.

Ludzie też o tym dobrze wiedzieli, byli smutni i zrozpaczeni, marzyli, żeby wróciły dawne czasy. A gdy człowiek marzy, często w końcu zaczyna wierzyć w swoje marzenie. I tak ludzie uwierzyli, że cesarz Fryderyk z rodu Hohenstaufów, zwanych także Sztaufami, wcale nie umarł, tylko śpi zaklęty



w pewnej górze i czeka. A wydarzyło się przy tym coś dziwnego. Może tobie też się kiedyś śniło, że jakaś osoba jest raz tą, raz inną i może jakoś obiema naraz. Tak też się śniło ludziom w tamtych czasach. Śnili o wielkim, mądrym i sprawiedliwym władcy, który siedzi w jaskini u stóp góry Untersberg lub Kyffhäuser (to Fryderyk II z Sycylii) i który kiedyś wróci, gdy wszyscy zrozumieją, czego chce. Ale jednocześnie śnili, że ma wielką brodę (to jego dziadek Fryderyk I Barbarossa), że będzie bardzo potężny, pokona wszystkich wrogów i stworzy cudowne państwo, tak wspaniałe jak tamta uczta w Moguncji.

Im gorzej działo się ludziom, tym bardziej czekali na cud. Wyobrażali sobie, że cesarz śpi w tej górze od tak dawna, że jego ruda, ogniście ruda broda przerosła już przez kamienny blat stołu. Tylko co sto lat cesarz się budzi i pyta swojego giermka, czy kruki krążą jeszcze wokół góry. I dopiero wtedy, gdy giermek powie: „Nie, panie, nie widzę ani jednego”, dopiero wtedy cesarz wstanie i rozetnie mieczem stół, przez który przerosła jego broda, rozetnie górę, w której jest zaklęty, i we wspaniałej zbroi wyjedzie konno razem ze wszystkimi swoimi wojami. Nie uważasz, że zrobiliby dziś wielkie oczy?

W końcu jednak nie żaden cud zaprowadził trochę porządku na świecie, tylko pewien energiczny, zręczny rycerz, który umiał patrzeć daleko w przyszłość. Jego zamek znajdował się w Szwajcarii i nosił nazwę Habsburg. A on sam nazywał się Rudolf von Habsburg. Książęta wybrali go w 1273 roku na króla, ponieważ mieli nadzieję, że jako biedny rycerz, który się niczym nie wsławił, nie będzie miał wśród nich za wiele do gadania. Nie przewidzieli jednak jego zręczności i mądrości. Co prawda z początku niewiele posiadał ziemi, zatem i władzę niewielką. Ale potrafił w bardzo prosty sposób pomnożyć i włości, i władzę.

Kiedy wyruszył przeciwko niepokornemu czeskiemu królowi Ottokarowi i go pokonał, po prostu zabrał mu część ziemi. Jako król miał przecież do tego prawo. A w 1282 roku nadał ją własnym synom w lenno. Te ziemie to Austria. W ten sposób znacznie przysporzył władzy swojej rodzinie, zwanej od jego zamku w Szwajcarii Habsburgami. A ta rodzina przez nadawanie wciąż nowych ziem w lenno krewnym, przez ożenki i spadki potrafiła tak pomnożyć tę władzę, że Habsburgowie stali się niebawem jednym z najbardziej szanowanych i najbardziej wpływowych rodów książęcych w Europie. Co prawda rządzili raczej na swoich wielkich rodzinnych lennachs

(a więc w Austrii) niż w Rzeszy Niemieckiej, choć byli niemieckimi królami i cesarzami. W Rzeszy sprawowali niemal udzielne rządy inni panowie lenni, książęta, biskupi i hrabiowie. Lecz czasy prawdziwych rycerzy przeminęły razem z Hohenstaufami.



## O MIASTACH I MIESZCZANACH



**W** ciągu stu lat, jakie upłynęły od śmierci Fryderyka I Barbarossy w 1190 roku do śmierci Rudolfa I Habsburga w roku 1291, bardzo dużo się w Europie zmieniło. Więcej, niż możemy sobie wyobrazić. Jak już opowiadałem, za czasów Barbarossy głównie w Italii były potężne miasta, których mieszkańcy mieli odwagę sprzeciwić się cesarzowi i z nim walczyć. Niemcy natomiast miały swoich rycerzy, mnichów i chłopów. Sto lat później wyglądało to już całkiem inaczej. Podczas licznych wypraw krzyżowych na Wschód Niemcy poznali szmat świata i nawiązali handlowe kontakty z dalekimi krajami. Ale nie mogli z nimi handlować jak u siebie – wymieniając woły na owce czy rogi do picia na sukno. Potrzebowali pieniędzy. A odkąd istniały pieniądze, istniały też targi, na których można było kupować towary. Lecz nie wszędzie mogły się te targi odbywać. Tylko w wyznaczonych miejscach, chronionych przez mury i wieże, najczęściej

w pobliżu jakiegoś zamku. Kto się tam przeniósł i uprawiał handel, ten był mieszczaninem. Nie podlegał już żadnemu panu gruntowemu. Powiadano wówczas: „Miejskie powietrze czyni wolnym”, bo mieszczenie w większych miastach nie byli niczymi poddanymi, tylko króla. Nie myśl, że życie w średniowiecznych miastach wyglądało tak, jak życie miejskie dzisiaj. Przeważnie były to zaułkowate miasteczka z ciasnymi uliczkami i wąskimi, wysokimi domami, obróconymi do ulicy ścianą szczytową. Mieszkali w nich kupcy i rzemieślnicy z rodzinami. Kupcy jeździli po kraju najczęściej w asyście zbrojnych. Było to konieczne, gdyż wielu rycerzy w tamtych czasach tak dalece zapomniało już o rycerskości, że stali się po prostu rozbójnikami. Siedzieli w swoich zamkach i czatowali na kupców, żeby ich ograbić. Lecz mieszczenie nie dali sobie długo w kaszę dmuchać. Mieli przecież pieniądze i mogli opłacać żołnierzy. Często więc żyli z rycerstwem w niezgodzie i wcale nierzadko odnosili zwycięstwa nad rycerzami-rozbójnikami.

Rzemieślnicy – krawcy, szewcy, sukiennicy, piekarze, ślusarze, malarze, stolarze, kamieniarze, budowniczy – mieli własne stowarzyszenia zawodowe, zwane *cechami*. Zostać członkiem takiego cechu, powiedzmy cechu krawców, było niemal równie trudno, jak wejść do stanu rycerskiego, i niemal równie surowe obowiązywały w nim zasady. Mistrzem czy też majstrem krawieckim nie zostawało się tak po prostu. Najpierw trzeba było na określony czas iść do terminu, czyli na naukę rzemiosła, potem uczeń zostawał czeladnikiem i odbywał wędrowkę, aby poznać obce miasta i inne metody pracy. Wędrowni czeladnicy chodzili pieszo po kraju, a czasem po obcych krajach, i często mijaly lata, nim wrócili do domu albo znaleźli miasto, w którym potrzebny był – na przykład – mistrz krawiecki, bo w małych miastach nie potrzebowano ich wielu, a cech bardzo pilnował, żeby tylko tylu ludzi zostawało mistrzami, ilu mogło znaleźć pracę. Wówczas czeladnik musiał pokazać, co potrafi, czyli musiał wykonać tak zwany majstersztyk (na przykład piękny płaszcz), i dopiero wtedy nadawano mu uroczyste tytuł mistrza i przyjmowano do cechu.

Tak jak stan rycerski, również cechy miały swoje przepisy, wspólne zabawy, kolorowe chorągwie i piękne zasady, naturalnie nie zawsze przestrzegane, podobnie jak zasady rycerzy. Ale jakieś miały i to już było coś. Członek cechu musiał pomagać drugiemu, nie mógł psuć mu opinii u klientów, ale też własnym klientom nie mógł dostarczać złego wyrobu,

musiał dobrze traktować swoich uczniów i czeladników, i w ogóle dbać o dobre imię rzemiosła i miasta. Miał być, że tak powiem, rzemieślnikiem Boga, tak jak rycerz był wojownikiem Boga.

I rzeczywiście – tak jak rycerze ponosili ofiary podczas wypraw krzyżowych, gdy walczyli o grób Chrystusa, tak rzemieślnicy i inni mieszczenie często ofiarowali wszystko, co mieli, swoje siły i mienie, gdy trzeba było wybudować w mieście kościół. Niesłuchanie im zależało, żeby ich nowy kościół czy nowa katedra były jeszcze większe, jeszcze piękniejsze i jeszcze wspanialsze niż najokazalsza budowla w którymś z sąsiednich miast. Tę ambicję podzielało całe miasto i każdy z entuzjazmem poświęcał się temu zadaniu. Sprowadzano najświetniejszego budowniczego, aby sporządził plany, kamieniarze obrabiali kamienie i rzeźbili figury, malarze malowali obrazy do ołtarza i projekty do witraży, które potem jarzyły się w kościelnym wnętrzu. Dla nikogo nie było ważne, że to właśnie on coś wymyślił, właśnie on coś zaprojektował albo zbudował; kościół był dziełem całego miasta, był jakby wspólną modlitwą wszystkich. I to po tych kościołach widać. Nie są to już te niemal warowne kościoły, jakie budowano w Niemczech jeszcze w czasach Barbarossy. Są to wspaniałe, wysoko sklepione budowle ze strzelistymi, smukłymi dzwonicami, świątynie, w których było miejsce dla całego miasta i w których ludzie się gromadzili, by słuchać kaznodziejów. Na świecie powstały bowiem nowe zakony mnichów, którym już tak nie zależało na uprawianiu klasztornej ziemi i przepisywaniu ksiąg, lecz na nakłanianiu ludzi do pokuty i na objaśnianiu im Biblii, co też czynili, chodząc po kraju biedni niczym żebracy. To dla nich ludzie przychodzili do kościoła, ich słuchali i płacząc nad własnymi grzechami, obiecywali poprawę i że będą żyli zgodnie z nauką miłości bliźniego.

Lecz tak jak krzyżowcy mimo całej swej pobożności urządzili straszliwą rzeź w zdobytej Jerozolimie, tak i wielu mieszczan w tamtych czasach nie wyniosło z tych kazań nauki, że mają się sami poprawić, tylko że mają nienawidzić wszystkich, którzy nie są tego samego wyznania co oni. Przede wszystkim Żydów traktowali tym gorzej, im bardziej uważali samych siebie za pobożnych. Zauważ, że Żydzi byli jedynym starożytnym narodem, który dotrwał w Europie do tamtych czasów. Babilończycy i Egipcjanie, Fenicjanie, Grecy, Rzymianie, Galowie i Goci wyginęli albo stopili się z innymi ludami. Tylko Żydzi, którym raz po raz niszczone państwo, których

przepędzano z kraju do kraju i prześladowano, przetrwali te przerażające czasy i już od dwóch tysięcy lat czekali na Mesjasza, swojego zbawcę. Nie wolno im było posiadać pól, nie mogli zostać chłopami, rycerzami oczywiście też nie. Właściwie pozostawał im jedynie handel. I tym się zajmowali. Wprawdzie pozwalano im mieszkać tylko w wyznaczonych miejscach w mieście i musieli nosić odrębny strój, ale niektórzy z nich z biegiem czasu zgromadzili dużo pieniędzy, tak że rycerze i mieszczenie zaciągali u nich długi. Przez to nienawidzili ich jeszcze bardziej, a ludność nierzadko urządzała na nich napaści, by im odebrać majątek. Nie mieli przecież ani prawa, ani możliwości stawiania oporu, jeśli król czy księża nie stanęli w ich obronie, co się często zdarzało.

Ale jeszcze gorzej niż Żydom działało się ludziom, którzy długo przemyśleli nad Biblią i zaczęli wątpić w jakąś naukę. Takich wątpiących nazywano *heretykami* lub *kacerzami* i okrutnie prześladowano. Kogo uznano za heretyka, tego publicznie palono żywcem, tak jak Neron kiedyś palił chrześcijan. Z powodu takich wątpiących niszczone kiedyś całe miasta, całe okolice po prostu pustoszone. Jak w krucjatach przeciw muzułmanom. A robili to ci sami ludzie, którzy w imię Boga łaskawości i dobrej nowiny budowali potężne katedry – katedry, które ze swoimi strzelistymi wieżami, drzwiami zdobnymi w religijne przedstawienia, witrażami jarzącymi się w mroku i tysiącami posągów wyglądały jak marzenie o wspaniałości królestwa niebieskiego.

Miasta i kościoły powstały we Francji wcześniej niż w Niemczech. Francja była bogatszym krajem i nie miała tak burzliwej historii. Francuscy królowie szybko się też nauczyli wykorzystywać do swoich potrzeb nowy, trzeci stan – mieszczański. Już około 1300 roku często nie dawali ziem w lenno wielmożom, tylko zatrzymywali je dla siebie, a zarządzanie nimi powierzali ludziom, którym płacili za to pieniędzmi (jak dawniej Fryderyk II na Sycylii). W ten sposób królowie Francji posiadali coraz więcej ziemi, a jak wiesz, kto miał wtedy ziemię, ten miał i chłopów pańszczyźnianych, i żołnierzy, i władzę. Krótco przed 1300 rokiem francuscy królowie byli najpotężniejszymi monarchami, gdyż niemiecki król, Rudolf Habsburg, dopiero zaczynał umacniać swoją władzę przez oddawanie ziem w lenno własnej rodzinie. Tymczasem francuscy królowie władali już nie tylko Francją, lecz także południową Italią. Wkrótce stali się tak potężni, że nawet papieża w 1305 roku potrafili zmusić, żeby przeniósł się z Italii do Francji,

gdzie mieli go pod nadzorem. Papieże mieszkali w Awinionie, w wielkim pałacu pełnym najwspanialszych dzieł sztuki, ale byli tam niemal więźniami. Dlatego też, przez pamięć niewoli babilońskiej Żydów (jak wiesz, było to w latach 586–538 przed Chrystusem), nazywamy czas niewoli awiniońskiej papieży od 1305 do 1377 roku po Chrystusie *niewolą babilońską papieżstwa*.

A francuscy królowie chcieli jeszcze więcej. Jak pamiętasz, w Anglii panowała normańska rodzina królewska, której przodkowie w 1066 roku wyruszyli z Francji i podbili Albion. Formalnie byli więc Francuzami. Z tego powodu francuscy królowie uważali, że należy im się także władza nad Anglią. A gdy we francuskiej rodzinie królewskiej nie urodził się syn, który mógłby odziedziczyć tron, z kolei angielscy królowie jako krewni i poddani królów francuskich zgłaszali pretensje do korony Francji. Tak rozpoczęła się w 1337 roku straszna wojna, która trwała ponad sto lat. A była to wojna, w której z biegiem czasu już nie rycerze stawali naprzeciw rycerzy, lecz całe wielkie armie mieszczan i plebejuszy, opłacanych za to, żeby ze sobą walczyli. To już nie byli członkowie wielkiego, wspólnego zakonu jak rycerze, dla których walka oznaczała szlachetne zajęcie; to byli po prostu Anglicy i Francuzi, walczący ze sobą o niepodległość swoich krajów. Anglicy zdobywali coraz więcej terytoriów i podbijali coraz większą część Francji. Udawało się im to szczególnie dlatego, że francuski król, który panował pod koniec wojny, był głupi i nieudolny.

Ale lud nie chciał być rządzony przez obcych. I wtedy zdarzył się cud: prosta dziewczyna, siedemnastoletnia pasterka Joanna d'Arc, która poczuła się powołana przez Boga, wymogła tyle, że pozwolono jej w pełnej zbroi stanąć na czele wojska Francuzów i tak krok po kroku wypierała Anglików z kraju. „Pokój nastanie wtedy, gdy Anglicy odejdą do Anglii” – mówiła.

Anglicy zemścili się na niej okrutnie. Schwytali ją i skazali na śmierć za uprawianie czarów. W 1431 roku została spalona na stosie. Nic dziwnego, że uważano ją za czarownicę. Bo czy nie zakrawa na czary, że sama jedna, słaba, niewykształcona dziewczyna ze wsi tylko siłą swojej odwagi i swojego zapału zdołała w ciągu dwóch lat powetować klęski prawie stu lat i doprowadzić do koronacji swego króla?

Nie wyobrażasz sobie, jak barwne były te czasy wojny stuletniej, okres przed rokiem 1400, kiedy rosły miasta, a rycerze nie siedzieli już obwarowani w swoich samotnych zamkach, lecz lubili przebywać na dworach bogatych, potężnych królów i książąt. Szczególnie w Italii, ale także

we Flandrii i Brabancji wyglądało to wówczas wspaniale. Były tam zamożne miasta, które handlowały drogocennymi materiałami, brokatem i jedwabiem, mogły więc sobie na niejedno pozwolić. Rycerze i wielmoże zjawiali się na dworskich uroczystościach ubrani w kosztowne, bogato zdobione stroje i chciałbym widzieć, jak w sali czy ogrodzie tańczą w koło ze swoimi damami przy dźwiękach gęśli czy lutni. Damy nosiły szaty jeszcze kosztowniejsze i jeszcze bardziej wymyślne. W wysokich, spiczastych czepkach z długim, zwiewnym welonem, w długonosych ciżemkach i bogatych, połyskliwych sukniach ze złotogłowiu poruszały się z wdziękiem i elegancją lalek. Już od dawna przestały im odpowiadać zadymione sale dawnych zamczysk. Teraz mieszkały w ogromnych pałacach z wieloma pomieszczeniami, tysiącem wykuszy, wieżyczek i blanków, we wnętrzach ozdobionych barwnymi kobiercami. Rozmawiało się w tych pokojach językiem wyszukany i nienaturalny, a kiedy wielmoża prowadził swoją damę do bogato udekorowanego stołu, chwycił jej dłoń tylko w dwa palce, pozostałe odginając jak najdalej. Już od dawna czytanie i pisanie było w miastach czymś niemal oczywistym. Kupcy i rzemieślnicy musieli przecież posiadać tę umiejętność, a wielu rycerzy układało kunsztowne, wykwintne wiersze dla swoich wytwornych dam.

Nauką też nie zajmowali się już tylko pojedynczy mnisi w klasztornych celach. Niedługo po 1200 roku słynny uniwersytet paryski miał już 20 tysięcy studentów ze wszystkich stron świata, a ci studenci dużo się uczyli i dużo dyskutowali o poglądach Arystotelesa i o tym, czy zgadzają się one z Biblią.

Całe to dworskie i miejskie życie przyszło teraz do Niemiec, zwłaszcza na dwór cesarzy niemieckich. Dwór ten znajdował się wówczas w Pradze, gdyż po śmierci Rudolfa Habsburga wybierano cesarzy z innych rodów. Od 1308 roku sprawowali władzę nad Niemcami królowie i cesarze z rodu Luksemburczyków, którzy mieli siedzibę w Pradze. Ale właściwie nie sprawowali już rzeczywistej władzy nad Niemcami, bo w Bawarii, Szwabii, Wirtembergii, w Austrii itd. każdy lenny książę rządził się przecież sam. Niemiecki cesarz był tylko najpotężniejszy pośród nich. Własnym krajem Luksemburczyków były Czechy i tam od 1347 roku panował w Pradze Karol IV, władca sprawiedliwy i lubiący przepych. Rycerze na jego dworze byli równie wytworni jak we Flandrii, a w jego pałacach wisiły równie piękne obrazy jak w Awinionie. W 1348 roku Karol IV założył też w Pradze

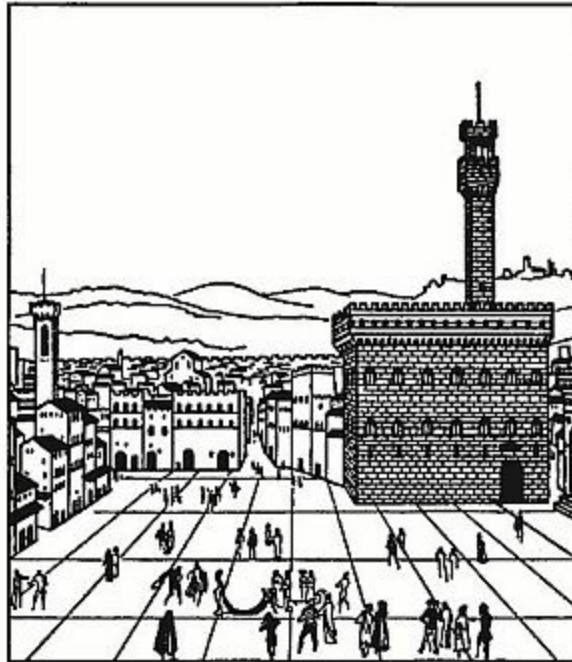


uniwersytet, pierwszy w Rzeszy Niemieckiej.

Prawie takim samym przepychem i bogactwem jak dwór Karola IV odznaczał się także dwór jego zięcia w Wiedniu, Rudolfa IV, zwanego Założycielem. Wszyscy ci władcy, jak zauważyłeś, nie mieszkali już w samotnych zamkach i nie ciągnęli też z wojskiem przez kraj w awanturniczych wyprawach wojennych. Mieli swoje zamki w środku miasta. Już po tym możesz poznać, jak ważne stały się miasta. A był to dopiero początek.



## NOWE CZASY



Zachowałeś może zeszyty z poprzednich klas czy inne stare rzeczy? Przeglądając je, często się dziwisz – czyż nie? – że w ciągu tak krótkiego czasu, jaki upłynął od tamtej pory, stałeś się całkiem inny. Dziwisz się temu, co wtedy napisałeś. Dziwią cię błędy, ale też dziwią cię dobre rzeczy. A przy tym wcale nie zauważyłeś, że się zmieniłeś. Tak samo jest z historią świata.

Jakby to było dobrze, gdyby tak heroldowie wyjeżdżali konno na ulice i obwieszczali: „Hej, zaczynają się nowe czasy!”. Ale wygląda to inaczej: ludzie zmieniają poglądy i sami prawie tego nie zauważają. A potem nagle spostrzegają zmianę, tak jak ty, kiedy przeglądasz stare zeszyty. Wtedy mówią z dumą: „Teraz są inne czasy”. A często jeszcze dodają: „Dawniej ludzie byli głupi!”.

Coś bardzo podobnego działo się po 1400 roku w miastach Italii.

Zwłaszcza w bogatych i dużych miastach w środkowej Italii, przede wszystkim we Florencji. Tam też rzemieślnicy mieli swoje cechy i tam również powstała wielka katedra. Ale rycerzy, tak jak we Francji i w Niemczech, właściwie nie było. Florentyńczycy już od dawna uważali, że niemieccy cesarze nie mają w ich mieście nic do powiedzenia. Byli tak wolni i niezależni jak kiedyś Ateńczycy. I dla tych wolnych, zamożnych mieszczan, kupców i rzemieślników, stopniowo nabierały znaczenia inne rzeczy niż te, które były ważne dla rycerzy i rzemieślników wcześniej, w czasach właściwego średniowiecza.

Mniej zwracali uwagi, czy ktoś jest wojownikiem Boga czy Jego rzemieślnikiem i czy wszystko robi tylko w Jego służbie i na Jego cześć. Przede wszystkim chcieli być prawdziwymi ludźmi, którzy coś rozumieją i coś potrafią. Mają własną wolę i własny osąd. Nikogo nie pytają o zdanie i nie proszą o pozwolenie. Nie szperają w starych księgach, żeby się dowiedzieć, jakie obyczaje panowały dawniej, tylko szeroko otwierają oczy i biorą się do dzieła. Właśnie na tym im zależało. Żeby mieć oczy szeroko otwarte i działać. A czy ktoś jest arystokratą czy biedakiem, chrześcijaninem czy kacerzem, czy przestrzega wszystkich przepisów cechowych – to nie miało większego znaczenia. Samodzielność, pracowitość, rozum, wiedza, energia w działaniu były najważniejsze. Mało kogo obchodziło pochodzenie, zawód, religia, ojczyzna. Pytano: jakim jesteś człowiekiem?

I nagle około 1420 roku Florentyńczycy zauważyli, że są inni niż w średniowieczu. Że na czym innym im zależy. Że za piękne uważają inne rzeczy niż ich przodkowie. Stare katedry i stare obrazy wydały im się ponure i bez życia, a dawne obyczaje – nudne. Szukali czegoś, co byłoby tak swobodne, niezależne i nieskrępowane, jak lubili. I właśnie wtedy odkryli starożytność. Naprawdę ją odkryli. To, że starożytni byli poganami, nie miało najmniejszego znaczenia. Ich pracowitość i energia wprawiały w zdumienie. Jakże oni swobodnie dyskutowali o wszystkich kwestiach dotyczących przyrody i świata, przytaczali argumenty i kontrargumenty, jakże się wszystkim interesowali! I teraz ci ludzie stali się wielkim wzorem. Przede wszystkim oczywiście w nauce.

Florentyńczycy wręcz polowali na łacińskie książki i starali się pisać równie dobrze i jasno jak prawdziwi Rzymianie. Grecy też się uczyli i cieszyły ich wspaniałe dzieła Ateńczyków z czasów Peryklesa. Wkrótce bardziej się zajmowali Temistoklesem i Aleksandrem, Cezarem i Augustem

niż Karolem Wielkim czy Barbarossą. Mieli wrażenie, jakby czas dzielący ich od tamtej epoki był tylko snem, jakby wolna Florencja miała się stać taka jak Ateny czy Rzym. Nagle nabrali poczucia, że te dawne, dawno minione czasy kultury greckiej i rzymskiej się *odrodziły*. Sami czuli się dzięki starożytnym dziełom jak nowo narodzeni. Dlatego tyle mówili o *rinascimento*, czyli o *odrodzeniu*, zwanym też *renesansem*. Uważali, że wszyskiemu, co się zdarzyło między tymi epokami, winni są barbarzyńscy Germanie, którzy zniszczyli cesarstwo. Florentyńczycy chcieli teraz własnymi siłami ożywić ducha starożytności.

Zachwycało ich wszystko, co zachowało się z czasów rzymskich, piękne posągi i wspaniałe, wielkie budowle, których ruiny stały przecież w całej Italii. Przedtem nazywali je „gruzami z czasów pogańskich” i raczej się ich bali, niż się im przyglądali. Teraz nagle spostrzegli, jakie są piękne. I Florentyńczycy zaczęli znowu wznosić budowle z kolumnami.

Ale nie tylko poszukiwali tego, co starożytne. Także na przyrodę spojrzeli nowymi oczami, bez uprzedzeń, jak Ateńczycy dwa tysiące lat wcześniej. Odkryli, jaki piękny jest świat, niebo i drzewa, ludzie, kwiaty i zwierzęta. Malowali rzeczy tak, jak je widzieli. Już nie jako solenne, wielkie i podniosłe jak na ilustracjach do świętych opowieści w księgach mnichów i w katedralnych witrażach, lecz barwnie i wesoło, swobodnie i naturalnie, klarownie i dokładnie, tak jak lubili. Szeroko otworzyć oczy i działać – także w sztuce okazywało się to najlepsze. We Florencji pracowali wtedy najwięksi malarze tamtych czasów.

Owi malarze nie byli już tylko dobrymi rzemieślnikami, którzy siedzą nad obrazem po to, żeby przedstawić świat. Oni chcieli też zrozumieć to wszystko, co malowali. Zwłaszcza jednemu z nich nie wystarczało malowanie dobrych obrazów, choćby najpiękniejszych. A jego obrazy były najpiękniejsze ze wszystkich. On chciał wiedzieć, jakie są naprawdę wszystkie te rzeczy, które maluje, i jak się wszystko ze sobą wiąże. Nazywał się ów malarz Leonardo da Vinci. Był synem wiejskiej służącej i żył w latach 1452–1519. Chciał wiedzieć, jak człowiek wygląda, kiedy płacze, a jak wtedy, gdy się śmieje, i jak ludzkie ciało wygląda od środka – mięśnie, kości i ścięgna. Prosił więc szpitale o ciała zmarłych, rozcinał zwłoki i badał. W tamtych czasach było to czymś zupełnie niezwykłym. Ale to jeszcze nie wszystko. Leonardo przyglądał się też roślinom i zwierzętom i zastanawiał nad tym, jak ptaki to robią, że fruują. Przyszła mu wtedy do głowy myśl,

czyby ludzie nie mogli tak samo. Był pierwszym człowiekiem, który dokładnie i szczegółowo badał możliwość zbudowania sztucznego ptaka – maszyny latającej. I był przekonany, że to się kiedyś uda. Interesował się całą naturą. Ale nie tylko wertował pisma Arystotelesa czy podręczniki Arabów. Zawsze też chciał wiedzieć, czy to, co wyczytał, zgadza się z rzeczywistością. A więc przede wszystkim otwierał szeroko oczy – a jego oczy widziały więcej niż oczy któregokolwiek człowieka do tej pory. Bo on nie tylko patrzył, ale też myślał. Jeśli chciał coś wiedzieć, na przykład w jaki sposób w wodzie powstają wiry albo jak się unosi gorące powietrze, po prostu przeprowadzał doświadczenia. Niezbyt sobie cenił książkowe mądrości współczesnych i był pierwszym człowiekiem, który przez eksperymentowanie dochodził wszystkiego, co się dzieje w naturze. Ze swoich obserwacji robił notatki i rysunki na kartkach i w zeszytach, a tych gromadziło się coraz więcej. Kiedy dzisiaj przeglądamy te zapiski, co chwilę się zdumiewamy, że pojedynczy człowiek zdołał tyle zbadać i dowiedzieć się tylu rzeczy, o których nikt wówczas niczego nie wiedział ani nawet nie chciał wiedzieć.

Tylko bardzo nieliczni współcześni mieli choćby pojęcie, jak wielu odkryć dokonał ten słynny malarz i jak niezwykle miał poglądy. Był leworęczny i pisał drobnym, odwróconym pismem, wcale niełatwym do odczytania. Prawdopodobnie uważał to nawet za korzystne, bo w końcu w tamtych czasach nie zawsze było bezpiecznie mieć niezależne zdanie. Znajdujemy w jego notatkach na przykład takie stwierdzenie: „Słońce nie porusza się”<sup>1</sup>. Tylko tyle. Ale po tym widać, że Leonardo wiedział, iż to Ziemia obraca się wokół Słońca, a nie Słońce każdego dnia obiega Ziemię, w co ludzie wierzyli przez tysiące lat. Może ograniczył się do tego jednego zdania, ponieważ wiedział, że nie ma o tym mowy w Biblii, a wielu uważało, że na zjawiska natury jeszcze po dwu tysiącach lat trzeba patrzeć tak, jak widzieli je Żydzi w czasach powstawania Biblii.

Leonardo wszystkie swoje wspaniałe wynalazki zachował w tajemnicy nie tylko z obawy, że będzie uważany za heretyka. Dobrze znał ludzi i wiedział, że wszystkiego użyją wyłącznie do tego, żeby się nawzajem zabijać. W jego rękopisach czytamy w innym miejscu: „Jak i czemu nie piszę o moim sposobie utrzymywania się pod wodą? Jak ja mogę długo utrzymać się, nie jedząc? Tego nie ogłaszam i nie rozwijam z powodu złej natury ludzi, którzy

dopuszczaliby się morderstw na dnie mórz, przebijając spody okrętów i zatapiając je wraz z ludźmi, znajdującymi się wewnątrz [...]”. Niestety nie wszyscy późniejsi wynalazcy byli też wielkimi ludźmi, tak jak Leonardo, i ludzkość już dawno nauczyła się tego, czego on nie chciał jej pokazać.

W czasach Leonarda da Vinci żyła we Florencji pewna wyjątkowo bogata i potężna rodzina. Byli to Medyceusze, handlarze wełną i bankierzy. Podobnie jak niegdyś Perykles w Atenach, tak i oni przez swoje rady i wpływy kierowali losami Florencji niemal przez cały czas od 1400 do 1500 roku. Zwłaszcza Lorenzo di Medici, którego nazywano Wawrzyńcem Wspaniałym, bo tak piękny użytek robił ze swojego wielkiego bogactwa. Troszczył się o wszystkich artystów i uczonych. Gdy tylko usłyszał o jakimś utalentowanym chłopcu, zaraz go zabierał do siebie i kazał uczyć. Po obyczajach tego domu możesz poznać, w jaki sposób ludzie wtedy myśleli. Otóż nie obowiązywały tam żadne przepisy dotyczące porządku zasiadania przy stole, według których najstarsi i najwyżsi rangą mieli siedzieć u szczytu. Kto przyszedł pierwszy, ten siadał obok Wawrzyńca Wspaniałego u szczytu stołu, choćby był młodym malarczykiem, a kto się zjawiał ostatni, musiał siedzieć na końcu stołu, choćby był posłem.

Cała ta nowa umiejętność cieszenia się światem, radość z obcowania ze zdolnymi i pracowitymi ludźmi, pięknymi rzeczami, ruinami i księgami Rzymian i Greków, podpatrzona u Florentyńczyków, wkrótce się rozpowszechniła. Bo jeśli jedni ludzie coś odkryją, to inni uczą się tego szybko. Na dwór papieski, który wtedy znowu znajdował się w Rzymie, zapraszano wielkich artystów, aby budowali pałace i kościoły na nowy sposób oraz ozdabiali je obrazami i rzeźbami. Zwłaszcza w tych czasach, gdy papieżami byli bogaci duchowni z rodu Medyceuszów, najwięksi artyści z całej Italii skupili się w Rzymie i tam tworzyli swoje największe dzieła. Cały ten nowy sposób patrzenia na świat i życie nie zawsze jednak dawał się pogodzić z dawną pobożnością. Ówczesni papieże też byli nie tyle księżmi i duszpasterzami świata chrześcijańskiego, ile wspaniałymi książętami, którzy chcieli podbić Italię i wydawali w swojej stolicy ogromne sumy na znakomite dzieła sztuki. Również w miastach Niemiec i Francji z wolna upowszechniała się idea odrodzenia pogańskiej starożytności.

Tam także mieszczanie powoli zaczęli się interesować nowymi myślami i formami sztuki, czytać nowe łacińskie książki. Teraz było to łatwiejsze i tańsze, bo około 1450 roku pewien Niemiec dokonał wielkiego wynalazku.

Tak wspaniałego, jak wynalezienie liter przez Fenicjan. Tym wynalazkiem był druk. O tym, że drewniane płyty z wyciętymi literami można nacierać czarną farbą i odbijać na papierze, wiedziano w Chinach już od dawna, a od kilkudziesięciu lat także w Europie. Ale wynalazek Niemca Gutenberga polegał na tym, żeby nie wycinać liter w całych drewnianych płytach, tylko z metalu odlewać pojedyncze czcionki i zestawiać w ramkach w kolumny, a te odbijać dowolnie wiele razy. A kiedy dana stronica została już wydrukowana tyle razy, ile trzeba, ramki się rozbierało, a litery zestawiało na nowo. Było to proste i tanie. Naturalnie prostsze i tańsze niż żmudne przepisywanie ksiąg przez całe lata, jak to musieli robić rzymscy i greccy niewolnicy i jak to robili mnisi. Niebawem powstało w Niemczech i w Italii mnóstwo drukarni i drukowanych ksiąg, Biblii i innych pism, a ludzie w miastach i nawet na wsi pilnie je czytali.

Ale inny ówczesny wynalazek zmienił świat może jeszcze bardziej. Proch strzelniczy. Chińczycy prawdopodobnie znali go też od dawna, ale używali najczęściej tylko do sztucznych ogni i rac. Dopiero w Europie po 1300 roku zaczęto strzelać z armat do zamków i ludzi. Niedługo również pojedynczy żołnierze dostali do rąk duże, nieporęczne karabiny. Choć z łuku jeszcze wtedy strzelało się szybciej. Dobry angielski łucznik mógł wystrzelić 180 strzał w ciągu kwadransa, a tyle czasu trwało, nim żołnierz w ogóle nabił prochem swoją strzelbę, przytknął lont i odpalił. Mimo to już podczas wojny stuletniej między Francją a Anglią używano niekiedy dział i karabinów, a po 1400 roku były stosowane coraz powszechniej.

Rycerzom to się nie podobało. Z daleka pakować w człowieka kulę to przecież nie po rycersku. Wiesz przecież, że byli przyzwyczajeni najeżdżać na siebie, żeby zrzucić się nawzajem z konia. A teraz, by się chronić przed kulami mieszczańskich wojsk, musieli nosić coraz cięższe i grubsze pancerze, toteż wkrótce już nie w kolczugach siedzieli na koniu, tylko w zbrojach, w których wyglądali jak zakuci w żelazo. Ledwo mogli się poruszać. Widok sprawiali wprawdzie bardzo groźny, ale było im okropnie gorąco i niewygodnie. Dlatego armie rycerzy mimo całej swojej dzielności nie były aż takie straszne. Gdy pewien słynny, wojowniczy rycerz, władca francuskiego księstwa Burgundii, tak nieustraszony, że nazwano go Karolem Śmiałym, chciał z taką armią w 1476 roku podbić Szwajcarię, wolni szwajcarscy chłopcy i mieszczaństwo walczący pieszo napadli pod miastem Murten na tych nieruchawych żelaznych rycerzy, ściągnęli ich z koni

i pokonali. Zdobyli wszystkie bogate, drogocenne namioty i dywany, jakie armia rycerska wiozła ze sobą podczas wyprawy. Możesz je zobaczyć jeszcze dzisiaj w Bernie, stolicy Szwajcarii. Szwajcaria pozostała wolna, a czasy rycerzy niebawem się skończyły.

Na miano ostatniego rycerza zasłużył sobie niemiecki cesarz, panujący około 1500 roku. Na imię miał Maksymilian i pochodził z rodu Habsburgów, którzy od czasów króla Rudolfa wciąż pomnażali swoją władzę i bogactwo. Od 1438 roku ród ten był potęgą nie tylko we własnym kraju, w Austrii, lecz w ogóle miał takie wpływy, że na cesarzy niemieckich wybierano już tylko Habsburgów. Ale większości z nich, tak jak ostatniemu rycerzowi Maksymilianowi, ogromne kłopoty sprawiali niemieccy wielmoże i książęta, którzy niemal udzielnie panowali na swoich lennach i często nawet nie chcieli iść razem z cesarzem na wojnę, kiedy im kazał.

Odkąd były pieniądze, miasta i proch, nadawanie ziem wraz z chłopami w nagrodę za służbę wojenną wydawało się równie przestarzałe jak w ogóle całe rycerstwo. Dlatego Maksymilian do walk z królem francuskim o posiadłości w Italii nie zabierał swoich poddanych rycerzy, lecz płacił żołnierzom, którzy szli na wojnę tylko po to, żeby zarabiać pieniądze. Nazywano takich żołnierzy *najemnikami*. Były to dzikie, nieokrzesane typy w najbardziej niewiarygodnych, pyszałkowatych strojach, ludzie, którym największą radość sprawiało rabowanie. Nie walczyli przecież za ojczyznę, tylko dla pieniędzy, i służyli temu, kto więcej płacił. Cesarz potrzebował więc dużo pieniędzy. A że ich nie miał, pożyczał od bogatych kupców w miastach. A za to musiał być uprzejmy dla miast, co z kolei złościło rycerzy, bo wydawali się sobie coraz bardziej niepotrzebni.

Maksymilian bardzo niechętnie zajmował się tymi wszystkimi skomplikowanymi sprawami, przyczyniającymi mu trosk. O wiele bardziej by wolał jeździć na turnieje, tak jak rycerze w dawnych czasach, i damie swego serca opisywać w pięknych wierszach swoje przygody. Osobliwie łączył w sobie to, co dawne, z nowym. Bo nowa sztuka ogromnie mu się podobała. Największego niemieckiego malarza, Albrechta Dürera, który wiele się nauczył od Włochów, a jeszcze więcej sam, prosił raz po raz, aby w obrazach i w grafikach uwieczniał jego sławę. Ze wspaniałych obrazów pierwszego niemieckiego artysty nowych czasów dowiadujemy się zatem, jak w rzeczywistości wyglądał ostatni rycerz. Obrazy Dürera, tak jak obrazy i budowle wielkich artystów Italii, to owi heroldowie, którzy wołali do ludzi:

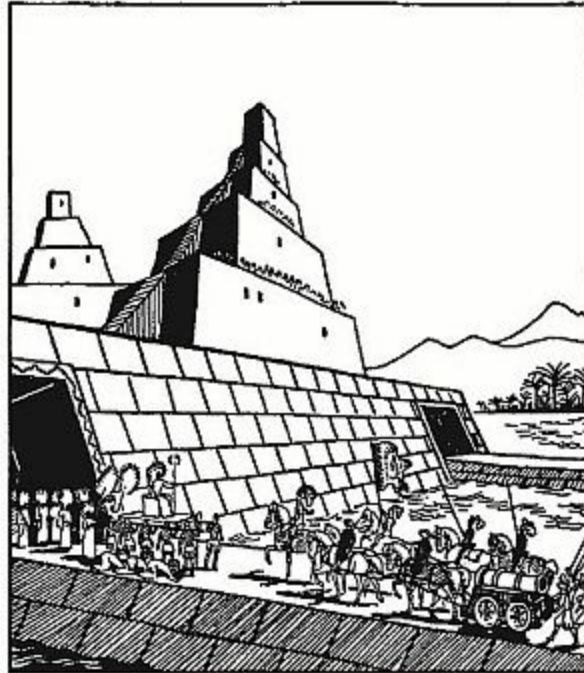


„Hej, zaczęły się nowe czasy!”. A skoro średniowiecze nazwaliśmy rozgwieżdżoną nocą, to tę nową, rozbudzoną epokę, która zaczęła się we Florencji, musimy nazwać jasnym, czystym porankiem.

1. Ten i następny cytat za przekładem Leopolda Staffa, Leonardo da Vinci, *Pisma wybrane*, Wydawnictwo J. Morkowicza, Warszawa–Kraków 1930, t. 1, s. 164 i 151. [\[wróć\]](#)



## NOWY ŚWIAT



To, co do tej pory nazywaliśmy historią świata, nie było historią nawet połowy świata. Działo się głównie dookoła Morza Śródziemnego – w Egipcie, Mezopotamii, Palestynie, Azji Mniejszej, Grecji, Italii, Hiszpanii albo Afryce Północnej. W najlepszym razie bardzo blisko – w Niemczech, Francji i Anglii. Czasem rzucaliśmy okiem na Wschód, na dobrze strzeżone Chiny i na Indie, gdzie w tamtych czasach panowała muzułmańska rodzina królewska. Ale to, co leży na zachód od starej Europy, za Anglią – to nas nie obchodziło. Nikogo nie obchodziło. Tylko paru nordyckich żeglarzy, którzy podczas swoich wypraw wikingów widzieli kiedyś na zachodzie dziki kraj, ale odeszli, bo nie znaleźli tam nic do zabrania. Takich śmiałych żeglarzy jak wikingowie nie było jednak wielu. Bo i któż by się odważył wyruszyć na nieznaną, być może nieskończony ocean, rozciągający się na zachód od

Anglii, Francji i Hiszpanii?

Na podjęcie takiego ryzyka pozwolił dopiero pewien wynalazek. I też zawdzięczamy go – omal nie powiedziałem: oczywiście – Chińczykom. Odkryli oni, że swobodnie zawieszony kawałek magnetytu zawsze obraca się na północ. I wymyślili kompas. Chińczycy już od dawna się nim posługiwali w podróżach przez pustynię, lecz Europejczycy poznali ten czarodziejski przyrząd dopiero za pośrednictwem Arabów około 1200 roku, podczas wypraw krzyżowych. Ale z początku rzadko go używali. Ludzie się go bali. Wydawał się im czymś niesamowitym. Dopiero z czasem strach przezwyciężyła ciekawość. I nie tylko ciekawość. Za morzem, w dalekich krajach, mogły być przecież skarby, egzotyczne bogactwa, skąd można by je przywieźć. Nadal jednak nikt jeszcze się nie odważał wypłynąć na zachodnie morze. Było zbyt duże i niemal nieznanne. Dokąd byśmy dotarli, gdybyśmy popłynęli?

Ubogi, żądny przygody, ambitny Włoch z Genui, Krzysztof Kolumb, naczytał się dużo dawnych opisów Ziemi i wpadł na pomysł, który mu już nie dał spokoju. Dokąd byśmy dotarli? Gdybyśmy wciąż płynęli na zachód, musielibyśmy w końcu wylądować na wschodzie! Ziemia jest przecież okrągła! Tak było napisane w niektórych starożytnych książkach. I gdybyśmy tak, wciąż żeglując na zachód, przez pół świata, dotarli na daleki wschód, znaleźlibyśmy się w bogatych Chinach, baśniowych Indiach. A tam jest i złoto, i kość słoniowa, i rzadkie przyprawy. O wiele prościej byłoby przecież żeglować z kompasem przez ocean, niż przeprować się przez wszystkie te pustynie i straszne góry, jak to zrobił Aleksander Wielki i jak to wciąż jeszcze robiły kupieckie karawany, przywożące jedwab z Chin do Europy. Tą drogą bylibyśmy w Indiach już po kilku dniach, myślał Kolumb, a nie po kilku miesiącach. Opowiadał wszystkim o swoim planie i wszyscy się z niego śmiali. Szaleniec! Ale on nie ustępował: „Dajcie mi statki, dajcie mi choć *jeden* statek, a spróbuję i przywiozę wam złoto z krainy czarów, z Indii!”.

Pojechał na Półwysep Iberyjski. Tam dwa chrześcijańskie królestwa hiszpańskie, które w 1479 roku połączyły się unią personalną, w zawziętej walce wyparły Arabów (którzy, jak wiesz, od ponad siedmiuset lat panowali w Hiszpanii) z ich wspaniałej stolicy, Grenady, a potem z całego kraju. Pomysł Kolumba wcale nie wzbudził zachwyty ani na dworze portugalskim, ani hiszpańskim. Mimo wszystko polecono go sprawdzić uczonym ze

słynnego uniwersytetu w Salamance, a ci uznali, że jest nierealny. Przez siedem następnych lat Kolumb czekał zdesperowany i prosił: „Dajcie mi statki!”. W końcu postanowił wyjechać z Hiszpanii do Francji. Przypadek sprawił, że w drodze spotkał mnicha, spowiednika hiszpańskiej królowej Izabeli Katolickiej. Spowiednikowi idea Kolumba trafiła do przekonania. Opowiedział o wszystkim królowej, a ta nareszcie znowu udzieliła Kolumbowi audiencji. A wtedy on po raz drugi omal wszystkiego nie zepsuł. Bo to, czego od niej zażądał, gdyby jego plan się powiódł, wcale nie było drobnostką. Chciał otrzymać tytuł szlachecki, chciał być namiestnikiem króla we wszystkich indyjskich krajach, które zamierzał odkryć, chciał zostać admirałem, zatrzymać dla siebie dziesiątą część bogactw w nowo odkrytych krajach i jeszcze wiele innych rzeczy. Kiedy mu odmówiono, postanowił wyjechać. Do Francji. Wtedy kraje, które chciał odkryć, zostałyby poddane zwierzchnictwu francuskiego króla. A tego Hiszpanie się bali. Wezwali Kolumba z powrotem i zgodzili się na jego żądania. I dali mu dwa marne żaglowce. Jeśli zatoną, pomyśleli, niewiele stracimy. Trzeci wynajął sam.

Wyłynął na ocean w kierunku zachodnim i płynął coraz dalej na zachód, żeby dotrzeć do wschodnich Indii. Wyruszył z Hiszpanii 3 sierpnia 1492 roku. Na pewnej wyspie musiał się zatrzymać na dłuższy postój, aby naprawić jeden ze swoich statków. Potem płynął dalej, coraz dalej i dalej, na zachód. A Indii jak nie było, tak nie ma! Jego ludzie tracili cierpliwość, potem wpadli w rozpacz. Chcieli wracać. Kolumb im nie pokazał, jak daleko od domu są już w rzeczywistości. Okłamywał ich. W końcu, 11 października 1492 roku o drugiej w nocy, jeden ze statków wystrzałem armatnim dał znak: ziemia!



*Taki krótki był wielki i śmiały rejs Kolumba w porównaniu z tym, jaki odkrywca właściwie chciał odbyć. Widać to szczególnie wyraźnie, gdy patrzymy na kulę ziemską od północy.*

Kolumb był szczęśliwy i dumny. Indie! A więc ci przyjaźni ludzie na plaży to Indiole czy też, jak mówiono, Indianie! A przecież wiesz, że to był błąd. Kolumb wcale nie znalazł się w Indiach. Tylko na wyspach blisko Ameryki. Jeszcze dzisiaj nazywamy pierwotnych mieszkańców Ameryki Indianami, a wyspy, do których dopłynął – Indianami Zachodnimi, na pamiątkę

jego pomyłki. Do prawdziwych Indii droga wciąż była nieskończenie daleka. O wiele dłuższa przed nimi niż ta, którą już mieli za sobą, odkąd wypłynęli z Hiszpanii. Kolumb musiałby żeglować jeszcze co najmniej dwa miesiące, zginąłby marnie razem z załogą i nigdy by do prawdziwych Indii nie dotarł. Ale on myślał, że już jest w Indiach, i w imieniu króla Hiszpanii objął je w posiadanie. Także później, podczas następnych wypraw, wciąż twierdził, że kraj, który odkrył, to Indie. Nigdy by nie przyznał, że wielka idea, która nim wtedy zawładnęła, nie była słuszna. Że Ziemia jest o wiele większa, niż sobie wyobrażał. Że lądem jest do Indii o wiele bliżej niż drogą morską przez cały Atlantyk i Ocean Indyjski. Chciał być wicekrólem Indii, kraju swoich marzeń.

Może wiesz, że od tego roku, 1492 roku po Chrystusie, kiedy to wspaniała awanturka Krzysztof Kolumb przypadkiem odkrył Amerykę, bo niejako natknął się na nią po drodze, liczymy czasy nowożytne. Jest to data jeszcze o wiele bardziej przypadkowa niż rok 476 po Chrystusie, który uważamy za początek średniowiecza. Bo wtedy rzeczywiście nastąpił upadek cesarstwa zachodniorzymskiego i jego ostatniego cesarza o dziwnym imieniu Romulus Augustulus. A w roku 1492 w ogóle nikt nie wiedział, nawet Kolumb, że ta wyprawa będzie miała o wiele większe znaczenie, że przyniesie znacznie więcej niż tylko złoto z nowych, nieznanych krajów. Po powrocie do Hiszpanii Kolumb był niesamowicie fetowany, lecz podczas swoich następnych wypraw stał się przez swoją ambicję i dumę, swoją chciwość i dziwactwa tak niepopularny, że król kazał aresztować swojego wicekróla i admirała i w kajdanach przywieźć z Indii Zachodnich do domu. Te kajdany Kolumb przechowywał do końca życia, nawet gdy wrócił do łask, godności i bogactwa. Nie mógł i nie chciał zapomnieć takiej obrazę.

Pierwsze hiszpańskie statki, na których płynęli Kolumb i jego towarzysze, dotarły tylko do wysp zamieszkałych przez dobroduszną, biedną, prostą ludność indiańską. Jedyne, czego chcieli się od niej dowiedzieć hiszpańscy awanturnicy, to skąd pochodzą złote ozdoby, noszone w nosie przez niektórych z tych ludzi. Tubylcy pokazali w kierunku zachodnim. Dopiero wtedy Hiszpanie wyruszyli do prawdziwej Ameryki. Bo takiej krainy złota przecież szukali. Mieli o niej najbardziej fantastyczne wyobrażenie i spodziewali się miast ze złotymi dachami. Ludzie, którzy wypłynęli z Hiszpanii do nieodkrytych krajów, aby je zdobyć dla hiszpańskiego króla i zgarnąć łupy, byli straszliwymi brutalami. Właściwie okrutnymi hersztami

rozbójników, niesłuchanie bezwzględny wobec tubylców, fałszywymi i podstępny, pchanymi przez nieokiełznaną chciwość ku coraz dzikszym awanturom. Żadna przygoda nie wydawała się im niemożliwa, żaden środek nie dość odrażający, gdy szło o złoto. Byli niewyobrażalnie odważni i niewyobrażalnie nieludscy. A najsmutniejsze jest to, że nie tylko uważali się za chrześcijan, lecz także zawsze twierdzili, że wszystkie okrucieństwa, jakich się dopuszczają na poganach, popełniają w imię chrześcijaństwa.

Zwłaszcza jeden ze zdobywców, były student Hernán Cortés, odznaczał się niebywałą ambicją. Chciał pójść w głąb kraju i zgarnąć wszystkie legendarne skarby. W 1519 roku wyruszył z 300 hiszpańskimi żołnierzami, 15 jeźdźcami i kilkoma armatami. Indianie jeszcze nigdy nie widzieli białego człowieka. Ani koni. Armaty napędzały im ogromnego strachu. Uważali hiszpańskich zbójców za potężnych czarowników, o ile nie za bogów. Mimo to dzielnie się bronili i w dzień napadali na kolumnę jeźdźców, a nocą na obozowisko. Ale Cortés od samego początku straszliwie się mścił, podpalał wsie Indian i zabił tysiące ludzi.

Wkrótce wyjechali mu naprzeciw posłowie potężnego, dalekiego króla, ze wspaniałymi prezentami ze złota i kolorowych piór. Prosił, żeby zawrócić. Lecz drogocenne prezenty tylko podsyciły jego ciekawość i chciwość. Pośród niesłuchanych przygód poszedł dalej, wzorem wielkich zdobywców zmuszając wielu Indian, by się do niego przyłączyli. W końcu dotarł do państwa potężnego króla, od którego owe dary otrzymał. Król ten nazywał się Montezuma, a kraj, którym władał, nosi dziś nazwę Meksyk, tak jak jego stolica. Montezuma z szacunkiem oczekiwał Cortésa i jego niewielkiego oddziału pod miastem, położonym między dwoma jeziorami. Gdy Hiszpanie weszli po długiej grobli do stolicy, zdumieli się na widok całego przepychu, piękna i potęgi tego miasta, tak wielkiego jak największe znane im w Europie. Miało proste ulice oraz wiele kanałów i mostów. Wiele placów i duże rynki, na które codziennie przychodziły dziesiątki tysięcy ludzi, żeby kupować i sprzedawać.

Cortés pisze w liście do hiszpańskiego króla: „Są tam wszelkiego rodzaju towary, jakie można znaleźć na tych ziemiach: żywność, odzież, ozdoby ze złota i srebra, a także z ołowiu, z mosiądzu, z miedzi, z cyny, z kamieni, z kości, z dużych muszli, z małych muszelek, z piór. Sprzedaje się wapno, kamień ciosany i surowy, cegły z gliny suszonej na słońcu, cegły wypalane,

drewno już obrobione lub gotowe do obróbki na różne sposoby”<sup>1</sup>. Opisuje, że na jednych ulicach handluje się ptakami wszelkiego gatunku i zwierzętami, a na innych wszystkimi gatunkami roślin, że są aptekarze, balwierze, zajazdy, egzotyczne rośliny ogrodowe i owoce, farby malarskie, naczynia i wypieki. Że na placu targowym stoi okazały dom, gdzie zawsze zasiada dziesięciu czy dwunastu sędziów, którzy każdy spór muszą rozstrzygać od razu. Potem opisuje ogromne świątynie w mieście, tak wielkie jak całe miasta, z wieloma wysokimi wieżami i kolorowymi pomieszczeniami, ze straszliwymi, ogromnymi wizerunkami bogów, którym się składa okrutne ofiary z ludzi. Przepętny zdumieniem pisze też o wielkich miejskich domach z przestronnymi komnatami i ładnymi kwietnymi ogrodami, o wodociągach, strażnikach i celnikach.

Pałac Montezumy wywarł na nim szczególne wrażenie. Cortés pisze, że Hiszpania nie ma niczego podobnego. Był tam bardzo piękny ogród, nad którym na kolumnach i płytach z jaspisu wznosiło się kilka kondygnacji, skąd roztaczał się rozległy widok, były przestronne sale, stawy dla ptactwa wodnego i ogromny zwierzyniec, gdzie w klatkach trzymano wszelkiego rodzaju zwierzęta. Montezumę otaczał wspaniały dwór wysokich urzędników, odnoszących się do niego z najwyższym szacunkiem. On sam przebierał się cztery razy dziennie, zawsze w całkiem nowe szaty, których nigdy nie wkładał ponownie. Zbliżano się do niego ze spuszczoną głową, a gdy niesiono go w lektyce ulicami Meksyku, lud musiał padać na ziemię i nie wolno mu było nań patrzeć.

Tego potężnego władcę Cortés podstępnie uwięził. Montezuma był jak sparaliżowany tak wielkim brakiem szacunku i zuchwałością. Nie ośmielił się nic zrobić przeciwko białym intruzom, bo dawna legenda głosiła, że kiedyś przyjdą ze Wschodu synowie Słońca, biali bogowie, aby objąć kraj w posiadanie. I za takich białych bogów uważano Hiszpanów. A byli raczej białymi diabłami. Podczas uroczystości świątynnej zaatakowali wszystkich meksykańskich dostojników i bezbronnych wymordowali. Gdy wybuchło straszliwe powstanie, Cortés chciał zmusić Montezumę, żeby wyszedł na dach pałacu i nakazał swojemu ludowi spokój. Lecz ludzie nie chcieli już słuchać żadnych rozkazów. Zaczęli rzucać kamieniami we własnego króla i Montezuma padł, śmiertelnie ranny. Rozpoczęła się okrutna rzeź, podczas której Cortés dowiódł całej swojej odwagi, bo rzeczywiście zakrawa na cud,



że tej garstce hiszpańskich żołnierzy udało się uciec z ogarniętego wrzeniem miasta, przejść przez cały wrogi kraj, wioząc ze sobą wszystkich chorych i rannych, i dotrzeć do wybrzeża. Wkrótce oczywiście wrócił z nowymi żołnierzami, zniszczył i spalił kwitnącą stolicę, a Hiszpanie zaczęli w Meksyku i innych rejonach Ameryki w najobrzydliwszy sposób wycinać w pień indiańskie ludy o starej kulturze. Ten rozdział historii ludzkości jest tak przerażający i tak zawstydzający dla nas, Europejczyków, że wolę pominąć go milczeniem.

Tymczasem Portugalczycy znaleźli drogę do prawdziwych Indii i poczynali sobie tam niewiele lepiej niż Hiszpanie wśród Indian. Najzupełniej obojętna była im cała mądrość starożytnych Indusów. Chcieli złota, wciąż tylko złota. A dzięki temu złotu z Indii i Ameryki napłynęło do Europy tyle pieniędzy, że mieszczenie coraz bardziej się bogacili, a rycerze i właściciele ziemscy coraz bardziej ubożeli. A dzięki temu, że statki wypływały na zachód i z zachodu wracały, przede wszystkim zachodnie porty w Europie stały się potężne i ważne. Nie tylko porty w Hiszpanii, lecz także we Francji, Anglii i Holandii. Niemcy nie uczestniczyły w tych zamorskich podbojach. Za bardzo były wówczas zajęte same sobą.

1. Hernán Cortés, *Listy o zdobyciu Meksyku*, przeł. Maria Mróz, Ryszard Tomicki, Novus Orbis, Gdańsk 1997, s. 45. [\[wróć\]](#)



## NOWA WIARA



Pamiętasz, że po 1500 roku panowali w Rzymie papieże, dla których kapłaństwo było mniej ważne niż przepych i władza. Że do budowy wspaniałych kościołów zatrudniali słynnych artystów. Zwłaszcza od czasów dwóch papieży z rodu Medyceuszów, którzy już we Florencji tak bardzo zabiegali o sztukę i wystawność, wyrastały w Rzymie najcudowniejsze, ogromne budowle. Stary kościół św. Piotra, który wybudował podobno Konstantyn Wielki i w którym Karol Wielki został koronowany na cesarza, wydawał się papieżom już nie dość okazały. Rozpoczęli budowę nowego kościoła, ogromnego i tak pięknego, jakiego nikt jeszcze nie widział. Ale to kosztowało bardzo dużo pieniędzy. Skąd je wziąć, było dla ówczesnych papieży mniej ważne niż to, żeby je w ogóle zdobyć i ukończyć budowę wspaniałej świątyni. Niektórzy księża i mnisi, żeby przypodobać się

papieżowi, zaczęli więc zbierać pieniądze w sposób niezgodny z naukami Kościoła. Kazali wiernym płacić za odpuszczenie grzechów. Nazywa się to *odpustem*. Kościół wprawdzie nauczał, że wybaczone być może tylko skruszonemu grzesznikowi, ale handlarze odpustami tego nie przestrzegali.

Żył wtedy w Wittenberdze pewien mnich z zakonu augustianów. Nazywał się Marcin Luter. Gdy w 1517 roku handlarz odpustami przybył do Wittenbergi, żeby zbierać pieniądze na budowę nowego kościoła św. Piotra, którą w tym czasie kierował Rafael, najśłynniejszy malarz na świecie, Luter chciał ludziom zwrócić uwagę na to kościelne nadużycie. Przybił do drzwi kościoła coś w rodzaju afisza, na którym w 95 tezach potępił handlowanie Bożą łaską przebaczenia. Bo dla Lutera to było najstraszniejsze: myśl, że za pieniądze można kupić Bożą łaskę przebaczenia grzechów. On sam zawsze czuł się grzesznikiem, który jak każdy grzesznik musi się bać gniewu Bożego. I czuł, że przed karą boską może ocalić tylko jedno: nieskończona łaska Boga. A tej łaski, uważał Luter, człowiek nie może kupić. Gdyby mógł, nie byłaby to łaska. A przecież przed Bogiem, który wszystko widzi i wie, nawet dobry człowiek jest grzesznikiem zasługującym na karę. Uratować go może tylko wiara w Bożą łaskę, która jest darem. Nic więcej.

W zażartym sporze, jaki teraz rozgorzał na temat odpustu i nadużyć z nim związanych, Luter podkreślił to jeszcze dobitniej i bezwarunkowo. Nauczał i pisał: Wszystko jest zbędne z wyjątkiem wiary. A więc także księży i Kościół, który wiernym podczas nabożeństwa pozwala uczestniczyć w Bożej łasce. W tej łasce nie można pośredniczyć. Tylko niewzruszona ufność i wiara w Boga mogą człowieka uratować. Ufność w wielkie tajemnice wiary, przekonanie, że podczas komunii świętej spożywamy ciało Chrystusa i pijemy z kielicha Jego krew. Nikt nie może drugiemu przychylić łaski Bożej. Każdy wierzący jest niejako swoim własnym księdzem. Ksiądz w kościele nie jest nikim więcej, jak tylko nauczycielem i pomocnikiem. I dlatego może żyć tak jak wszyscy ludzie i może się żenić. Wierzący nie musi przyjmować nauczania Kościoła. Sam musi w Biblii szukać Bożej opinii. Tylko to, co jest w Biblii, jest ważne, uważał Luter.

Luter nie był pierwszym człowiekiem, który tak myślał. Sto lat przed nim podobnie nauczał w Pradze ksiądz Jan Hus. Wezwano go na sobór w Konstancji i wbrew królewskim gwarancjom bezpieczeństwa spalono w 1415 roku na stosie jako heretyka. Liczni zwolennicy Husa wyginęli w krwawych, barbarzyńskich walkach, podczas których została spustoszona

połowa Czech.

Lutra i jego zwolenników spotkałoby może coś podobnego, ale czasy były już inne. Choćby dlatego, że istniał druk. W całych Niemczech kupowano i czytano teksty Lutra, pisane jędrnym, żywym językiem, nierzadko bardzo dosadnym. Wielu ludzi przyznawało mu rację. Gdy papież się o tym dowiedział, zagroził mu ekskomuniką. Ale Luter miał już tylu zwolenników, że nic sobie z tego nie robił. Publicznie spalił list papieża i rzeczywiście został ekskomunikowany. A wtedy i on, i jego zwolennicy zerwali z Kościołem. W Niemczech zapanowało ogromne poruszenie, wielu przeszło na stronę Lutra, bo papież ze swoim upodobaniem do przepychu i bogactwem nie był tam lubiany. Niektórzy niemieccy książęta też wcale nie mieli nic przeciwko uszczupleniu władzy biskupów i arcybiskupów i przejęciu wielkich posiadłości ziemskich Kościoła. Przyłączyli się więc do *reformacji*, jak nazwano podjętą przez Lutra próbę wskrzeszenia dawnej chrześcijańskiej pobożności.

W tym czasie, w 1519 roku, zmarł cesarz Maksymilian, ostatni rycerz, a cesarzem niemieckim został jego wnuk, Karol V Habsburg, który był też wnukiem Izabeli Katolickiej, królowej Hiszpanii. Miał dopiero dziewiętnaście lat i nigdy wcześniej nie przebywał w Niemczech, a tylko w Belgii, Holandii i Hiszpanii, które należały do jego ziem dziedzicznych. Jako król Hiszpanii panował teraz także nad nowo odkrytą Ameryką, na której podbój właśnie wyruszył Cortés. Pochlebcy mogli więc mówić, że w jego królestwie słońce nigdy nie zachodzi. Bo w Ameryce jest dzień, kiedy my akurat mamy noc. Jego potężne imperium, obejmujące dawne habsburskie kraje dziedziczne i Niderlandy jako dziedziczną ziemię księcia Burgundii Karola Śmiałego, a także Hiszpanię i wreszcie Rzeszę Niemiecką, miało w Europie rzeczywiście tylko jednego poważnego rywala – Francję. Wprawdzie Francja bynajmniej nie dorównywała mu wielkością, ale pod władzą swojego pracowitego króla Franciszka I była państwem bardziej jednolitym, bogatszym i rządniejszym. Teraz obaj monarchowie zaczęli toczyć ze sobą długie i burzliwe walki o władzę nad Italią, najbogatszymi ziemiami Europy. Papieże popierali raz jednego, raz drugiego, aż w końcu w 1527 roku Rzym został splądrowany przez cesarskich lancknechtów, a bogactwo Italii legło w gruzach.

Ale gdy Karol w 1519 roku przejmował rządy, był jeszcze bardzo młodym, pobożnym człowiekiem i pozostawał w dobrych stosunkach

z papieżem. Po swojej koronacji w Akwizgranie chciał więc jak najszybciej zrobić porządek z heretykiem Lutrem. Najchętniej kazałby go po prostu aresztować, ale Wittenberga, miasto Lutra, należała do księcia saskiego Fryderyka zwanego Mądrym, który na to nie pozwolił. Także później ochraniał Lutra i nie dał mu zginąć.

Karol V kazał wezwać krnąbrnego mnicha na swój pierwszy Reichstag, czyli sejm, w Niemczech. Odbył się on w 1521 roku w Wormacji. Na to uroczyste, pełne przepychu zgromadzenie zjechali się wszyscy książęta i możnowładcy Rzeszy. Przed nimi stanął Luter w mnisim habicie. Oświadczył, że jest gotów odwołać swoją naukę, jeżeli na podstawie Biblii udowodnią mu błąd. Jak wiesz, Luter tylko Biblię uważał za Słowo Boże. Książęta i wielmoże zgromadzeni na Reichstagu nie chcieli się jednak wdawać w słowną polemikę z uczonym, żarliwym doktorem teologii. Cesarz zażądał, żeby Luter odwołał swoją naukę. Luter poprosił o dzień do namysłu. Był zdecydowany trzymać się swojej wiary i napisał do jednego z przyjaciół: „Naprawdę, nie odwołam ani kreseczki i pokładam ufność w Chrystusie”. Nazajutrz wystąpił przed sejmem i po niemiecku, a potem po łacinie wygłosił dłuższe przemówienie, w którym wyłożył swoją wiarę, poprosił też o wybaczenie, jeśli w ferworze kogoś uraził. Ale odwołać niczego nie może. Młody cesarz, który prawdopodobnie nie zrozumiał ani słowa, zażądał odpowiedzi jasnej i prostej. Wtedy Luter w dobitnych słowach powtórzył, że tylko argumenty zaczerpnięte z Biblii mogłyby go zmusić do odwołania nauki: „Sumienie moje jest związane przez Słowo Boże; działać przeciw niemu ani nie jest bezpiecznie, ani słusznie; dlatego odwołać nie mogę i nie chcę. O to stoję, inaczej nie mogę; niech mi Bóg dopomoże. Amen”.

Wtedy Reichstag uchwalił edykt skazujący Lutra jako heretyka na banicję, a to znaczyło, że nikomu nie wolno było dać mu jeść, udzielić pomocy ani schronienia. Kto by tak zrobił, też zostałby obłożony banicją. Także ten, kto by kupował czy posiadał jego książki. Każdy miał prawo zabić go bezkarnie. Luter był „wyjęty spod prawa”, jak powiadano. Wówczas jego obrońca, Fryderyk Mądry, kazał go porwać i ukryć w niewiadomym miejscu. Tym miejscem okazał się zamek Fryderyka w Wartburgu, gdzie Luter żył w przebraniu i pod fałszywym nazwiskiem. Właśnie tam, w dobrowolnej niewoli, Luter przetłumaczył na niemiecki Biblię, aby każdy mógł ją czytać i nad nią rozmyślać. Podjął się niełatwego zadania. Chciał przecież, żeby jego Biblię czytali wszyscy Niemcy. Tylko że wtedy nie było jeszcze języka

niemieckiego wspólnego dla wszystkich. Bawarczycy pisali w dialekcie bawarskim, a Saksończycy w saksońskim. Luter starał się więc znaleźć język jednakowo zrozumiały dla każdego. I rzeczywiście stworzył w swoim przekładzie Biblii język, który do dzisiaj, po ponad czterystu latach, z bardzo niewielkimi zmianami pozostaje ogólnoniemieckim językiem literackim.

Luter dopóty przebywał w Wartburgu, dopóki się nie dowiedział, że jego mowy i pisma odnoszą skutek, jaki mu się wcale nie podobał. Otóż jego zwolennicy stali się jeszcze bardziej zagorzałymi luteranami niż Luter. Wyrzucali obrazy z kościołów i nauczali, że nie jest słuszne chrzczyć dzieci, bo każdy człowiek musi decydować sam, czy chce zostać ochrzczony. Dlatego nazywano ich również *obrazoburcami i nowochrzczieńcami*. Szczególnie na chłopach jedna z nauk Lutera, którą zrozumieli na swój sposób, wywarła głębokie wrażenie. Luter nauczał przecież, że każdy człowiek ma słuchać tylko swojego sumienia i nikogo więcej. Że całkiem samodzielnie, jako pojedynczy, wolny człowiek musi walczyć o łaskę Boga. Tę naukę o wolnym człowieku, który nie jest niczym poddanym, owi niewolni, uciemiężeni, przypisani do ziemi chłopci zrozumieli tak, że i oni mogą być wolni. Gromadzili się, uzbrojeni w cepy i kosy, zabijali panów gruntowych, napadali na klasztory i miasta. A Luter, tak jak kiedyś walczył z Kościołem, tak teraz z całą mocą wystąpił w swoich kazaniach i pismach przeciw wszystkim obrazoburcom, nowochrzczieńcom i chłopom, przyczyniając się w ten sposób do zwalczania i karania chłopskich bojowników. I właśnie ten brak zgody między protestantami, jak nazywano również zwolenników Lutera, był korzystny dla wielkiego, jednolitego Kościoła katolickiego.

Bo Luter nie był jedynym, który w tamtych latach miał i głosił takie poglądy. W Zurychu bardzo podobną drogą poszedł kaznodzieja Huldrych (Ulrich) Zwingli, a w Genewie zerwał z Kościołem inny duchowny, Jan Kalwin. Lecz choć ich nauki tak mało się od siebie różniły, ich zwolennicy nie dość, że nie mogli się ze sobą pogodzić, to jeszcze nie znosili się nawzajem.

Tymczasem papieżstwo poniosło jeszcze jedną, wielką stratę. W Anglii panował wówczas król Henryk VIII. Był ożeniony z ciotką cesarza Karola V. Ale mu się nie podobała. Wolałby mieć za żonę jej damę dworu, Annę Boleyn. Na to jednak papież jako najwyższy kapłan nie mógł mu pozwolić. Henryk VIII w 1534 roku ogłosił więc niezależność swojego kraju od

Kościół rzymski i założył własny Kościół, który wydał mu zgodę na rozwód. Co prawda nadal prześladował zwolenników Lutra, lecz dla Kościoła rzymskokatolickiego Anglia była stracona na zawsze. Wkrótce król Henryk VIII znudził się również Anną Boleyn i kazał ją ściąć. Jedenaście dni później znowu się ożenił, lecz ta żona mu zmarła, nim zdążył ją zamordować. Z czwartą znowu wziął rozwód i ożenił się z piątą, którą znowu kazał ściąć. Szósta umarła dopiero po nim.

A Karola V wcale już nie cieszyło jego wielkie imperium, w którym panował taki zamęt i toczyły się coraz zacieklejsze walki w imię wiary. Wojował na zmianę a to z niemieckimi książętami, którzy byli zwolennikami Lutra, a to z papieżem, to znowu z królami Francji i Anglii, a także z Turkami, którzy już w 1453 roku najechali ze Wschodu i zdobyli stolicę cesarstwa wschodniorzymskiego, Konstantynopol. Turcy spustoszyli Węgry i dotarli aż pod Wiedeń, który w 1529 roku bez powodzenia oblegali.

Wreszcie monarcha miał już dość swojego państwa i tego słońca, które w nim nie zachodziło. Swojego brata Ferdynanda osadził na tronie jako władcę Austrii i cesarza Niemiec, swojemu synowi Filipowi dał Hiszpanię i Niderlandy, a sam jako stary, złamany życiem człowiek zamknął się w 1556 roku w hiszpańskim klasztorze San Gerónimo de Yuste. Podobno zajmował się tam naprawianiem i nastawianiem zegarów. Chciał doprowadzić do tego, żeby wszystkie jednocześnie wybijały godziny. A kiedy mu się to nie udało, podobno powiedział: „Jakże ja mogłem myśleć, że zdołam zjednoczyć wszystkich ludzi w moim państwie, skoro nawet kilku zegarów nie potrafię nastawić jednakowo”. Umarł w samotności i rozgoryczeniu. A zegary w jego dawnym państwie odmierzały czas coraz bardziej po swojemu.



## KOŚCIÓŁ WOJUJĄCY



Podczas jednej z wojen, które toczyli ze sobą cesarz Karol V i król Francji Franciszek I, ciężko ranny został pewien młody hiszpański szlachcic. Nazywał się Ignacy Loyola. Przykuty do łoża, lecząc bolesne rany, dużo rozmyślał o swoim dotychczasowym życiu i często czytał *Życie Chrystusa* oraz żywoty świętych. Przyszło mu wtedy do głowy, żeby zmienić swoje życie. Nadal chciał być żołnierzem, ale żołnierzem Kościoła katolickiego, który przez Lutra, Zwingliego, Kalwina i Henryka VIII znalazł się w tak wielkim niebezpieczeństwie.

Wreszcie Ignacy wyzdrowiał, ale nie poszedł po prostu na wojnę, jedną z tych wielu, które wybuchały między luteranami a katolikami. Poszedł na uniwersytet. Uczył się i rozmyślał, rozmyślał i się uczył, przygotowując się do własnej walki. Kto chce panować nad innymi, musi umieć panować nad sobą. To było dla niego oczywiste. Z niesłychanym wysiłkiem uprawiał



ćwiczenia duchowe, aby stać się absolutnym panem samego siebie. Podobnie jak Budda. Tylko w innym celu. Ignacy też chciał się wyrzec wszelkich pragnień. Ale nie po to, żeby tu, na ziemi, wyzwolić się od wszystkich cierpień, lecz po to, by nie mieć już innej woli ani innego celu, jak tylko posłuszeństwo Kościołowi i jego celom. Po latach ćwiczeń doszedł do tego, że potrafił zabronić sobie myśleć o jakiejś określonej rzeczy, a inną umiał w każdej chwili wyobrazić sobie tak wyraźnie, że stawała mu przed oczami jak żywa. To było jego przygotowanie. Od swoich przyjaciół wymagał tego samego. A kiedy już wszyscy wyrobili sobie żelazną wolę, założył wraz z nimi zakon, który nazwali wojskiem Jezusa. Był to zakon *jezuitów*.

Ta niewielka grupa doborowych, wyszkolonych ludzi oddała się do dyspozycji papieżowi jako wojownicy Kościoła i papież w 1540 roku przyjął ich propozycję. Rozpoczęli walkę, rozważni i silni jak oddział wojska. Zaczęli od tego, że sami wypowiedzieli wojnę nadużyciom, które doprowadziły do sporu z Lutrem. Wielkie zgromadzenie kościelne, obradujące w latach 1545–1563 w Trydencie, uchwaliło wiele zmian i ulepszeń, umacniających władzę i dostojeństwo Kościoła. Kapłani mieli znowu być kapłanami, a nie księżętami żyjącymi w przepychu. Kościół miał się bardziej troszczyć o ubogich. Przede wszystkim miał pracować nad oświatą ludu. A w tej dziedzinie jezuita potrafili dokonać najwięcej. Byli uczeni, wyszkoleni i bezwarunkowo posłuszni Kościołowi. Jako nauczyciele mogli dzielić się swoimi myślami z ludem i arystokracją. Bo działali również w szkołach wyższych. Ale nie tylko jako nauczyciele i jako krzewiciele wiary w dalekich krajach rozszerzali swoje wpływy. Często też bywali spowiednikami na dworach królów, a jako inteligentni ludzie o szerokich horyzontach i znawcy duszy ludzkiej nierzadko mogli wpływać na postanowienia i decyzje możnych.

To dążenie do przywrócenia dawnej pobożności, ale nie przez odżegnywanie się od Kościoła katolickiego, lecz przez odnowę samego Kościoła, by skutecznie walczyć z reformacją, nosi nazwę *kontrreformacji*. W czasach wojen religijnych ludzie byli poważni i surowi. Niemal tak poważni i surowi jak sam Ignacy Loyola. Florenckich mieszczan już nie cieszyli silni, wspaniali ludzie otoczeni zbytkiem. Znowu zwracano uwagę, czy człowiek jest pobożny i chce służyć Kościołowi. Wielmoże przestali nosić kolorowe, fałdziste szaty. W surowych, czarnych obcisłych strojach z białą kryzą pod szyją prawie wszyscy wyglądali jak mnisi. Twarze z brodą

strzyżoną w wąski szpic były poważne i ponure. Każdy szlachcic miał przypasaną u boku szpadę, a tego, kto obraził jego honor, wyzywał na pojedynek.

Niemal wszyscy ci ludzie, poruszający się spokojnym, miarowym krokiem i wyszukanie grzeczni, byli twardymi wojownikami. I nieprzejednanymi, gdy chodziło o ich wiarę. Nie tylko w Niemczech toczyły się wtedy wojny między protestanckimi a katolickimi książętami, najgorzej działo się we Francji, gdzie protestantów nazywano *hugenotami*. Francuska królowa zaprosiła w 1572 roku całą hugenocką szlachtę na uroczystości weselne na dworze i w noc świętego Bartłomieja kazała ich po prostu zamordować. Z takim zacięciem i okrucieństwem wtedy się walczyło.

Przywódcą wszystkich katolików, najpoważniejszym, najsurowszym, najbardziej bezlitosnym, był król Hiszpanii Filip II, syn cesarza Karola V. Na jego dworze obowiązywała sztywna i solenna etykieta. Wszystko było uregulowane przepisami: kto ma przed królem klękać, a komu nawet w obecności króla wolno nie zdejmować kapelusza. Komu w jakiej kolejności należy podawać posiłek przy dworskim stole i w jakiej kolejności arystokraci mają się udawać na mszę do kościoła.

Król Filip był nadzwyczaj pracowitym władcą, który każdą sprawę chciał załatwiać sam i własnoręcznie podpisywać każdy list. Pracował od rana do wieczora ze swoimi doradcami, do których należało wielu duchownych. Za najważniejszą sprawę w życiu uważał walkę z wszelkimi przejawami niewiary w naukę Chrystusa. We własnym kraju kazał spalić jako heretyków tysiące ludzi, nie tylko protestantów, lecz także żydów i muzułmanów, którzy pozostali w Hiszpanii z czasów panowania arabskiego i nadal potajemnie wyznawali islam. Uważał się za patrona i obrońcę Kościoła, jak niegdyś cesarz niemiecki. Razem z włoską flotą zwalczał Turków, którzy od czasu zdobycia Konstantynopola stawali się coraz większą potęgą morską. W 1571 roku pod Lepanto całkowicie rozgromił i zniszczył ich flotę, tak że Turcy już nigdy nie odzyskali dawnej pozycji na morzu.

Gorzej mu się wiodło w walce z protestantami. We własnym kraju, w Hiszpanii, wytrzebił ich całkowicie. Ale do jego królestwa (jak za czasów jego ojca) należały także Niderlandy, czyli dzisiejsza Belgia i Holandia. Zwłaszcza w bogatych miastach na północy było wśród mieszczan wielu protestantów. Prześladował ich, jak tylko mógł, żeby im obrzydzić ich wiarę, lecz oni się nie uginali. Posłał im wtedy jako swojego namiestnika

hiszpańskiego arystokratę, jeszcze bardziej fanatycznego, jeszcze poważniejszego, jeszcze bardziej ponurego, twardszego i surowszego niż on sam. Nazywał się ów namiestnik księżę Alba. Chudy, blady, z brodą w szpic i lodowatym wyrazem twarzy, był typem prawdziwego wojownika w guście Filipa. Alba kazał z zimną krwią stracić wielu niderlandzkich mieszczan i szlachciców. W końcu lud Niderlandów miał tego dość. Doszło do straszliwej, zacieklej walki, która skończyła się tym, że protestanckie miasta niderlandzkie po 1579 roku uwolniły się od Hiszpanów i przepędziły ich wojska. A mieszkańcy teraz już wolnych, bogatych i przedsiębiorczych miast handlowych zaczęli próbować szczęścia także za morzem, w Indiach i Ameryce.

Nie była to jednak najprzykrzejsza klęska, jaką poniósł król Hiszpanii Filip II. Miało go spotkać coś jeszcze gorszego. W Anglii panowała w tym czasie kobieta, córka króla Henryka VIII, tego, który tyle razy się żenił. Królowa Elżbieta była gorliwą protestantką, bardzo mądrą, o silnej woli, wiedzącą, czego chce, ale też próżną i okrutną. Za najważniejszą sprawę uważała obronę kraju przed katolikami, których w Anglii pozostało jeszcze wielu. Prześladowała ich bez litości. Katolicką królową Szkocji, kobietę wielkiej urody i pełną wdzięku, która sądziła, że też ma prawo rządzić Anglią, kazała uwięzić i stracić. Elżbieta pomagała również protestanckim mieszczanom Niderlandów w walce z Filipem. Rozgniewany tą wrogością do Kościoła katolickiego Filip postanowił, że albo odzyska Anglię dla katolicyzmu, albo ją zniszczy.

Za ogromne pieniądze wyposażył potężną flotę. Sto trzydzieści wielkich okrętów z ponad 2000 dział i ponad 20 tysiącami hiszpańskich żołnierzy. Po tych liczbach wzrok prześlizguje się szybko. Ale spróbuj sobie wyobrazić 130 okrętów na morzu. To była Wielka Armada, czyli wielka flota wojenna. Gdy w 1588 roku wypływała z Hiszpanii ze wszystkimi tymi zbrojnymi ludźmi na pokładzie, z całą bronią i zapasem żywności na sześć miesięcy, wydawało się prawie niemożliwe, żeby mała Anglia miała się obronić przed tak straszliwą siłą.

Ale skończyło się bardzo podobnie jak w czasach wojen perskich. Wielkie, obładowane okręty były powolne i mało zwrotne w walce. Anglicy w ogóle nie dopuścili do prawdziwej bitwy. Podpływali swoimi małymi, zwinnymi statkami, ostrzeliwali Hiszpanów i szybko się wycofywali. A potem skierowali na hiszpańską flotę płonące żaglowce bez załogi,

powodując takie zamieszanie w potężnej, skupionej masie okrętów, że Hiszpanie na obcym morzu wokół Anglii pobłądzili, rozproszyli się i w końcu duża ich część zatonięła podczas silnych sztormów. Ledwo połowa okrętów dopłynęła z powrotem do Hiszpanii, a i te nawet nie dobiły do angielskich brzegów. Filip nie dał po sobie poznać, jak głęboko jest rozczarowany. Podobno uprzejmie podziękował dowódcy floty i powiedział: „Wysłałem cię przecież do walki z ludźmi, a nie z wiatrem i falami”.

Anglicy ścigali hiszpańskie okręty nie tylko na swoich wodach. Także u wybrzeży Ameryki i Indii angielskie statki handlowe atakowały hiszpańskie i wkrótce Anglicy i Holendrzy wyparli Hiszpanów z wielu bogatych miast portowych w Indiach i Ameryce. Na północy hiszpańskiej kolonii, w Ameryce Północnej, zaczęli zakładać faktorie handlowe, tak jak kiedyś robili to Fenicjanie. Wielu Anglików, prześladowanych lub wypędzonych podczas wojen religijnych, osiedliło się właśnie tam, żeby wieść swobodniejsze życie.

W indyjskich portach i osadach rządziły Anglia i Holandia, ale właściwie nie jako państwa. Rządzili angielscy i holenderscy kupcy, którzy się stowarzyszili, aby uprawiać handel i przywozić skarby Indii do Europy. Te stowarzyszenia kupców, zwane *kompaniami handlowymi*, wynajmowały sobie nawet żołnierzy i jeśli Indusi nie byli dla nich uprzejmi albo nie chcieli dość tanio sprzedać towarów, posyłały swoje wojsko, aby „ukarać” ludność. Działo się tam niewiele lepiej niż podczas walk Hiszpanów z Indianami w Ameryce. Także w Indiach angielscy i holenderscy kupcy tylko dlatego mogli tak łatwo podbić rejony wybrzeża, że indyjscy książęta nie potrafili dojść ze sobą do zgody. Niedługo w Ameryce Północnej i w Indiach ludzie zaczęli mówić językiem małej wyspy, położonej na północny zachód od Francji – po angielsku. Powstało nowe światowe imperium. I tak jak kiedyś za sprawą cesarstwa rzymskiego językiem światowym stała się łacina, tak teraz został nim język angielski.



## STRASZNE CZASY



Gdybym chciał, mógłbym napisać jeszcze wiele rozdziałów o walkach między katolikami a protestantami. Ale nie chcę. To były straszne czasy. A wkrótce zapanował taki zamęt, że nikt już w ogóle nie wiedział, z kim i o co się bije. Habsburscy cesarze Niemiec, którzy czasem rządili z Pragi, a czasem z Wiednia, ale bezpośrednie rządy sprawowali tylko w Austrii i części Węgier, byli pobożnymi ludźmi i chcieli we wszystkich podległych im państwach przywrócić władzę Kościoła katolickiego. Początkowo pozwalali jeszcze na protestanckie nabożeństwa, ale niebawem swobody religijne się skończyły i w Czechach doszło do walki.

Niezadowoleni protestanci w 1618 roku wyrzucili przez okno na zamku w Pradze dwóch cesarskich namiestników i ich sekretarza. Wszyscy trzej wylądowali na górze odpadków i właściwie nic im się nie stało. A jednak z tego powodu wybuchła straszliwa wojna, która miała trwać aż trzydzieści lat! Wyobraź to sobie! Kto w wieku dziesięciu lat dowiedział się o praskiej defenestracji, jak nazywamy to wydarzenie, ten był czterdziestoletnim człowiekiem, gdy wreszcie dożył pokoju. *Jeśli* w ogóle dożył! Bo wojna zamieniła się wkrótce w przerażającą rzeź, gdyż dzikim hordom źle opłacanych żołnierzy z wszystkich krajów chodziło głównie o to, żeby rabować i łupić. Najbardziej brutalna i najokrutniejsza hołota wstępowała do

tego wojska, z którym spodziewała się zdobyć najwięcej łupów. O wierze już dawno nikt nie pamiętał. Protestanci szli do armii katolickich, katolicy do protestanckich. Dla ludzi w kraju, za który rzekomo walczyli, byli niemal równie straszni jak dla wrogów. Gdziekolwiek stawali obozem, tam brali od okolicznych chłopów żywność, a przede wszystkim coś do wypicia. Jeśli chłop nie dawał dobrowolnie, odbierali mu siłą albo go zabijali. W swoich fantazyjnych strojach z kolorowych gałganów i z wielkimi pióropuszcami, z mieczem u boku i rusznicą w dłoni ciągnęli przez kraj, pałac i mordując, krzywdzili bezbronnych, bo sami byli bestialscy i źli. Jedynie za swoim dowódcą szli ślepo, jeśli go lubili.

Takim dowódcą w wojskach cesarskich był Wallenstein, ubogi szlachcic ziemski, odznaczający się niezwykle silną wolą i wielką mądrością. Dotarł aż do północnych Niemiec, żeby podbić tamtejsze protestanckie miasta. Dzięki jego talentom strategicznym i zręczności wojna właściwie była już rozstrzygnięta na korzyść cesarza i Kościoła. Ale wtedy wmieszał się jeszcze jeden kraj. Szwecja, którą rządził potężny i pobożny protestancki władca Gustaw Adolf. Chciał on uratować wiarę protestancką i stworzyć wielkie protestanckie imperium pod przewodnictwem swojego państwa. Szwedzi rzeczywiście odbili północne Niemcy i ruszyli na Austrię, lecz sam Gustaw Adolf w 1632 roku (czyli w czternastym roku tej okropnej wojny) poległ w bitwie. Część wojska szwedzkiego dotarła jednak pod Wiedeń, straszliwie pustosząc kraj.

Francja też poszła na wojnę. Pomyślisz pewnie, że Francuzi jako katolicy stanęli po stronie cesarza przeciw protestantom w północnych Niemczech i Szwecji. Ale to już od dawna nie była wojna religijna. Pośród ogólnego zamętu każdy kraj próbował coś uzyskać dla siebie. A że największymi europejskimi potęgami byli niemiecki cesarz i Hiszpanie, Francja za sprawą swojego wyjątkowo przebiegłego pierwszego ministra, kardynała Richelieu, chciała przy tej okazji umniejszyć ich potęgę i sama stać się dominującym mocarstwem w Europie. Dlatego francuscy żołnierze walczyli po *przeciwnej* stronie niż żołnierze cesarza.

Tymczasem na prawdziwą potęgę wyrósł Wallenstein, dowódca wszystkich wojsk cesarskich. Żołnierze go uwielbiali, to dla niego i za jego plany walczyli. Cesarz był tym dzikim oddziałom zupełnie obojętny. Wiara katolicka też. Wallenstein musiał mieć więc coraz silniejsze poczucie, że właściwie to on jest władcą. Że bez niego i jego wojsk cesarz jest bezsilny.

Zaczął na własną rękę prowadzić pertraktacje pokojowe z wrogami. Na cesarskie rozkazy już nie zważał. Cesarz zamierzał go za to aresztować, ale nie zdążył, bo wcześniej, w 1634 roku, zamordował Wallensteina jeden z jego dawnych przyjaciół.

A wojna toczyła się jeszcze całe czternaście lat, coraz bardziej brutalna i bezładna. Puszczano z dymem całe wsie, plądrowano miasta, mordowano, porywano i wykradano kobiety i dzieci, a końca temu wszystkiemu nie było. Żołnierze rozpędzali chłopom bydło i tratowali pola; głód, straszliwe zarazy i watahy głodnych wilków zamieniły całe połacie Niemiec w ponure bezludzie. I w końcu, po wszystkich tych strasznych cierpieniach, posłowie władców w wyniku długotrwałych, skomplikowanych narad uzgodnili w 1648 roku warunki pokoju, który sprowadzał się właściwie do tego, że wszystko zostaje po staremu. Co przed wojną trzydziestoletnią było protestanckie, miało pozostać protestanckie, a kraje podlegające bezpośredniej władzy cesarza, czyli Austria, Węgry i Czechy, miały pozostać katolickie. Szwecja po śmierci Gustawa Adolfa utraciła niemal wszystkie wpływy, zachowała jednak kilka obszarów zdobytych w północnych Niemczech i nad Bałtykiem. Tylko posłowie francuskiego pierwszego ministra Richelieu uzyskali dla Francji wiele niemieckich twierdz i miast nad Renem. I to on właściwie wygrał tę wojnę, która go wcale nie dotyczyła.

Niemcy wyglądały prawie jak pustynia. Ledwo połowa mieszkańców ocalała i żyła w straszliwej nędzy. Niektórzy wywędrowali do Ameryki, inni próbowali się zaciągnąć do obcych wojsk, bo przecież nie nauczyli się niczego innego, tylko walczyć.

Na domiar nieszczęść i rozpacz zaczął się jeszcze szerzyć pewien przerażający obłęd. Strach przed złym urokiem, strach przed czarami i czarownicami. Jak wiesz, w średniowieczu ludzie też byli zabobonni i wierzyli w różne duchy. Ale wtedy nie było jeszcze tak źle.

Gorzej zaczęło się dziać w czasach, które nazwaliśmy renesansem, w czasach papieży rozkochanych we władzy i przepychu, w czasach budowy nowego kościoła św. Piotra i handlu odpustami – około roku 1500. Pobożni owi papieże nie byli, za to tym bardziej zabobonni. Bali się diabła i wszelkich możliwych czarów. Każdy z papieży, który w tamtych latach uwiecznił swoje imię wspaniałymi dziełami sztuki, wydawał też okrutne rozkazy, by z całą gorliwością tępić czarowników i czarownice, zwłaszcza w Niemczech.

Zapytasz, jak można tępić coś, czego wcale nie ma i nie było. Ale to

właśnie jest najstraszniejsze. Gdy jakiejś kobiety we wsi nie lubiano, gdy wydawała się ludziom niesamowita albo robiła się dla nich niewygodna, nagle zaczęli mówić: „To czarownica! To przez nią spadł grad” albo: „To jej wina, że burmistrza rozboleły plecy”. Jeszcze dziś ból w plecach nazywa się w Niemczech postrzałem czarownicy. Wtedy taką kobietę aresztowano i pytano, czy ma konszachty z diabłem. Przerazona, oczywiście odpowiadała, że nie ma. A wówczas tak długo ją męczono i torturowano w najokrutniejszy sposób, aż wpół żywa z bólu i rozpacz przyznawała się do wszystkich zarzutów. I to był koniec. Wyznała przecież, że jest czarownicą. Wtedy palono ją żywcem. Podczas tortur, zwanych *mękami*, padały zwykle pytania o jeszcze inne czarownice we wsi, z którymi razem uprawiała czary. A wtedy niejedna w swej słabości, po to tylko, żeby skończyły się męczarnie, wymieniała jakieś nazwiska, które akurat przyszły jej do głowy, po czym aresztowano również tamte kobiety, w taki sam sposób wymuszano przyznanie się do winy i także one ginęły w płomieniach. Ale największy strach przed diabłem i czarami panował w okropnych czasach po wojnie trzydziestoletniej. Spalono wtedy żywcem tysiące ludzi w Niemczech, zarówno w regionach katolickich, jak i protestanckich. Na niewiele się zdało, że niektórzy jezuici przestrzegali przed tym obłędem. Ówczesne społeczeństwo żyło w ciągłym, panicznym strachu przed nieznanymi magicznymi mocami i diabelskimi sztukami, i tylko ten strach może pozwolić pojąć wszystkie te potworności, których ofiarą padły tysiące niewinnych ludzi.

Najdziwniejsze jest jednak to, że w tych samych czasach, gdy lud był tak zabobonny, kilku ludzi nie zapomniało o ideach Leonarda da Vinci i innych wielkich Florentyńczyków. Nadal starali się mieć oczy szeroko otwarte i widzieć świat taki, jaki naprawdę jest. I znaleźli prawdziwie czarodziejski sposób, żeby poznać to, co będzie, i to, co było, i żeby się dowiedzieć, z jakiej materii składa się gwiazda oddalona od nas o miliardy kilometrów lub kiedy dokładnie nastąpi zaćmienie Słońca i z którego miejsca na Ziemi będzie je widać.

Ten czarodziejski sposób to liczenie. Wprawdzie nie ci ludzie wynaleźli liczenie, bo kupcy liczyć umieli zawsze. Ale to oni coraz lepiej wiedzieli, ile rzeczy w naturze da się wyliczyć. Że każde wahadło długości 98 centymetrów i jednego milimetra zawsze potrzebuje dokładnie jednej sekundy na wykonanie jednego pełnego cyklu „tam i z powrotem” i z czego



to wynika. Nazwano to *prawami natury*. Już Leonardo da Vinci wiedział: „Natura nie łamie swych praw”<sup>1</sup>. Teraz nie ulegało wątpliwości, że każde zjawisko przyrody, raz dokładnie zmierzone i opisane, zawsze tylko w ten a nie inny sposób *może* przebiegać. Było to niesłychane odkrycie i większa magia niż czary przypisywane biednym czarownicom. Bo teraz cała natura, gwiazdy i krople wody, spadające kamienie i rozedrgane struny skrzypiec przestały być czymś nieuporządkowanym, niewytłumaczalnym, co w ludziach budziło tylko lęk. Kto znał właściwy wzór matematyczny, ten miał magiczny sposób na wszystkie rzeczy. Mógł powiedzieć strunie w skrzypcach: „Jeśli chcesz wydawać ton a, musisz wykonać 435 drgań na sekundę i musisz mieć taką a nie inną długość i być tak a nie inaczej naciągnięta”. I struna rzeczywiście musi.

Pierwszym człowiekiem, który w pełni zrozumiał, jaka magiczna moc tkwi w badaniu przyrody metodami matematycznymi, był Włoch Galileusz. Przez wiele lat badał, sprawdzał i opisywał rozmaite zjawiska, aż nagle ktoś kiedyś doniósł, że w jego pismach znajduje się to samo zdanie, które Leonardo zapisał bez objaśnień: że Słońce się nie porusza. I że Ziemia kręci się wokół Słońca, a planety razem z nią. Niedługo po śmierci Leonarda, w 1543 roku, polski uczoney Mikołaj Kopernik po wielu latach badań, kiedy już sam był umierający, ogłosił takie odkrycie, lecz zarówno katolicy, jak i protestanci księża odrzucili tę naukę jako niechrześcijańską. W Starym Testamencie znajduje się bowiem fragment, w którym wielki wojownik Jozue prosi Boga, żeby nie nastał wieczór, nim on pokona swoich wrogów. I stanęły Słońce i Księżyc, aż wszyscy wrogowie Jozuego zostali zabici albo pojmani. A ponieważ w Biblii jest napisane, że Słońce się zatrzymało, ludzie myśleli, że normalnie musi się ono poruszać. I dlatego nauka, że Słońce zawsze stoi w miejscu, jest heretycka i wbrew Biblii. Galileusz po długim życiu badacza stanął więc w 1632 roku jako prawie siedemdziesięcioletni człowiek przed trybunałem inkwizycji, który dał mu do wyboru: albo spłonie na stosie jako heretyk, albo odwoła swoje poglądy na temat ruchu Ziemi wokół Słońca. Podpisał, że jest biednym grzesznikiem, bo nauczał, że Ziemia kręci się wokół Słońca, nie został więc spalony, jak niektórzy z jego poprzedników. Podobno jednak, gdy złożył już podpis pod stosownym aktem, powiedział po cichu: „A jednak się kręci”.

I wszystkie te nieobiektywne sądy rzeczywiście nie mogły przeszkodzić

temu, że coraz więcej ludzi przekonywały myśli i metody badawcze, wyniki badań i plany Galileusza. I jeśli dzisiaj za pomocą wzorów matematycznych możemy zmusić naturę, żeby robiła to, co chcemy, jeśli mamy samoloty, rakiety, radia i w ogóle całą naszą technikę, to zawdzięczamy to takim ludziom jak on, którzy w czasach, kiedy było to jeszcze prawie tak samo niebezpieczne, jak bycie chrześcijaninem za Nerona, metodami matematycznymi dociekali praw natury.

1. Leonardo da Vinci, *Pisma wybrane*, przeł. Leopold Staff, Wydawnictwo J. Mortkowicza, Warszawa–Kraków 1930, t. 1, s. 64. [\[wróć\]](#)



## KRÓL NIESZCZĘŚLIWY I KRÓL SZCZĘŚLIWY



Anglia była jedynym mocarstwem, które nie wzięło udziału w wojnie trzydziestoletniej. „Szczęśliwi Anglicy”, powiesz. I oni jednak przeżywali wtedy burzliwe czasy, choć nie skończyły się dla nich tak strasznie jak dla Niemców. Jak może pamiętasz, król angielski Jan w 1215 roku w Wielkiej Karcie Swobód musiał uroczyście przyrzec szlachcicom, że ani on, ani jego następcy nigdy niczego nie zrobią bez zgody wielmożów i hrabiów. Prawie czterysta lat angielscy królowie tego przestrzegali. Ale Karol I, wnuk świętej królowej Marii Stuart, przestrzegać tego nie chciał. Nie lubił pytać o zdanie szlachty i mieszczan w parlamencie. Wolał rządzić tak, jak mu się podobało, a najbardziej podobało mu się wydawać dużo pieniędzy.

Angielskiego społeczeństwa wcale to nie bawiło. Zwłaszcza wielu szczególnie surowych, pobożnych protestantów, zwanych *purytanami*, czyli czystymi, którym wszelki przepych i uciechy życia były nienawistne. Wypowiedzieli królowi wojnę, a przewodził im w tej walce ubogi szlachcic Oliver Cromwell, wielce pobożny i dzielny wódz o żelaznej woli, ale też bezwzględny. Po długich bojach, z których zwycięsko wyszła jego armia doskonale wyćwiczonych i głęboko religijnych żołnierzy, pojmał króla Karola i oddał pod sąd. Za łamanie królewskich przyrzeczeń i nadużywanie władzy Karol I został skazany na śmierć i w 1649 roku ścięty. Od tamtej pory

panował w Anglii Cromwell. Nie jako król, lecz jako lord protektor. I nie tylko nosił taki tytuł – on naprawdę kimś takim był. Wszystko, co zapoczątkowała królowa Elżbieta, on także uważał za najważniejsze: angielskie kolonie w Ameryce i faktorie handlowe w Indiach, sprawna flota i wielki handel morski. Cały swój intelekt i siłę woli skupił na tym, by w każdej z tych dziedzin wzmocnić potęgę Anglii i jak najbardziej osłabić holenderskich sąsiadów. Gdy wkrótce po jego śmierci władzę w Anglii odzyskali królowie (od 1689 roku panowała tam dynastia orańska, z której się wywodzili także namiestnicy Niderlandów), rządzić nie było już trudno. Wszystko rozwijało się pomyślnie. I do dzisiaj żaden angielski król już się nie odważył złamać dawnych przyrzeczeń, zawartych w Wielkiej Karcie.

Francuscy królowie mieli łatwiej. Im nie wiązała rąk żadna Wielka Karta. Władali zamożnym, ludnym krajem, którego nawet straszliwe wojny religijne nie zdołały całkiem zniszczyć. Głównie dlatego, że podczas wojny trzydziestoletniej właściwym rządcą Francji był niezwykle inteligentny pierwszy minister kardynał Richelieu, który zrobił dla tego kraju co najmniej tyle samo, ile Cromwell dla Anglii. A może jeszcze więcej. Zdołał bowiem doprowadzić do tego, że rycerze i wielmoże nie mieli nic do powiedzenia. Dzięki swojej zręczności i sprytowi stopniowo pozbawił szlachtę władzy. Był niczym dobry szachista, który każdy układ potrafi wykorzystać, a z małej korzyści zaraz wyciągnąć większą. W taki właśnie sposób stopniowo skupiał całą władzę w swoich rękach, a Francji, jak wiesz, przysparzał znaczenia w Europie. Ponieważ w wojnie trzydziestoletniej pomagał walczyć z cesarzem Niemiec, a Hiszpania zubożała, Włochy się rozdrobniły i Anglia w tym czasie też jeszcze nie doszła do potęgi, którą cieszyła się później Francja w chwili śmierci Richelieu była jedynym liczącym się krajem. Niedługo po śmierci kardynała królem został w 1643 roku Ludwik XIV. Miał wtedy pięć lat i do dziś nikt nie pobił jego rekordu, jeśli chodzi o długość panowania. Bo rządził do 1715 roku, czyli siedemdziesiąt dwa lata. I naprawdę rządził. Oczywiście nie jako dziecko – w czasie jego małoletności rządy sprawował kardynał Mazarin, kontynuujący politykę Richelieu. Ale po śmierci Mazarina Ludwik XIV postanowił rządzić sam. Wydał rozkaz, żeby żadnemu Francuzowi nie wystawiać nawet paszportu, dopóki król nie wyrazi zgody. Cały dwór się śmiał i uważał, że to kaprys młodego władcy. Niedługo mu się sprzykrzy, sądzili. Ale jemu się nie sprzykrzyło. Być królem oznaczało dla niego więcej niż tylko przypadkiem urodzić się królem. To

było jak wielka rola w teatrze, którą trzeba grać całe życie. Mało kto przed nim i mało kto po nim tak dokładnie się tej roli nauczył, z takim dostojnictwem i z taką pompą grał ją do końca, i nigdy się nią nie znużył.

Przejął całą władzę, jaką mieli pierwsi ministrowie Richelieu i Mazarin. Szlachcie nie przysługiwały żadne prawa oprócz jednego: patrzeć, jak on gra swoją rolę. Uroczyste przedstawienie, zwane *Le lever du Roi*, czyli audiencja podczas porannej toalety monarchy, zaczynało się już u 8 rano, kiedy raczył wstać. Razem z pokojowcem i lekarzem wchodzili do jego sypialni członkowie rodziny królewskiej i na kolanach podawano mu dwie ufryzowane w loki i upudrowane peruki, które wyglądały jak wielkie grzywy. Wybierał tę, na którą akurat miał ochotę, wkładał szlafrok i zasiadał obok łoża. Teraz wolno było wejść do sypialni najwyższym arystokratom – księżętom, a podczas golenia króla przychodzili jego sekretarze, oficerowie i inni urzędnicy. Potem otwierano drzwi i pojawiała się cizba wystrojonych dostojników, marszałków, namiestników, książąt Kościoła i osobistych faworytów, aby patrzeć z podziwem na ceremonię ubierania Jego Królewskiej Mości.

Wszystko było ustalone w najdrobniejszych szczegółach. Za największy zaszczyt uchodziło podawanie królowi koszuli, uprzednio starannie ogrzanej. Przysługiwał ten honor królewskiemu bratu, a w razie jego nieobecności – następnej osobie najwyższej rangą. Kamerdyner przytrzymywał jeden, a książę drugi rękaw koszuli, którą wkładał na siebie król. Z innymi częściami garderoby postępowano podobnie, aż w końcu król był ubrany: w kolorowe jedwabne pończochy i krótkie spodnie z jedwabiu, w kamizelkę z barwnego atłasu, świetliście błękitną szarfę, z przypasaną szpadą i w haftowany surdut z fontaziem, który podawał mu na srebrnej tacy szatny fontaziowy. Potem jeszcze kapelusz z piórem i laseczka, i wreszcie król z uśmiechem przechodził lekkim krokiem z sypialni do wielkiej sali, dla każdego ze zgromadzonych mając w zanadrzu jakąś gładką uprzejmość, a oni wpatrywali się w niego i w napuszonych słowach z pokorą obwieszczali, że jest dziś piękniejszy niż grecki bóg słońca Apollo i silniejszy niż grecki bohater Herakles, ba, że jest jak samo boskie słońce, które swoimi promieniami i światłem utrzymuje wszystko przy życiu. Jak widzisz, wyglądało to prawie jak na dworze faraona, nazywanego Synem Słońca. Z tą jednak wielką różnicą, że dawni Egipcjanie naprawdę w to wierzyli. A Ludwik XIV uprawiał teatr, wiedząc równie dobrze jak inni, że

daje uroczyste, starannie wyreżyserowane przedstawienie, na które oni z przyjemnością patrzą.

Po porannej modlitwie król ogłaszał w gabinecie program dnia. Wiele godzin przeznaczał i rzeczywiście codziennie poświęcał na sprawy rządowe, bo przecież chciał się troszczyć w państwie o wszystko. Ale nie brakowało też polowań, balów i przedstawień teatralnych, na których zabawiał się jego dwór i na które on również zawsze przychodził, by obejrzeć wielkich aktorów w sztukach wielkich autorów. Tak samo ceremonialnie jak poranne wstawanie przebiegał każdy posiłek i nawet udawanie się króla na spoczynek przypominało skomplikowany układ baletowy z elementami komicznej przesady. Na przykład każdy musiał składać ukłon przed królewskim łóżem jak przed ołtarzem, nawet jeśli króla w łóżku nie było. Gdy grał w karty i rozmawiał, zawsze otaczał go z pełnym respektem dystansem tłum ludzi, słuchających jego błyskotliwych, dowcipnych wypowiedzi niczym objawień.

Być ubranym tak jak król, na jego sposób nosić laseczkę i wkładać kapelusz, siadać i chodzić jak on – to było celem wszystkich mężczyzn na dworze. Podobać się królowi – celem wszystkich kobiet. One też się stroiły w koronkowe kołnierze, szeleszczące, obszerne szaty z najdroższych materii i najkosztowniejszą biżuterię. Całe życie dworu toczyło się w tak wspaniałych pałacach, jakich nikt dotąd jeszcze nie widział. Bo budowanie pałaców było wielką namiętnością Ludwika XIV. W Wersalu pod Paryżem wznosił pałac ogromny jak miasto – z niekończącymi się salami pełnymi złocień i adamaszku, kryształowych świeczników, tysięcy luster, mebli o falistych liniach, aksamitów i jedwabi, znakomitych obrazów, na których malarze raz po raz przedstawiali Ludwika jako Apollina odbierającego hołdy od wszystkich narodów Europy. Ale wspanialszy nawet od pałacu był park. Tak samo uroczysty, starannie zaplanowany i teatralny jak całe dworskie życie. Żadne drzewo nie mogło tam rosnąć tak, jak chciało, żadnemu krzewowi nie pozwalano zachować naturalnego kształtu. Całą zieleń przystrzygano i przycinano, formowano ściany liści, bukszpanowe kule i żywopłoty, szerokie trawniki z zawijasowatymi klombami, aleje z okrągłymi placykami, z posągami, stawami i fontannami. Spacerowali po tym parku ścieżkami wysypanymi białym żwirem potężni niegdyś książęta ze swoimi damami i rozmawiali gładkimi, krągłymi zdaniami o tym, w jaki sposób szwedzki poseł ostatnio złożył ukłon, i o temu podobnych sprawach.

Możesz sobie wyobrazić, ile kosztowały taki pałac i takie życie. Sam król

miął dwustu służących, a każdy dworzanin swoich. Ale Ludwik XIV miał też mądrych ministrów, najczęściej ludzi skromnego pochodzenia, którym powierzył władzę ze względu na ich wielkie zdolności. Umieeli oni wycisnąć pieniądze z kraju. Przede wszystkim dbając o handel z zagranicą i wspierając rozwój francuskiego rzemiosła oraz manufaktur. Za to chłopów niemiłosiernie gnębili podatkami i daninami i podczas gdy na dworze jadano ze srebrnych i złotych półmisków najbardziej wyszukane potrawy, chłopci żywili się dosłownie odpadkami i zielskiem.

A przy tym życie dworskie wcale jeszcze nie było najkosztowniejsze. Najwięcej kosztowały wojny, które Ludwik XIV nieustannie prowadził, najczęściej z żadnego innego powodu, jak tylko z chęci powiększenia swojej władzy i odebrania czegoś państwu sąsiednim. Miał wielką, dobrze uzbrojoną armię i napadał a to na Holandię, a to na Niemcy, aby im na przykład zabrać Strasburg, nawet się nie starając o jakiś słuszny pretekst. Uważał się za pana całej Europy. I w pewnym sensie nim był. Wszyscy wielcy go naśladowali. A niebawem każdy niemiecki książę, choćby władał tylko małym, ubożutkim krajem, budował sobie wielki pałac na wzór Wersalu, pełny złocień i adamaszku, ze strzyżonymi szpalerami, i otaczał panami w wielkich perukach i upudrowanymi damami w obszernych szatach, pochlebcami i zręcznymi krasomówcami.

Naśladowali go we wszystkim. Z wyjątkiem jednego: każdy z nich *był* tym, kogo Ludwik XIV tylko grał: wysztafiowaną, trochę komiczną, napuszoną królewską kukłą. Sam Ludwik XIV był kimś więcej. A żebyś nie musiał mi wierzyć na słowo, zacytuję ci fragment listu, który napisał do swego wnuka, gdy ten został królem Hiszpanii: „Nigdy nie faworyzuj tych, którzy Ci najbardziej schlebiają, lecz doceniaj tych, którzy dla dobra sprawy mają odwagę Ci się nie spodobać. Nigdy dla przyjemności nie zaniedbuj pracy, ułóż sobie taki tryb życia, w którym będzie czas przeznaczony na odpoczynek i rozrywkę. Całą uwagę poświęć sprawom państwowym. Nim podejmiesz jakąś decyzję, najpierw jak najwięcej słuchaj. Czyń wszystko, co w Twojej mocy, abyś dobrze poznał wybitnych ludzi, którymi mógłbyś się posłużyć, gdy będziesz ich potrzebował. Bądź uprzejmy dla każdego, nigdy nie mów nikomu niczego, co mogłoby go urazić”. I takie rzeczywiście miał zasady francuski król Ludwik XIV, w tak osobliwy sposób łączący w sobie próżność, wdzięk, rozrzutność, dostojeństwo, bezwzględność, teatralność i pracowitość.



## CO SIĘ TYMCZASEM ZDARZYŁO NA WSCHODZIE EUROPY



Kiedy Ludwik XIV prowadził wspaniały dwór w Paryżu i Wersalu, na Niemcy spadło nowe nieszczęście: Turcy. Jak już wiesz, ponad dwieście lat wcześniej (w 1453 roku) zdobyli Konstantynopol, po czym utworzyli wielkie muzułmańskie imperium, obejmujące Egipt, Palestynę, Mezopotamię, Azję Mniejszą i Grecję. Czyli całe dawne cesarstwo wschodniorzymskie, z którego świetności i przepychu niewiele już jednak zostało. Potem ruszyli dalej w górę Dunaju i w 1526 roku pokonali wojska węgierskie. Zginęła niemal cała węgierska szlachta, również król. Turcy podbili większą część Węgier i próbowali zdobyć też Wiedeń, ale szybko się wycofali. Jak pamiętasz, ich potęgę na morzu zniszczył w 1571 roku król Hiszpanii Filip II wraz ze sprzymierzonymi Wenecjanami, niemniej Turcja pozostała potężnym



państwem, a w Budapeszcie rządził turecki pasza. Węgrzy, którzy od śmierci swego króla podlegali władzy cesarza, byli jednak w dużej części protestantami, więc w wojnach religijnych walczyli po stronie jego przeciwników. Także po wojnie trzydziestoletniej węgierscy szlachcice kilkakrotnie usiłowali wzniecać powstania, aż w końcu wezwali na pomoc swoich tureckich sąsiadów.

Sułtan, bo tak nazywał się turecki władca, chętnie i łaskawie przyjął tę prośbę. Od dawna życzył sobie jakiejś wojny, bo jego żołnierze w kraju stawali się zbyt potężni. Obawiał się, że straci nad nimi kontrolę, ucieszył się więc, że może ich dokądś wysłać. Jeśli zwyciężą – tym lepiej. Jeśli zginą – przynajmniej się ich pozbędzie. Jak widzisz, bardzo sympatyczny monarcha. W 1683 roku wystawił ogromną armię, złożoną z żołnierzy ze wszystkich części imperium. Paszowie Mezopotamii i Egiptu przyprowadzili swoich żołnierzy, Tatarzy, Arabowie, a także Grecy, Węgrzy, Wołosi zebrali się w Konstantynopolu i pod przewodem wielkiego wezyra Kara Mustafy wyruszyli na Austrię. Była to armia ponad 200 tysięcy dobrze uzbrojonych żołnierzy, w kolorowych egzotycznych strojach, w turbanach i z chorągwiami, na których widniał ich znak – półksiężyc.

Wojska cesarskie na Węgrzech nie mogły stawić czoła tej nawałnicy. Wycofały się, pozwalając Turkom podejść aż pod Wiedeń. A Wiedeń, tak jak każde miasto w tamtych czasach, miał obwarowania. Teraz na gwałt je naprawiano i ściągano armaty oraz żywność do miasta. Dwadzieścia tysięcy żołnierzy miało go bronić, dopóki cesarz ze swoimi sprzymierzeńcami nie przyjdzie z odsieczą. Sam cesarz pośpiesznie wyjechał z dworem do Linzu, a potem do Pasawy. Gdy wiedeńczycy zobaczyli płonące wsie i przedmieścia, podpalane przez Turków, około 60 tysięcy ludzi w niekończących się kolumnach wozów i powozów uciekło z miasta.

Nadciągnęli tureccy jeźdźcy. Ogromna armia rozłożyła się wokół Wiednia i zaczęła ostrzeliwać z armat i wysadzać prochem mury. Wiedeńczycy bronili się z całych sił. Wiedzieli, jaka jest stawka. Ale minął miesiąc, Turcy raz po raz przypuszczali szturm, wyłomy w wysadzanych murach stawały się coraz groźniejsze, a pomoc nie nadchodziła. Najstraszniejsze były wybuchające w mieście zakaźne choroby, na które umierało chyba więcej ludzi niż od tureckich kul. Coraz bardziej dawał się też we znaki brak żywności, chociaż żołnierze dokonywali czasem śmiałych wypadów i wracali do miasta z kilkoma wołami. Doszło do tego, że w Wiedniu płacono nawet 20–30

grajcarów za kota – jak na owe czasy bardzo dużo pieniędzy za tak nieapetyczną pieczeń. Wyglądało na to, że murów już nie da się dłużej bronić. A wtedy wreszcie nadeszły z pomocą wojska cesarskie. Z jaką ulgą odetchnęli wiedeńczycy! Z odsieczą przyszły nie tylko cesarskie wojska z Austrii i Niemiec. Król polski Jan III Sobieski, z którym cesarz już wcześniej zawarł przymierze przeciwko Turkom, też zgodził się pomóc, ale za cenę znacznych ustępstw. Chciał zostać naczelnym wodzem, a na ten honor również cesarz miał ochotę, dużo cennego czasu stracili więc na pertraktacje. W końcu wojsko pod wodzą Sobieskiego zajęło pozycje na wzgórzach wokół Wiednia i ruszyło na Turków. Po ciężkich walkach Turcy rzucili się do ucieczki. Nawet nie zdążyli zwinąć i zabrać obozu. Teraz mogli go splądrować cesarscy żołnierze. A mieli co plądrować, bo składał się ten obóz z 40 tysięcy namiotów, był więc prawdziwym miasteczkiem o prostych uliczkach i prezentował się nader bogato.

Turcy cofali się coraz dalej. Jeśliby zwyciężyli i zdobyli Wiedeń, byłaby to katastrofa niemal tak wielka, jak zwycięstwo arabskich muzułmanów prawie tysiąc lat wcześniej pod Tours i Poitiers, gdyby nie odparł ich Karol Młot.

Wojska cesarskie ruszyły za Turkami. Znakomity francuski dowódca książę Eugeniusz Sabaudzki, którego ze względu na niepozorną posturę Ludwik XIV nie chciał przyjąć do swojej armii, w następnych latach wyswobadzał coraz więcej terytoriów spod władzy tureckiej i zyskał sławę największego wodza w austriackiej armii. Sułtan musiał oddać całe Węgry, które teraz przypadły Austrii. Dwór cesarski w Wiedniu urósł w siłę i bogactwo, więc również w Austrii powstawały teraz wspaniałe pałace i liczne piękne klasztory, budowane w nowym, bujnym stylu, zwanym *barokiem*. A potęga Turków topniała. Bo także na tyłach wyrósł im potężny wróg: Rosja.

O Rosji dotychczas nic nie słyszeliśmy. Był to rozległy, dziki, porośnięty lasami kraj z ogromnymi stepami na północy. Panowie gruntowi ze straszliwym okrucieństwem sprawowali władzę nad biednymi chłopami, a car nad panami być może z jeszcze większym. Jednego z rosyjskich władców, panującego około 1580 roku, nazywano Iwanem Groźnym. I bardzo słusznie. Bo w porównaniu z nim Neron był łagodny jak baranek. Rosjan mało obchodziła Europa i to, co się tam działo. Wystarczyło im walczyć ze sobą i zabijać się nawzajem. Byli wprawdzie chrześcijanami, ale

nie podlegali papieżowi, tylko biskupowi, zwanemu *patriarchą*, cesarstwa wschodniorzymskiego w Konstantynopolu. Z Zachodem niewiele ich łączyło.

W 1689 roku (sześć lat po oblężeniu Wiednia przez Turków) na tronie rosyjskim zasiadł nowy władca. Nazywał się Piotr, Piotr Wielki. Nie był o wiele mniej dziki i okrutny od swoich poprzedników. Pił nie mniej niż oni i nie mniejszą radość sprawiało mu używanie przemocy. Ale uparł się, że zrobi ze swojego imperium takie samo państwo, jak państwa zachodnie, Francja, Anglia albo Rzesza Niemiecka. Wiedział, co jest do tego potrzebne: pieniądze, handel, miasta. Chciał się dowiedzieć, w jaki sposób inne kraje doszły do tego, że je miały. Więc do nich pojechał. W Holandii zobaczył wielkie miasta portowe z ogromnymi statkami, które pływały aż do Indii i Ameryki na handel. On też chciał mieć takie statki. Chciał się nauczyć je budować. Niewiele myśląc, zatrudnił się jako prosty cieśla okrętowy u holenderskiego majstra skutniczego i rzeczywiście opanował tę sztukę. Niebawem wrócił do kraju z rzeszą rzemieślników, którzy mieli budować mu statki.

Brakowało tylko miasta portowego. Kazał je więc wznieść. Miasto nad morzem, dokładnie takie, jak miasta holenderskie, które widział. Lecz nad morzem na północy Rosji rozciągały się tylko bezludne grzęzawiska. Poza tym te tereny należały właściwie do Szwecji, z którą Piotr Wielki toczył wojnę. To wszystko było mu jednak obojętne. Kazał spędzić chłopów z najdalszych okolic, by osuszyli bagna i powbijali pale w grunt. Dzięki katorżniczej pracy 80 tysięcy robotników wkrótce stanęło tam rzeczywiście miasto portowe. Nazwał je Sankt Petersburgiem. Teraz również Rosjan chciał zmienić w prawdziwych Europejczyków. Zabronił im chodzić w rodzimych strojach, z długimi włosami, długimi brodami i w długich kaftanach; mieli się ubierać jak Francuzi albo Niemcy. A komu się to nie podobało albo coś powiedział przeciwko nowinkom wprowadzonym przez Piotra, tego car skazywał na karę chłosty i śmierć. Nawet własnego syna nie oszczędził. Sympatyczny to on nie był, ale dokonał tego, czego chciał. Rosjanie wprawdzie nieprędko stali się Europejczykami, lecz Rosja od tamtej pory uczestniczyła w krwawej europejskiej grze o władzę.

Włączył się do tej gry już Piotr Wielki. Napadł na Szwecję, która od czasów podbojów Gustawa Adolfa w wojnie trzydziestoletniej była najpotężniejszym państwem na północy Europy. Ale teraz nie miała takiego trzeźwo myślącego i pobożnego władcy jak on. Od 1697 roku panował

w Szwecji jeden z najbardziej nieobliczalnych młodych awanturników, jakich widział świat: król Karol XII. Mógłby być postacią z książek Karola Maya albo jakiejś innej zwariowanej historii. To wszystko, co zrobił, brzmi zupełnie fantastycznie. A był przy tym tyleż nierozważny, co dzielny, a to już coś znaczyło. Stanął do walki z Piotrem Wielkim i pokonał pięciokrotnie silniejszą armię. Potem najechał Polskę i ruszył dalej w głąb Rosji, nie czekając, aż przyjdzie mu w sukurs inna armia szwedzka, która już znajdowała się w drodze. Szedł coraz dalej i dalej, zawsze przed swoim wojskiem, przeprowadzał się przez rzeki i bagna, ale nigdzie rosyjscy kozacy nie stawili mu czoła. Nadeszła jesień, potem zima, siarczasty rosyjski mróz, a Karol XII wciąż jeszcze nie miał okazji udowodnić wrogowi swego męstwa. Gdy wojsko było już niemal zagłodzone na śmierć, zmarznięte na kość i wyczerpane, pojawili się w końcu Rosjanie i w 1709 roku zadali mu miażdżącą klęskę. Musiał uciekać, uszedł więc do Turcji. Przebywał tam przez pięć lat, próbując namówić Turków do walki z Rosją. Wreszcie w 1714 roku doszły go wieści ze szwedzkiej ojczyzny, że dość tam mają króla, który szuka przygód w Turcji, i że możni w jego kraju chcą wybrać sobie kogoś innego.



*Tę drogę przebył przez Europę nieustraszony, dumny awanturник, król Szwecji Karol XII, nim pod twierdzą Fredrikshald (dziś Halden) dopadła go śmierć.*

Przebrał się wtedy w mundur niemieckiego oficera i z jednym tylko towarzyszem u boku, za dnia jadąc wierzchem, nocą śpiąc w karecie pocztowej, pędził jak szalony przez 16 dni, narażając się na najbardziej niebezpieczne przygody, od granicy tureckiej przez nieprzyjacielski kraj do Stralsundu w należących wówczas do Szwecji północnych Niemczech. Komendant twierdzy, którego kazał w nocy obudzić, nie mógł uwierzyć własnym oczom, gdy nagle ujrzał przed sobą króla, o którym wszyscy myśleli, że jest Bóg wie gdzie w Turcji. Miasto było zachwycone brawurowym wyczynem, ale Karol XII położył się do łóżka i spał, i spał, i spał. Stopy miał od tej jazdy tak spuchnięte, że trzeba było rozciąć buty, by mu je zdjąć z nóg. Ale o wybieraniu innego króla nikt już nie myślał. A Karol XII, ledwo znalazł się w Szwecji, od razu wdał się w nową awanturę wojenną. Zrobił sobie wrogów z Anglii, Niemiec, Norwegii i Danii. I podczas oblężenia twierdzy Fredrikshald w 1718 roku poległ – niektórzy mówią, że zastrzelił go jeden z własnych poddanych, bo kraj już po prostu nie mógł znieść tych wszystkich wojen.

Tym sposobem carowi u był przeciwnik, a rosyjskie imperium, którego cesarzem Piotr Wielki się mianował, rosło w siłę, którą obracało we wszystkie strony – przeciw Europie i przeciw Turcji, przeciw Persji i krajom azjatyckim.



## NAPRAWDĘ NOWE CZASY



Gdybyś mógł porozmawiać z jakimś człowiekiem z czasów tureckiego oblężenia, bardzo byś mu się dziwił. Jego sposobowi mówienia, wielu francuskim i łacińskim słowom, których by używał, kunsztownej i frazesowej manierze jego ceremonialnych wywodów, sposobowi, w jaki by sztywno się kłaniał i przy każdej sposobności wplatał łaciński cytat, co do którego nie wiedzielibyśmy ani ty, ani ja, skąd pochodzi. A przy tym miałbyś może uczucie, że głowa pod tą dostojną peruką chętnie myśli o dobrym jedzeniu i piciu i że cały ten jegomość w koronkach, haftach i jedwabiach owiany chmurą perfum – za przeproszeniem – śmierdzi, bo prawie nigdy się nie myje.

Ale dopiero byś się zdziwił, gdyby zaczął on wykladać swoje poglądy: że dzieci należy bić; że małe dziewczynki należy wydawać za mąż za mężczyzn, których wcale nie znają; że chłop jest na świecie tylko do roboty i że mu ani pisać nie wolno; że żebraków i włóczęgów należy publicznie chłostać, a potem przykuwać na rynku łańcuchami i wyszydzać; że złodziei trzeba wieszać, a morderców publicznie ćwiartować; że czarownice i innych szkodników czyniących czary, którzy tak często uprawiają swój nieczny proceder, trzeba palić na stosie, a ludzi innej wiary prześladować, przepędzać

albo wrzucać do ciemnego lochu; że kometa widziana ostatnio na niebie zwiastuje złe czasy i że dobrym sposobem na zarazę, która w Wenecji pochłonęła już wiele ofiar, jest noszenie czerwonej opaski na ramieniu i że pewien znajomy Anglik już od dawna robi świetny interes na sprzedaży Murzynów z Afryki jako niewolników do Ameryki i jaki to znakomity pomysł miał ów przezacny pan, bo przecież pojmani Indianie nie nadają się do pracy.

I usłyszałbyś takie poglądy nie tylko od prostaka, lecz także od najmądrzejszych i nawet najpobożniejszych ludzi wszystkich stanów i narodów. Dopiero po roku 1700 zaczyna się to powoli zmieniać. Ogrom nieszczęść, jakie ponure wojny religijne ściągnęły na Europę, niektórym ludziom dał do myślenia: czy rzeczywiście tylko to jest ważne, kto który artykuł katechizmu uważa za prawdę? Czy nie jest ważniejsze, żeby być dobrym, przyzwoitym człowiekiem? Czy nie byłoby lepiej, gdyby ludzie żyli w zgodzie, także ci, którzy mają odmienne poglądy i odmienną religię? Gdyby się nawzajem szanowali i tolerowali przekonania innych? To była pierwsza i najważniejsza myśl, jaka w tych czasach została wypowiedziana: idea tolerancji. Rozbieżne poglądy można mieć przecież tylko w sprawach wiary – uważali ludzie, którzy tak mówili. Co do tego, że  $2 \times 2 = 4$ , wszyscy rozumni ludzie są zgodni. I dlatego rozum (zdrowy rozsądek, jak go wówczas także nazywano) może i powinien łączyć wszystkich ludzi. W królestwie rozumu można się spierać, argumentować i przekonywać innych, ale wiarę kogoś innego, pozostającą poza wszelkimi argumentami rozumowymi, należy uszanować i tolerować.

Rozum był więc drugą rzeczą ważną dla tych ludzi. Jasne, świadome myślenie o człowieku i naturze. Na ten temat znowu mogli wyczytać wiele w dziełach starożytnych Greków i Rzymian, a także Florentyńczyków z czasów renesansu. Najwięcej jednak znajdowali w dziełach odważnych ludzi, którzy tak jak Galileusz poszukiwali matematycznych wzorów dla prawidłowości w przyrodzie. W tych sprawach nie istniały różnice w wierze. Były tylko próby i dowody. To rozum mówił, jak wygląda przyroda i co się wydarza w świecie gwiazd. Rozum, który jest dany jednakowo wszystkim ludziom, bogatym i biednym, o białej, żółtej czy czerwonej skórze.

A skoro wszyscy ludzie są obdarzeni rozumem, to wszyscy ludzie mają w gruncie rzeczy taką samą wartość. Jak wiesz, tego uczyło już chrześcijaństwo: że wszyscy ludzie są równi przed Bogiem. Lecz głosiciele



tolerancji i rozumu szli dalej: nie tylko nauczali, że ludzie w gruncie rzeczy są równi, ale też żądali, by wszystkich traktować jednakowo. Że każdy człowiek, jako istota stworzona przez Boga i obdarzona rozumem, ma prawa, których nikt mu nie może odebrać i że nikomu tego robić nie wolno. Że każdy ma prawo sam decydować o swoim zawodzie, o swoim życiu, że każdy ma prawo postępować zgodnie z własnym rozumem i własnym sumieniem. Że dzieci nie należy wychowywać za pomocą różgi, lecz rozumu, ucząc je pojmować, dlaczego coś jest dobre, a co innego złe. Że przestępcy też są ludźmi, którzy wprawdzie pobłądzili, ale których można uczynić lepszymi. Że jest rzeczą przerażającą, by żelazem wypalać komuś na czole czy policzku niezatarte piętno, aby każdy zawsze widział: to przestępca. Że istnieje coś takiego jak godność człowieka, która na przykład zabrania sztydzić z kogoś publicznie.

Wszystkie te idee, rozpowszechniane po roku 1700 najpierw w Anglii, a potem we Francji, nazywamy *oświeceniem*, bo z wielkim mrokiem zabobonu chciały walczyć jasnością rozumu.

Niektórzy uważają, że oświecenie nauczało tylko rzeczy oczywistych i że wiele wielkich tajemnic przyrody i świata ówcześni ludzie wyobrażali sobie nazbyt łatwo. To prawda. Zważ jednak, że te oczywistości wcale jeszcze nie były wtedy oczywiste i ile trzeba było odwagi, poświęcenia i wytrwałości, żeby tak często powtarzać ludziom te myśli, byśmy je dzisiaj rzeczywiście uważali za oczywiste. Zauważ też, że rozum nie wszystkie tajemnice może wyjaśnić i nigdy wszystkich nie wyjaśni, ale że wpadł jednak na trop wielu z nich.

Przez ostatnich dwieście lat od czasów oświecenia odkryto i zbadano więcej tajemnic natury niż przez dwa tysiące lat przedtem. Ale przede wszystkim nie powinieneś zapominać, co tolerancja, rozum i humanitaryzm – trzy najważniejsze artykuły wiary oświecenia – znaczą w życiu. Że człowieka podejrzanego o popełnienie przestępstwa nie można na podstawie samego podejrzenia poddawać najbardziej nieludzkim torturom, aż bezprzytomny do wszystkiego się przyzna; że rozum nas nauczył, iż uprawianie czarów jest niemożliwe, dlatego nie palimy już czarownic na stosie. (Ostatnią czarownicę w Niemczech spalono w 1749 roku, a w 1783 jeszcze jedną w Szwajcarii). Że chorób nie zwalcza się znachorskimi sposobami, tylko przede wszystkim dzięki higienie i naukowemu badaniu przyczyn. Że nie ma już chłopów pańszczyźnianych ani niewolników. Że

wszyscy ludzie w państwie są traktowani według tych samych praw i że kobiety mają takie same prawa jak mężczyźni. Wszystko to jest zasługą śmiałych obywateli i pisarzy, którzy mieli odwagę bronić tych idei. A to było ryzykowne. To prawda, że niektórzy w walce z tym, co stare i zastane, bywali niewyrozumiali i niesprawiedliwi, ale też walka, jaką musieli stoczyć w obronie tolerancji, rozumu i humanitaryzmu, była trudna i ciężka.

Trwałyby te boje o wiele dłużej i pociągnęłyby za sobą o wiele więcej ofiar, gdyby nie kilku europejskich władców, którzy w walce o idee oświecenia stanęli wtedy w pierwszym szeregu. Jednym z nich był król pruski Fryderyk Wielki.

Jak wiesz, Habsburgowie dziedzicznymi cesarzami Niemiec byli już wtedy właściwie jedynie z tytułu. Rzeczywiście panowali tylko w Austrii, na Węgrzech i w Czechach, w Niemczech natomiast rządili poszczególni książęta – Bawarii, Saksonii i wielu innych dużych i małych państw. Zwłaszcza protestanckie państwa-księstwa na północy Niemiec od wojny trzydziestoletniej niewiele już sobie robiły z katolickiego cesarza w Wiedniu. Najpotężniejsze wśród nich były Prusy, które od czasów swojego wielkiego władcy Fryderyka Wilhelma I, panującego w latach 1640–1688, odbierały Szwedom coraz więcej północnoniemieckich terytoriów. W 1701 roku pruscy książęta włożyli nawet koronę królewską. Ich państwo było surowym państwem żołnierskim, w którym szlachcice nie znali większego zaszczytu, niż zostać oficerami w doskonale wyszkolonej armii króla.

Od 1740 roku panował w Prusach trzeci król: Fryderyk II z dynastii Hohenzollernów. Nazwano go Fryderykiem Wielkim. Rzeczywiście był jednym z najbardziej wykształconych ludzi tamtych czasów. Przyjaźnił się z wieloma Francuzami, którzy w swoich pismach głosili idee oświecenia, sam też napisał wiele takich tekstów po francusku. Bo chociaż był królem Prus, w pogardzie miał język niemiecki i niemieckie obyczaje, które przez nieszczęsną wojnę trzydziestoletnią rzeczywiście znikczemniały. Uważał jednak, że jego obowiązkiem jest uczynić swoje niemieckie państwo wzorowym i udowodnić wartość myśli swoich francuskich przyjaciół. Miał się, jak często powtarzał, za pierwszego sługę, ba, pierwszego służącego swego państwa, a nie za jego właściciela. I jako taki sługa troszczył się o każdy drobiazg i wszędzie starał się wprowadzać w życie nowe idee. Jednym z jego pierwszych aktów był zakaz stosowania tortur. Ulżył też chłopom w ich ciężkiej doli poddanych panów gruntowych. Zawsze dbał, by

sądy w jego państwie tak samo traktowały wszystkich ludzi, zarówno najuboższych, jak i najmożniejszych. A to w owych czasach wcale nie było takie oczywiste.

Przede wszystkim chciał uczynić z Prus najpotężniejsze państwo w Niemczech i całkowicie wyzwolić się spod władzy cesarzy Austrii. Sądził, że nie będzie to trudne. Bo w Austrii od 1740 roku rządziła kobieta, cesarzowa Maria Teresa. Gdy w wieku dwudziestu trzech lat objęła rządy, Fryderyk uznał, że to dobra okazja, by odebrać cesarstwu jeden z krajów, napadł więc ze swoim doskonale wyszkolonym wojskiem na Śląsk i go podbił. Od tamtej pory prawie przez całe życie walczył z niemiecką władczynią Austrii. Wojsko stało się dla niego najważniejsze. Musztrował je bezlitośnie, aż zrobił z niego najlepszą armię na świecie.

Maria Teresa okazała się jednak silniejszą przeciwniczką, niż mu się początkowo zdawało. Nie była kobietą wojowniczą, lecz wyjątkowo pobożną i prawdziwą matką rodziny. Miała szesnaścioro dzieci. Chociaż Fryderyk był jej przeciwnikiem, pod wieloma względami uważała go za wzór i jego reformy wprowadzała także w Austrii. Ona również zakazała stosowania tortur, ulżyła życiu chłopów, a przede wszystkim troszczyła się o dobry poziom szkolnictwa w kraju. Naprawdę czuła się matką całego swojego kraju i wcale nie uważała, że wszystko wie lepiej. Najzdolniejszych ludzi powołała na swoich doradców, a znaleźli się wśród nich i tacy, którzy również podczas długich wojen mogli stawić czoło wielkiemu Fryderykowi. Nie tylko na polu bitwy. Potrafiła też przez swoich posłów pozyskać względy wszystkich dworów europejskich. Nawet Francję, która przecież od stuleci przy każdej okazji walczyła z niemieckimi cesarzami – jako rękojmię nowej przyjaźni Maria Teresa dała następcy francuskiego tronu swoją córkę Marię Antoninę za żonę.

Teraz Fryderyk miał wokół siebie samych wrogów: Austrię, Francję, Szwecję i potężną, ogromną Rosję. Nie czekał, aż wypowiedzą mu wojnę. Zajął nieprzyjaźnie usposobioną do niego Saksonię i przez siedem lat toczył zaciekle boje, w których wspierali go tylko Anglicy. Nie uległ jednak przyniatającej przewadze i utrzymał się na Śląsku.

Od 1765 roku Maria Teresa nie rządziła już w Austrii sama. Razem z nią rządził jako cesarz jej syn Józef II, a po jej śmierci został jedynym władcą Austrii. Okazał się jeszcze gorliwszym orędownikiem idei oświecenia niż Fryderyk i własna matka. Tolerancja, rozum, humanitaryzm – rzeczywiście

tylko o to mu chodziło. Zniósł karę śmierci. A także poddaństwo osobiste chłopów. Znowu pozwolił protestantom w Austrii na odprawianie nabożeństw, a nawet odebrał Kościołowi katolickiemu część ziem i bogactw, mimo że sam był dobrym katolikiem. Był chory i miał poczucie, że nie będzie mógł długo panować. Robił więc wszystko z takim zapałem, z taką niecierpliwością i pośpiechem, że dla jego poddanych było to wszystko za szybko, zbyt nieoczekiwane i o wiele za dużo naraz. Wielu go podziwiało, ale lud mniej go kochał niż jego spokojniejszą i pobożniejszą matkę.

W tym samym czasie, kiedy w Austrii i Niemczech zwyciężały idee oświecenia, w Ameryce mieszkańcy wielu kolonii angielskich nie chcieli być dłużej poddani Anglii i płacić jej podatków. Jednym z ich przywódców w walce o niepodległość został Benjamin Franklin, zwykły obywatel, który bardzo się interesował naukami przyrodniczymi i wynalazł piorunochron. Był człowiekiem niezwykle prawym, a przy tym trzeźwo myślącym, prostym. Pod przewodnictwem Franklina i jeszcze jednego Amerykanina, Jerzego Waszyngtona, angielskie kolonie i miasta handlowe w Ameryce utworzyły związek państw i po długich walkach wypędziły angielskie wojska z kraju. A teraz chciały żyć w całkowitej zgodzie z nowym kierunkiem myślenia i w 1776 roku ogłosiły święte prawa człowieka do wolności i równości za zasady swojego nowego państwa. Lecz na amerykańskich plantacjach nadal pracowali murzyńscy niewolnicy.



## REWOLUCJA I KRWAWY TERROR



Władcy wszystkich krajów uznali idee oświeceniowe za słuszne i dobre i kierowali się nimi w swoich rządach. Nawet cesarzowa Rosji, Katarzyna Wielka, prowadziła ożywioną korespondencję z francuskimi propagatorami oświecenia. Tylko królowie Francji zachowywali się tak, jakby o niczym nie wiedzieli i jakby ich to wszystko w ogóle nie obchodziło. Ludwik XV i Ludwik XVI, następcy Króla Słońce, byli ludźmi nieudolnymi, którzy swojego wielkiego poprzednika naśladowali tylko w tym, co powierzchowne, czyli w pompie i przepychu, wydawaniu ogromnych sum na uczyty i opery, na wciąż nowe pałace i wielkie parki ze strzyżonymi żywopłotami, na rzesze sług i dworzan w jedwabiach i koronkach. Skąd się brały na to pieniądze, było im obojętne. Ministrami mianowali oszustów, którzy wymuszali i wyłudжали nieprawdopodobne sumy. Chłopi musieli zaharowywać się na śmierć, mieszczaństwo płaciło niebotyczne podatki, aby szlachta na dworze

miała co przejadać i przegrywać w karty pośród mniej lub bardziej błahych rozmów.

A gdy szlachcic przyjeżdżał czasem z królewskiego pałacu do swoich włości, nie było dla chłopów większego nieszczęścia. Bo teraz, polując razem ze swoją świtą na zające i lisy, tratował końmi pola, które w takim znoju uprawiali. Ale biada chłopu, który by się poskarżył! Mógłby się uważać za szczęściarza, gdyby go pan osobiście tylko zdzielił w twarz pejczem. Bo szlachcic był jednocześnie sędzią swoich chłopów i mógł ich karać wedle swego widzimisię. Jeśli był ulubieńcem króla, mógł otrzymać od niego kartkę, na której było napisane: „Pana ... wtrącić do więzienia”. Podpis: Ludwik XV. Tylko tyle. Nazwisko szlachcic mógł wstawić sam i w ten sposób łatwo się pozbyć każdego, kto mu się z jakiegoś powodu nie podobał.

Lecz na dworze owi panowie zachowywali się jak wykwintnisie, wystrojeni, upudrowani i wyperfumowani, cali w szeleszczących jedwabiach i koronkach. Sztywny przepych z czasów Ludwika XIV wydawał im się zbyt męczący. Woleli swobodniejsze, mniej wymuszone rozmowy i rozrywki. Ciężkich peruk też już nie nosili, tylko lekkie, posypane białym pudrem, zaplecione z tyłu w warkoczyk. Kłaniać się i tańczyć umieli ci panowie pięknie, a ich damy jeszcze piękniej. Damy chodziły w ciasno sznurowanych gorsetach i ogromnych, szerokich spódnicach, wyglądających jak dzwony. Nazywano te spódnice krynolinami. I tak sobie owe damy i owi panowie spacerowali wśród żywopłotów po alejach królewskich parków, gdy tymczasem ich dobra ziemskie podupadały, a chłopci przymierali głodem. A że to wykwintne, nienaturalne życie często nudziło ich samych, wymyślili coś nowego: zabawę w prostotę i naturalność. Pomieszkiwali w uroczym urządzonej pasterskich szałasach w parku pałacowym i zwracali się do siebie wymyślonymi imionami pasterzy z greckich wierszy. To był szczyt ich naturalności i prostoty.

Do tego kolorowego, eleganckiego, wykwintnego, przerafinowanego świata przybyła córka Marii Teresy, Maria Antonina. Była bardzo młodą dziewczyną, niewiele ponad czternastoletnią, gdy została żoną późniejszego króla Francji. Oczywiście myślała, że wszystko musi być tak, jak to zastała. Z największym zapałem uczestniczyła we wszystkich tych wspaniałych balach maskowych i operach, sama grała w teatrze, była zachwycającą pasterką i uważała życie we francuskich pałacach królewskich za cudowne. Ale jej brat, najstarszy syn Marii Teresy, cesarz Józef II, a także jej matka

ciągle ją upominali, żeby prowadziła życie proste i żeby przepychem i lekkomyślnością jeszcze bardziej nie wzburzała biednego ludu. Cesarz Józef napisał do niej w 1777 roku obszerny, poważny list, w którym znalazły się takie słowa: „Długo tak trwać nie może i rewolucja będzie straszna, jeśli się na nią nie przygotujesz”.

Ale trwało tak jeszcze całe dwanaście lat. A rewolucja rzeczywiście wybuchła tym straszniejsza. Dwór roztrwoniał już wszystkie pieniądze. Nie miał czym dłużej płacić za wielki luksus, w jakim się pływał na co dzień. Wtedy król Ludwik XVI zwołał w 1789 roku zgromadzenie przedstawicieli szlachty, duchowieństwa i mieszczan, czyli trzech stanów. Mieli mu doradzić, skąd znowu wziąć pieniądze.

Królowi nie spodobały się jednak propozycje i żądania stanów, kazał więc swojemu mistrzowi ceremonii odesłać wszystkich do domu. Na to człowiek o nazwisku Mirabeau, inteligentny i porywczy, odpowiedział mu tak: „Powiedzcie waszemu panu, że jesteśmy tu z woli ludu i nie wyjdziemy stąd, chyba że zmusi nas siła bagnatów!”.

Tak jeszcze nikt nie przemawiał do króla Francji. Dwór nie wiedział, co zrobić. Tymczasem zgromadzeni szlachcice, duchowni i mieszcianie dalej obradowali nad tym, w jaki sposób można uzdrowić finanse państwa. Nikt nie myślał o zdetronizowaniu króla, chcieli tylko przeprowadzić reformy podobne do tych, jakie w innych państwach w tym czasie zostały już wprowadzone. Ale król nie przywykł, żeby mu ktoś coś dyktował. Był słabym, niezdecydowanym człowiekiem, który najbardziej lubił majsterkowanie, ale wydawało mu się całkiem oczywiste, że nikt nie ma prawa sprzeciwiać się jego woli. Wezwał więc wojsko, żeby rozpędziło zgromadzenie trzech stanów. Lud Paryża był oburzony. Ostatnie nadzieje pokładał w tym zgromadzeniu. Ludzie się zbiegli i natarli na Bastylię, więzienie, w którym kiedyś przetrzymywano wielu zwolenników oświecenia i gdzie, jak sądzili, nadal siedziało mnóstwo niewinnych osób. Król nie odważył się natychmiast wydać rozkazu strzelania do ludu, aby go jeszcze bardziej nie wzburzyć. Ludzie wzięli więc szturmem potężną twierdzę i zabili strażników. Szli ulicami, wiwatując i triumfalnie ciągnąc ze sobą uwolnionych więźniów, chociaż się okazało, że tym razem byli tam zamknięci rzeczywiście tylko przestępcy.

Zgromadzone stany uchwałyły tymczasem niesłychane rzeczy: chciały w pełni urzeczywistnić idee oświecenia. Przede wszystkim zasadę, że

wszyscy ludzie jako istoty obdarzone rozumem są sobie równi i muszą być jednakowo traktowani przez prawo. Zgromadzeni szlachcice dali wspaniały przykład i na fali ogólnej euforii dobrowolnie zrezygnowali ze wszystkich swoich przywilejów. Każdy człowiek we Francji miał mieć dostęp do każdego urzędu, każdy miał mieć w państwie te same obowiązki i te same prawa – *prawa człowieka*, jak je nazwano. Źródłem władzy jest naród, jak ogłoszono, a władza króla pochodzi od narodu.

Możesz się domyślić, o co chodziło zgromadzeniu stanów: że władca jest dla ludu, a nie odwrotnie – lud dla władcy. Że władcy nie wolno nadużywać władzy. Ale paryżanie, którzy przeczytali o tym w gazetach, słowa o władzy ludu zrozumieli jeszcze inaczej. Uznali, że teraz powinni rządzić ludzie z ulicy i targowisk, bo to oni są ludem. I gdy król nadal nie chciał niczego zrozumieć i pertraktował z zagranicznymi dworami, żeby mu pomogły walczyć z własnym ludem, przekupki i drobnomieszczanie Paryża pomaszerowali na pałac w Wersalu, zabili strażników, wdarli się do wspaniałych sal z kryształowymi świecznikami, lustrami i adamaszkowymi tapetami i zmusili króla i jego żonę, Marię Antoninę, by razem z dziećmi i świtą wrócili do Paryża. A tam rzeczywiście lud miał ich pod okiem.

Pewnego dnia król podjął próbę ucieczki za granicę. Zrobił to jednak ceremonialnie i z zachowaniem wszystkich form, jakby jechał na bal maskowy, tak że go rozpoznano, zawrócono i razem z rodziną oddano pod ścisłą straż. Zgromadzenie stanów, które teraz (gdy stany zostały zniesione) nazywało się Zgromadzeniem Narodowym, podjęło tymczasem jeszcze wiele innych nowych uchwał. Kościołowi katolickiemu odebrało wszystkie posiadłości ziemskie. Tak samo wszystkim szlachcicom, którzy ze strachu przed rewolucją uciekli za granicę. Potem postanowiło, że lud wybierze nowych przedstawicieli, którzy uchwalą poszczególne ustawy.

W 1791 roku zjechała więc na obrady do Paryża wielka liczba młodych ludzi ze wszystkich części Francji. Ale europejscy królowie i monarchowie nie chcieli już dłużej patrzeć, jak władza jednego z nich jest coraz bardziej ograniczana i naruszana. Nie bardzo się wprawdzie palili do pomocy Ludwikowi XVI, bo po pierwsze, swoim postępowaniem nie zaskarbił sobie wiele szacunku, a po drugie, obcym mocarstwom niekoniecznie było przykro, że potęga Francji została osłabiona. Niemniej Prusy i Austria wysłały kilka oddziałów wojska do Francji, żeby chronić króla. Rozjątrzyło to lud do żywego. Cały kraj się podniósł przeciwko nieproszonej interwencji



z zewnątrz. Teraz w każdym szlachcicu czy zwolenniku króla ludzie wietrzyli zdrajcę państwa, który ma kontakty z cudzoziemskimi poplecznikami dworu królewskiego. Rozszalałe tłumy wywlekały po nocach z domów tysiące szlachciców, aresztowały i mordowały. Panował coraz większy chaos. Wszystko, co dawne, miało zostać wytępione i zniszczone.

Zaczął się od ubioru. Zwolennicy rewolucji nie nosili peruk, krótkich spodni ani jedwabnych pończoch. Wkładali czerwone czapki frygijskie i długie rurowate spodnie, jakie nosimy jeszcze dzisiaj. Było to prostsze i tańsze. Tak ubrani biegali po ulicach, wołając: „Wolność, równość, braterstwo!”. Jakobini, najradykalniejsze stronnictwo, niewielkie jednak mieli pojęcie o braterstwie. Zwalczali nie tylko szlachciców, lecz także każdego, kto miał inne zdanie niż oni. A kogo zwalczali, tego posyłali na szafot. Specjalny przyrząd, zwany *gilotyną*, pozwalał sprawę ścinania głów załatwiać prosto i szybko. Powołano własny trybunał rewolucyjny, który dzień w dzień skazywał na śmierć ludzi, gilotynowanych potem na placach Paryża.

Przywódcy tych wzburzonych mas byli dziwni. Jeden z nich, Danton, namiętny mówca i odważny, bezwzględny człowiek, potężnym głosem wciąż wzywał lud do coraz to nowych walk ze zwolennikami króla. Drugi nazywał się Robespierre i był zupełnym przeciwieństwem Dantona. Sztywny, trzeźwy, oschły adwokat, wygłaszający niekończące się mowy, w których za każdym razem musieli się pojawiać bohaterowie z czasów Greków i Rzymian. Zawsze pedantycznie ubrany, odmierzający ruchy, niczym śmieszny, ale budzący strach nauczyciel wstępował na mównicę w Zgromadzeniu Narodowym. I mówił o cnocie, wciąż o cnocie, o cnocie Katona i o cnocie Temistoklesa, o cnocie ludzkiego serca w ogólności i o nienawiści do występku. A że występku trzeba nienawidzić, należy więc ścinać wrogów Francji. Wtedy zatriumfuje cnota. A wrogami Francji byli wszyscy ci, którzy mieli inne zdanie niż on. Tak to w imię cnoty ludzkiego serca kazał uśmiercić setki swoich przeciwników. Nie musisz jednak sądzić, że był obłudnikiem. Prawdopodobnie tak uważał naprawdę. Nie dał się przekupić żadnym prezentem ani wzruszyć niczym łzom. Był straszny. I chciał szerzyć strach. Strach wśród wrogów rozumu, jak ich nazywał.

Króla Ludwika XVI też postawiono przed trybunałem i skazano na śmierć, ponieważ wezwał na pomoc obcych przeciw własnemu ludowi. Wkrótce Maria Antonina również wstąpiła na szafot. W chwili śmierci oboje

okazali więcej godności i wielkości niż za życia. Ich egzekucje rzeczywiście wywołały przerażenie zagranicą. Liczne armie ruszyły na Paryż. Ale lud już nie pozwolił odebrać sobie wolności. Wszystkich mężczyzn w kraju powołano pod broń i niemieckie wojska zostały pokonane. Tymczasem w Paryżu, a zwłaszcza w miastach na prowincji terror srożył się coraz większy.

Deputowani uznali chrześcijaństwo za stary przesąd i zadekretowali nieistnienie Boga. Że zamiast do Boga należy się modlić do Rozumu. Jako uosobienie bogini Rozumu obwożono po mieście w uroczystych procesjach przy dźwiękach muzyki na przykład młodą żonę drukarza, ubraną w białą szatę i niebieski płaszcz. Wkrótce Robespierre uznał to także za nie dość cnotliwe. Wydano nową ustawę, że Bóg istnieje i że dusza człowieka jest nieśmiertelna. W dniu Święta Istoty Najwyższej, jak teraz nazwano Boga, Robespierre wystąpił jako jej arcykapłan – w kapeluszu z piórami i z bukietem kwiatów, owoców i kłosów w dłoni. Musiało to wyglądać strasznie zabawnie i podobno wielu się śmiało. Niedługo skończyła się władza Robespierre'a. Danton miał już dość tego, że codziennie spadały głowy, i zaapelował o łaskę i litość. Robespierre zareagował natychmiast: „Tylko zbrodniarze domagają się łaski dla zbrodniarzy”. Więc Danton też został ścięty, ale było to już ostatnie zwycięstwo Robespierre'a. Gdy niedługo po tym wygłaszał kolejną niekończącą się mowę, w której twierdził, że egzekucje właściwie dopiero teraz trzeba rozpocząć, że wszędzie kryją się jeszcze wrogowie wolności, że występki triumfują i ojczyzna jest w niebezpieczeństwie – wtedy zdarzyło się po raz pierwszy, że nikt nie bił brawa. Zapanowała śmiertelna cisza. Kilka dni później także on został ścięty.

Wrogowie Francji byli pokonani, szlachcice zabici, wygnani albo z własnej woli stali się „obywatelami”, równość wobec prawa została osiągnięta, dobra kościelne i szlacheckie rozdzielone między wyzwolonych chłopów, każdy człowiek we Francji miał prawo wykonywać każdy zawód i dostąpić każdego urzędu. Zmęczony walką lud chciał teraz w spokoju korzystać z owoców swego ogromnego zwycięstwa. Trybunał rewolucyjny został zlikwidowany i w 1795 roku powołano rząd zwany dyrektoriatem, złożony z pięciu mężczyzn, którzy mieli zarządzać krajem według nowych zasad.

Tymczasem idee rewolucji wyszły poza Francję i wzbudziły wielki entuzjazm w sąsiednich krajach. Belgia i Szwajcaria też się wtedy ogłosiły

republikami, opartymi na zasadach praw człowieka i równości, a wszystkie te republiki rząd francuski wspierał własnym wojskiem. W jednej z owych armii służył żołnierz, który miał się okazać silniejszy niż cała rewolucja.



## OSTATNI ZDOBYWCA



W historii powszechnej zawsze najbardziej lubiłem to, że jest naprawdę prawdziwa i że wszystkie te dziwne rzeczy były tak samo rzeczywiste, jak rzeczywiści jesteśmy dzisiaj ty i ja. A wydarzyły się w dziejach świata historie bardziej awanturnicze i bardziej zadziwiające niż wszystko, co można by wymyślić. Jedną z tych najbardziej awanturniczych i najbardziej zadziwiających historii, które były tak rzeczywiste jak twoje i moje życie, opowiem ci teraz. Zdarzyło się to wcale nie tak dawno temu. Przeżywał to jeszcze nawet mój dziadek, gdy miał tyle lat, ile ty dzisiaj.

Oczywiście nie od samego początku. A początek wyglądał tak. Niedaleko Włoch leży górzysta, słoneczna wyspa, która nazywa się Korsyka. Żył na tej wyspie pewien ubogi adwokat z żoną i ośmiorgiem dzieci. Nosił włoskie nazwisko Buonaparte. Na krótko przed narodzinami jego drugiego syna,

Napoleona, Genueńczycy w 1768 roku sprzedali wyspę Francuzom. Jej mieszkańcom, Korsykanom, wcale się to nie podobało i toczyli długie boje z francuskimi urzędnikami. Napoleon chciał zostać oficerem i gdy miał dziesięć lat, ojciec posłał go do szkoły wojskowej we Francji. Napoleon był biedny. Na pomoc ojca nie bardzo mógł liczyć. Chodził więc poważny i smutny. Nie bawił się z innymi uczniami. „Znalazłem sobie w szkole kąpiel – powie później – w którym miałem zwyczaj się zaszywać i marzyć do woli. Gdy koledzy chcieli mi odebrać prawo do tego kąta, broniłem się z całej siły. Już wtedy czułem, że moja wola musi wziąć górę i że to, co mi się podoba, będzie moje”.

Dużo się uczył i miał świetną pamięć. W wieku siedemnastu lat został podporucznikiem armii francuskiej. Ponieważ był niskiego wzrostu, nadano mu przydomek „mały kapral”. Niemal przymierał głodem. Wiele czytał i zapamiętywał wszystko. Gdy trzy lata później, w 1789 roku, wybuchła we Francji rewolucja, Korsyka chciała się wybić na niepodległość. Napoleon wrócił na wyspę i walczył z Francuzami. Potem jednak pojechał do Paryża, bo „tylko w Paryżu można do czegoś dojść” – pisze w liście. Miał rację. W Paryżu do czegoś doszedł. Przypadkiem spotkał rodaka, wysokiego oficera armii, którą rewolucjoniści chcieli wysłać do Tulonu, niepokornego prowincjonalnego miasta. Oficer wziął ze sobą dwudziestopięcioletniego kapitana artylerii i nie pożałował. Napoleon tak dobrze radził, jak rozstawić działa, że miasto wkrótce zostało zdobyte. Otrzymał za to stopień generała brygady. W tamtych burzliwych czasach wcale nie musiało to jednak zapowiadać wielkiej kariery. Bo być przyjacielem jednej strony oznaczało być wrogiem drugiej. Gdy rząd, który mianował go generałem brygady, czyli przyjaciele Robespierre’a, został obalony, aresztowano również Napoleona. Niedługo wyszedł wprawdzie na wolność, ale za to, że przyjaźnił się z jakobinami, zawieszono go we wszystkich czynnościach. Był straszliwie biedny i nie widział dla siebie żadnych perspektyw. A wtedy inny znajomy polecił Napoleona pięćosobowemu rządowi zwanemu dyrektoriatem, który posłał go do stłumienia groźnego powstania młodych szlachciców w Paryżu. Napoleon bez wahania kazał strzelać do tłumu i rozpędził go. W nagrodę otrzymał stopień generała dywizji, a niedługo powierzono mu dowództwo nad niewielką armią, która miała iść do Włoch, żeby tam, jak i w innych krajach, szerzyć idee rewolucji francuskiej.

Wyglądało to niemal beznadziejnie. Armia miała bardzo marne

wyposażenie. Francja była wtedy przecież biedna i pogrążona w straszliwym chaosie. Przed wyprawą, w 1796 roku, generał Napoleon Bonaparte, bo tak teraz pisał po francusku swoje nazwisko, wystosował do żołnierzy odezwę. Nie powiedział wiele więcej ponad to: „Żołnierze! Jesteście nadzy, źle żywieni. Rząd, który winien wam dać wiele, nie może wam dać nic. [...] Chcę poprowadzić was w najżyźniejsze doliny świata. Bogate prowincje i wielkie miasta będą w waszej mocy. Znajdziecie tam zaszczyty, sławę i bogactwa. Żołnierze Armii Włochy, czyżby brakło wam odwagi albo wytrwałości?”. Potrafił tak wzbudzać entuzjazm żołnierzy i tak mądrze atakował przeważające siły wroga, że wszędzie odnosił zwycięstwa. Już wkrótce po rozpoczęciu kampanii pisze w rozkazie do swojej armii: „Żołnierze! W ciągu 14 dni odnieśliście sześć zwycięstw, zdobyliście 21 chorągwi i 55 dział – wygrywaliście bitwy bez armat, przekraczaliście rzeki bez mostów, odbywaliście forsowne marsze bez butów, biwakowaliście [...] często [...] bez chleba. Jestem przekonany, że każdy z was, gdy kiedyś wrócicie do domu, będzie dumny, że może powiedzieć: ja też byłem w tej armii, która zdobyła Włochy”.

I rzeczywiście na czele swojego wojska w bardzo krótkim czasie zdobył północne Włochy i utworzył na tym obszarze republikę na wzór Francji czy Belgii. Gdzie tylko zobaczył jakieś wspaniałe dzieło sztuki włoskiej, kazał je odsyłać do Paryża. Potem pomaszerował na północ, na Austrię, gdyż cesarz walczył z nim we Włoszech. W Styrii, w mieście Leoben, wyszli mu naprzeciw wysłannicy cesarza. W pokoju narad przygotowano wyższy fotel dla cesarskiego posła. Napoleon powiedział: „Zabierzcie to krzesło, bo jak tylko widzę jakiś tron, nachodzi mnie ochota, żeby na nim zasiąść”. Zmusił cesarza do odstąpienia Francji wszystkich części Niemiec położonych za Renem. Potem wrócił do Paryża. Lecz tam nie miał nic do roboty. Zapropował więc rządowi pewne awanturnicze przedsięwzięcie. Otóż największymi wrogami Francji byli wówczas Anglicy. Ale Anglia była już wtedy potężnym krajem z licznymi koloniami w Ameryce, Afryce, Indiach i Australii. Armia francuska była za słaba, by zaatakować samą Anglię. Nie miała też wystarczająco dużo dobrych okrętów. Ale zaatakować jedną z posiadłości Anglii – to wydawało się bardziej możliwe.

Napoleon wyruszył więc do Egiptu, który znajdował się wtedy pod władzą angielską. Chciał tak jak Aleksander Wielki zdobyć cały Wschód. Zabrał z sobą nie tylko żołnierzy, ale także uczonych, którzy mieli obejrzyć i zbadać

starożytności. Gdy dotarł do Egiptu, przemówił do egipskich muzułmanów, jakby był prorokiem Mahometem. Oznajmił im uroczyście, że wie wszystko, o czym w głębi serca myślą, i że jego nadejście było przepowiedane od stuleci, i także w Koranie jest o nim mowa. „Wiedzcie, że wszelkie ludzkie wysiłki skierowane przeciwko mnie są daremne, bo wszystkim moich przedsięwzięciom pisany jest sukces”.

I z początku rzeczywiście na to wyglądało. Pokonał wojska egipskie w wielkiej bitwie pod piramidami w 1798 roku, a potem jeszcze w kilku innych, bo na wygrywaniu bitew na lądzie znał się jak mało kto. Lecz na walce na morzu Anglicy wciąż znali się lepiej, toteż słynny angielski admirał Nelson niemal całkowicie zniszczył francuską flotę pod Abu Kirem u wybrzeży egipskich. W dodatku w armii Napoleona wybuchły zarazy, a gdy jeszcze doszły go słuchy, że rząd w Paryżu nie może dojść ze sobą do porozumienia, zostawił swoich żołnierzy i sam potajemnie wrócił do Francji. Przybył tam jako słynny generał. Wszyscy mieli nadzieję, że we własnym kraju będzie tak dzielny jak w kraju wroga. Mógł więc zaryzykować i w 1799 roku skierował lufy dział na budynki rządowe w Paryżu, kazał swoim grenadierom przepędzić z gmachu Zgromadzenia wybranych przez lud deputowanych i sięgnął po najwyższą władzę. Wzorem dawnych Rzymian przyjął tytuł konsula.

Jako pierwszy konsul prowadził w pałacu francuskich królów wspaniałą dwór, wezwał też do powrotu wielu wygnanych szlachciców. Przed wszystkim jednak pracował dniem i nocą nad zaprowadzeniem we Francji porządku, a przez porządek rozumiał to, żeby zawsze i wszędzie działało się tylko to, czego on sobie życzył. I do tego doprowadził. Kazał opracować kodeks oparty na nowych zasadach i nazwał go swoim imieniem. Podczas kolejnej wyprawy na Włochy jeszcze raz pokonał Austrię. Żołnierze go ubóstwiali, a wszyscy Francuzi uwielbiali, przysparzał bowiem ich krajowi sławy i zdobyczy. Mianowali go konsulem dożywotnim. Ale Napoleonowi to wciąż nie wystarczało. Chciał być kimś więcej. W 1804 roku ogłosił się cesarzem. Cesarzem Francuzów. Papież specjalnie przyjechał do stolicy Francji, żeby go koronować. Niedługo Napoleon koronował się także na króla Włoch. Inne kraje zaczęły się bać tego potężnego, nowego człowieka. Anglia, Niemcy, Austria, Rosja i Szwecja sprzymierzyły się więc przeciw niemu. Napoleon się jednak nie przestraszył. Nie bał się nieprzyjacielskich armii, choćby najliczniejszych. Wyszedł im naprzeciw i zimą 1805 roku pod

miejscowością Austerlitz na Morawach doszczętnie rozgromił wojska koalicji. Teraz został panem prawie całej Europy. Każdemu ze swoich krewnych podarował drobny upominek – królestwo. Pasierbowi Włochy, starszemu bratu Neapol, młodszemu Holandię, szwagrowi część Niemiec, a siostronom – księstwa we Włoszech. Piękna kariera dla rodziny korsykańskiego adwokata, która ledwie dwadzieścia lat wcześniej na swojej dalekiej wyspie zasiadała do obiadu przy ubogo nakrytym stole.

W Niemczech Napoleon też miał pełnię władzy, ponieważ niemieccy książęta, którzy cesarza w Wiedniu już i tak od dawna nie słuchali, sprzymierzyli się teraz z potężnym Napoleonem. Wtedy cesarz Franciszek zrezygnował z tytułu cesarza niemieckiego. Tak się skończyło Święte Cesarstwo Rzymskie Narodu Niemieckiego, któremu początek dała koronacja Karola Wielkiego w Rzymie. Od 1806 roku Franciszek Habsburg był już tylko cesarzem Austrii.



Wyraźnie tu widzimy potęgę małego Korsykanina, który rozmieścił swoich krewnych na europejskich tronach jak szachista figury na szachownicy.



Wkrótce Napoleon ruszył także na Hohenzollernów i w ciągu kilku dni rozgromił wojska pruskie. W 1806 roku wkroczył do Berlina i stamtąd dyktował swoje prawa Europie. Przede wszystkim rozkazał, żeby nikt na całym kontynencie nie kupował towarów od wrogów Francji, Anglików, ani niczego im nie sprzedawał. Nazwano to *blokadą kontynentalną*. Chciał w ten sposób zrujnować Anglię, skoro nie miał floty, żeby pokonać ten potężny kraj militarnie. A kiedy inne państwa nie zamierzały się na to godzić, jeszcze raz wyruszył na Niemcy i walczył z Rosjanami, którzy sprzymierzyli się z Prusakami. Teraz (w 1807 roku) mógł także swemu najmłodszemu bratu podarować królestwo – część Niemiec.

Przyszła kolej na Hiszpanię. Podbił ją i dał królestwo hiszpańskie swemu bratu Józefowi; Neapol otrzymał za to jeden ze szwagrów. Ale narody nie pozwalają się bez końca traktować niczym prezenty dla rodziny. Hiszpanie jako pierwsi od 1808 roku stawiali opór władzy Francuzów. Nie stacali regularnych bitew, lecz cały naród walczył nieustannie i nie dał się spacyfikować, choćby nie wiem jakich okrucieństw dopuszczali się francuscy żołnierze. Cesarz Austrii też już nie miał ochoty znosić rozkazującego tonu Napoleona. W 1809 roku wybuchła nowa wojna. Napoleon ruszył na Wiedeń. Wprawdzie w Aspern pod Wiedniem został po raz pierwszy w swoim życiu pokonany – przez odważnego dowódcę, arcyksięcia Karola, lecz kilka dni później rozgromił pod Wagram wojsko austriackie. Wkroczył do Wiednia, zamieszkał w cesarskim pałacu Schönbrunn i nawet zmusił cesarza Franciszka, by mu oddał swoją córkę za żonę. Nie była to łatwa decyzja dla cesarza z rodu Habsburgów, który już od pięciuset lat rządził w Wiedniu. Bo Napoleon nie był potomkiem książęcej rodziny, lecz właściwie tylko małym kapralem, który jedynie dzięki swojemu niebywałemu talentowi został panem i wodzem Europy.

Synowi, którego urodziła mu cesarzowa Maria Ludwika, Napoleon w 1810 roku nadał tytuł „króla Rzymu”. Imperium Napoleona już teraz było o wiele większe niż niegdyś imperium Karola Wielkiego. Bo wszystkie królestwa jego rodzeństwa i generałów należały do nich tylko z nazwy. Pisał do ich władców nieprzyjemne listy, jeśli ich zachowanie mu się nie podobało. Do swojego brata, króla Westfalii, napisał na przykład tak: „Czytałem Twój rozkaz dzienny do żołnierzy, którym wystawiasz się na pośmiewisko Niemiec, Austrii i Francji. Czyżbyś nie miał pod bokiem żadnego przyjaciela, który by Ci powiedział parę słów prawdy? Jesteś królem i bratem cesarza. Na

wojnie są to tylko śmieszne przymioty. Na wojnie trzeba być żołnierzem, żołnierzem i jeszcze raz żołnierzem. Nie wolno mieć ministrów, posłów, luksusów, tylko ze strażą przednią nocować w obozie, dniem i nocą nie schodzić z konia, maszerować razem ze strażą przednią, aby uzyskać informacje”. List kończy się słowami: „I miej, do diabła, dość rozumu, żeby przyzwoicie pisać i mówić!”. Tak cesarz traktował swoich braci, królów Europy. Ale narody traktował jeszcze gorzej. Co one myślały i co czuły, było mu całkowicie obojętne. Jeśli tylko dostarczały mu pieniędzy i przede wszystkim żołnierzy. A narodom coraz bardziej się to nie podobało. Po Hiszpanach poderwali się tyrolscy chłopci, których Napoleon odebrał cesarzowi Austrii i podarował Królestwu Bawarii, i walczyli z francuskimi i bawarskimi żołnierzami, aż w końcu Napoleon kazał pojmać i rozstrzelać ich przywódcę, Andreasa Hofera.

W Niemczech też cały naród był do głębi wzburzony i oburzony na samowolę i przemoc ze strony francuskiego cesarza. Odkąd większość niemieckich księstw podlegała władzy francuskiej, wszyscy Niemcy po raz pierwszy w dziejach poczuli wspólnotę swojego losu: że są przecież Niemcami, a nie Francuzami. Że mniej jest ważne, w jakich stosunkach król Prus pozostaje z królem Saksonii albo czy król Bawarii jest sprzymierzony z bratem Napoleona, a ważniejsze, że wspólne wszystkim Niemcom doświadczenie obcej władzy nad sobą budzi też wspólną wszystkim Niemcom wolę: wolę wyzwolenia. Po raz pierwszy w dziejach wszyscy Niemcy, studenci i pisarze, chłopci i szlachta, wbrew woli swoich książąt się połączyli, żeby odzyskać wolność. A nie było to takie łatwe. Napoleon był potężny. Największy niemiecki poeta, Goethe, powiedział: „Potrząsajcie, potrząsajcie swoimi kajdanami; ten człowiek jest dla was za wielki!”. Rzeczywiście przez długi czas wszelkie bohaterstwo i wszelka euforia były daremne wobec potęgi Napoleona. W końcu zgubiła go własna pycha. Już od dawna jego władza wydawała mu się nie dość wielka. Uznał, że to właściwie dopiero początek. Teraz powinna przyjść kolej na Rosję. Bo Rosjanie nie przestrzegali jego zakazu handlu z Anglikami. Za to należy się kara!

Ze wszystkich części swojego wielkiego imperium Napoleon ściągnął żołnierzy i zgromadził sześciusettyśmiczną armię. Ponad pół miliona ludzi! Takiego wojska jak ta wielka armia jeszcze w dziejach świata nie było. I ta armia w 1812 roku pomaszerowała na Rosję. Szła coraz dalej w głąb kraju, ale do żadnej bitwy nie dochodziło. Rosjanie wciąż się cofali, podobnie jak

za króla Szwecji Karola XII. W końcu, tuż pod bramami Moskwy, potężna rosyjska armia się zatrzymała. Napoleon pokonał ją – naturalnie, chciałoby się powiedzieć, bo dla niego bitwa była jak krzyżówka dla namiętnego krzyżówkowicza. Patrzył, w jakim szyku stoi nieprzyjaciel, i już wiedział, gdzie ma posłać wojska, żeby go obejść albo uderzyć. Tak wkroczył do Moskwy. Ale zastał miasto niemal puste. Większość mieszkańców uciekła. Była późna jesień, a Napoleon siedział na Kremlu, w dawnym zamku carów, i czekał, żeby podyktować swoje warunki. Wtedy nadszedł meldunek, że płoną przedmieścia Moskwy. Moskwa w tamtych czasach miała jeszcze przeważnie drewnianą zabudowę. Coraz większe części miasta ogarniał ogień, który prawdopodobnie podłożyli sami Rosjanie, żeby Francuzi znaleźli się w opałach. Wszystkie próby ugaznienia pożaru spełzyły na niczym.

Gdzie miało się podziąć tych 600 tysięcy żołnierzy, gdy Moskwa spłonęła? Czym ich żywić? Napoleon zdecydował się na odwrót. Tymczasem nadeszła zima i siarczyste mrozy. Armia już w drodze do Moskwy zrabowała i przejadła całą żywność w okolicy. Marsz powrotny przez rozległą, lodowatą, bezludną równinę Rosji stał się czymś potwornym. Coraz więcej żołnierzy zostawało po drodze, zamarzniętych i zagłodzonych. Padły tysiące koni. A wtedy pojawili się rosyjscy jeźdźcy – kozacy, i zaatakowali armię od tyłu i z flanki. Broniła się rozpaczliwie. Zdołała jeszcze mimo straszliwej śnieżycy i okrażenia przez kozaków przeprowić się przez dużą rzekę, Berezynę, ale powoli siły się wyczerpywały. Zostało już tylko zwątpienie. Ledwo dwudziesta część żołnierzy przeżyła tę straszliwą klęskę i dotarła do granicy niemieckiej, całkowicie wyczerpana i śmiertelnie chora. Napoleon w przebraniu pojechał chłopskimi saniami do Paryża.

Pierwsze, czego zażądał, to nowe wojska, bo teraz, kiedy był tak osłabiony, wszystkie narody powstały przeciwko niemu. A on rzeczywiście wystawił jeszcze potężną armię młodych ludzi. Byli to ostatni żołnierze, młodzież Francji, którą teraz posłał przeciwko podbitym ludom. Tak wyruszył na Niemcy. Cesarz Austrii wysłał do niego swojego ministra spraw zagranicznych, Metternicha, aby z nim omówił warunki pokoju. Metternich rozmawiał z Napoleonem cały dzień. Powiedział: „Jeśli ta armia młodych ludzi, których pan teraz powołuje pod broń, zostanie starta w proch, co wtedy?”. Gdy Napoleon usłyszał te słowa, ogarnął go gniew, pobladł i zaczął się mienić na twarzy. „Pan nie jest żołnierzem – ofuknął Metternicha – i nie wie, co się dzieje w duszy żołnierza. Ja się wychowałem na polu bitwy, a taki

żołnierz jak ja gwizdże na życie miliona ludzi”. Z tym okrzykiem, jak opowiadał później Metternich, cisnął w kąt pokoju swój kapelusz.

Metternich nie podniósł cesarskiego kapelusza. Zachował zupełny spokój i powiedział: „Dlaczego wybrał pan właśnie mnie, żeby mi to powiedzieć w czterech ścianach? Proszę otworzyć drzwi i niech pańskie słowa usłyszy cała Francja, od jednego krańca po drugi”. Napoleon nie przyjął warunków pokojowych cesarza. Powiedział Metternichowi, że musi zwyciężyć, bo inaczej nie będzie mógł być dłużej cesarzem Francuzów. W 1813 roku doszło więc pod Lipskiem w Niemczech do bitwy, w której wojsko Napoleona walczyło ze sprzymierzonymi wrogami. Pierwszego dnia Napoleon jeszcze się trzymał. Ale gdy nazajutrz wojska bawarskie, które stały po stronie Napoleona, nagle go opuściły, przegrał bitwę i musiał uciekać. Podczas ucieczki pokonał jeszcze dużą armię ścigających go Bawarczyków i wrócił do Paryża.

Miał słuszną przyczynę – przegrał, więc Francuzi go zdetronizowali. Dali mu we władanie małą wyspę Elbę i skazali go na przymusowy tam pobyt. Natomiast książęta i cesarze, którzy go pokonali, zebrali się w 1814 roku w Wiedniu, aby obradować i podzielić Europę między siebie. Idee oświecenia, naukę o wolności człowieka uznali za przyczynę całego chaosu i wszystkich ofiar, jakie pociągnęły za sobą walki rewolucji i rządy Napoleona w Europie. Chcieli odwrócić koło historii i zatrzeć pamięć całej rewolucji. Zwłaszcza Metternich pragnął, żeby wszystko było znowu tak, jak przed rewolucją, i żeby nigdy więcej podobny przewrót nie mógł się wydarzyć. Dlatego szczególnie ważne było dla niego, żeby w Austrii ludzie niczego nie drukowali ani nie pisali bez zgody rządu i cesarza.

We Francji zdobycze rewolucji zostały zupełnie zniweczone. Brat świętego króla Ludwika XVI zasiadł na tronie jako Ludwik XVIII (numer XVII nosił zmarły już podczas rewolucji syn Ludwika XVI). Ów nowy Ludwik panował ze swoim dworem we Francji, jakby dwudziestu sześciu lat rewolucji i cesarstwa w ogóle nigdy nie było. Z taką samą pompą i z takim samym brakiem rozumu, jak jego nieszczęsny brat. Francuzi byli bardzo niezadowoleni. Gdy Napoleon się o tym dowiedział, w 1815 roku opuścił potajemnie Elbę i z kilkoma żołnierzami wylądował we Francji. Ludwik wysłał przeciwko niemu swoją armię. Ale gdy żołnierze ujrzeli Napoleona, przeszli jak jeden mąż na jego stronę. Tak samo postąpili wszyscy następni. Po kilku dniach Napoleon triumfalnie wkroczył jako cesarz do Paryża, a król

Ludwik XVIII uciekł.

Monarchów, wciąż jeszcze obradujących w Wiedniu, zdjął strach. Oświadczyli, że Napoleon jest wrogiem ludzkości. Pod naczelnym dowództwem angielskiego księcia Wellingtona zgromadzili w Belgii wojsko, złożone głównie z Anglików i Niemców. Napoleon natychmiast je zaatakował. Pod miejscowością Waterloo doszło do straszliwej bitwy. Już się wydawało, że Napoleon znowu zwycięży, kiedy się okazało, że jeden z jego generałów źle zrozumiał rozkaz i pomaszerował w niewłaściwym kierunku. Dowódca Prusaków, generał Blücher, zebrał swoje wyczerpane i pokonane wojsko. Powiedział: „Właściwie to niemożliwe, a jednak możliwe być musi”, i wieczorem znowu poprowadził żołnierzy do walki. Napoleon został pokonany po raz ostatni. Uciekł wraz ze swoim wojskiem, znów został zdetronizowany i musiał opuścić Francję.

Schronił się na angielskim statku i oddał dobrowolnie pod władzę swoich najdawniejszych wrogów, jedynych, których nigdy nie pokonał. Liczył na ich wielkoduszność. Powiedział, że chce jako prywatny człowiek żyć pod prawem angielskim. Sam jednak niezbyt często okazywał wielkoduszność. Anglicy uznali go za więźnia i statkiem, na którym przybył, wysłali daleko, daleko, na małą, pustą, samotną wyspę na oceanie, Wyspę Świętej Heleny, aby nigdy nie mógł powrócić. Żył tam jeszcze przez sześć lat, pozbawiony wszelkiej władzy i opuszczony, dyktując wspomnienia wszystkich swoich czynów i zwycięstw i walcząc z angielskim urzędnikiem, który nie chciał mu pozwolić nawet na to, by niepilnowany spacerował po wyspie. Taki był koniec małego, bladego człowieka o wielkiej sile woli i najjaśniejszym rozumie, jakim kiedykolwiek wyróżnił się jakikolwiek władca. Wielkie potęgi przeszłości, dawne pobożne dynastie książęce, znowu panowały w Europie, a jej losami kierował z Wiednia przez swoich posłów poważny, surowy Metternich, który nie podniósł Napoleonowi kapelusza, a teraz robił wszystko, by zdobycze rewolucji francuskiej poszły w niepamięć.



## CZŁOWIEK I MASZYNA



Metternich i bogobojni monarchowie Rosji, Austrii, Francji i Hiszpanii przywrócili zewnętrzne formy życia sprzed rewolucji francuskiej. Znowu prowadzili dostojne dwory, na których wpływowi szlachcice obnosili na piersi wielkie gwiazdy orderów. Mieszczanom zakazano rozprawiać o polityce, co niektórym nawet bardzo odpowiadało. Zajęli się rodziną, książkami, a przede wszystkim muzyką, gdyż w ciągu minionych stu lat muzyka, przedtem służąca niemal wyłącznie za akompaniament do tańców, pieśni i religijnych śpiewów, stała się sztuką, która mogła powiedzieć ludziom najwięcej. Lecz ten mieszczański spokój był tylko zewnętrzną stroną rzeczy. Pewnej idei oświecenia Metternich nie mógł już zabronić i nawet o tym nie myślał. Galileuszowej idei rozumowego, matematycznego podejścia do natury, które w czasach oświecenia tak bardzo się ludziom

podobało. I właśnie ta ukryta strona oświecenia spowodowała jeszcze większą rewolucję, która z jeszcze większym impetem rozbiła dawne struktury, niż to uczynili paryscy jakobini za pomocą gilotyny.

Bo dzięki zastosowaniu matematyki do badań przyrodniczych ludzie nie tylko zrozumieli rozmaite procesy zachodzące w naturze, lecz także nauczyli się wykorzystywać tę nowo zdobytą wiedzę. Zaprzęgli siły natury w służbę człowiekowi.

Dzieje wszystkich tych wynalazków, jakich wtedy dokonali, nie są takie proste, jak sobie często wyobrażamy. Przeważnie działo się tak, że ktoś najpierw uznał jakąś rzecz za możliwą, potem przeprowadzał próby, eksperymentował, potem myśl zarzucał, a podejmował ją ktoś inny, aż wreszcie pojawiał się tak zwany wynalazca, który miał dość siły woli i wytrwałości, żeby tę myśl pomyśleć do końca i obrócić na powszechny użytek. Tak było z maszyną parową, parostatkami, lokomotywą i telegrafem – wszystkie one zmieniły nasze życie, a stały się ważne w czasach, o których teraz mówimy.

Najpierw pojawiła się maszyna parowa. Francuski uczony Papin pracował nad nią już około roku 1700. Ale prawdziwą maszynę parową opatentował dopiero w 1769 roku Anglik James Watt. Początkowo używano jej głównie do pomp w kopalniach, lecz wkrótce ludzie zaczęli myśleć, jak by ją zastosować do napędzania pojazdów albo statków. Już w latach 1788 i 1802 pewien Anglik przeprowadził próby z parostatkami, a w 1803 roku amerykański mechanik Fulton skonstruował parowiec kołowy. Napoleon napisał wtedy, że „ten projekt jest w stanie zmienić wygląd świata”. W 1807 roku pierwszy statek parowy z wielkim kołem łopatkowym popłynął z turkotem, dymiąc i hałasując, z Nowego Jorku do sąsiedniego miasta.

Mniej więcej w tym samym czasie podjęto w Anglii próby z napędem parowym w pojazdach. Ale dopiero w 1802 roku, kiedy wynaleziono szyny kolejowe, udało się skonstruować maszynę zdatną do użytku, a w 1814 roku Anglik Stephenson zbudował swoją pierwszą prawdziwą lokomotywę. Już w 1821 roku została otwarta pierwsza linia kolejowa, łącząca dwa angielskie miasta, a dziesięć lat później kolej żelazną miały już także Francja, Niemcy, Austria i Rosja. Upłynęło jeszcze dziesięć lat i nie było już chyba w Europie kraju bez długich odcinków linii kolejowych. Linie te prowadziły przez góry, przez tunele i duże rzeki, a ludzie podróżowali co najmniej dziesięć razy szybciej niż kiedyś najszybszym wozem pocztowym.

Bardzo podobnie rzecz się miała z wynalazkiem elektrycznego telegrafu. Już w 1753 roku pewien uczony rozważał taką możliwość. Po 1770 roku podejmowano wiele prób, lecz dopiero w 1837 roku amerykański malarz Morse zaprezentował przyjaciołom krótki telegram. I znowu upłynęło niewiele ponad dziesięć lat, a ludzie w różnych krajach mogli się już komunikować za pomocą telegrafu.

Ale jeszcze bardziej zmieniły świat inne maszyny. Maszyny, wykorzystujące siły natury tak, żeby zastępowały pracę ludzkich rąk. Pomyśl tylko o przędzeniu i tkaniu. Dawniej robili to rzemieślnicy. Kiedy zaczęło wzrastać zapotrzebowanie na tkaniny (mniej więcej w epoce Ludwika XIV), fabryki wprawdzie już istniały, ale wielu ludzi nadal pracowało w nich ręcznie. Dopiero z czasem ktoś wpadł na pomysł, żeby i tutaj skorzystać z wiedzy o naturze. Dаты roczne są znowu bardzo zbliżone do dat innych wielkich wynalazków. Doświadczenia z maszyną przędzalniczą przeprowadzano już od 1740 roku, od 1783 roku była ulepszana, ale dopiero od 1825 stała się pod każdym względem użyteczna. Mniej więcej w tym samym czasie trwały prace nad krosnem mechanicznym. Również te maszyny budowano i stosowano najpierw w Anglii. Do maszyn i fabryk potrzebne były węgiel i żelazo. Kraje, które posiadały te surowce, z miejsca zyskały dużą przewagę.

Za sprawą wszystkich tych rzeczy dokonał się potężny przewrót. Ludzie przeżyli wstrząs, po którym mało co zostało na swoim miejscu. A przypomnij sobie, jak ustalone i uporządkowane było życie w czasach cechów w średniowiecznych miastach! Cechy przetrwały do rewolucji francuskiej, a nawet dłużej. Co prawda już wtedy trudniej niż w średniowieczu było czeladnikowi zostać majstrem, miał jednak taką możliwość, a więc i nadzieję. A teraz w jednej chwili wszystko się zmieniło. Tylko niektórzy ludzie mieli maszyny. Aby obsługiwać taką maszynę, nie trzeba było wiele umieć. Przecież robiła wszystko sama. W ciągu kilku godzin można było każdemu pokazać, jak ma się z nią obchodzić. Kto miał taką maszynę do tkania, brał sobie paru ludzi (mogły to być nawet kobiety i dzieci), którzy z jej pomocą mogli teraz wykonać więcej pracy niż dawniej stu wykwalifikowanych tkaczy. Co mieli więc robić tkacze w mieście, w którym nagle pojawiła się taka maszyna? Przestali być potrzebni. To, czego się nauczyli przez lata terminowania i pracy w charakterze czeladników, stało się całkiem zbyteczne, ponieważ maszyna robiła wszystko szybciej, lepiej i bez



porównania taniej. Bo maszyna nie musi jeść ani spać tak jak człowiek. Nigdy nie musi odpoczywać. Wszystko, czego stu tkaczy potrzebowałyby do przyjemnego, dobrego życia, fabrykant dzięki swojej maszynie zaoszczędzał albo mógł przeznaczyć dla siebie. Ale przecież potrzebował robotników do obsługi maszyn? Owszem, potrzebował. Lecz po pierwsze – bardzo niewielu, a po drugie – niewykwalifikowanych.

Dochodziło coś jeszcze: teraz stu tkaczy w mieście było bezrobotnych. I głodowali, bo ich pracę wykonywała jakaś maszyna. Ale nim człowiek umrze z głodu razem z całą rodziną, gotów jest oczywiście zrobić wszystko. Nawet pracować za głodową płacę, byle tylko utrzymać się przy życiu. Zatem fabrykant, który miał maszynę, mógł wezwać do siebie owych stu głodujących tkaczy i powiedzieć: „Potrzebuję pięciu ludzi, żeby uważali na moją maszynę i na moją fabrykę. Ile za to chcecie?”. I nawet jeśli jeden z nich odpowiedział: „Chcę tyle, żebym mógł żyć tak dobrze jak przedtem”, to drugi powiedział może: „Wystarczy, że codziennie będę mógł kupić sobie bochenek chleba i kilogram ziemniaków”. A trzeci, widząc, że ten odbiera mu ostatnią szansę na przeżycie: „Spróbuję wyżyć, mając na pół bochenka chleba”. Na to czterej inni: „My też”. „Dobrze – powiedział fabrykant – dam wam szansę. Ile na dzień chcecie pracować?”. „Dziesięć godzin” – powiedział jeden. „Dwanaście” – powiedział drugi, aby mu tamten nie sprzątnął pracy sprzed nosa. „Ja mogę pracować nawet szesnaście” – zawołał trzeci. Przecież chodziło o życie. „Dobrze – powiedział fabrykant – wobec tego biorę ciebie. Ale co ma robić moja maszyna, kiedy ty będziesz spał? Ona przecież nie musi spać!”. „Mogę tu przysłać mojego ośmioletniego chłopaka” – powiedział zdesperowany tkacz. „Co mam mu za to dać?”. „Daj mu parę groszy na kromkę chleba z masłem”. „Obejdzie się bez masła” – powiedział fabrykant. I sprawa była załatwiona. A pozostałych dziewięćdziesięciu pięciu tkaczy musiało głodować albo starać się, żeby wziął ich jakiś inny fabrykant.

Nie powinieneś myśleć, że wszyscy fabrykanci byli rzeczywiście takimi złymi ludźmi, jakich tu opisałem. Ale najgorszy z nich, czyli ten, który najmniej płacił, mógł najtaniej sprzedawać swoje towary, więc najczęściej wygrywał z konkurencją. Dlatego inni musieli traktować robotników podobnie, choćby nie pozwalało im na to sumienie i choćby im było ich żal.

Ludzie byli zdesperowani. Po co się czegoś uczyć, po co wkładać tyle pracy w piękne dzieło własnych rąk? Maszyna robiła w tym czasie sto takich

samych rzeczy, często jeszcze dokładniej i sto razy taniej. Dawni tkacze, kowale, prządnicy, stolarze popadali w coraz większą nędzę i biegali od jednego fabrykanta do drugiego, szukając pracy choćby za grosze. Niektórych brała taka złość na maszyny, że szturmowali fabryki i niszczyli mechaniczne krosna, ale nic to nie dało. W 1812 roku Anglia wprowadziła karę śmierci za niszczenie maszyn. A potem przyszedły nowe, lepsze maszyny, które mogły wykonywać pracę już nie stu, lecz pięciuset robotników, i powszechna nędza jeszcze się pogłębiała.

Wtedy znaleźli się ludzie, którzy uznali, że tak dalej być nie może. Że to niesprawiedliwe, żeby jeden człowiek tylko dlatego, że ma maszynę, i to może otrzymaną w spadku, traktował wszystkich innych gorzej nawet niż szlachcic swoich chłopów. Uważali, że fabryki i maszyny, których posiadanie daje wielką władzę nad losem innych ludzi, nie powinny należeć do jednostek, lecz do całego społeczeństwa. Takie poglądy nazywamy *socjalizmem*. Rozważano wiele możliwości uporządkowania wszystkiego tak, aby przez socjalistyczny sposób pracy zlikwidować nędzę głodujących robotników. Może zamiast pensji ustalonej przez fabrykanta powinien się im należeć udział w jego wielkich zyskach?

Takich socjalistów było wielu we Francji i Anglii około roku 1830, ale najsłynniejszy stał się pewien uczoney z Trewiru w Niemczech, Karol Marks. On myślał trochę inaczej. Uważał, że nie ma co się zastanawiać, jak by to było, gdyby maszyny należały do wszystkich robotników. Robotnicy musieliby je sobie przedtem wywalczyć. Bo przecież dobrowolnie żaden fabrykant nigdy by im swojej fabryki nie oddał. A żeby ją sobie wywalczyć, nie wystarczy zebrać się w kilku i zniszczyć krosno, skoro to krosno już raz zostało wynalezione. Wszyscy robotnicy muszą trzymać ze sobą. Gdyby każdy z owych stu tkaczy chciał pracy nie tylko dla siebie, gdyby się przedtem umówili: nie pójdziemy do fabryki na więcej niż dziesięć godzin dziennie i zażądamy dwóch bochenków chleba i dwóch kilogramów kartofli dla każdego, to fabrykant może musiałby się na to zgodzić. Ale samo to mogłoby jeszcze nie wystarczyć, bo do maszyn tkackich nie potrzebował już wykwalifikowanych tkaczy, tylko zwyczajnie kogoś, kto za wszelką cenę chciał pracować, bo niczego nie miał. Zatem ważne jest, mówił Marks, żeby oni wszyscy się połączyli. W końcu fabrykant po prostu nie znalazłby nikogo, kto byłby tańszy. A więc robotnicy powinni się umawiać! I to nie tylko robotnicy w jakiejś okolicy. Nawet nie tylko robotnicy w jakimś kraju,

lecz robotnicy na całym świecie powinni się połączyć. Wtedy byliby tak silni, że nie tylko sami mogliby mówić, ile należy im płacić, lecz w końcu mogliby przejąć fabryki i maszyny, i stworzyć w ten sposób świat, w którym nie byłoby już posiadaczy i ludzi nieposiadających niczego.

Bo teraz wygląda to tak, mówił Marks, że właściwie nie ma już ani tkaczy, ani szewców, ani kowali. Robotnik, który dwa tysiące razy dziennie naciska dźwignię jakiejś maszyny, wcale nie musi wiedzieć, co ta maszyna wytwarza. On tylko chce co tydzień otrzymywać wypłatę – akurat tyle, żeby nie musiał głodować jak jego nieszczęśliwsi towarzysze, którzy nie znaleźli zatrudnienia. Właściciel maszyny też nie musi mieć kwalifikacji w zawodzie, z którego żyje, bo nie jest to już praca rękodzielnicza, tylko maszynowa. Dlatego Marks uważał, że właściwie nie ma już zawodów, tylko są dwa rodzaje czy też dwie klasy ludzi: posiadacze i nieposiadający, inaczej – bo lubił obce słowa – *kapitaliści i proletariusze*. Te klasy toczą ze sobą nieustanną walkę, ponieważ posiadacze zawsze chcą wytwarzać jak najwięcej i jak najtaniej, więc też jak najmniej płacić robotnikom, czyli proletariuszom, a z kolei robotnicy chcą kapitalistę, czyli właściciela maszyny, zmusić, żeby oddał im jak najwięcej ze swego zysku. Ta walka dwóch klas, uważał Marks, skończy się ostatecznie tak, że wielka rzesza nieposiadających odbierze nielicznej grupie posiadaczy ich własność, ale nie po to, żeby samej wejść w jej posiadanie, lecz żeby całą własność w ogóle znieść. Wtedy nie będzie już klas. To był jego cel, a jego urzeczywistnienie wyobrażał on sobie bardzo prosto i w niedalekiej przyszłości.

A przy tym w latach 1847 i 1848, kiedy Marks pisał swoją wielką odezwę do robotników (którą nazwał *Manifestem komunistycznym*), sytuacja wcale jeszcze nie była taka, jakiej nadejście przewidywał. I do dzisiaj wiele rzeczy ułożyło się inaczej. A w jego czasach wcale jeszcze nie wszędzie rządzą posiadacze maszyn, w wielu krajach nadal rządzą orderowi szlachcice, którym tacy ludzie jak Metternich pozwolili wrócić do władzy. Ci szlachcice sami byli wielkimi przeciwnikami bogatych mieszczan i właścicieli fabryk. Chcieli silnego, uporządkowanego, uregulowanego państwa, w którym każdy wykonuje swój wyuczony, a nierzadko odziedziczony zawód, tak jak to było dawniej. Na przykład w Austrii istniało wtedy jeszcze „dziedziczne poddaństwo chłopów”, których zależność od pana gruntowego niewiele się różniła od zależności chłopów pańszczyźnianych w średniowieczu. Nadal też obowiązywało wiele dawnych, surowych reguł cechowych, którym

częściowo podlegali także nowi fabrykanci. Ale wzbogaceni mieszczenie posiadający maszyny nie chcieli już słuchać tego, co im narzucała szlachta czy państwo. Chcieli działać wedle własnej woli, bo uważali, że wtedy na świecie będzie najlepiej. Wystarczy dać wolną rękę pracowitym ludziom, nie krępować ich żadnymi ustawami ani przepisami, a wtedy z czasem wszystkim na świecie będzie się żyło wspaniale. Świat się toczy sam, uważali, jeśli mu się nie przeszkadza. Dlatego francuscy mieszczenie w 1830 roku dokonali przewrotu i zrzucili z tronu potomków Ludwika XVIII. W 1848 roku wybuchła w Paryżu, a potem w wielu innych krajach kolejna rewolucja, w której mieszczenie próbowali przejąć całą władzę w państwie, aby nikt już im nie mówił, co mają robić w swoich fabrykach i ze swoimi maszynami. W Wiedniu przepędzili kanclerza Metternicha, a panującego cesarza Ferdynanda zmusili do abdykacji. Dawne czasy minęły bezpowrotnie. Mężczyźni już wtedy nosili prawie tak samo brzydkie, długie, czarne rurowate spodnie, sztywne białe kołnierzyki i krawaty wiązane w skomplikowany węzeł, jakie musimy nosić jeszcze dzisiaj. Wszędzie fabryki wyrastały jak grzyby po deszczu, a kolej żelazna przewoziła coraz większe ilości towarów z kraju do kraju.



## ZA MORZAMI



Dzięki kolei żelaznej i statkom parowym świat stał się o wiele mniejszy. Rejs do Indii i Chin przestał już być ryzykowną przygodą. Ameryka była niemal na wyciągnięcie ręki. Dlatego po 1800 roku na historię świata tym bardziej nie należy patrzeć jak na historię europejską. Zobaczmy więc, co się działo u nowych sąsiadów Europy. Przede wszystkim w Chinach, Japonii i Ameryce. Do roku 1800 Chiny były jeszcze niemal takim samym krajem, jak za panowania władców z dynastii Han, czyli w okresie od 200 roku przed Chrystusem do 200 roku po Chrystusie, a później za czasów wielkich poetów około 800 roku: potężnym, uporządkowanym, dumnym, ludnym, pokojowym państwem pracowitych wieśniaków i mieszczan, wielkich uczonych, poetów i myślicieli. Niepokoje, wojny religijne, nieustanne poruszenie, jakie musieliśmy znosić w Europie, dla Chińczyków w tamtych czasach były czymś zupełnie obcym, barbarzyńskim, niepojętym. Wprawdzie władali nimi teraz obcy cesarze, którzy zmuszali Chińczyków do noszenia warkocza na znak poddaństwa, ale ta obca azjatycka dynastia Mandżurów w pełni przyswoiła sobie ich świat myśli i uczuć, przejęła zasady Konfucjusza, toteż kraj był w rozkwicie.

Czasami przyjeżdżali do Chin uczeni jezuici, aby głosić tam

chrześcijaństwo. Zwykle przyjmowano ich przyjaźnie, gdyż cesarz Chin chciał przez nich poznać nauki europejskie, przede wszystkim astronomię. Europejscy handlarze przywozili z Chin porcelanę do swoich krajów i wszędzie usiłowano naśladować wytwarzanie tych niewiarygodnie delikatnych wyrobów, ale przez całe wieki Europejczykom się to nie udało. Jak wielkie poczucie wyższości nad Europą miało wtedy chińskie imperium ze swoimi wieloma milionami cywilizowanych ludzi, możesz się dowiedzieć z listu, który cesarz chiński w 1793 roku wystosował do króla Anglii. Anglicy chcieli mieć bowiem swojego przedstawiciela na dworze chińskim i prowadzić handel z Chinami, zwrócili się więc o pozwolenie do cesarza. Cesarz Qianlong, słynny uczyony i dobry władca, odpowiedział w takich słowach: „Żyjecie, o Królu, za granicami wielu mórz, a jednak powodowany kornym życzeniem korzystania z dobrodziejstw naszej cywilizacji wysłaliście poselstwo, które z szacunkiem wręczyło Wasz memoriał. [...] Chociaż zapewniam, że Wasza rewerencja dla Naszej Niebiańskiej Dynastii przepełnia Was pragnieniem przyswojenia sobie naszej kultury, to nasze ceremonie i kodeksy prawne tak całkowicie różnią się od waszych, że nawet gdyby Wasz Poseł był w stanie przyswoić sobie podstawy naszej kultury, niemożnością byłoby dla was przeszczepienie naszych obyczajów i zwyczajów na waszą obcą ziemię. Zatem nawet gdyby Wasz Poseł był najbardziej pojętym uczniem, nic by to przecież nie dało.

Władając szerokim światem, mam przed oczami tylko jeden cel, mianowicie sprawować doskonałe rządy i wypełniać obowiązki państwa [...]. O rzadkie czy wymyślne przedmioty nie dbam i nie mam zastosowania dla wyrobów z waszego kraju. [...] Nasze Niebiańskie Królestwo posiada wszystkie rzeczy w nadmiarze i żadnych produktów mu nie brak w jego granicach. Zatem nie istniała potrzeba sprowadzania wyrobów obcych barbarzyńców w zamian za nasze własne produkty. Ale że herbata, jedwab i porcelana, wytwarzane przez Niebiańskie Królestwo, są absolutnie niezbędne ludom europejskim i Wam samym, zezwoliliśmy [...] na dalszy ograniczony handel w Kantonie [...]. Nie zapominam o samotnym oddaleniu waszej wyspy, odciętej od świata pustyniami morza, ale też nie przysmykam oczu na waszą wybaczną nieznaną obyczajów Naszego Niebiańskiego Królestwa. [...] Z drżeniem słuchaj mych rozkazów”.

Tak pisał cesarz Chin do króla Anglii, niewielkiej wyspy. Ale nie docenił barbarzyństwa, na jakie stać było jej mieszkańców. Zwłaszcza gdy

kilkadziesiąt lat później przypłynęli na parowcach. Ograniczony handel w prowincji Kanton już od dawna im nie wystarczał. A tym bardziej od czasu, gdy znaleźli towar, który naród chiński aż nazbyt chętnie chciał mieć. Była to trucizna. Niebezpieczna trucizna: opium. Człowiek, który je pali i wdycha jego dym, ma przez krótki czas piękne sny. Ale robi się od tego strasznie chory. Kto się przyzwyczaił palić opium, ten nie może przestać, jest to podobne do picia wódki, tylko jeszcze o wiele bardziej niebezpieczne. I właśnie opium Anglicy chcieli teraz masowo sprzedawać Chińczykom. Władze chińskie wiedziały, jakie groźne to będzie dla ludu, więc w 1839 roku zabroniły tego stanowczo.

A wtedy Anglicy przypłynęli znowu, lecz tym razem mieli na swoich parowcach działa. Płynęli w górę chińskich rzek i ostrzeliwali spokojne chińskie miasta, obracając wspaniałe pałace w perzynę. Chińczycy byli bezradni. Musieli zrobić, co im biali kazali. Zapłacić ogromną sumę pieniędzy i pozwolić na nieograniczony handel opium i wszystkimi innymi towarami. Niewiele później wybuchło w Chinach powstanie tajpingów, wywołane przez nieco szalonego przywódcę, który ogłosił się Władcą Pokoju. Europejczycy poparli rządzącą dynastię. W 1856 roku wybuchła kolejna wojna opiumowa; tym razem Anglicy razem z Francuzami wkroczyli do Chin, znowu ostrzeliwali miasta i upokarzali książąt. W końcu w 1860 roku weszli do stolicy Chin, Pekinu, gdzie w zemście za opór stawiany przez Chińczyków splądrowali i spalili wspaniałą, prastary pałac letni cesarza, pełny pięknych dzieł sztuki z najdawniejszych czasów. Ogromne, pokojowe, tysiącletnie cesarstwo pogrążyło się w zupełnym zamęcie, zdane na łaskę i niełaskę handlarzy. Tak Europejczycy odpłacili się Chińczykom za to, że ich nauczyli wytwarzać papier, posługiwać się kompasem i, niestety, także produkować proch.

Niewiele brakowało, żeby taki sam los spotkał japońskie państwo wyspiarskie. W Japonii w tamtych czasach było bardzo podobnie jak w Europie w okresie średniowiecza. Władzę sprawowali właściwie książęta i rycerze. Zwłaszcza jedna arystokratyczna rodzina, która nadzorowała cesarza – nazywanego w Europie mikado – mniej więcej tak, jak przodkowie Karola Wielkiego nadzorowali królów merowińskich. Malować obrazy, budować domy, układać wiersze – tego Japończycy uczyli się od stuleci od Chińczyków i sami też umieli robić wspaniałe rzeczy. Ale Japonia nie była takim pokojowym, wielkim, łagodnym królestwem jak Chiny. Potężni

szlachcice rozmaitych regionów i wysp toczyli ze sobą zażarte walki, kierując się prawem krwawej zemsty rodowej. Około 1850 roku biedniejsi spośród nich się połączyli, aby wielmożom w swoim państwie odebrać władzę. Ale jak miałyby się to udać? Tylko z pomocą cesarza, bezsilnej marionetki, która codziennie przez kilka godzin musiała siedzieć na tronie. Drobną szlachtą walczyła więc z wielmożami w imieniu panującego, któremu chciała przywrócić władzę, jaką podobno posiadał w niepamiętnych czasach.

Akurat wtedy pierwsze europejskie poselstwa znowu zaczęły przyjeżdżać do Japonii, która przez ponad dwieście lat była krajem zamkniętym dla wszystkich cudzoziemców. Życie milionowych japońskich miast, gdzie domy były z bambusa i papieru, miały wykwintne ogródki, piękne damy nosiły włosy wysoko upięte, na świątyniach powiewały kolorowe chorągiewki modlitewne, a rycerze o poważnych minach i oszczędnych gestach nosili przypasane miecze, wydawało się białym posłom bardzo urocze i śmieszne. W brudnych butach z ulicy chodzili po kosztownych pałacowych matach, na które Japończycy wstępują tylko boso, i uważali, że nie muszą przestrzegać przy powitaniu czy piciu herbaty żadnego z pradawnych obyczajów owych dzikusów, za jakich mieli Japończyków. Wkrótce zostali znienawidzeni. Gdy pewnego razu jakieś podróżujące amerykańskie towarzystwo postąpiło wbrew japońskiemu zwyczajowi i nie ustąpiło grzecznie z drogi dostojnemu księciu w lektyce, członkowie jego świty wpadli w taki gniew, że zaatakowali Amerykanów i zamordowali jedną z kobiet. Naturalnie od razu przypłynęły angielskie okręty wojenne, żeby ostrzelać miasto. Japończycy już myśleli, że czeka ich ten sam los co Chińczyków. Tymczasem rewolucja przeciwko krajowym wielmożom się powiodła. Cesarz miał teraz rzeczywiście nieograniczoną władzę. Wspierany przez mądrych doradców, którzy nigdy się nie pokazywali publicznie, postanowił tę władzę wykorzystać tak, by jego kraj już nigdy nie był narażony na pychę cudzoziemców. Nie trzeba się było w tym celu wyrzekać dawnej kultury. Trzeba było tylko poznać najnowsze wynalazki Europejczyków. I otworzył kraj przed obcokrajowcami.

Zaprosił niemieckich oficerów, żeby sformowali nowoczesne wojsko, zaprosił Anglików, żeby zbudowali nowoczesną flotę. Wysyłał Japończyków do Europy, aby studiowali nową wiedzę medyczną i przyswoili sobie również pozostałe nauki, dzięki którym Europa w tamtym czasie stała się tak potężna. Za przykładem Niemców wprowadził powszechny obowiązek szkolny, by



przygotować swój lud do walki. Europejczycy byli zachwyceni. Japończycy to jednak całkiem rozsądny naród, że tak na oścież otworzył przed obcymi swój kraj. Spieszyli się sprzedawać Japończykom wszystko, czego tamci sobie życzyli, wszystko im pokazywać. Przez kilkadziesiąt lat Japończycy uczyli się europejskich sztuk budowania maszyn na czas wojny i na czas pokoju. A kiedy już byli gotowi, z całą uprzejmością wyprosilili Europejczyków za drzwi. „Teraz potrafimy to, co i wy. Teraz *nasze* statki wypłyną na handel i podboje, *nasze* działa będą ostrzeliwać spokojne miasta, gdyby ktoś się tam ośmielił obrazić Japończyka”. Europejczycy nie mogli wyjść ze zdumienia i do dzisiaj nie mogą. Bo Japończycy to najlepsi uczniowie świata.

W tych samych latach, kiedy Japonia zaczęła się wyzwalać, także w Ameryce wydarzyły się najważniejsze rzeczy. Jak pamiętasz, w 1776 roku angielskie osady handlowe, miasta portowe na wschodnim wybrzeżu Ameryki, wypowiedziały posłuszeństwo Anglii i utworzyły związek państw, zwanych *stanami*. Angielscy i hiszpańscy osadnicy w walce z plemionami indiańskimi posuwali się coraz dalej na zachód. Co się przy tym działo i jak farmerzy budowali sobie chaty z bierwion, karczowali gęste lasy i jak walczyli, jak kowboje pilnowali swoich ogromnych stad i jak zasiedlali Dzikie Zachód poszukiwacze złota i awanturnicy – o tym wiesz może z książek o Indianach. Na terenach odbieranych Indianom zakładali kolejne stany. Jak pewnie sobie wyobrażasz, z początku nie były to cywilizowane kraje. Przede wszystkim bardzo się te stany różniły od siebie. Te położone na południu, w tropikalnych regionach, żyły z wielkich plantacji, na których uprawiano w ogromnych ilościach bawełnę i trzcinę cukrową. Osadnicy mieli wielkie połacie ziemi na własność. Do pracy na plantacjach zmuszali murzyńskich niewolników, sprowadzanych z Afryki. Bardzo źle ich traktowali.

Na północy wszystko wyglądało inaczej. Tam nie jest tak gorąco, klimat przypomina nasz europejski. Żyli tam chłopci, a miasta niewiele się różniły od tych w angielskiej ojczyźnie emigrantów, tylko że wszystko było o wiele większe. Niewolników nikt nie potrzebował. Prościej i taniej pracowało się samemu. Mieszkańcy stanów północnych, w większości pobożni chrześcijanie, uznali, że dla związku państw opartego na prawach obywatela hańbą jest trzymanie niewolników jak za pogańskiej starożytności. Stany południowe oświadczyły, że potrzebują murzyńskich niewolników, gdyż bez nich po prostu nie dadzą sobie rady, bo biały człowiek nie może pracować

w takim upale, a Murzyn i tak nie urodził się do wolności itd. W roku 1820 zawarto ugodę: w stanach położonych poniżej wyznaczonej linii niewolnictwo było dopuszczalne, natomiast w tych położonych powyżej – nie.

Na dłuższą metę hańba gospodarki opartej na niewolnictwie okazała się jednak nie do zniesienia. Wydawało się wprawdzie, że niewiele będzie można zrobić, gdyż stany południowe ze swoimi ogromnymi plantacjami były o wiele potężniejsze i bogatsze niż rolnicza północ, a poza tym zdecydowane nie ustąpić za żadną cenę. Ale wreszcie znalazł się ktoś, kto wiedział, jak to przezwyciężyć. Prezydent Abraham Lincoln. Nie miał zwyczajnej biografii. Pochodził z ludu, dorastał w jednym ze środkowych stanów, w 1832 roku walczył z indiańskim wodzem Czarnym Jastrzębiem, a później pracował na poczcie w małym mieście. W wolnym czasie studiował prawo, został adwokatem i członkiem parlamentu. Jako poseł walczył z niewolnictwem, za co go znienawidzili właściciele plantacji w południowych stanach. Mimo to w 1860 roku wygrał wybory prezydenckie, co stany południowe uznały za wystarczający powód do wystąpienia z unii i utworzenia własnej konfederacji stanów niewolniczych.

Natychmiast do dyspozycji Lincolna stanęło 75 tysięcy ochotników. Mimo to sprawa wyglądała dla północy bardzo źle, tym bardziej że Anglia popierała stany niewolnicze, chociaż sama kilkadziesiąt lat wcześniej zniosła niewolnictwo i ścigała je w swoich koloniach. Wybuchła okrutnie krwawa wojna domowa. Ostatecznie zwyciężyły dzielność i upór farmerów z północy i Lincoln w 1865 roku mógł pojechać do stolicy stanów południowych, witany przez wiwatujące tłumy wyzwolonych niewolników. Jedenaście dni później podczas przedstawienia teatralnego został zamordowany przez południowca. Ale jego dzieło zostało dokonane. Stany Zjednoczone Ameryki, ponownie połączone i wolne, stały się wkrótce jednym z najbogatszych i najpotężniejszych krajów świata. Jak widać, bez niewolników też można.



## DWA NOWE PAŃSTWA W EUROPIE

Zdażyłem poznać wiele osób, które były dziećmi w czasach, gdy nie istniały jeszcze Niemcy ani Włochy. Dziwne, prawda? Te duże, potężne państwa, odgrywające tak poważną rolę, wcale nie są bardzo stare. Po rewolucji mieszczańskiej 1848 roku, kiedy wszędzie w Europie powstawały nowe linie kolejowe i telegraficzne, kiedy rosły fabryczne miasta i przyciągały ludność ze wsi, kiedy mężczyźni nosili cylindry i śmieszne cwikiery z czarnym sznurkiem, nasz kontynent wyglądał jeszcze jak pstry zlepek wielu małych księstw, księstewek, królestw i republik, związanych najróżniejszymi przymierzami albo zwaśnionych.

Trzy mocarstwa w tej Europie były ważne, jeśli nie liczyć Anglii, która bardziej się wtedy troszczyła o swoje kolonie w Ameryce, Indiach i Australii niż o sąsiedni kontynent. W samym środku Europy leżało cesarstwo Austrii. Od 1848 roku rządził nim cesarz Franciszek Józef w wiedeńskim Hofburgu. Gdy byłem mały, sam go jeszcze kiedyś widziałem jako starca przejeżdżającego przez park w Schönbrunnie i jego uroczysty pogrzeb też dobrze pamiętam. To był prawdziwy cesarz, jak za pradawnych czasów. Panował nad wieloma ludami i krajami. Był cesarzem Austrii, ale także królem Węgier i hrabią Tyrolu podniesionym do godności książęcej, ponadto nosił niezliczone tytuły z zamierzchłej przeszłości, w tym nawet tytuł króla jerozolimskiego i Obrońcy Grobu Świętego, czyli jeszcze z czasów wypraw krzyżowych. Także wiele terytoriów włoskich miał pod swoją władzą, a w innych rządziła jego rodzina. Poza tym władał Chorwatami, Serbami, Czechami, Słoweńcami, Słowakami, Polakami i wieloma innymi narodami. Dlatego na ówczesnych banknotach austriackich wartość, powiedzmy „dziesięć koron”, widniała we wszystkich tych językach. Również nad niemieckimi księstwami cesarz Austrii sprawował nominalnie jeszcze jakąś władzę, ale przedstawiało się to wyjątkowo zawile. Nie istniała przecież

Rzesza Niemiecka, od kiedy Napoleon w 1806 roku rozbił resztki Świętego Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego. Różne kraje niemieckojęzyczne tworzyły tylko związek, tak zwany Związek Niemiecki, a należała do niego oprócz Prus, Bawarii, Saksonii, Hanoweru, Frankfurtu, Brunszwiku itd., itp., także Austria. Ów Związek Niemiecki był osobliwie nieprzejrzystym tworem. Każdą piędzią ziemi rządził inny książę i każdy z nich miał swoją monetę, swoje znaczki pocztowe i własne mundury urzędnicze. Niewygodne to było już wtedy, kiedy podróż dylizanssem pocztowym z Berlina do Monachium ciągnęła się całymi dniami. Ale teraz, gdy kolej nie trwała nawet jeden dzień, stało się wręcz nie do zniesienia.



*Tak wyglądała mapa Europy Środkowej przed powstaniem Włoch i Rzeszy Niemieckiej. Gdy te kraje scalały się w potężne państwa, terytorium tureckie rozpadało się coraz bardziej.*

Zupełnie inaczej wyglądała mapa na prawo i lewo od Niemiec, Austrii i Włoch. Tam nie było takich pstrych zlepków.

Na zachodzie rozciągała się Francja. Niedługo po rewolucji mieszczańskiej 1848 roku znowu stała się cesarstwem. Jeden z potomków wielkiego Napoleona potrafił wskrzesić pamięć dawnej świetności i choć sam wcale nie był takim znowu wielkim człowiekiem, został wybrany najpierw na prezydenta republiki, a wkrótce obwołany jako Napoleon III cesarzem Francuzów. Mimo wszystkich wojen i rewolucji Francja była w tych czasach bogatym, potężnym krajem z wielkimi miastami fabrycznymi.

Na wschodzie rzecz się miała tak, że rosyjski cesarz, czyli car, nie był powszechnie lubiany w swoim ogromnym kraju. Zauważ, że wielu rosyjskich mieszczan studiowało wtedy na uniwersytetach we Francji i w Niemczech i że byli całkiem nowoczesnymi, po nowemu myślącymi ludźmi. A cesarstwo rosyjskie i jego urzędnicy tkwili właściwie jeszcze w głębokim średniowieczu. Wyobraź sobie, że w Rosji osobiste poddaństwo zniesiono, przynajmniej formalnie, dopiero w 1861 roku – dopiero wtedy obiecano 23 milionom rosyjskich chłopów życie godne człowieka! Obiecać i dotrzymać obietnicy to dwie różne rzeczy. W sumie nadal trwały w Rosji rządy knuta, czyli bicz splecionego ze skórzanych rzemieni. Jeśli ktokolwiek odważył się powiedzieć swobodne słowo, choćby najbardziej niewinne, w najlepszym razie trafiał na Sybir. Skutek był taki, że nowocześni, wykształceni studenci i mieszczaństwo okropnie cara nienawidzili i że musiał on żyć w ciągłym strachu przed mordercami. I rzeczywiście niemal każdy car padał w końcu ofiarą morderstwa, choćby nie wiem jak bardzo dbał o swoje bezpieczeństwo.

Wydawało się niemożliwe, żeby oprócz ogromnej Rosji i potężnej, nawykłej do wojen Francji jeszcze ktoś inny w Europie miał coś do powiedzenia. Hiszpania zupełnie osłabła, od kiedy w 1810 roku zaczęła tracić kolonie w Ameryce Południowej. Turcję gazety nazywały „chorym człowiekiem”, bo jej posiadłości w Europie były już nie do utrzymania. Poszczególne chrześcijańskie narody, którymi niegdyś zawładnęła, z pomocą zachwyconej Europy po kolei wybijały się na niepodległość. Najpierw Grecy, potem także Bułgarzy, Rumuni, Albańczycy. O resztę europejskiej Turcji,

o Konstantynopol, spierali się Rosjanie, Francuzi i Austriacy – szczęśliwie dla Turków, bo żadne państwo nie chciało, żeby ten łakomy kąsek dostał się drugiemu. Dlatego Konstantynopol pozostał turecki.

O władzę na obszarach włoskich walczyły wtedy (jak od wieków) Francja i Austria. Ale czasy już się zmieniły. Także Włochów zbliżyła kolej, oni również, tak jak niemieccy mieszczenie, uświadomili sobie, że są nie tylko Florentyńczykami czy Genueńczykami, Wenecjanami czy Neapolitańczykami, lecz po prostu są wszyscy Włochami. I że sami chcą decydować o swoim losie. W tym czasie tylko jedno małe państwo na północy Włoch było wolne i samodzielne. Leżało u podnóża gór, przez które niegdyś Hannibal zszedł do doliny. Okolica ta nazywa się Piemont, a to znaczy właśnie: „podnóże góry”. Ów Piemont i wyspa Sardynia utworzyły razem małe, ale silne królestwo pod berłem króla Wiktora Emanuela, który miał wyjątkowo mądrego, zręcznego premiera, Camilla Cavoura. Cavour bardzo dobrze wiedział, czego chce. Chciał tego, za czym wszyscy Włosi tęsknili już od dawna i za co wielu ludzi podczas rewolucji 1848 roku i później przelewało krew w odważnych, ale chaotycznych, awanturniczych walkach: chciał zjednoczonego włoskiego królestwa. Sam Cavour nie był bojownikiem. Nie wierzył w skuteczność tajnych spisków i zuchwałych ataków, jakimi odważny marzyciel Garibaldi i jego młodzi towarzysze chcieli wywalczyć wolność dla kraju. Cavour szukał innej, skuteczniejszej drogi. I znalazł.

Udało mu się przekonać ambitnego cesarza Francuzów, Napoleona III, żeby się zaangażował w walkę o wolność i jedność Włoch. Napoleon III mógł na tym przecież tylko zyskać, niczego by nie stracił. Jeśli opowiedziałby się za wolnością kraju, który do niego nie należał, zaszkodziłby co najwyżej Austrii, mającej posiadłości we Włoszech, a to nie byłoby mu niemiłe. A jako ten, który przynosi wolność, stałby się zarazem bohaterem wielkiego europejskiego narodu, a to byłoby mu miłe. Dzięki zręcznej dyplomacji Cavoura, pierwszego ministra Piemontu i Sardynii, oraz zuchwałym partyzanckim akcjom fanatycznego bojownika o wolność, Garibaldiego, udało się Włochom za cenę wielkich ofiar rzeczywiście osiągnąć swój cel. Podczas dwóch wojen z Austrią w 1859 i 1866 roku wojska austriackie wprawdzie często odnosiły zwycięstwa, ale w końcu cesarz Franciszek Józef uległ siłom Napoleona III i musiał oddać swoje posiadłości we Włoszech – regiony Mediolanu i Wenecji. W innych

regionach odbyły się wielkie plebiscyty, z których wynikało, że cała ludność chce należeć do Włoch. Wszyscy książęta więc abdykowali. W 1866 roku Włochy były zjednoczone. Tylko jednego jeszcze brakowało, stołecznego Rzymu, który przecież należał do papieża. Napoleon III nie chciał oddać go Włochom, żeby nie popsuć sobie stosunków z papieżem. Kazał francuskim oddziałom chronić miasto i odpierał ataki ochotników Garibaldiego.

Może Austria w 1866 roku nie przegrałaby ostatecznie swojej upartej walki z Włochami, gdyby Cavour w swojej mądrości nie ściągnął jej na kark także od północy pewnego przeciwnika, który miał bardzo podobne cele. Tym przeciwnikiem były Prusy, a ich premierem – Bismarck.

Bismarck, szlachcic i właściciel ziemski z północnych Niemiec, człowiek o zupełnie niezwykłej sile woli, jasnym rozumie, stanowczy i wytrwały, który nigdy nie tracił z oczu obranego celu, a swoje opinie i przekonania odważnie przedstawiał także królowi Prus Wilhelmowi I, od samego początku miał tylko jedno pragnienie: uczynić z Prus potęgę i pod ich przewodnictwem przekształcić powikłany zlepek państw Związku Niemieckiego w wielką, zjednoczoną Rzeszę Niemiecką. Uważał, że najbardziej potrzebne jest do tego silne, potężne wojsko. To on wypowiedział przecież słynne słowa, że wielkich problemów naszych czasów nie rozstrzyga się przez uchwały, lecz krwią i żelazem. Czy jest to nadal aktualne, nie wiem. Ale w tym wypadku historia przyznała mu rację. Kiedy posłowie ludu pruskiego w 1862 roku odmówili mu wielkiej sumy, jakiej potrzebował na taką armię, namawiał króla, żeby postąpił wbrew konstytucji i woli wybranych reprezentantów narodu. Król obawiał się, że spotka go taki sam los, jak angielskiego króla Karola I, który nie dotrzymał przyrzeczenia, i jak króla Francji Ludwika XVI. Powiedział Bismarckowi, gdy razem jechali pociągiem: „Bardzo wyraźnie widzę, jak to się skończy. Tam na placu Opery, pod moim oknem, zetną głowę panu, a trochę później mnie”. Bismarck odpowiedział tylko tyle: „I co?”. „To, że będziemy martwi” – odrzekł król. „No to będziemy martwi – powiedział Bismarck – ale czy można poleć w przyzwoitszy sposób?” I rzeczywiście postawił na swoim: wbrew woli narodu powstała wielka, potężna armia, wyposażona w karabiny i armaty, która niebawem sprawdziła się w wojnie z Danią.

Tę znakomicie uzbrojoną i wyszkoloną armię wysłał w 1866 roku zgodnie z wolą Cavoura i własnymi planami przeciwko Austrii, którą Włosi jednocześnie zaatakowali na południu. Chciał wyprzeć cesarza ze Związku



Niemieckiego, a wtedy Prusy byłyby w nim najpotężniejszym krajem i mogłyby stanąć na czele Niemiec. Rzeczywiście pokonał Austriaków w krwawej bitwie pod Sadową w Czechach i cesarz musiał ustąpić. Austria opuściła Związek Niemiecki. Niczego więcej Bismarck po tym zwycięstwie nie zażądał; bardzo to rozżłościło generałów i oficerów armii pruskiej, ale Bismarck nie zmienił zdania. Nie chciał zrobić sobie z Austriaków wrogów do końca. Po cichu jednak zawarł ze wszystkimi niemieckimi państwami układy, że w każdej wojnie będą wspierać Prusy. Nikt o tym nic nie wiedział.

Teraz z kolei Napoleon III we Francji zaczął się niepokoić, że tam, za Renem, w Prusach, rośnie potęga militarna. Cesarz Francuzów, który w 1867 roku przegrał zupełnie niepotrzebną wojnę w Meksyku, bał się dobrze uzbrojonego sąsiada. Francuzi nigdy nie lubili, kiedy Niemcy stawali się zbyt silni. W 1870 roku, gdy król Prus Wilhelm przebywał na kuracji w uzdrowisku Ems, trwały negocjacje z Francją dotyczące tronu Hiszpanii. Opublikowanie zmienionej przez Bismarcka depeszy Wilhelma do Napoleona III sprowokowało Francję do wypowiedzenia wojny Prusom. Wbrew wszelkim oczekiwaniom Francuzów przystąpiły do niej rzeczywiście wszystkie państwa niemieckie i niebawem się okazało, że wojska niemieckie są lepiej wyposażone i lepiej dowodzone niż francuskie.

Niemcy szybko ruszyli na Paryż, pod miejscowością Sedan wzięli do niewoli jedną z armii francuskich i Napoleona III, a następnie całymi miesiącami oblegali dobrze umocnioną stolicę. Po klęsce wojska francuskie chroniące papieża musiały opuścić Rzym, a wkroczył tam król Włoch. Takie to było wszystko wtedy powiązane. Jeszcze podczas oblężenia Paryża, gdy król Wilhelm mieszkał w Wersalu, Bismarck przekonał rozmaitych niemieckich królów i księząt, żeby zaproponowali królowi Prus tytuł cesarza niemieckiego. A teraz się zdziwisz, co się stało: otóż król Wilhelm wolałby się nazywać „cesarzem Niemiec” niż „cesarzem niemieckim” i niewiele brakowało, aby wszystko się o to rozbiło. W końcu jednak w wielkiej Sali Lustrzanej w Wersalu zostało proklamowane Cesarstwo Niemieckie. A nowo proklamowany cesarz Wilhelm I był tak zły, że nie otrzymał tytułu, jakiego sobie życzył, iż ostentacyjnie i umyślnie w obecności wszystkich przeszedł obok Bismarcka, nie podając ręki twórcy Rzeszy Niemieckiej. Bismarck mimo to dalej mu służył, i to służył dobrze.

W Paryżu podczas oblężenia wybuchła straszna i krwawa rewolucja robotników, która potem jeszcze straszniej i jeszcze bardziej krwawo została

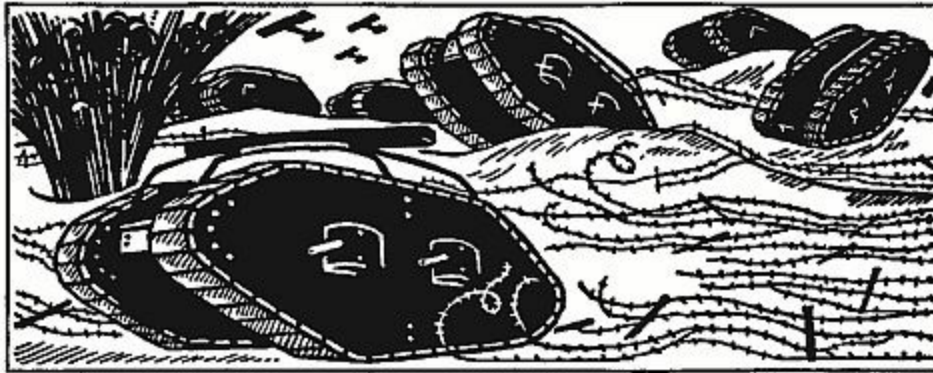
stłumiona. Życie straciło wtedy więcej ludzi niż w czasie całej wielkiej rewolucji francuskiej. Osłabiona Francja musiała zawrzeć pokój. Musiała odstąpić Niemcom spory kawałek kraju (Alzację i Lotaryngię) i zapłacić duże odszkodowanie. I za to Francuzi zdetronizowali cesarza Napoleona III, który tak źle pokierował krajem, i ogłosili republikę. Dość już mieli cesarzy i królów.

Bismarck został kanclerzem, czyli premierem, zjednoczonej Rzeszy Niemieckiej i rządził żelazną ręką. Był wielkim przeciwnikiem wszelkich dążeń socjalistycznych, propagowanych przez Marksa, ale wiedział, że robotnikom rzeczywiście dzieje się bardzo źle. Uważał, że rozprzestrzenianiu się idei Marksa można przeciwdziałać tylko przez złagodzenie nędzy robotników, aby odebrać im ochotę na postawienie całego państwa na głowie. Powoływał więc instytucje, które miały wspierać robotników w razie choroby albo nieszczęśliwego wypadku, gdyż wcześniej musieli się obywać bez pomocy, i w ogóle troszczył się o to, żeby ulżyć ich doli. Mimo wszystko robotnicy w tamtych czasach nadal byli zmuszeni pracować dwanaście godzin dziennie. Także w niedzielę.

Książę Bismarck o krzaczastych brwiach i mocnych, stanowczych rysach twarzy stał się wkrótce jednym z najbardziej znanych ludzi w Europie, także przez swoich wrogów uważanym za wielkiego męża stanu. Gdy narody Europy chciały podzielić między siebie świat, który tak zmalał, ich przedstawiciele spotkali się w 1878 roku w Berlinie, a obradom przewodził Bismarck. Dopiero następny niemiecki cesarz, Wilhelm II, który na wiele spraw miał inny pogląd niż jego kanclerz, nie mógł się z nim pogodzić i w końcu go zdymisjonował. Bismarck spędził jeszcze kilka lat jako stary człowiek w majątku rodzinnym i stamtąd przestrzegał nowych przywódców niemieckiego rządu przed nierozważnymi krokami.



## DZIELENIE ŚWIATA



Teraz powoli zbliżamy się do czasów, w których moi rodzice byli młodzi. Mogli mi więcej powiedzieć o różnych rzeczach. Jak to coraz więcej domów miało najpierw gaz, potem światło elektryczne, a wreszcie telefon, jak to w miastach pojawiły się na ulicach tramwaje na prąd, a niewiele później samochody, w jakim szalonym tempie rozrastały się robotnicze przedmieścia, a fabryki z wielkimi maszynami zatrudniały tysiące robotników, czyli wykonywały tę samą pracę, do której dawniej potrzeba byłoby setek tysięcy rzemieślników.

A co się działo z tymi wszystkimi tkaninami, butami, konserwami czy na przykład garnkami, których każdego dnia całe wagony wyjeżdżały z ogromnych fabryk? Część można było oczywiście sprzedać w kraju. Ludzie, którzy mieli pracę, wkrótce mogli sobie kupić znacznie więcej ubrań czy butów niż rzemieślnik w dawnych czasach. Wszystko było przecież bez porównania tańsze, ale za to o wiele mniej trwałe. Musieli więc często kupować nowe rzeczy. Oczywiście nie zarabiali aż tyle, żeby mogli kupić wszystko, co te nowe, wielkie maszyny wytwarzały. Lecz gdy na składzie zostawały całe wagony ubrań czy butów, fabrykę zamykano, bo nie miało sensu, żeby codziennie produkowała nowe. Robotnicy tracili pracę i już

niczego nie mogli sobie kupić, a wtedy na składzie zostawało jeszcze więcej towarów. Taką sytuację nazywamy *kryzysem gospodarczym*. Nie chcąc do niego dopuścić, wszystkie kraje dokładały starań, by cała produkcja licznych fabryk znajdowała nabywców. Jeśli we własnym kraju to się nie udawało, trzeba było spróbować za granicą. Nie w Europie. Tu przecież fabryki stały niemal wszędzie. Trzeba było pojechać do krajów, które fabryk nie miały, w których ludzie chodzili jeszcze bez ubrań i butów.

Na przykład do Afryki. I nagle wszystkie narody rozpoczęły prawdziwy wyścig w poszukiwaniu dzikich okolic, im dzikszych, tym nawet lepiej. Potrzebowały ich nie tylko do tego, by sprzedawać tam swoje towary, ale też dlatego, że często było tam wiele rzeczy, jakich we własnym kraju nie miały, jak na przykład bawełny dla producentów tkanin czy ropy naftowej do produkcji benzyny. Lecz im więcej takich „surowców” sprowadzano z kolonii do Europy, tym więcej mogły znowu produkować fabryki i tym usilniej poszukiwano znowu takich miejsc, gdzie ktoś jeszcze chciałby kupować ich masowe wyroby. Kto we własnym kraju już nie znajdował pracy, ten mógł teraz wywędrować do obcych krain. Krótko mówiąc, dla narodów europejskich posiadanie kolonii stało się naprawdę ważne. Tubylców nikt nie pytał o zdanie. Możesz się domyślić, że czasami traktowano ich bardzo źle, jeśli przyszło im na myśl strzelać z łuku do wkraczających wojsk.

W dzieleniu świata przodowali oczywiście Anglicy. Już od kilku stuleci mieli przecież posiadłości w Indiach, Australii i Ameryce Północnej oraz kolonie w Afryce, a zwłaszcza duże wpływy w Egipcie. Francuzi też rozejrzeli się wcześniej za własnymi posiadłościami. Należały do nich duża część Półwyspu Indochińskiego i niektóre części Afryki, w tym pustynia Sahara, raczej tylko wielka niż godna pożądania. Rosjanie nie mieli kolonii zamorskich, za to własny ogromny kraj i jeszcze niewiele fabryk. Chcieli się rozprzestrzenić na całą Azję aż do morza, żeby stamtąd prowadzić handel. A tu nagle stanęli im na drodze pilni uczniowie Europejczyków – Japończycy. W straszliwej wojnie, która wybuchła w 1905 roku, potężne imperium carskie przegrało z małą Japonią i musiało się kawałek cofnąć. A Japończycy sami teraz budowali coraz to nowe fabryki i rozglądali się za obcymi krajami, w których mogliby sprzedawać swoje towary i pomieścić gdzieś tych wielu ludzi, jakich miało to małe wyspiarskie państwo.

Ostatnie do dzielenia świata przyszły oczywiście nowe państwa: Włochy

i Niemcy. Wcześniej były tak rozdrobnione, że nie miały okazji zdobyć ziem za morzami. Teraz chciały nadrobić to, co przez stulecia zaniedbały. Włochy wywalczyły sobie kilka wąskich skrawków ziemi w Afryce. Niemcy były potężniejsze i miały więcej fabryk. Chciały zatem więcej terytoriów. I Bismarckowi rzeczywiście udało się pozyskać dla Niemiec kilka większych obszarów, głównie w Afryce i na wyspach Oceanu Spokojnego.

Cały kłopot w tym, że żaden kraj w tych sprawach nigdy nie ma dość. Im więcej posiada kolonii, tym więcej buduje fabryk, a im więcej buduje fabryk, i to wciąż lepszych, czyli mogących więcej wyprodukować, tym więcej znowu przydałoby mu się kolonii. Nie jest to żądza władzy czy żądza panowania. Rzeczywiście by mu się przydały. Ale świat był już rozdzielony. Aby zdobyć nowe kolonie, a przynajmniej nie dać sobie odebrać już posiadanych, trzeba było walczyć z silniejszymi sąsiadami albo chociaż grozić, że się będzie walczyć. Każde państwo wystawiało więc potężne armie i floty, dając raz po raz do zrozumienia: „Tylko spróbujcie mnie zaatakować!”. Kraje, które od stuleci były mocarstwami, uważały, że to ich dobre prawo. Ale gdy nowa Rzesza Niemiecka ze swoimi znakomitymi fabrykami przyłączyła się do tej gry, zbudowała wielką flotę wojenną i usiłowała zwiększać swoje wpływy w Azji i Afryce, miały jej to bardzo za złe. Wszyscy już od dawna spodziewali się jakiegoś strasznego starcia, państwa wystawiały więc coraz większe armie i budowały coraz większe okręty pancerne.

W końcu wojna wybuchła, ale nie tam, gdzie się jej przez te wszystkie lata spodziewano, czyli z powodu jakiegoś konfliktu w Afryce lub Azji, lecz za sprawą kraju, który jako jedyne wielkie imperium w Europie w ogóle nie posiadał żadnych kolonii: Austrii. Austria, prastare cesarstwo i tygiel narodów, nie miała ambicji zdobywania ziem w dalekich częściach świata. Ale i ona potrzebowała ludzi, którzy by kupowali towary produkowane w jej fabrykach. Próbowwała więc, tak jak od czasów wojen tureckich, zdobywać po kolei kraje, które niedawno oderwały się od Turcji i same nie miały jeszcze fabryk. Lecz nowo wyzwolone niewielkie narody na wschodzie, jak na przykład Serbowie, bały się wielkiego cesarstwa i nie chciały dopuścić, żeby rozprzestrzeniało się jeszcze dalej. I kiedy latem 1914 roku austriacki następca tronu przyjechał do niedawno anektowanej Bośni, został w jej stolicy Sarajewie zamordowany przez serbskiego nacjonalistę.

Austriaccy dowódcy i politycy uważali, że skoro do wojny z Serbią

wcześniej czy później i tak by doszło, należy ją już teraz rzucić na kolana w odwecie za straszliwy mord. Do sprawy wchodziła się Rosja, z obawy, że Austria może za bardzo zbliżyć się do jej granic; po stronie Austrii natomiast stały związane z nią sojuszem Niemcy; a kiedy Niemcy wkroczyły do wojny, ożyły wszystkie dawne antagonizmy. Niemcy chcieli za jednym zamachem zniszczyć swojego najniebezpieczniejszego przeciwnika, Francję, pomaszerowali więc przez neutralną Belgię na Paryż. Anglia, obawiając się, że zwycięstwo Niemiec zapewni im najsilniejszą pozycję w Europie, też przystąpiła do wojny. Wkrótce cały świat stanął do walki z Niemcami i Austrią. Oba te kraje leżały pośrodku między państwami *ententy* (czyli ich sprzymierzonych wrogów, bo francuskie słowo *entente* znaczy właśnie „porozumienie”). Dlatego nazywano Niemcy i Austrię *państwami centralnymi*.

Nadciągnęły ogromne wojska rosyjskie, lecz po kilku miesiącach musiały się zatrzymać. Podobnej wojny jeszcze nigdy na świecie nie było. Po obu stronach nacierały na siebie miliony ludzi. W walkach musieli brać udział także Afrykanie i Indusi. Niemieckie wojska, zatrzymane niedaleko Paryża, stały nad rzeką Marną. Teraz już bardzo rzadko dochodziło do prawdziwych bitew. Wielkie armie okopywały się, oszańcowywały i na długich odcinkach frontu stały w okopach naprzeciw siebie. A potem nagle zaczynały całymi dniami ostrzeliwać z tysięcy dział okopy wroga, szturmowały zasieki z drutu kolczastego i rozkopane szańce i posuwały się kawałek dalej przez spalony, zdewastowany kraj, zasłany ciałami zabitych. W 1915 roku również Włochy wypowiedziały wojnę Austrii, choć przedtem były jej sojusznikiem. Teraz walki toczyły się na lodowcach tyrolskich gór, a osławione czyny wojenne Hannibala w czasie przeprawy przez Alpy wydają się dziecinną igraszką w porównaniu z tym, jaką odwagą i wytrzymałością musieli się wykazać zwykli żołnierze.

Trwały walki w powietrzu, samoloty zrzucały bomby na spokojne miasta, zatapiano nieprzyjacielskie okręty, wojna toczyła się na wodzie i pod wodą, tak jak to kiedyś przewidział Leonardo da Vinci. Do tych wszystkich strasznych broni, które dzień w dzień zabijały i okaleczały tysiące ludzi, doszła jeszcze jedna, najbardziej przerażająca: gazy bojowe do zatrucia powietrza. Kto je wdychał, ten umierał w strasznych bólach. Gazy były wypuszczane, gdy sprzyjający wiatr mógł je ponieść na nieprzyjacielskich żołnierzy, albo wystrzeliwane w pociskach, z których podczas eksplozji

rozchodziła się trucizna. Budowano czołgi, które powoli, ale niezawodnie pokonywały okopy, wszystko wgniatając w ziemię i miażdżąc.

W Niemczech i Austrii panowała skrajna nędza. Żywności brakowało już od dawna, nie było ubrań, węgla, światła. Kobiety musiały godzinami stać na mrozie w kolejkach po kawałek chleba czy kilka nadgniętych ziemniaków. Przez chwilę państwa centralne mogły mieć jednak nadzieję. W Rosji wybuchła bowiem w 1917 roku rewolucja. Car abdykował, lecz nowy, mieszczański rząd chciał prowadzić wojnę dalej. Ale naród już nie chciał. Doszło do drugiego wielkiego przewrotu i władzę przejęli robotnicy z miast fabrycznych pod kierunkiem Lenina. Komuniści podzielili ziemię uprawną między chłopów, wywłaszczyli bogaczy i szlachtę i próbowali rządzić krajem według zasad Karola Marksa. Zagranica postanowiła interweniować. Podczas straszliwych walk, które teraz wybuchły, znowu zginęły miliony ludzi. A następcy Lenina rządili w Rosji jeszcze długo.

Przerzucenie paru jednostek z frontu wschodniego niewiele Niemcom pomogło, ponieważ na zachodzie w tym samym czasie wkroczyli do akcji nowi, niezuci jeszcze żołnierze. Byli to Amerykanie, którzy teraz też przystąpili do wojny. Mimo to Niemcy i Austriacy trzymali się jeszcze ponad rok, stawiając opór tej wielkiej przewadze, i niewiele brakowało, żeby ostatnim, rozpaczliwym zrywem wszystkich swoich wojsk na zachodzie odnieśli zwycięstwo. W końcu zabrakło im sił. I kiedy w 1918 roku prezydent Stanów Zjednoczonych, Wilson, ogłosił, że chce sprawiedliwego pokoju i że każdy naród sam zdecyduje o swoim losie, niektóre jednostki w wojskach państw centralnych zrezygnowały z walki. Państwa centralne zostały zmuszone do zawieszenia broni. Żołnierze, którzy pozostali przy życiu, wrócili do swoich głodujących rodzin.

Teraz w wyczerpanych wojną krajach doszło do rewolucji. Cesarze niemiecki i austriacki abdykowali, poszczególne narody cesarstwa austriackiego, Czesi i Słowacy, Węgrzy, Polacy, południowi Słowianie, ogłosiły niepodległość i utworzyły własne państwa. A gdy delegaci Niemców, Austriaków i Węgrów przybyli do Paryża, żeby w dawnych pałacach królewskich w Wersalu, St. Germain i Trianon negocjować warunki pokojowe na zasadach zapowiedzianych przez Wilsona, dowiedzieli się, że nie mają tu nic do negocjowania. Że Niemcy w ogóle są winni wojnie, muszą więc zostać ukarani. Nie tylko odebrano im wszystkie kolonie i terytoria zdobyte w 1870 roku na Francji, nie tylko zmuszono ich do płacenia co roku

niewyobrażalnie dużych sum zwycięzcom, lecz nawet kazano im uroczyście podpisać, iż ponoszą wyłączną winę za wojnę. Austriakom i Węgrom nie powiodło się lepiej. W taki sposób dotrzymano obietnic Wilsona (ale zobacz moje wyjaśnienie w ostatnim rozdziale).

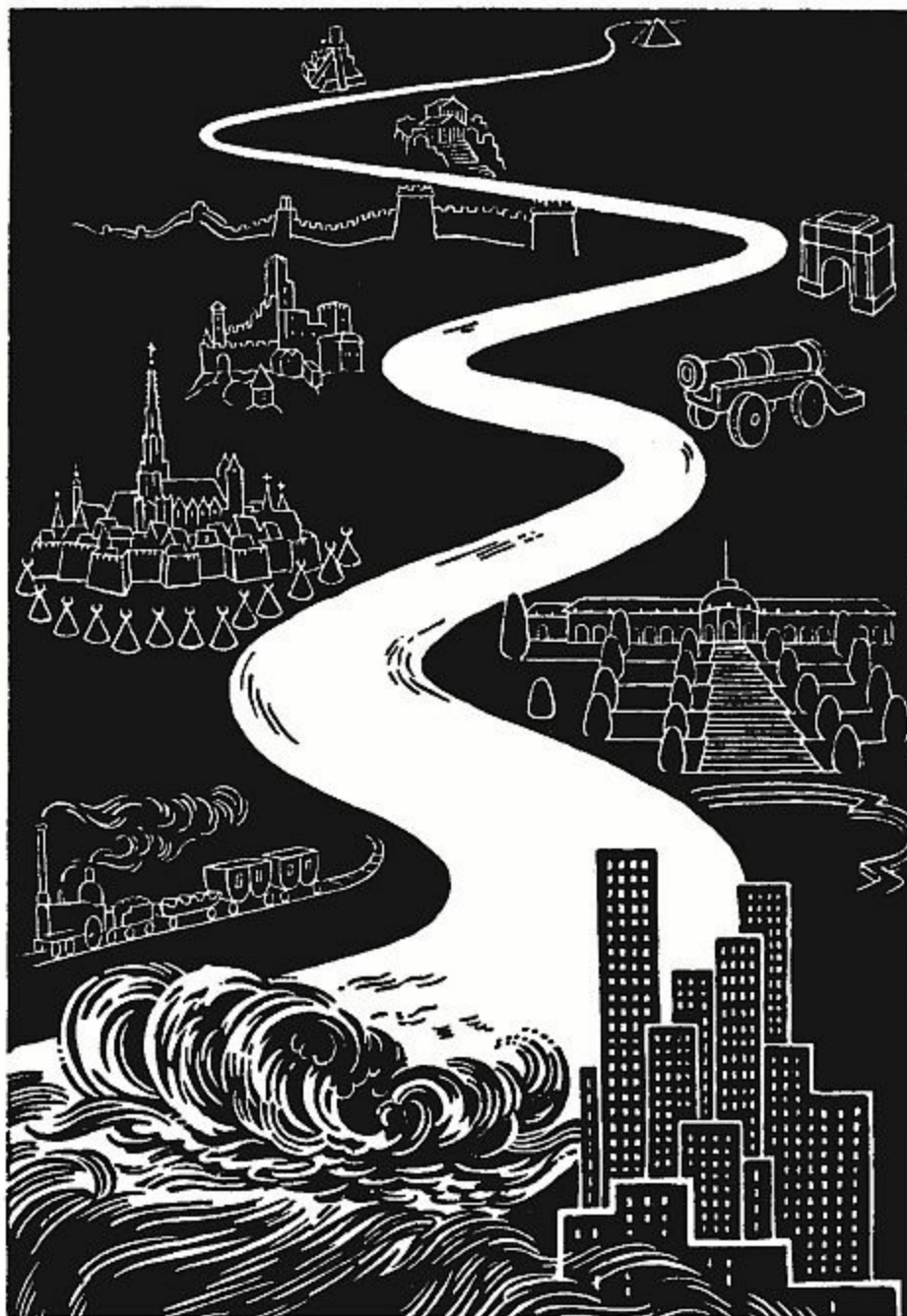
W czasie wojny poległo 11 milionów ludzi, a ogromne połacie ziemi zostały zdewastowane jak nigdy dotąd. Świat pograżył się w nędzy i rozpacz.

Ludzkość dokonała ogromnych postępów, zgłębiając prawidłowości natury. Dziś możesz z własnego pokoju rozmawiać z Australijczykiem po drugiej stronie globu o najmądrzejszych i najgłupszych sprawach. Możesz słuchać przez radio muzyki z Londynu albo wykładu o tuczu gęsi nadawanego z Portugalii. Wznosimy wysokie domy, wyższe od piramid czy Bazyliki Świętego Piotra w Rzymie, budujemy wielkie samoloty, z których każdy może uśmiercić więcej ludzi niż Wielka Armada króla Hiszpanii Filipa II. Wynaleźliśmy lekarstwa na najstraszliwsze choroby i posiadliśmy wspaniałą wiedzę. Na wszystkie możliwe zjawiska natury mamy wzory matematyczne, tak tajemnicze i dziwne, że rozumie je tylko bardzo niewielu ludzi. Ale są one prawidłowe: gwiazdy poruszają się dokładnie tak, jak przewidują te wzory. Każdego dnia wiemy troszkę więcej o przyrodzie, a także o samych ludziach. Lecz na świecie wciąż panuje ogromna bieda. Miliony ludzi na naszej ziemi nie mogą znaleźć pracy i miliony co roku umierają z głodu. Wszyscy mamy nadzieję na lepszą przyszłość, ona przecież *musi* nadejść!

Wyobraź sobie rzekę czasu, nad którą właśnie przelecieliśmy samolotem. Gdzieś tam we mgle daleko za nami może się jeszcze domyślasz skalnych jaskiń łowców mamutów, domyślasz się stepów, na których wyrosły pierwsze zboża. Te odległe punkciki to piramidy i wieża Babel. Po tamtych nizinach Żydzi kiedyś pędzili swoje stada. Po tym morzu pływali Fenicjanie. To, co tam tak błyszczący jak biała gwiazda między morzami, to Akropol, symbol sztuki greckiej. A tam, po drugiej stronie świata, ciągnie się ciemny las hinduskich pokutników, w którym Budda doznał oświecenia. Tu biegną wały graniczne Chińczyków, a po drugiej stronie płoną ruiny Kartaginy. W tych wielkich budowlach w kształcie lejka Rzymianie rzucali chrześcijan dzikim zwierzętom na pożarcie. Skłębione chmury tam nad ziemią to nawałnica wędrujących ludów, a w tych lasach nad rzeką pierwsi mnisi



nawracali i nauczali Germanów. Stamtąd, z pustyni, Arabowie wyruszyli na podbój świata, a tu panował Karol Wielki. Na tym wzgórzu stoi jeszcze zamek, w którym rozstrzygnęła się walka między papieżem a cesarzem o władzę nad światem. Widzimy zamki rycerskie i – bliżej nas – miasta ze wspaniałymi katedrami, Florencję i nowy kościół św. Piotra, z powodu którego doszło do sporu z Lutrem. Stolica Meksyku płonie, Wielka Armada rozbija się o wybrzeża Anglii; dymy, które tu zalegają, to dymy płonących wsi i stosów w czasach wojny trzydziestoletniej, a wspaniały pałac w wielkim parku to Wersal Ludwika XIV. Tu rozłożyli się obozem Turcy pod Wiedniem, a jeszcze bliżej nas stoją pałace Fryderyka Wielkiego i Marii Teresy. Gdzieś z oddali dobiega nas z ulic Paryża wołanie o wolność, równość i braterstwo, a po drugiej stronie już widzimy płonącą Moskwę i skuty mrozem kraj, w którym zginęła wielka armia ostatniego zdobywcy. Całkiem niedaleko nas dymią kominy fabryczne i gwizdzą pociągi. W Pekinie pałac letni leży w gruzach, a z japońskich portów wypływają statki z flagą wschodzącego słońca. Tam grzmią jeszcze działa wojny światowej. Trujący gaz ściele się po ziemi. Tu przez otwartą kopułę obserwatorium astronomicznego ogromna luneta kieruje wzrok badacza do niewyobrażalnie odległych gwiazdnych światów. Lecz pod nami i przed nami jest jeszcze mgła, nieprzenikniona mgła. Wiemy tylko, że rzeka płynie dalej, nieskończenie daleko, ku nieznanemu morzu.



*Co widzisz nad rzeką czasu? Tuż przy widnokręgu rozpoznasz wielką egipską piramidę sprzed niemal pięciu tysięcy lat, potem wieżę Babel, Akropol w Atenach, Mur Chiński, rzymski łuk triumfalny, zamek rycerski, armatę, Wiedeń oblężony przez Turków, pałac Fryderyka Wielkiego w Poczdamie, pierwszą kolej żelazną i nowoczesne drapacze chmur.*

Zejdźmy teraz samolotem niżej nad rzekę. Z bliska widać, że to prawdziwa rzeka, a jej fale szumią jak fale morza. Zrywa się silny wiatr, na

falach pienia się białe grzywy. Przypatrz się im dobrze, tym milionom połyskliwych białych bąbelków, które powstają i przemijają z każdą falą. Tylko przez chwilę niesie je grzbiet fal, potem opadają i znikają. Widzisz, każdy z nas jest taką połyskliwą drobiną, małą kropelką na falach czasu, które tam w dole przepływają i odpływają w niewiadomą, mglistą przyszłość. Wynurzamy się, rozglądamy wokół i zanim się spostrzeżemy, już nas nie ma. Wcale nas nie widać w wielkiej rzece czasu. Wciąż pojawiają się nowe fale. A to, co nazywamy naszym losem, to nic innego, jak tylko nasza walka w natłoku kropelek w czasie jednego poruszenia fali w górę i w dół. Ale tę chwilę chcemy wykorzystać. Warta jest zachodu.



## KAWAŁEK HISTORII, KTÓRY PRZEŻYŁEM SAM – SPOJRZENIE WSTECZ

Zupełnie czym innym jest uczyć się historii z książek, a czym innym przeżyć ją samemu. Chciałem ci o tym przypomnieć także na poprzednich stronach, porównując spojrzenie w przeszłość z widokiem, jaki roztacza się pod nami z wysoko lecącego samolotu. Na brzegach rzeki czasu widzimy wtedy tylko nieliczne szczegóły. Ale wiesz też, jak inaczej ta rzeka wygląda z bliska, kiedy płyną nam naprzeciw pojedyncze fale. Niektóre rzeczy widać wtedy lepiej, a niektórych nie widać już wcale. Tak samo było ze mną. Poprzedni rozdział skończył się przecież na straszliwej wojnie światowej w latach 1914–1918. Wprawdzie już wtedy byłem na świecie, ale miałem dopiero dziewięć lat, kiedy się skończyła. Dlatego pisałem też o tym, czego dowiedziałem się z książek.

W ostatnim rozdziale chciałbym ci trochę opowiedzieć o tym, co rzeczywiście przeżyłem sam. A im więcej się nad tym zastanawiam, tym dziwniejsze to mi się wydaje. Bo od 1918 roku ogromnie dużo zmieniło się na świecie, ale niektóre z tych zmian nastąpiły tak niepostrzeżenie, że dzisiaj wydają się nam zupełnie oczywiste.

Nie było wtedy na przykład telewizji ani komputerów, podróży w kosmos ani energii jądrowej. Ale o najważniejszej zmianie szczególnie łatwo zapominamy – o tym, że dzisiaj jest na świecie o wiele więcej ludzi niż w czasach mojej młodości. Pod koniec wojny światowej było na naszym globie ponad 2 miliardy ludzi, a teraz <sup>1</sup> jest ich już ponad dwa razy więcej. Tak duże liczby niewiele nam mówią, bo nie możemy ich sobie wyobrazić. Ale przypomnijmy sobie, że obwód Ziemi na równiku wynosi dość dokładnie 40 milionów metrów. Jeśli ludzie stoją gdzieś w kolejce do jakiegoś okienka, to może przypada ze dwóch na metr. Czyli że kolejka 80 milionów cierpliwie

czekających ludzi obeszlaby kulę ziemską. A więc już wtedy owinęłaby mniej więcej 22 razy Ziemię, a dzisiaj nasze 4,5 miliarda ludzi utworzyłoby kolejkę, która owinęłaby się wokół Ziemi ponad 50 razy!

Poza tym w latach, kiedy liczba ludności tak niesamowicie wzrosła, kula ziemską, na której wszyscy żyjemy, równie niepostrzeżenie coraz bardziej malała. Oczywiście nie malała naprawdę, ale technika, przede wszystkim technika lotnicza, coraz bardziej zmniejszała odległość między kontynentami. To także przeżyłem sam: gdy jestem na jakimś lotnisku, gdzie głośnik zapowiada kolejno lot do Delhi, Nowego Jorku, Hongkongu czy Sydney i kiedy widzę kłębiące się tłumy ludzi szykujących się do odlotu, często muszę wracać myślami do czasów mojej młodości. Wtedy pokazywało się kogoś palcem i mówiło: „Ten to był w Ameryce” albo nawet: „Ten był w Indiach”.

Dzisiaj niewiele jest takich miejsc na świecie, do których nie moglibyśmy dotrzeć w kilka godzin. Ale nawet jeśli sami nie jeździmy do dalekich krajów, to i tak są one dzisiaj bliżej nas niż jeszcze w czasach mojej młodości. Jeśli gdzieś na świecie dzieje się coś ważnego, to następnego dnia czytamy o tym w gazecie, słyszymy w radiu albo widzimy w wiadomościach telewizyjnych. Mieszkańcy dawnego Meksyku z całą pewnością nic nie wiedzieli o zniszczeniu Jerozolimy, a w Chinach prawdopodobnie nikt nie słyszał o skutkach wojny trzydziestoletniej. W latach I wojny światowej było już inaczej. Przecież właśnie dlatego nazywamy ją *wojną światową*, że dało się w nią wciągnąć tyle państw i narodów.

Nie oznacza to oczywiście, że wszystkie te wiadomości, które dochodzą do nas teraz ze wszystkich stron, są prawdziwe. Ja też się przekonałem, że nie powinienem być wierzyć we wszystko, co czytałem w gazetach. Chciałbym podać jeden taki przykład: mając świadomość, że I wojnę światową przeżywałem już sam, byłem pewien, że mogę wierzyć we wszystko, co mi wtedy opowiadano. Dlatego poprzedni rozdział, „Dzielenie świata”, nie wyszedł mi, niestety, tak bezstronnie, jak z całą pewnością zamierzałem. Zwłaszcza to, co na koniec napisałem o roli amerykańskiego prezydenta Wilsona, wyglądało inaczej, niż wtedy sądziłem. Przedstawiłem tę sprawę tak, jakby Wilson poczynił Niemcom i Austriakom obietnice, które potem nie zostały dotrzymane. Byłem święcie przekonany, że dobrze to pamiętam, bo przecież żyłem w tych czasach, a później tylko zapisałem to, w co wtedy ludzie powszechnie wierzyli. A powinienem był sprawdzić, bo zwłaszcza

historyk powinien to w każdym razie zrobić. Krótko mówiąc, to prawda, że prezydent Wilson na początku 1918 roku wystąpił z propozycją pokojową, ale najważniejsze jest to, że Niemcy, Austria i ich sojusznicy wtedy jeszcze mieli nadzieję, że mogą wygrać wojnę, zignorowali więc jego apel. Dopiero gdy dziesięć miesięcy później pośród straszliwych ofiar przegrali wojnę, chcieli się powołać na tę propozycję, ale wtedy była już nieaktualna.

Jak istotny i pożałowania godny był mój błąd, łatwo mogę dowieść. Bo chociaż wtedy nie zdawałem sobie z tego sprawy, to jednak powszechnie panujące wśród pokonanych narodów przekonanie, że padły ofiarą oszustwa i stąd ich nieszczęście, szczególnie ułatwiło sprawę ambitnym podżegaczom, którzy chcieli zamienić rozczarowanie we wściekłość i żądzę zemsty. Wolałbym nie wymieniać ich z nazwiska, ale w końcu każdy chyba wie, że myślę tu głównie o Adolfie Hitlerze. W czasie I wojny światowej Hitler był żołnierzem i też był przekonany, że gdyby nie to oszustwo, armia niemiecka nigdy by nie została pokonana. Że nie tylko sam Wilson, lecz w ogóle cała wroga propaganda winna jest temu, że Niemcy i Austriacy w kraju pozostawili żołnierzy na froncie samym sobie. Hitler pomyślał, że teraz trzeba przewyższyć tamtych w sztuce propagandy. Był porywającym trybunem ludowym i przyciągał masy. Wiedział przede wszystkim to, że najskuteczniej można podbechtać ludzi, wskazując im kozła ofiarnego, który jest winien ich nieszczęściu, i takiego kozła ofiarnego znalazł w Żydach.

O losach tego pradawnego narodu też kilkakrotnie wspominałem w tej książce – o jego dobrowolnym separowaniu się od innych, o jego bezdomności po zniszczeniu Jerozolimy, a także o prześladowaniu Żydów w średniowieczu. Ale chociaż sam pochodzę z żydowskiej rodziny, nigdy bym nie pomyślał, że za moich czasów te okropności mogłyby się powtórzyć.

Tu muszę przyznać się otwarcie do kolejnej pomyłki, którą popełniłem, a która może nawet nie przynosi mi wstydu. Z rozdziału „Naprawdę nowe czasy” można się dowiedzieć, że zaczęły się one dopiero wtedy, kiedy ludzie przestali myśleć brutalnymi kategoriami dawnych czasów, a idee i ideały oświecenia w XVIII wieku stały się tak powszechne, że od tamtej pory uchodzą za oczywiste. Kiedy to pisałem, wydawało mi się rzeczywiście nie do pomyślenia, że ludzie kiedykolwiek znowu zniżą się do tego poziomu, żeby prześladować wyznawców innej religii, wymuszać zeznania torturami albo w ogóle negować prawa człowieka. To, co wydawało mi się wtedy nie do pomyślenia, jednak się stało. Ten smutny krok wstecz wydaje się nie do

pojęcia, ale może dla młodych ludzi wcale nie jest trudniejszy do zrozumienia niż dla dorosłych. Wystarczy, żeby w szkole mieli oczy otwarte; uczniowie bywają przecież często nietolerancyjni, wyśmiewają na przykład nauczycieli tylko dlatego, że jakaś niemodna część ich garderoby wydaje się klasie komiczna, a kiedy tracą przed nimi respekt, zaraz rozpętuje się piekło. Także kolega w szkole, jeśli się trochę różni od innych, czy to kolorem skóry albo włosów, czy to sposobem mówienia albo jedzenia, łatwo staje się ofiarą; dręczą go niemiłosiernie, a on nie ma jak się bronić. A przecież z pewnością nie wszyscy w klasie są szczególnie okrutni czy bez serca, lecz nikt nie lubi psuć zabawy, toteż w większości jakoś się do tamtych przyłączają i pokrzykują razem z innymi, aż w końcu prawie nie mogą poznać samych siebie.

Niestety, dorośli ludzie też nie zachowują się lepiej. Zwłaszcza kiedy nie mają innego zajęcia i źle im się wiedzie – albo gdy tylko myślą, że źle im się wiedzie. Łączą się wtedy z towarzyszami niedoli, prawdziwej lub urojonej, idą marszowym krokiem po ulicach i powtarzają chórem najbardziej bezsensowne hasła, a w dodatku jeszcze się im wydaje, że są wspaniali. Sam widziałem, jak zwolennicy Hitlera w swoich brunatnych koszulach napadli na żydowskich studentów Uniwersytetu Wiedeńskiego, a kiedy pisałem tę książkę, Hitler przejął już władzę w Niemczech. Wydawało się tylko kwestią czasu, kiedy również rząd Austrii padnie jego ofiarą, toteż rzeczywiście szczęśliwie się dla mnie złożyło, że zostałem zaproszony do Anglii, zanim wojska Hitlera w marcu 1938 roku wkroczyły do Austrii i także u nas, tak jak w Niemczech, w niebezpieczeństwie znalazł się każdy, kto nie chciał zamiast „dzień dobry” mówić „Heil Hitler”.

W takiej sytuacji aż nadto szybko się okazuje, że zwolennicy tego rodzaju ruchów znają tylko jedną zbrodnię: brak wierności swojemu tak zwanemu führerowi, i tylko jedną cnotę: bezwzględne posłuszeństwo. Każdy rozkaz, który mógłby przybliżyć zwycięstwo, musi być wykonany, nawet gdy narusza przykazania humanitaryzmu. Oczywiście zdarzały się w dziejach ludzkości podobne rzeczy i o niektórych z nich pisałem w tej książce, jak na przykład o pierwszych zwolennikach Mahometa. Także o jezuitach powiadano, że posłuszeństwo stawiają na pierwszym miejscu. O zwycięstwie komunistów w Rosji pod wodzą Lenina też wspominałem, a zdeklarowani komuniści również nigdy nie chcieli nawet myśleć o tolerowaniu przeciwników. Ich bezwzględność w dążeniu do celu nie znała granic, a jej

ofiara padły miliony ludzi.

W latach po I wojnie światowej tolerancja coraz bardziej znikła z życia także w Niemczech, we Włoszech i w Japonii. Politycy w tych krajach opowiadali swoim rodakom przede wszystkim to, że podczas „dzielenia świata” dostało się im za mało, bo właściwie to oni mają prawo panować nad innymi narodami. Włochom przypominali, że przecież pochodzą od starożytnych Rzymian, Japończykom o ich wojowniczych szlachcicach, a Niemcom o dawnych Germanach, Karolu Wielkim czy Fryderyku Wielkim. Mówili, że to nieprawda, iż wszyscy ludzie są tyle samo warci, i że tak jak istnieją rasy psów, które bardziej niż inne nadają się do polowania, tak i oni są najlepszymi ludźmi, którzy nadają się do rządzenia.

Znam pewnego starego, mądrego mnicha buddyjskiego, który mówił swoim rodakom, że chciałby wiedzieć, dlaczego wszyscy ludzie zgodnie uważają za śmieszne i zawstydzające, jeśli ktoś o sobie samym powiada, „ja jestem najmądrzejszym, najsilniejszym, najodważniejszym i najbardziej utalentowanym człowiekiem na świecie”, ale jeśli zamiast „ja” powie „my” i ogłosi, że to „my” jesteśmy najmądrzejszymi, najsilniejszymi, najodważniejszymi i najbardziej utalentowanymi ludźmi na świecie, to wszyscy w jego ojczyźnie z zachwytem biją mu brawo i nazywają go patriotą. A przecież nie ma to nic wspólnego z patriotyzmem. Przecież można być przywiązany do swojej ojczyzny, a przy tym nie twierdzić, że wszędzie indziej żyje tylko bezwartościowa hołota. A im więcej ludzi dawało posłuch temu nonsensowi, tym bardziej pokój był zagrożony.

A kiedy jeszcze wybuchł wielki kryzys gospodarczy i ogromną rzeszę ludzi w Niemczech skazał na bezrobocie, najprostszym wyjściem wydawała się wojna, na której bezrobotni staną się żołnierzami albo pracownikami przemysłu zbrojeniowego i która unieważni znienawidzone traktaty z Wersalu i St. Germain. Wmawiano sobie, że demokratyczne kraje na zachodzie, czyli Francja, Anglia i Ameryka, od tak dawna są przywiązane do życia w pokoju i zniewieściałe, że nawet nie będą chciały się bronić. To prawda, że nikt tam nie chciał wojny i że robiono wszystko, by nie dać Hitlerowi pretekstu do wpędzenia świata w nieszczęście. Ale niestety jakiś pretekst zawsze się znajdzie, bo tak zwane incydenty można także zaaranżować. I 1 września 1939 roku armia niemiecka wkroczyła do Polski. Mieszkiałem już wtedy w Anglii i sam widziałem, jak bardzo smutni, ale też zdeterminowani byli ludzie, którzy teraz znowu musieli iść na wojnę. Tym



razem nikt nie śpiewał wesołych żołnierskich piosenek, nikt nie liczył na wojenną sławę. Ludzie spełniali tylko swój obowiązek, bo trzeba było skończyć z tym obłędem.

Moim zadaniem stało się słuchanie niemieckiego radia i tłumaczenie jego audycji na angielski, żeby było wiadomo, co się niemieckim słuchaczom opowiada, a co przemilcza. Przeżyłem sześć lat tej strasznej wojny, od 1939 do 1945 roku, niejako od dwóch stron – aczkolwiek w bardzo różny sposób. W Anglii widziałem determinację, ale też niedostatek, lęk o żołnierzy na froncie, skutki nalotów bombowych i troskę o zmienne koleje wojny. Z radia niemieckiego słyszałem najpierw tylko triumfalny wrzask i obrzydliwe urągania. Hitler wierzył w siłę propagandy i jego wiara wydawała się uzasadniona, dopóki niemieckie sukcesy pierwszych dwóch lat wojny przechodziły najśmielsze oczekiwania. Polska, Dania i Norwegia, Holandia i Belgia, Francja, wielkie obszary Związku Radzieckiego oraz kraje bałkańskie zostały wzięte szturmem i tylko Anglia, mała wyspa na skraju Europy, jeszcze stawiała opór; ale to też nie mogło trwać długo, bo radio niemieckie raz po raz triumfalnie donosiło, ile to okrętów wiozących Anglikom żywność i broń zatopiły łodzie podwodne.

Ale gdy w grudniu 1941 roku Japończycy bez wypowiedzenia wojny zaatakowali i niemal zniszczyli amerykańską flotę stojącą w porcie, a Hitler ze swej strony wypowiedział wojnę Ameryce; gdy jesienią 1942 roku wojska niemieckie musiały się cofnąć w Afryce Północnej, a w styczniu 1943 roku pod Stalingradem zostały pobite przez Rosjan; gdy Luftwaffe okazała się bezsilna i nie powstrzymała straszliwych nalotów na niemieckie miasta – wtedy się okazało, że samymi słowami i fanfarami zwyciężyć nie można. Winston Churchill, w niemal beznadziejnej sytuacji przejmując rządy w Anglii, powiedział: „Mogę wam obiecać tylko krew, znoj, łzy i pot”. I właśnie dlatego mu wierzyliśmy, gdy nam dawał iskierkę nadziei. A ilu niemieckich słuchaczy w ogóle zwracało później uwagę na wykręty i obiecanki, jakie dzień w dzień słyszałem z radia niemieckiego, nie wiem.

Wiem tylko tyle, że ani niemieccy radiosłuchacze, ani my nie dowiedzieliśmy się wtedy niczego o najstraszliwszej zbrodni, jaką Niemcy popełnili w czasie wojny. W tym smutnym kontekście muszę i niech mi będzie wolno odesłać czytelnika do wcześniejszego fragmentu tekstu. Napisałem tam o hiszpańskich zdobywcach, że „zaczęli w Meksyku i innych rejonach Ameryki w najobrzydliwszy sposób wycinać w pień indiańskie ludy

o starej kulturze. Ten rozdział historii ludzkości jest tak przerażający i tak zawstydzający dla nas, Europejczyków, że wolę pominąć go milczeniem”.

Jeszcze chętniej pomiąłbym milczeniem tę wielką zbrodnię popełnioną w XX wieku, bo w końcu kieruję tę książkę do młodych ludzi, którym wolałbym oszczędzić najdrastyczniejszych opisów. Ale dzieci też kiedyś dorastają, a więc i one muszą się dowiedzieć z historii, jak łatwo szcucie i nietolerancja mogą ludzi zamienić w bestie. W ostatnich latach II wojny światowej żydowscy mieszkańcy wszystkich krajów Europy okupowanych przez armię niemiecką – miliony mężczyzn, kobiet i dzieci – zostali bowiem wypędzeni ze swoich ojczyzn, w większości wywiezieni na wschód i tam zamordowani.

O tym, jak wspominałem, radio niemieckie niczego nie opowiadało swoim słuchaczom i gdy z końcem wojny te niepojęte fakty stały się znane, tak samo jak wielu innych z początku nie mogłem w nie uwierzyć. Niestety istnieją niezliczone dowody, że ta niesłychana zbrodnia rzeczywiście została popełniona i chociaż tak wiele lat już upłynęło od tamtej pory, jest ogromnie ważne, żeby jej nie zapomnieć i nie pozwolić zatuszować.

Dla tygla narodów zamieszkujących naszą małą planetę coraz bardziej nieodzowne się staje wychowywanie do szacunku i wzajemnej tolerancji, już choćby dlatego, że za sprawą osiągnięć techniki mamy do siebie coraz bliżej.

Tego też dowiodła wojna światowa, gdyż dzięki niemal niewyczerpanym rezerwom amerykańskiego przemysłu zbrojeniowego, z których korzystały także Anglia i Rosja, musiała się nieuchronnie skończyć. Mimo rozpaczliwego oporu niemieckich żołnierzy Anglicy i Amerykanie latem 1944 roku zdołali wylądować w Normandii i przejść do ofensywy. W tym samym czasie Rosjanie ścigali osłabioną armię niemiecką i wreszcie w kwietniu 1945 roku dotarli do Berlina, gdzie Hitler odebrał sobie życie. O traktacie pokojowym tym razem nie było mowy. Zwycięzcy wzięli kraj pod wojskową okupację i przez kilkadziesiąt lat biegła przez Niemcy pilnie strzeżona granica między dwiema strefami wpływów: komunistycznej Rosji i zachodnich demokracji.

Klęska Niemiec nie oznaczała jednak końca wojny światowej, gdyż wciąż jeszcze nie udało się pokonać Japończyków, którzy zajęli ogromne obszary Azji. Gdy walkom nie było końca, Amerykanie użyli zupełnie nowej broni: bomby atomowej.

Tuż przed wybuchem wojny spotkałem przypadkowo młodego fizyka,

który mówił o artykule opublikowanym przez wielkiego duńskiego naukowca, Nielsa Bohra. Artykuł dotyczył teoretycznej możliwości skonstruowania „bomby uranowej”, która siłą niszczenia daleko przewyższy wszystkie znane materiały wybuchowe. Wyraziliśmy wtedy nadzieję, że ta niezrównana broń zostanie najpierw zrzucona nad jakąś niezamieszkaną wyspą, aby pokazać zarówno wrogom, jak i przyjaciołom, że mogą zapomnieć o wszystkich dotychczasowych wyobrażeniach na temat walki i wojny. I chociaż wielu naukowców, którzy podczas wojny usilnie pracowali nad skonstruowaniem takiej broni, z pewnością podzielało tę nadzieję, to jednak się ona nie spełniła. Pierwszymi ofiarami niewyobrażalnej katastrofy padły w sierpniu 1945 roku japońskie miasta Hiroszima i Nagasaki, a Japonia rzeczywiście się poddała.

Było dla nas wszystkich jasne, że ten wynalazek rozpoczął zupełnie nowy rozdział w dziejach świata, gdyż odkrycie energii atomowej można właściwie porównać tylko z wynalezieniem sposobu na rozniecanie ognia. Ogień też może ogrzewać i może niszczyć, ale spustoszenia powodowane przez ogień są niczym w porównaniu z niszczącą siłą broni jądrowej, dziś jeszcze zwielokrotnioną. Miejmy nadzieję, że to doświadczenie nie pozwoli jej użyć ponownie przeciwko ludziom, ale wszyscy wiemy, że dwa największe mocarstwa, Amerykanie na zachodzie i Rosjanie na wschodzie, posiadają niesamowite ilości tej broni, chociaż jedni i drudzy zdają sobie sprawę, że w razie jej użycia sami też by nie przeżyli. Od tamtej pory świat oczywiście zupełnie się zmienił. Narody całych połaci ziemi, które przed wojną należały do imperium brytyjskiego, są dziś w większości już niepodległe, ale niestety wciąż jeszcze nie stały się bardziej zgodne. Mimo okrutnych walk i groźnych kryzysów, jakie nadal wybuchały w różnych miejscach globu, oszczędzona nam jednak została od 1945 roku trzecia wojna światowa, bo przecież każdy wie, że mogłaby oznaczać koniec dziejów świata. Mała to pociecha, ale zawsze.

Ta całkiem nowa sytuacja w dziejach ludzkości oczywiście skłoniła wielu ludzi do potępiania zdobyczy naukowych jako takich, skoro doprowadziły nas na skraj katastrofy. Nie powinniśmy jednak zapominać, że właśnie również nauka i technika pozwoliły przynajmniej częściowo naprawić zniszczenia wojenne, tak że w dotkniętych nimi krajach normalne życie mogło rozpocząć się wcześniej, niż ktokolwiek ośmielał się marzyć.

Na koniec chciałbym dokonać jeszcze jednej korekty w mojej książce

i nadrobić zaniechanie, które mi leży na sercu. Moje ujęcie tematu człowiek i maszyna nie jest może błędne, ale pozostaje trochę jednostronne. To niewątpliwie prawda, że zastąpienie pracy ręcznej przez pracę fabryczną pociągnęło za sobą wielką nędzę ludzi, ale powinienem był też wspomnieć, że gdyby nie nowe techniki produkcji masowej, w ogóle nie można by zapewnić wyżywienia, odzieży i mieszkań ciągle rosnącej liczbie ludności. To, że rodziło się coraz więcej dzieci i coraz mniej z nich w niemowlęctwie umierało, należy przypisać w dużej mierze naukowym postępom w medycynie, która domagała się na przykład zakładania wodociągów i kanalizacji. Postępujące uprzemysłowienie Europy, Ameryki, a także Japonii pozbawiło nas z pewnością wielu pięknych rzeczy, ale nie powinniśmy zapominać, ile dobrodziejstw – tak, dobrodziejstw – nam przyniosło.

Bardzo dobrze jeszcze pamiętam, kogo w czasach mojej młodości uważało się za „ludzi biednych”. Nie tylko nędzarze, czyli żebracy i bezdomni, wyglądali inaczej niż zamożni mieszkańcy w wielkich miastach, bo również robotników i robotnice z daleka można było poznać po ubraniu; kobiety miały co najwyżej chusty do ochrony przed zimnem i żaden robotnik nigdy by nie nosił białej koszuli, boby się za szybko brudziła. Mówiło się nawet o „zapachu biedy”, gdyż większość ludzi w miastach mieszkała w źle wietrzonych mieszkaniach z co najwyżej jednym kranem na klatce schodowej. Za to mieszczańskie domostwo (nie tylko bogatych ludzi) miało zwykle kucharkę, pokojówkę, a często także piastunkę. Wprawdzie żyło im się tam pewnie często lepiej, niż gdyby zostały u siebie, ale chyba nie należało do przyjemności na przykład tylko raz w tygodniu mieć „wychodne” i w ogóle być zaliczanym do „służby”. Właśnie w czasach mojej młodości ludzie zaczęli się nad tym zastanawiać i po I wojnie światowej prawo używało już określenia „pomoc domowa”. Lecz gdy jeszcze jako student przyjechałem do Berlina, często widywałem na frontowym wejściu do domów tabliczkę z napisem „Wejście tylko dla państwa”, co już wtedy sprawiało mi przykrość. Służba i dostawcy musieli wchodzić kuchennymi schodami i nawet gdy mieli ciężkie rzeczy do wniesienia, nie wolno im było korzystać z windy.

To wszystko już minęło jak zły sen. Oczywiście istnieją niestety jeszcze dzisiaj i nędza, i dzielnice nędzy w miastach Europy i Ameryki, ale większość robotników fabryk, a nawet większość bezrobotnych żyje dziś

pewnie lepiej niż niejeden średniowieczny rycerz w swoim zamku. Jedzą lepiej, przede wszystkim są zdrowsi i z reguły żyją też dłużej. Ludzie od najdawniejszych czasów marzyli o „złotym wieku”, a teraz, gdy dla tak wielu z nich złoty wiek stał się niemal rzeczywistością, nikt nie chce tego przyjąć do wiadomości.

W krajach Europy Wschodniej, którym armia rosyjska narzuciła ustrój komunistyczny, było jednak całkiem inaczej. Ale w 1989 roku sytuacja nieoczekiwanie się zmieniła. Niemcy, podzielone po wojnie, zostały znowu zjednoczone. W pozostałych państwach komunistycznych ustrój się załamał.

Rozdział poświęcony I wojnie światowej zakończyłem słowami: „Wszyscy mamy nadzieję na lepszą przyszłość, ona przecież *musi* nadejść!”. Czy rzeczywiście nadeszła? Na pewno nie dla wszystkich, którzy zaludniają naszą planetę. Wśród wciąż rosnącej liczby ludności w Azji, Afryce i Ameryce Południowej panuje jeszcze ta sama nędza, jaka i u nas wcale nie tak dawno temu uchodziła za normalne zjawisko. Niełatwo temu zaradzić, bo także tam nędza, jak zawsze, idzie w parze z brakiem tolerancji. Ale dzięki lepszemu przepływowi informacji poruszyło się trochę sumienie bogatszych narodów. Jeśli gdzieś daleko zdarzy się trzęsienie ziemi, wielka powódź czy susza i pociąga za sobą wiele ofiar, tysiące ludzi w zamożnych krajach oddają do dyspozycji swoje środki i siły, by przyjść z pomocą. Tego wcześniej także nie było. A to jednak dowodzi, że nasza nadzieja na lepszą przyszłość jest uprawniona.

1. Dane dotyczą okresu powstania ostatniego rozdziału książki (przyp. red.). [\[wróć\]](#)

## O AUTORZE

Ernst Hans Josef Gombrich urodził się 30 marca 1909 roku w Wiedniu. Uczęszczał do gimnazjum humanistycznego Akademii Terezańskiej w Wiedniu, w latach 1928–1933 studiował historię sztuki i archeologię klasyczną na Uniwersytecie Wiedeńskim, między innymi u Juliusa von Schlossera, Emanuela Loewy’ego i Hansa Tietzego. Jego pierwsza publikacja dotyczyła wczesnośredniowiecznej puszki (*pyxis*) z kości słoniowej. Praca doktorska poświęcona Giuliovi Romano jako architektowi również została opublikowana. Po ukończeniu studiów miał okazję współpracować z zaprzyjaźnionym z Sigmundem Freudem kustoszem zbiorów rzemiosła artystycznego w Kunsthistorisches Museum w Wiedniu, Ernstem Krisem, który podczas wspólnej pracy nad studium na temat historii i teorii karykatury wprowadził go w problematykę psychologii sztuki.

Nie mając w Austrii żadnych widoków na posadę, na początku 1936 roku wyjechał do Anglii, gdzie Fritz Saxl, dyrektor właśnie przeniesionej z Hamburga do Londynu biblioteki Aby’ego Warburga, powierzył mu pracę nad spuścizną jej założyciela.

Po wybuchu wojny pracował w nasłuchu radiowym BBC, gdzie przez sześć lat słuchał niemieckich audycji radiowych i tłumaczył je na angielski. Po zakończeniu wojny wrócił do Instytutu Warburga, który tymczasem został przyłączony do Uniwersytetu Londyńskiego. Pracował tam aż do przejścia na emeryturę jesienią 1976 roku, początkowo jako stypendysta, a przez ostatnich siedemnaście lat (1959–1976) jako jego dyrektor i profesor historii i tradycji klasycznej. Jednocześnie prowadził wykłady gościnne, między innymi w Oksfordzie (1950–1953) i Cambridge (1961–1963). Wykładał również w Slade School of Fine Art at University College w Londynie i przez jeden semestr w Harvardzie (1959). Podczas kilku podróży do Ameryki nawiązał kontakty z wieloma tamtejszymi uniwersytetami, przede wszystkim z Cornell University i University of Washington w Seattle.

Po studiach, będąc jeszcze w Wiedniu, napisał dla dzieci historię świata, która została przetłumaczona na pięć języków. Po niej przyszło zamówienie na historię sztuki – *The Story of Art* (1950, wyd. pol. *O sztuce*, Warszawa 1997 i kilka wydań DW REBIS, Poznań) miała już szesnaście wydań,

ukazała się w 2 milionach egzemplarzy i została przetłumaczona na osiemnaście języków. Zgodnie z tradycją biblioteki Warburga zajmował się w swoich pracach naukowych początkowo problemami ikonografii renesansu (*Botticelli's Mythologies*); zaproszenie do wygłoszenia w Waszyngtonie cyklu wykładów zwanych Mellon-Lectures (1956) skłoniło go do zajęcia się ponownie kwestiami psychologii sztuki (*Art and Illusion*, 1960, wyd. pol. *Sztuka i złudzenie*, Warszawa 1981, przekłady na dalszych dziewięć języków). Jego eseje na temat sztuki renesansu są zebrane w trzech tomach (*Norm und Form*, 1966; *Symbolic Images*, 1972, *The Heritage of Apelles*, 1976). Jeden z tomów dotyczący kwestii historii sztuki nosi tytuł *Meditations on the Hobby Horse* (1963). *The Preference for the Primitive*, którą Ernst Gombrich ukończył przed śmiercią, ukazała się w 2002 roku.

Był członkiem kilku akademii i towarzystw naukowych oraz trzynastokrotnym doktorem honoris causa. W 1972 roku został nobilitowany. W 1975 roku prezydent Austrii nadał mu Krzyż Honorowy I Klasy za Zasługi dla Nauki i Sztuki; w 1977 roku Gombrich odebrał Order Pour le Mérite, a w 1984 roku austriacką Odznakę Honorową za Zasługi dla Nauki i Sztuki. W 1975 roku otrzymał Nagrodę Erazma, a w 1976 roku Nagrodę im. Hegla miasta Stuttgart. Sir Ernst Gombrich zmarł w 2001 roku w wieku 92 lat w Londynie.

Tytuł oryginału: *Eine kurze Weltgeschichte für junge Leser*

© 1985, 2008 DuMont Buchverlag, Köln

First published 1936 by Steyrermühl Verlag, Wien, under the title „Weltgeschichte von der Urzeit bis zur Gegenwart”

*All rights reserved*

Copyright © for the Polish e-book edition by REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2017

Informacja o zabezpieczeniach

W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie niedozwolonym utrwalaniem, zwielokrotnianiem i rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo zabezpieczony. Usuwanie lub zmiana zabezpieczeń stanowi naruszenie prawa.

Redaktor tego wydania: Katarzyna Raźniewska

Ilustracje na okładce: Clifford Harper

Line illustrations to the cover design © 2005 Clifford Harper. All rights reserved. Use of illustrations reserved by arrangement with Yale University Press/London and New Haven

Ilustracje w książce: Franz Katzer

Mapy: Yale Representation Limited

Opracowanie graficzne polskiej wersji okładki: Sławomir Folkman

Wydanie I e-book (opracowane na podstawie wydania książkowego: *Krótką historia świata*, wyd. I w tej edycji, Poznań 2017)

ISBN 978-83-8062-856-4

**Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.**

ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań

tel.: 61 867 81 40, 61 867 47 08

fax: 61 867 37 74

e-mail: [rebis@rebis.com.pl](mailto:rebis@rebis.com.pl)

[www.rebis.com.pl](http://www.rebis.com.pl)

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**